

Władysław Łoziński

PIERWSI GALICJANIE

I.

DZIAD SOKALSKI.

Nadchodził właśnie czas, kiedy dla Polski zagasnąć miały
ostatnie promienie
wolności....

Wypadki naszej powieści odbywają się na tej części ziemi
polskiej, która
pozbawiona wolności już od całych dziesiątek lat, przebywała
właśnie nowicjat
swej zmienionej doli.

Jesteśmy w młodej jeszcze bardzo Galicji, w roku .

Było to w jednym z małych miasteczek naszych, w Sokalu. W
kościelce .

Bernardynów, słynnym w kraju całym z łask Bożej
Rodzicielki, uwielbianej w

cudownym swym obrazie, skończyła się właśnie suma. Dzień
był świąteczny i

odpustowy, więc mnóstwo ludzi wychodziło z przepelnionej
świątyni, powiększając
ruch odpustowego zgiełku przed kościołem.

Cisnęli się w progach kościoła i około rozstawionych ubocza
kramów chłopkowie

smutnego wejrzenia, którzy pospieszyli podzielić się z

Bogiem czasem wolnym od

atamańskich i ekonomskich nawoływań, przesuwała się bracia
szlachta zagonowa i

wioskowa gromadnie lub samopas, kręcili się w dobrej komitywie z handlującymi żydkami bużańscy flisacy. Wśród zgiełku ludzi, snujących się około przybytku opatrności Bożej, przechadzał się także organ opatrności światowej. Jakieś wysokie, chude i kościste indywiduum z miną urzędową na ogolonej twarzy, z harbajtlem na grzbiecie, w kła-piastym surducie z metalowemi guzami, w obłoconych sztylpach z ogromnemi ostrogami, z trzcina w rękę i w zatłuszczonym trójgraniastym kapeluszu na głowie, chodziło szcudlemi nogami tędy i owędy, spozierając z poczuciem wyższości na nabożne tłumy. Za niem drab jakiś wysoki, z fizjonomją widocznie rodzimą, bo przypominającą ruskiego hajduka, w obcisłym i przykrótkim półfraku z grubego, wytartego sukna, w skórzanych wysokich kamaszach i z ogromnym bukiem w szerokiej łapie kroczył w nieodstępnej asystencji. Po wrażeniu, jakie sprawiał widok tych dwóch ludzi, a zwłaszcza pierwszego, bo drugi widocznie bardzo podrzędnego był stopnia, poznać było łatwo urzędowy ich charakter. Rozstępywali się z najpokorniejszem uszanowaniem chłopi, chyląc aż ku ziemi swe czapki i kapelusze, kłaniali uniżenie przebiegający żydkowie — jedna tylko szlachta zagonowa w szarych lub niebieskich żupanach, choć szabel swych

pozbawiona, mniej huczna i mniej bundziuczna, mijała ich
nieraz nieuchylając
czapek, z rękoma za wełnianym pasem lub przy sumiastym
wąsie. Na niejednej
szlacheckiej twarzy odbił się wprawdzie na spotkanie
jegomości z harbajtlem
wyraz niepokoju lub przykrego uczucia jakiejś niepewności —
daleko więcej jednak
było takich, którzy mijali go z otwartą butą i indygnacją w
oku.

Nieopodal od kościoła rozsiadł się na ziemi cały szereg
dziadów, istnym wieńcem
łachmanów i bród rozczochranych, istną kliniką nóg
krzywych, rąk uschłych i
innych najprzeróżniejszych kalectw, prawdziwym Babelem
głosów ochrzypłych,
podnoszonych imieniem wszystkich cnót chrześcijańskich,
wszystkich świętości
nabożnej wiary, tytułem całego orszaku świętych patronów i
cudotwórców. Ten na
imię św. Antoniego, patrona zgub zaklina, ów do św. Mikołaja
cudotwórcy się
odwołuje, inny dusze zmarłych przypomina, chcąc zagłuszyć
czwartego, co wywodzi
właśnie pieśń o cudownym obrazie sokalskim.
Niektórzy z nich z lirami u boku, pokręcają na przygawkę
korbami i stroją
nieposłuszne gardła do lamentowego śpiewu, zapraszając
chłopców do słuchania
budujących pieśni o Łazarzu nędzarzu, o patronie Jantonim, o
Jezusie
Milatyńskim. Zbierają się gromadki chłopków, łaknących
obroku duchowego i lir

skrzypu, każdy dziad znajduje dawców i słuchaczy, ale tylko koło jednego z nich ciśnie się tłum znaczny i mnożący się coraz to nowymi przybyszami.

Tam bowiem siedzi dziad nie lada, znakomitość na parnasiae poezji dziadowskiej, najgłośniejszy w okolicy, najskuteczniejszy pośrednik modłów w rozmaitych intencjach. Ma on lirę najdźwięczniejszą i głos jak na dziada najczystszy, i zapas pieśni nabożnych i z szerokiego świata najbogatszy. Jest to stary Madej, dziad nad dziady, wszystkich odpustów uczestnik, wszystkich miejsc cudownych pielgrzym, wszystkich okolic włóczęga. I postacią swoją góruje on nad dziady inne. Oto siedzi na pniaku, zdradzając nawet i w tej pozycji swój wzrost okazały. Długa, gęsto szpakowata broda spływa mu aż po pas prawie, ubrany w płótniankę brudną i obszarpaną, udrapowany malowniczo zgrzebną płachtą, z dwoma bezdennemi torbami na krzyż, torbami, których ofiarki dziesięciu odpustów i jałmużna dziesięciu gromad nie zdołałyby wypełnić, z całym zbiorem medalików, szkaplerzy i różańców na obnażonej z efektem, obrosłej, silnie sklepionej piersi, z lirą wiszniowej barwy i sękatym kosturem u stóp bosych. Stary Madej, jak zawsze ma najliczniejszą i najdoborowszą publiczność, tak i

teraz najgęstszym gronem słuchaczy otoczony. Na samym przedzie stoi jakiś stary szlachcic chodaczkowy z ogromnym siwym wąsem i potężną szramą przez policzek prawy, ongi może najgłośniejszy rębacz sejmikowy lub konfederat barski, dziś poniewoli spokojny poddany rzymskiego imperium, koło niego całe grono braci szlachty z jednego zaścianku, tuż przy nich dwoje szlachetek z waszecia w wyszarzanych sajecikowych żupanach, dalej kilku małomieszczan w baranich czapkach na zawiasy, W ciemnych fałdzistych kapotach, ówdzie znowu hajduk dworski w opiętych czekczerach. To wybór sam słuchaczy — a po za tą śmietanką odpustowej publiki dopieroż zgromadził się cały orszak wieśniaków, patrzących na dziada Madeja ciekawym wzrokiem i z rozwartymi ustami. Każdy prawie z słuchaczy przygotował ogromny miedziak austriacki, bo Madej kończy już właśnie jakąś przejmująca pieśń o marności świata. Skończył Madej pieśń nabożną, posypały się grosze i już wielu rozejść się chciało, kiedy Madej powiódłszy okiem po licznej zgromadzeniu, zawołał głośno i dziadowskim akcentem: — Daj wam Boże wieczne panowanie za jałmużnę! Jaśnie wielmożni państwo — dodał zwracając się do szlachty zagonowej — moi złoci dobrodzieje i wy chrześcijanie

dobrzy, posłuchajcie jeszcze jednej pieśni, jakiej nie
słyszeliście nigdy! Warta
ona drugiego dudka dla biednego dziada!
Kiedy tych słów domawiał, precisnął się w sam środek
słuchaczy jakiś młodzian
dorodny, podróżno i skromnie ale z pańska ubrany, w krótkim
niebieskim żupanie,
w karmazynowym kołpaczku z kordonem i szklaną kitką, przy
srebrnych ostrogach i,
co od razu obudziło respekt u chłopów a braterską grzeczność
u waszeciów, z
szablą w blachmalowej pochwie na bandolecie.
Rozstąpiło się grono młodzianowi, zrobiono mu miejsce na
samym przedzie. On
zapewne innej przyczyny zgiełku się spodziewał, bo z
uśmiechem rozczarowanej
ciekawości spojrzął na dziada, i chciał się już wycofać z
natłoku, kiedy Madej
kłaniając swą długą brodą zaapostrofował go ad personam:
— Jasny paniczu — wołał — i wy miłosierni chrześcijanie!
Zaśpiewałbym pieśń
nigdy jeszcze może nie słyszaną, ale...
— To zaśpiewaj — odezwał się młody człowiek przy szabli.
Dziad Madej oglądnał się ostrożnie po tłumie, potem podniósł
się z siedzenia,
stał na pniaku i rzucił bystro okiem dokoła po nad głowy
swoich słuchaczy...
Ruch ten jeszcze bardziej rozciekawiał słuchaczy, a szlachcic z
siwym wąsem i
szramą na twarzy odezwał się:
— A czegóż się gawronisz? Jeśli co dobrego to posłuchamy...
Madej raz jeszcze rzucił okiem dokoła a potem dodał:

— Bo to miłosierny dobrodzieju, aby napaści na biednego nie było...

— Jakiejże to napaści się boisz? — zapytał z uśmiechem nieznajomy młodzian.

— Czy też przypadkiem po bliskości nie ma tego... — zapytał dziad z obawą.

— Kogo?! — zapytał zniecierpliwiony już szlachetka ze szramą.

— A Miemca, miłosierny dobrodzieju — szepnął dziad półgłosem — bo Miemcy się o to sierdzą okrutnie...

— Nie ma, nie ma! — uspakajał nieznajomy z lekką chmurą na czole.

— A choćby, Mospanie tedy! — warknął szlachcic ze szramą i pokręcając marsowo wąsa trzepnął się lewą ręką po boku, jakby po szabli, której tam już oddawna nie było.

Dziad usiadł napowrót na pniaku, wziął lirę na kolana, i nastroił twarz do uroczystej miny... Potem chrząknął, i uczynił wstęp na lirze zwykłą, przeciągłą przygawką. Był to prolog bez słów, który tem bardziej rozciekawiał słuchaczy i nastroił do uwagi.

Przebrzmiała krótka, żałośna i zawodząca przygawka, a dziad odtąd już akompaniując tylko lirą śpiewał:

Śladem bieda przyszła, śladem,
Za zbytami, za nieładem,
Za zbytami, za nieładem...

Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknąć bała,
Wolności się dotknąć bała.

Wolności się dotknąć bała,
Bo ją dawno szanowała...

Wolności! niebieskie dziecko!
Ułowiono cię zdradziecko!
W klatkę cię mocną zamknięto,
Bujnych skrzydełek przycięto!

Przedtem u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu.

Jak ojciec dzieci przyjmował,
Jak swych przyjaciół częstował.

Dziś mu u stołu klękają,
Kości z psietami zbierają.

Głowę kiedyś w kraju drogą
Służki pańskie trącą nogą.

Pochlebcy go otaczają,
Palcem biednego stykają,
Palcem biednego stykają.

Ot, mówią, kość polizuje,
Dawnej wolności żałuje,
Dawnej wolności żałuje!...

Skończył Madej pieśń swoją.

Wydobył jeszcze na zakończenie kilka nut żalonych z swej liry i spojrzął z wyrazem tryumfującego zadowolenia po swych słuchaczach. Pieśń ta nowa i niezwykła jak na odpustowego dziada, sprawiła na gronie słuchających wielkie wrażenie. Śpiewał ją nadto Madej uroczyściej i lepiej, niżli zwykle pieśni dziadowskie. Wprawdzie nuta była zwykła, przewlekła i lamentująca, ale tym razem jakby pod urokiem słów nabierała wyrazu i uczucia rzewności. Stokroć jednak głębiej niż śpiew i lament liry, przejęła słuchaczy treść sama. Nastąpiło milczenie w gromadzie stojących i nikt nie ruszył z miejsca. Każdy prawie z tych, którzy rozumieli słowa pieśni, zdawał się dosłuchiwać jeszcze jej echa, brzmiącego w sercu... Pierwszy szlachcic z siwym wąsem i szramą przez prawy policzek dał znak głośny wrażenia. Wybuchł nagle głośnym płaczem, a po zbrudżonem licu i po zamaszystym wąsie spłynęły mu łzy serdeczne... Wspomnienia dawnej złotej wolności, której nieraz musiał być czynnym i głośnym uczestnikiem, schwyciły potężnie za serca dawnego rębajły czy konfederata... Patrząc z współczuciem na szlochającego pana ojca, i brata stali nieruchomo rozrzewnieni zaściankowcy... Zadumał się smutno szlachetką w sajecikowym żupanie

i potrzasał głową
i swą czapą wysoką stojący obok niego małomieszczanin...
Nieżnajomy młodzian zarumienił się mocno, twarz dorodną
pochylił ku ziemi, a
ręką ściskał swą szablę...
Jedni tylko chłopci wątpliwe odnieśli wrażenie z dziadowskiej
pieśni. Bezmyślnem
okiem spoglądali to na dziada, to na szlachtę, to wreście po
sobie. Słuchali oni
z wielką ciekawością pieśni i teraz jeszcze ciekawe szepty
szemrzą w ich gronie,
ale nie rozumieli myśli, bo w sercach ich niestety, przeszłość
nie napięła
żadnej struny, któraby zadrzeć i odezwać się mogła na taką
skargę...
Podczas gdy wszyscy tak zajęci byli po swojemu wrażeniem
pieśni Madejowej,
gotowała się scena, którą snąć przewidywał był Madej z
obawą, kiedy przed
rozpoczęciem śpiewu tak ostrożnie rozglądał się do koła.
Nikt podczas samego śpiewu nie uważał, że zaledwie dziad
rozpoczął pieśń tak
niezwykłą, owo indywiduum w kłapiastym surducie i z
harbajtlem na grzbiecie
stało w nieodłącznej asystencji swego towarzysza tuż za
plecyma Madeja.
Jegomość z harbajtlem był to urzędnik z krajsamtu, a jego
towarzysz rodzajem
wykonawczego organu.
Urzędnik rozumiał dobrze po polsku a moim nawet był
Polakiem. W owym czasie
trochę miejsc podrzędnych urzędowych na prowincji
znajdowało się już w ręku

krajowców. Zresztą miał rząd nawet na samym wstępie swego panowania w Galicji gotowych urzędników niższej rangi w wysłużonych podoficerach ułanów Szybilskiego.

Jenerał Szybilski, syn kmiecy, niegdyś koniuszy u księcia Wojewody

Lubomirskiego, wstąpił był jeszcze za czasów siedmioletniej wojny do austriackich szeregów, a dosłużywszy się tu stopnia

pułkownika, zorganizował w armji pułk ułanów. Byli to pierwsi ułani w armji

austriackiej. Werbowany za pozwoleniem Rzeczypospolitej, składał się pułk ten z

samych prawie Polaków, którzy zasłynęli w wojnach z pruskim Frycem.

Z podoficerów tego pułku miał rząd austriacki pierwszych urzędników, świadomych

języka polskiego. I nasz jegomość z harbajtlem zakrawał miną i wojskowem

trzymaniem się na Szybilczyka. Stał on podczas śpiewu obok dziada, ściskając

laskę w chudej żylastej pięści.

Gdy dziad skończył, on postąpił naprzód, wyprężył się jeszcze wyżej i zawołał

głośno:

— Was ist das?! Go ty śmiesz śpiewać dziadowski łotrze!

I podniósłszy laskę spuścił ją z zamachem na lirę Madeja. Lira pękła z żalonym

tonem, a Madej porwał się jak oparzony na równe nogi...

Jegomość z harbajtlem chwycił dziada silnie za ramię.

— Już cię drugi raz chwytam na uczynku, łotrze! — zawołał

— ale teraz już cię

nie puszczyć.

Na skinienie zbliżyła się i asystencja w skórzanych kamaszach, potrząsając sękatym bukiem.

Jakby wymiół wynieśli się chłopci, uciekając przerażeni na wszystkie strony.

— Bierz go! — zawołał jegomość z harbajtlem.

I palnął dziada laską po plecach, jakby mu chciał dać przedsmak tego, co go czeka później. Sążnista figura w kamaszach splunęła w garść dla animuszu i chwyciła oburącz Madeja.

— Miłosierny dobrodzieju!.. — ozwał się błagalnym głosem dziad Madej.

Ale potracony silnie przez urzędowego sługusa potoczył się naprzód w nieprzyjemną drogę.

— Hola Mospanie! — dał się nagle słyszeć głos doniosły. Młodzian nieznajomy w karmazynowym kołpaczku stanął tuż przed Madejem.

— Hola Mospanie tedy! — huknął stary szlachcic ze szramą i przybył także z sukursem.

— Puście go! — zawołał nieznajomy.

— Puścić Mospanie, bo!... — zawtórzył groźnym głosem stary szlachcic.

Rozgniewała srodze ta interwencja jegomości z harbajtlem, poczerwieniał ze złości i zawinał groźnie laską.

— Fora schelm! — krzyknął na obrońców dziada.

I pomagając sługusowi uchwycił się Madeja jedną ręką, a drugą odtrącił silnie nieznajomego młodzieńca.

Nieznajomemu krew nabiegła do twarzy, pchnął silnie atakującego i obalił go na ziemię. Równocześnie potoczył się na ziemię sążnisty sługus pod rękami jarego szlachcica.

Jegomość z harbajtlem porwał się szybko z ziemi, zgrzytnął zębami i śmiało natarł laską na młodego człowieka. Niebawem i straż jego stanawszy na nogach pospieszyła mu w sukurs z sękatą pałką.

Młody nieznajomy dobył szabli, a stary szlachcic chwycił za leżący na ziemi kostur Madeja. Posypały się gęste płazy i razy na atakujących.

Jegomość z harbajtlem i jego straż musieli się salwować cofaniem.

— Zwołaj chłopów, niech łapią wszystkich trzech opryszków! — zawołał pierwszy do swego adjutanta — ja przyprowadzę dragonów!

I puścił się biegiem ku miastu.

— Uciekajmy! miłosierni dobrodzieje! — zawołał dziad pierwszy.

— W mieście stoją Wallony! — ostrzegł szlachetką w sajetowym żupanie zbliżając się do nieznajomego.

Nieznajomy schował zwolna szablę do pochwy i rzekł do Madeja.

— Nie bój się dziadu! nie damy się! Chodźmy! I z dziadem i starym szlachcicem oddalił się spokojnym i wolnym krokiem z miejsca awanturniczej sceny. Chłopi, choć zganiani do kupy przez policjanta w kamaszach, rozstąpili się przechodzącym i uchyłili pokornie kapeluszy przed

karmazynowym kołpaczkiem.

Po drodze pożegnał się stary szlachcic z nieznanym młodzianem i skręcił w

boczną uliczkę spieszny krokiem, salwując się przed zemstą jegomości z

harbajtlem i urażonej w osobie jego władzy. Nieznajomy tymczasem szedł naprzód i

niebawem stanął przed lichym żydowskim zajazdem. Dziad Madej szedł w ślad za

nim, trzymając troskliwie pękniętą lirę w rękach i oglądając się z obawą po za siebie.

Przed bramą zajazdu czekał wyrostek z dwoma końmi i stała uprzężona, wyładowana teliga.

— Gotówes Wasylku ? — zapytał młodzieniec.

— Gotów jasny panie!

— Więc ruszamy! — odparł nieznajomy.

I uchwyciwszy uzdę wspiął się w strzemię.

Madej patrzył rozpaczliwie na przygotowania do odjazdu.

— Jasny paniczu! Miłosierny dobrodzieju! — począł lamentować — a cóż się ze mną stanie ?

Młodzian, który podobno już był zapomniiał o swym towarzyszu, popatrzył nań z uśmiechem...

— Cóż ja pocznę nędzarz nieszczęśliwy — desperował Madej — złapią mnie dragony,

ćwiczyć mnie będą, do kałauzu zamkną!

To ostatnie zwłaszcza, odjęcie swobody osobistej, musiało być najstraszniejszym

dla starego włóczęgi.

Nieznajomy uśmiechnął się powtórnie z szczerą żartobliwością, i jakby folgując jakiemuś nagłemu conceptowi, rzekł:

— Jedź ze mną!

Dziad uradowany poskoczył z miejsca, jakby chciał dosiąść luźnego konia.

— Siadaj na teligę!

Nie mówić tego dwa razy Madejowi. Gdzie ? którądy ? to były nieznane dlań pytania. Za chwilę siedział już obok woźnicy na wypakowanej telidze.

Tymczasem siedział już w siodle młodzian, zażył dzielnego konia, poprawił kołpaczka, brzęknął szablą i ruszył z miejsca. Za nim na koniu wyrostek z luźnym wierzchowcem na troku, a w tyle teliga, ciągniona przez dwa silne i rące konie. Kłusem minęli miasto. Dzień był pogodny, a choć jesień miała się ku schyłkowi, słońce nie tylko grzało, ale piekło nawet. Gdy wyjechali na drogę w czyste pole, młodzian powstrzymał konia i zrównał się z teliga.

— Jakże ty się nazywasz? — zapytał nieznajomy dziada.

— Madej, jasny paniczu !

— A zkądżeś ty Madeju, czy z bajki?...

— A tak jakby z bajki, jasny paniczu — odpowiedział Madej powstając na telidze

i wyciągając się ku jeźdźcowi — bo z nizkąd! Gdzie to dziada pytać zkąd on? Z

szerokiego świata, z dróg krzyżowych, z pod figur świętych, z kruchty, z

kościelnego progu! Zkąd dziad? ztamtąd, gdzie psy nie dobre, a dokąd? tam gdzie

chata miłosierna, albo ludzie na odpuscie...

Uśmiechnął się na tę legitymację jowialnie młody jeździec, a po chwili zapytał:

— A kto ciebie Madeju tej pieśni nauczył? Czyś ją sam może ułożył?

— A gdzieżby tam, jasny paniczu — odparł Madej — gdzie głupiemu dziadowi stać na pieśń taką! Kuda kuchti do patyny, jak mówią nasi ludzie. Wyuczył mnie jej jeden pan dobry i bardzo mądry, co takie pieśni w mig układa, tak prosto z głowy, i nabożne i światowe...

— A któż to taki?

— Pan Karpiński, jasny paniczu.

— A! pewnie pan Franciszek Karpiński! — poderwał z zajęciem młodzian.

— To, to, jasny paniczu, pan Franciszek Karpiński, niech mu Bóg da wiek długi i szczęśliwe panowanie!

— Błogosławisz mu, że cię nauczył wabić Niemców na swoją własną skórę... — zaśmiał się młody jeździec.

— A! co tam panie! pieśń pieśnią a Miemcy Miemcami, a panu Karpińskiemu takij niech Bóg da wiek długi i szczęśliwe panowanie. Nabawił ja się tą pieśnią już nieraz biedy na różnych odpustach, ale zawsze człowiek wypłynął za łaską Bożą i miłosiernych dobrodziei!

— A gdzieżeś ty się zeszedł z panem Karpińskim ?

— Dziad wszędy łązi, to nieraz i dobrze trafi, jasny paniczu! Od odpustu do

odpustu, to i cały świat chrześcijański przejść by można, gdyby nogi statkowały.

Był ja też pod Brzezanami, ta zaszedłem i do Dobrowód, tam ten pan Karpiński siedział. Zaczął ja grać przed progiem, pan Karpiński wyszedł, posłuchał i

powiada: "Co ty dziadu śpiewać umiesz — poczekaj, ja cię nauczę ładnej pieśni !"

I zatrzymał mnie w domu przez trzy dni, i jak zaczął słowo po słowie podgadywać

i uczyć, tak dziad się wyuczył całkowitej pieśni. Byłem potem i drugi raz u pana

Karpińskiego, ale go już nie było w Dobrowodach, wyjechał do Warszawy, do króla

polskiego.

Kiedy tak Madej rozmawiał z swym wybawicielem, usłyszano z dala głuchy tentent

koni. Młody jeździec zwrócił konia, spojrzął bystro po za siebie i zawołał:

— Ścigają nas!

Istotnie na rekwizycję owego urzędnika z krajsamtu wyruszył z miasta kwaterujący

tamże oddział jazdy z pułku wallońskiego. Zawahał się nieznajomy, szalona buta

młodzieńca rada by stawić czoło ścigającym, ale rozsądek przemógł. Dziad już

wcześniej wyrwał bicz woźnicy i zaciął konie u teligi, która szalonym pędem

potoczyła się naprzód. Młody jeździec dał także koniu ostrogów i ruszył wraz z

wyrostkiem z kopyta. Dzielne konie lotem piorunu pomykały się po nierównej

drodze... W dobrej odległości z tyłu darły się naprzód na swych ciężkich koniach
Wallony...

II.

TOWARZYSZKA PODRÓŻY.

Nie długo ścigał oddział Wallonów naszych podróżnych. Znaczna odległość, o którą go wyprzedzili uciekający, trudność dogonienia dzielnych koni młodego nieznajomego, zresztą mało ważna w gruncie przyczyna pogoni, to wszystko zniechęciło dowódcę oddziału, tak że zaniechał dalszych wyścigów i wrócił z żołnierzami do Sokala.

Tymczasem nasi podróżni, uszedłszy następstwom jednej przygody, spotkali się niebawem z drugą. Pędząc naprzód z szaloną szybkością nie uważali nasi podróżni, że nieopodal przed nimi toczyła się powoli wielka i ciężka landara. Pochylony nieco na siodle młody jeździec, któremu karetą ta wyrosła przed oczyma jakby z pod ziemi, minął ją szybko, ale teliga pędząca nieco w tyle, wymijając w szybkim ruchu karetę, zaczepiła kołami swemi o koła powozu.

Nastąpiło mocne wstrząśnienie, oba wozy wyrzucone z swej kolei powstrzymały się na drodze.

Z karety odezwał się przerażony głos kobiecy.

Młody jeździec powstrzymał konia i zmięszał się niepomału, ujrzawszy w powozie

młodą damę, przestraszoną bardzo tym wypadkiem. Jednym prawie skokiem swego konia-

stanął u obu wozów i chciał już wybuchnąć gniewem na nieuważnego woźnicę, gdy naraz usłyszał dźwięczny głosik:

— A to mi grzecznie, panie kawalerze, twoi ludzie nabawili mnie przestachu a mój powóz pewnie połamany...

Młody jeździec zarumienił się cały, a zmierzony zadąsanym wzrokiem podróżnej zaledwie wyjąknął:

— Istotnie, pani... raczy darować... niezmiernie przykro mi... I uchylając

kołpaczka nizko z głębokiem pomieszaniem skłonił się z konia damie.

Potem zeskoczywszy szybko z siodła, skłonił się powtórnie i z wzrokiem pełnym

gniewu i zakłopotania zarówno rzucił się ku swoim sługom, aby wraz z nimi

oglądnać skutki niemiłego wypadku.

— Nie trudź się Waćpan, proszę — odezwał się tenżesam dźwięczny głosik i mała

zgrabna rączka gestem uspakajającym wysunęła się z powozu.

Na szczęście powozowi damy nic się nie stało. Konie szarpnąwszy silnie zahaczoną

teligę urwały postronki, a tym sposobem osie obu wozów nie poniosły szwanku.

Młodzian ochłonawszy nieco z pomieszania zbliżył się do powozu i rzekł:

— Mogę przynajmniej zapewnić, że powóz pani nie uszkodzony, i że cała ta

przykra przygoda tylko chwilowo zaniepokoiła panią, za co
powtórnie błagam o
przebaczenie...

Dama uśmiechnęła się z lekka, absolvując młodziana
łaskawszem już spojrzeniem.

Oboje spojrzeli w milczeniu na siebie. Nieznajomy poprzestał
w obserwacji na
krótkim tylko i nieśmiałym spojrzeniu i, maskując nowe
pomieszanie, począł
się uważnie przypatrywać sługom dźwigającym teligę —
podróżna dama tymczasem
ciekawie i z zajęciem przypatrywała się dorodnemu
młodzianowi.

I my skorzystamy z chwili tego milczenia i zapoznamy bliżej
czytelnika z obiema
postaciami.

Już po samym ekwipażu poznać było można, że właścicielka
jego należeć musi do
stanu dam bardzo modnego i magnackiego tonu. Była to na
pół podróżna ale z
wielkim zbytkiem przyozdobiona angielska bastarda, wybita
wewnątrz bogatą
materją. Cztery piękne konie lśniły w pysznej swej uprzęży i
powiewały wysokimi
kitami a powoził foryś w stroju pocztyljona, w pąsowym
żylecie i palonych
butach. Koło niego siedział wyrostek zgrabny, rodzaj pazia,
ubrany ciemno, z
hiszpańska, w czapeczce z strusiem i piórami.

Sama pani była także w stroju najwytworniejszym
ówczesnych elegantek
warszawskich. Poznałeś to od razu po pysznej robie
jedwabnej, po przednich

koronkach na menelach i w wycięciu gorsu, po starannej i modnej fryzurze w pudrowane pukle à la Sévigné, i po jesiennym drogim płaszczyku, którym się z lekka osłaniała. Była to dama nie najpierwszej młodości ale niezawodnie najpierwszej urody. Mogła mieć lat górą trzydzieści, ale wdzięki jej zdawały się być właśnie na zenicie swego rozkwitu i blasku. Twarzyczka w prześliczny owal utoczona, nosek nie klasyczny wprawdzie ale wdzięcznie i filuternie skrojony, usta różane, śmiejące, jakby tylko do rozkoszy słów i pocałunków przeznaczone. Czarne, gorejące ogniem życia oczy odbijały czarownie od białej, z lekka różem ukraśnionej twarzy. Nieznajomy młodzian był w swoim rodzaju typem naturalnej, polskiej urody. Twarz jego nie miała pretensji do tej wytworności rysów, do tej romansowej bladości cery, do tego całego wyrazu donżuańskiej kwalifikacji, w którym się lubują salonowi estetycy, za którym przepadają salonowe serca. Była to niezawodnie piękność prawdziwie męzka, ale piękność zdrowa, czerstwa i naturalna. Twarz jego o szlachetnych ale bezpretensjonalnych rysach, rumiana i świeża, miała pełność pierwszej młodości, ale uderzała zarazem silnym, męzkim wyrazem, okraszał ją młody, podkreślony czarny wąsik a ożywiał wzrok jasny, swobodny, sokoli.

Pierwszy jego widok, kiedy jeszcze na koniu rzucił się ku powozowi w śmiałym skoku, sprawił na przejezdnej damie widoczne i bardzo korzystne wrażenie. Piękny bo też był w młodzieńczej energii i sile swej jędrnej a smukłej postaci, na dzielnym koniu białym, w swobodnej, rycerskiej postawie śmiałego jeźdźca, taki hoży i dorodny, taki malowniczy w swym niebieskim żupaniku, przepasanym zamiast pasa taśmą srebrzystą, w swym z junacka osadzonym na głowie kołpaczku, z kitą białą i przy tej szabli, która tak wdzięcznie uzupełniała dzielny wyraz całej jego postaci!...

Kiedy zeskoczył z bieguna i stanął u powozu damy, uderzyła zaraz pewna ciekawa odmienność, powiedziałbym kontrast nawet między obiema postaciami.

Ona, piękność skończona, w wieku, po którym dalsze lata już nie przybytkiem ale ubytkiem wdzięków się zna-
czą, rzucona z swobodnym wdziękiem w powozie, więcej w nim leżąc niż siedząc, z tą wyciągniętą naprzód małą nóżką w paryzkim trzewiczku, z tą zwróconą i nachyloną ku niemu twarzyczką, dojrzałą już w swej piękności, z tą całą samowiedzą i pewnością swych wdzięków i ich przewagi, z tym całym wyrazem pewnej rozkosznej kokieterji w całej postaci — patrzyła na nieznanego młodziana okiem

ciekawem i figlarnem. On z tą naiwną prostotą, z chłopięcą
niemal nieśmiałością,
z rumieńcem pomieszania na dorodnem licu, to spuszczone
w kłopotcie ku piersi,
to gdzieś na boku szukającym zajęcia wzrokiem zdradzał
widocznie, ie śmieiej mu
na siodle, niż przy stopniach modnego powozu, że łacniej mu
patrzeć w otwór
nabitej lufy niż w ciekawy i figlarny blask pięknych oczu
kobiety... Tymczasem
służba uprzątęła się do reszty z robotą.

— Przeszkoda usunięta! — ozwał się młodzieniec, zwracając
się do damy.

— Dziękuję — skłoniła się z czarującym uśmiechem
nieznajomemu. Ale nie mógłbyś
mi powiedzieć, panie kawalerze — dodała — czemu w tak
szalonym pośpiechu
pędziliście po drodze?...

Młodzieniec zarumienił się jeszcze bardziej.

— Wstyd mi wyznać... ale...

— Co? uciekałeś Waćpan?

— Tak jest — odparł młody człowiek — mógłbym
powiedzieć, pierwszy raz w życiu,
i słusznie też zostałem ukarany.

— Więc uciekałeś Waćpan istotnie? A to dla czego? przed
kim, z kim? — pytała

dalej podróżna dama-z żartobliwym uśmiechem.

Młodzian chciał w pomieszaniu swem dać od razu krótką
odповідź i mimowoli
prawie zrobił ruch wskazujący dziada.

Dama spojrziała z zdziwieniem na Madeja, który siedząc na
telidze skłonił z

żebraczą pokorą obnażoną głowę.

— Jakto z tym dziadem?... fi! kawalerze, żartujesz?
Słyszałam, że młodzi
panicze jak Waćpan uciekali z młodemi pannami, ale z
dziadem!... Cha, cha,
cha!... cóż to za awantura ?...
I zaśmiała się szczerze swym srebrnym głosikiem.
— Istotnie, że awantura... — bąknął młody człowiek, kręcąc
bandoletem od
szabli.
— A! śmieszna być musi, wyobrażam sobie... Ale wiesz
Waćpan co, opowiedz mi
ją... Nudzę się śmiertelnie, wlokąc się tą niemiłosierną drogą...
I mierząc młodego człowieka wzrokiem pełnym pustoty
zapytała:
— Dokądże to, panie kawalerze?
— Do Lwowa.
— Wybornie! Mamy więc, ile mi się zdaje, godzinę jeszcze
wspólnej drogi...
Przyjm pan miejsce w powozie, bardzo proszę...
I małą swą rączką zrobiła ruch zapraszający.
Na takie obcesowe zaproszenie pięknej damy zmięsział się
nasz młodzian jeszcze
bardziej i skłonił się w milczeniu. Podróżna usunęła się w
przeciwną stronę
powozu.
— Dziękuję za tak niezasłużoną łaskę — odezwał się wręczcie
młody jeździec — ale
pozwól pani, abym się przedstawił... Jestem Tadeusz Warski,
oficer kawalerji z
brygady JW. generał-majora Kościuszki...
Nieznamoma dama przybrała minę, jakby chciała wygłosić
wzajemnie swoje nazwisko,

lecz nagle jakby się w myśli poprawiając, skłoniła lekko
główką, uśmiechnęła się
uprzejmie i rzekła:

— Miło mi bardzo... A więc siadaj, panie oficerze!...

Tadeusz, bo tak już odtąd zwać możemy naszego młodego
podróżnego, odpasał szablę
i podał ją swemu wyrostkowi, rzucił na swój strój spojrzenie i
z dość kłopotliwą
miną wsiadł do powozu.

Konie ruszyły dalej, i cała połączona kalwakada posunęła się
rażno po drodze.

— No, opowiadajże, panie oficerze, co to była za awantura,
której zawdzięczam
towarzysza podróży?

Tadeusz opowiedział. Wystawiony ciągle na krzyżowy ogień
oczu swej towarzyszki,
zmieszany całą przygodą i jej niespodziewanem
zakończeniem, Tadeusz opowiadał w
urywanych słowach i bez związku. Nieznajoma śmiała się i
słuchała z uwagą, widać
jednak było że zajęcie jej miało za przedmiot nie opowiadanie
ale
opowiadającego.

— Ach ja wam mężczyznom zazdroszczę — ozwała się po
skończeniu opowieści —
gdzieś tak mimochodem znajdziecie sobie rozrywkę, bodaj w
jakiej awanturze
szlacheckiej... Ale ja biedna kobieta, jakże ja się tu znudziłam
u Was w tej
Galicji...

— Więc pani gościem tu tylko ?... — zapytał Tadeusz.

— Tak, i bardzo znudzonym gościem... Widzisz panie
oficerze, ja jestem sujet

mizte, poddanką króla Jegomości i cesarza austriackiego
zarazem... Przybyłam z
Warszawy w interesach...

— I ja nie dawno wróciłem z Warszawy. Przejeżdżałem
tamte dy wracając z
kampanji...

— A to pan także jeden z naszych bohaterów... Zapewne
walczyłeś panie oficerze
pod Dubienką... Ach ta wojna! ta wojna! Ileż to razy
przeklinałam ją z serca...
W Warszawie nudzić się musiałyśmy z powodu tej wojny.
Książę Józef wyjechał do
obozu, pod Blachą cicho było jak w klasztorze, król smutny i
zamyślony, młodzież
cała się wyniosła. Lubię rycerzy, ale wojny nienawidzę!
Nudziłam się przy końcu
w Warszawie, ale tu, naprawdę, już na desperację mi się
zbiera! Cóż robić,
trzeba się ułatwić z sprawami! Ach nudna ta wasza Galicja,
nudna!

— Jakkolwiek urodziłem się w tej prowincji, mało ją znam,
więc bronić jej nie
mogę...

— Ach, nie broń Waćpan, nie broń! nie obronisz! W całej
okolicy i w całym
Lwowie nie znalazłam ani towarzystwa, ani towarzyszeki
nawet do ludzi podobnej.
Proszę Waćpana, tu podobno nie macie nawet kobiet, coby
stały na równi z
dzisiejszym czasem...

— Śmiałym oponować — ozwał się Tadeusz, który powoli
nabierał kontenansu —

słyszałem o wielu damach, które są ozdobą wyższego
towarzystwa tej
nieszczęśliwej prowincji.

— Na przykład...

— Pani Szeptycka, kasztelanowa przemyska...

— A! ta tak zwana Sévigne galicyjska! — machnęła niedbale
rączką piękna
nieznajoma.

— Bawi tu także pani wojewodzina Jabłonowska...

— Słyszałam, słyszałam, umie podobno po łacinie i po
grecku i z Jezuitami
dysputuje.... Cha... cha...

— A pani Lubomirską, która jest obecnie we Lwowie,
niegdyś przedmiot
podziwienia samego Marmontela...

Warszawska elegantka znowu machnęła swą drobną rączką.

— Bawi we Lwowie pani Kossakowska, kasztelanowa
kamińska...

— A dajże Waćpan pokój, to impertynentka nieznośna! A
mieliśmy jej dość w

Warszawie! Kobieta prosta i bez tonu...

Ubodło trochę Tadeusza to lekceważenie dla zacnej pani,

którą wszyscy czcili

jako gorliwą Polkę, i chciał się odezwać z słowem obrony,

kiedy towarzyszka jego

poczęła trzepać dalej:

— Ach jakie tęsknię do naszych kółek warszawskich, do
balików, wieczorków!

Pisano mi właśnie ze Lwowa, że poczynają się tam zjeżdżać
pod zimę goście z

całej prawie Polski, być więc może, że musząc koniecznie
zostać w Galicji,

powetuję sobie dawne nudy... Zapewne się spotkamy we Lwowie, panie Tadeuszu ?

— Wątpię.

— Cóż to, papa nie pozwoli? — zaśmiała się sarkastycznie podróżna.

— Nie papa, którego nie mam — odrzekł z pewną urazą Tadeusz — ale obowiązek...

Nieznajoma dama dostrzegła tej lekkiej urazy i jakby chcąc wynagrodzić swój

żarcik, zmieniła ton i treść rozmowy, z niepospolitą zręcznością zawiązała

konwersację prawie familjarną, a nie tylko wdziękiem swej postaci, ale i powabem

dowcipu, żywości i swobody potrafiła tak ożywić i ośmielić Tadeusza, że ten

niebawem rozmawiał z nią z taką szczerością, jakby miał przed sobą bardzo dawną i bardzo życzliwą znajomą.

Tadeusz zajął się, ożywił, począł opowiadać swobodnie o swych stosunkach,

widokach, wrażeniach, zgoła o wszystkim prawie. Między innymi zapytała podróżna

dama Tadeusza o rodzinę, a on tak począł mówić:

— Nie wiem czym jest dla człowieka rodzina, wyobrażam to sobie tylko... Nie

znałem ani rodziców, ani rodziny, matka wydawszy mnie na świat umarła. W dwa

lata później, kiedy więc byłem jeszcze niemowlęciem, zmarł mój ojciec śmiercią

nagłą...

... Straszna to historia; opowiadał mi ją przyjaciel mego ojca.

Mój ojciec,

walcząc w konfederacji barskiej, nie był obecny, gdy matka
moja umarła. Wracając
do rodzinnej zagrody, dowiedział się o tej smutnej wieści z ust
spotkanego na
drodze znajomego szlachcica. Spieszył więc z boleścią do
domu, aby uściskać
dziecinę i płakać na grobie żony. Przejeżdżał z dwoma swoimi
towarzyszami przez
Lwów. Właśnie były to pierwsze dni zajęcia Galicji przez
Austriaków.
Mój ojciec i jego towarzysze mijali Lwów właśnie, kiedy w
farnym kościele
odbywało się jakieś solenne nabożeństwo. Wstąpili wszyscy
trzej do kościoła.
Ujrzeni tu mnóstwo oficerów i urzędników niemieckich a na
środku kościoła na
osobnym tronie, w kapeluszu na głowie, siedział Pergen,
pierwszy gubernator
cesarski. Była to uroczystość inauguracyjna rządu austriackiego.
Mój ojciec
patrzył z srogą boleścią na ten akt w kościele....
... Do bólu męża dołączył się stokroć okropniejszy ból
prawego Polaka. Kiedy
wśród uroczystej ceremonii odczytano akt rewindykacyjny, on
wysłuchawszy go z
trupią bladością na twarzy i gorączkowym wzrokiem, wydał
naraż z siebie wielki
okrzyk jakby gniewu i boleści, i padł na ziemię... Wyniesiono
z kościoła
trupa...
... Serce mu pękło...
Nieznajoma podróżna szepnęła:
— A! to okropnie!

I przyłożyła do oczu koronkowa chustkę, jakby chciała otrzeć łzy z czarnych oczu....

— Dwaj towarzysze pochowali trzeciego i łzami zrosili jego mogiłę. Ubył im jeden członek z potrójnego przymierza. Wszyscy trzej bowiem, w jednej i tej samej okolicy osiedli, jedną i tą samą miłością przejęci, zawarli z sobą uroczyste przymierze, ślubując nawzajem do ostatniej kropli krwi, do ostatniego grosza mienia służyć sprawie upadającej ojczyzny... Razem wyszli do obozu konfederatów, razem przebyli wszystkie ich walki, a kiedy sprawa miała się ku upadkowi, wszyscy pragnęli i szukali śmierci na polu bitwy. Żaden jej nie znalazł.

... Mój ojciec ubył pierwszy z tej trójki, nie mogąc przeżyć pierwszego upadku ojczyzny.

... Cześnik Zakrucki, rzucił się w jednej z ostatnich potyczek konfederatów z Moskalami w sam wir walki, w najgęstszy rój Moskali, lecz choć porąbany srodze, ocalał przecież, ale utraciwszy prawą rękę, stał się niezdolnym do dalszych bojów i dziś spełnia drugą część ślubu swego, służy ojczyźnie mieniem, sercem i myślą.... Mieszka tu w Galicji, i jest moim opiekunem, moim drugim ojcem....

... Trzeci wyszedłszy cało z walki, nie chciał pozostać w nieszczęśliwym kraju,

popłynął później za panem Puławskim do Ameryki, gotów
wrócić, skoro ramienia
jego zapotrzebuje własna ojczyzna. Tym trzecim z przymierza
był pan Promnicki...

Na te słowa drgnęła nieznajoma dama znacznie, jakby w
przestrachu i wydała
stłumiony wykrzyk...

Tadeusz porwał się szybko z siedzenia.

— Na miłość Boga! Co pani?

Piękna podróżna była blada, a w oczach jej malowało się
przerażenie...

— To nic — szepnęła stłumionym głosem — lekkie
omdlenie, chwilowa afektacja
nerwów...

I przetarłszy marmurowe czoło uśmiechnęła się tak powabnie
i wesoło jak
przedtem.

Urwała się rozmowa na chwilkę, ale niebawem zatarły się na
twarzy podróżnej
ostatnie ślady chwilowego, zagad-
kowego wrażenia. W czarnych jej oczach zamigotało znowu
to samo światło pustoty,
usta różane zakwitły znowu kokietującym uśmiechem, a cała
jej postać nabrała
znowu tej swobodnej elastyczności i gracji, jaką olśniewała z
początku.

— Opowiedziałeś mi pan bardzo zajmującą historję, jakby
rozdział z ciekawego
romansu... — rzekła już z całą swobodą. — Ale podobno
wspomniałeś pan imię
Zakruckiego....

— Tak, to właśnie niegdyś najlepszy przyjaciel mego ojca, a
dziś ukochany i

drogi mój druż i opiekun...

— Czy nie ma ten pan Zakrucki córki ? Twarz Tadeusza oblała się rumieńcem.

— Ma... — odpowiedział. Warszawska piękność dostrzegła rumieńca i usta jej przebiegł uśmiech.

— I bawi w Warszawie, nieprawdaż?

— Tak.

— I jest bardzo piękna i dobra...

— O tak! śliczna i dobra jak anioł...

— Oho! zwolna! zwolna! — zawołała śmiejąc się towarzyszka i podniosła do góry mały paluszek.

— Oddaję tylko słuszność... — zająknął się Tadeusz.

— Tak jest, oddajesz pan słuszność aniołowi... A ten anioł nazywa się Zosia, nieprawdaż ?

Tadeusz skinął głową.

— A w tej Zosi Waćpan się kochasz! Tadeusz nowym się okrył rumieńcem.

— Alei... — usiłował się zasłonić.

— Nie zapieraj się panie oficerze! — przerwała figlarnie i z ciągłym uśmiechem

nieznajoma — pieczesz raki. O! a ja się znam na tem!...

— To się zapierać nie będę — odezwał się teraz także z uśmiechem Tadeusz — z

panną Zofią dziatkami wychowaliśmy się razem, razem przeżyli wiosnę życia...

— I razem lato spędzić chcecie!... — zaśmiała się podróżna.

— Kiedy już tak nieostrożnie się zdradziłem, wyznam, ie istotnie marzę o tem szczęściu, na które zgadza się i pan Zakrucki przez pamięć mego ojca i miłość ku

mnie...

— Cała spowiedź! cała spowiedź! to mi się podoba! —
zawołała piękna dama i
klasnęła w rączki. — Tę pannę Zosię widziałam raz w
Warszawie, gdzie podobno
bawi na wychowaniu u swej ciotki... Przyznać muszę, nie zły
masz gust, panie
oficerze!

Tadeusz skłonił się uśmiechem tego zadowolenia, jakim
opromienia twarze
młodzieńców wspomnienie kochanki.

— A cóż, nie mówiłam, że pańskie opowiadanie to kartka z
romansu! Jednemu pęka
serce.... Umiera i zostawia syna. Drugi ma córkę. Syn i córka
kochają się
nawzajem... Potrzebaby tylko jeszcze, aby ten trzeci z
sprzymierzonych, aby.

— Ale dajmy pokój kombinacjom — przerwała sobie sama
wesoła dama.

Tadeusz uśmiech odwzajemnił uśmiechem a oko jego naiwne
nie dostrzegło wyrazu,
który właśnie co zamajaczył na twarzy pięknej nieznajomej....
Wyraz ten byłby może jego prostą, szczerą naturę od razu
odepchnął od
nieznajomej.

Na ten wyraz złożyło się tyle zimnej ironji splecionej z pustotą
niby
żartobliwą, tyle jakiegoś szyderstwa złączonego z uśmiechem
niby harmonijnym i
niewinnym, że przedstawiał on prawie demoniczną grę
kontrastów....

— Panie Tadeuszu — ozwała się piękna podróżna topiąc
swój czarowny wzrok w oku

młodzieńca — ja znam twoją Justynę, twoją Heloizę, twego aniołka! Panie

Tadeuszu, abyś tylko temu aniołkowi nie rozranił serduszka !

Czy myślisz, że ją

kochasz ?...

— Czemuż pani pytasz o to, coś sama odgadła?

— Bo ja nie wierzę w miłość!

I przy tem wyznaniu niewiary głos jej właśnie był tak miękki i tak czuły, a

spojrzenie tak urocze i takie blasku uczucia pełne, że

zdawałoby się właśnie, że

jedno i drugie zna tylko jedno: mowę miłości.

— I pan myślisz, że będziesz jej wiernym ? Tadeusz milczał na uwięzi magicznej

siły jej oczów.

— Bo ja nie wierzę w wierność... — odpowiedziała na jego milczenie nieznajoma.

— Jeżeli panią spotkam kiedy w życiu, przekonam...

— Jeżeli mnie pan kiedy spotkasz w życiu, przekonasz się, żem słusznie nie

wierzyła — odparła nieznajoma, kładąc nacisk na pierwszą, powtórzoną część

zdania.

— Zobaczymy...

— Zobaczymy!...

I znowu zadzwonił jej uśmiech figlarny, wabny, rozkoszny...

W tej właśnie chwili powóz stanął u drogi rozstajnej. Jedna w lewo prowadziła ku

Lwowu, druga w prawo do wieńca siół, które okazywały się w oddali.

Nieznajoma dała znak forysiówi, aby stanął. — Drogi nasze rozchodzą się — rzekła

do Tadeusza — wierz mi panie oficerze, że życzę sobie z
serca, aby się niebawem
zeszły!

I podała dłoń Tadeuszowi.

Tadeusz powstając ucałował małą rączkę i uczuł jej uścisk na
swej dłoni.

Wyskoczył szybko z powozu, lecz zatrzymał się jeszcze przy
stopniach i zapytał:

— Wolnoż mi prosie, abyś pani do wspomnienia tych chwil
kilku dodała i pamięć
swego nazwiska ?...

Nieznajoma ścisnęła raz jeszcze swą rączką dłoń Tadeusza i
rzekła:

— Laura!

— Laura? — powtórzył Tadeusz czekając takie nazwiska.
Ale Laura zaśmiała się tylko, skinęła rączką a powóz ruszył
szybko drożyną na
prawo.

III.

W STOLICY.

Długo spozierał Tadeusz za niknącym w kłębach kurzawy
powozem i długo myślał o
pięknej, nieznajomej Laurze. Powab wdzięków tej kobiety, jej
modna, obcesowa
prawie swoboda, do której nie nawykł był jeszcze młodzian w
szlacheckim dworze
konfederata i w obozie żołnierskim wychowany, dowcip i
żywość jej rozmowy, urok
pustoty nadobnej — to wszystko sprawiło znaczne wrażenie
na młodym naszym
oficerze. Lecz gdy ostatnie echo bastardy angielskiej umilkło,
gdy rączy koń

zostawił za sobą w oddali drogę wiejską, którą skręcił ekwipaż
nieznajomej — a
Tadeusz zamyślił się swobodniej nad spotkaniem, wydało mu
się prawie jakby sen
jaki, dziwnem, niewytłumaczonym.
Dziwił się sam sobie, nie mógł pojąć owej poufności
rozmowy, gniewał się na
siebie i wstydził, że przed kobietą pustą i całkiem sobie
nieznaną, tak rychło
wydał się nawet z tajemnicą serca, której wyłączną powiernicą
była dotąd tylko
chwila zadumy lub tęsknoty... Począł sobie wyrzucać taką
swawolną gadatliwość, i
oskarżał się sam niemal o profanację swego uczucia przed
osobą, która pierwszy
raz w życiu oglądał.

Tak zadumany zmierzał Tadeusz dalej ku celowi swej
podróży. Tymczasem piękny
jesienny wieczór spuścił się jasną ossjanową mgłą na ziemię.
Konie znużone
zwolniły biegu, a dziad Madej siedzący na telidze począł
śpiewać jakąś pieśń
przeciągłą i jednotonną, jakby chciał rozerwać sobie nudy
swej niespodzianej
podróży.

Zostawimy Tadeusza jego myślom — a sami uzupełnimy
tymczasem szczegóły, które o
stosunkach swych wyjawiał przed zagadkową Laurą.
Wiemy już, w jak tragiczny sposób został Tadeusz sierotą. Po
nagłej śmierci jego
ojca, zajął się losem dziecięcia pan Cześnik Zakrucki.
Zakrucki był prawdziwym

wzorem cnotliwego obywatela, któremu dano było przenosić
wszystkie boleści
okropnych klęsk publicznych. Należał on do tej falangi
Polaków, która w
ostatnich latach bytu Polski z ofiarnością najwyższego
poświęcenia, z wysiłkiem
wszystkich zasobów moralnych i materialnych, z namiętnością
miłości i rozpaczy
zarazem, podtrzymywała ojczyznę upadającą, nim pod
przemocą gwałtu i zdrady
opuścić musiała skrwawione w walce dłonie...
Przewalczywszy wszystkie boje konfederacji barskiej,
wyszedł z nich złamany
niepowodzeniem, wyszedł kaleką bezsilnym i —
niewolnikiem... Wątlęgo zdrowia od
początku, a straciwszy prawą rękę w walce i okryty ciężkimi
ranami, stał się
niezdolnym do dalszych orężnych zapasów. Musiał wrócić do
zagrody, pocieszając
się nadzieją służby publicznej na polu obywatelskich
zabiegów, lecz wrócił już
wtedy, kiedy część ojczyzny, w której osiadł na ziemi swych
dziadów, oderwaną już była od Rzeczypospolitej, i przeszła
pod panowanie berła
austrjackiego.
Odcięty od wolnej swej ziemi, zaliczony w rzeszę poddanych
obcego rządu, czyli
mówiąc zwykłym ówczesnym wyrazem, zakordonowany
przez Austrię, żył dalej tym
krwawym trudem serca i myśli, którym musiało być życie
patriotów owego czasu.
Tem cięższy i krwawszy musiał to być trud dla Zakruckiego,
ile że odjętą mu

była, jako ziemianinowi ujarzmionej już prowincji, swoboda i
możność
bezpośredniego udziału w ostatnich zapasach ojczystych.
Wierząc jednakże w rychłą zmianę na lepsze, łudząc się
wszystkimi temi
nadziejami, w które tak płodne serce kochające wielką sprawę,
nie dał zwolnić
ani jednemu z tych węzłów, któremi życie jego wiązało się z
życiem ojczyzny.
Przeboleł wszystkie dalsze klęski, przebył srom wszystkich
upokorzeń, jakich
doznawała Polska w następstwie pierwszego podziału,
odżywiał się radośnem
wrażeniem wszystkich przebłysków, które miały być nową
zorzą, a. były tylko
ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.
Opamiętanie się narodu na wielkim sejmie, konstytucja go
maja, złudne i krótkie
przymierze "króla z narodem a narodu z królem", wawrzyny z
pod Dubienki, potem
drugi podział i srom grodzieński — wszystkie te krzepiące lub
boleśne wypadki
znajdowały w naszym zakordonowanym konfederacie żywszy
udział, bezpośredniejsze
i głębsze echo, niż W wielu innych, którzy z bliska i czynnie
mogli występować w
tej porze.

Licząc w czasie opowiadania lat górą pięćdziesiąt, Zakrucki
był już wdowcem od
dawna. Nie miał syna, tylko jedynaczkę córkę, ową
wspomnianą już w przeszłym

rozdziale Zosię. Mieszkając w ustronnym zakątku kraju, w którym trudno było o takie wychowanie i wykształcenie, jakim pragnął ozdobić umysł jedynaczki, powierzył Zakrucki . Zosię, skoro tylko lat dziewięcioletniego podlotka dobiegła, opiece swej ciotecznej siostry, starej panny, zacnej i złotym sercem obdarzonej..

Krewna ta miała mały majątek z tamtej strony kordonu, a osiadłszy na późne swe lata w Warszawie, z największą gotowością przyjęła pod swą troskliwą i prawdziwie macierzyńską opiekę młode dziewczętko. Wahał się zrazu Zakrucki wysłać jedynaczkę do stolicy, która obyczajom swym tak smutną zgotowała była sławę, jednakże zacny i bogobojny charakter krewnej; która sama do pana brata po Zosię przyjechała, jej miłość dla młodzieńczej bratanicy i silne nalegania, pokonały w końcu wstręt Zakruckiego i Zosia pojechała do Warszawy, gdzie właśnie i w czasie naszego opowiadania bawiła.

Było to znaczna ulgą dla Zakruckiego, bo majątkowe jego stosunki nie były po temu, aby mógł dać córce potrzebne wykształcenie, tak kosztowne przy ówczesnych środkach oświaty. Zakrucki nie był nigdy bogatym a gorliwe, pełne poświęcenia pełnienie obowiązków obywatelskich nadszarpięło mocno już i tak bardzo skromnej

fortunki. Długi pobyt w obozach konfederackich, ofiary
materjalne któremi
wspierał ten związek, nadwątlily tak mocno jego majątek,
że gdy w końcu powrócił, okazało się po obliczeniu, że
pozostać trzeba na małej
wiosce, którą Zakrucki nadto nie uważał za swoją własność,
ale za majątek swej
córkę, gdyż wioskę tę wziął był w posagu za swą nieboszczką
żoną.

Ubogi co do własnej osoby, zarządzał przecież Zakrucki
bardzo obszernym
majątkiem. Jak już wiemy z opowiadania Tadeusza, należał
Zakrucki do tej trójki,
która złączywszy się wzajemnym ślubem, poszła razem do
obozu konfederacji.

Ojciec Tadeusza pierwszy opuścił swoich druhów, a drugi,
Promnicki, zabawiwszy
jeszcze czas niejaki w kraju, zrozpaczony smutnym stanem
ojczyzny a rozgoryczony
nadto domowemi zajściami, wyjechał do Ameryki. Zakrucki
był nietylko
przyjacielem, ale i najbliższym sąsiadem obudwóch. Jeden
więc swą śmiercią,
drugi swym odjazdem włożył nań obowiązek zarządzania
pozostałymi majątkami.

Majątek nieboszczyka Warskiego, ojca Tadeusza, nie
przysparzał dużo kłopotów
Zakruckiemu, składał się bowiem z maleńkiej wioszczyzny,
stanowiącej zaledwie
dostatnią fortunę szlachcica. Promnicki przeciwnie należał do
możniejszej
szlachty i posiadał kilka wsi i za kordonem i w Galicji. Dobra
jego galicyjskie

graniczyły z wioską Zakruckiego, a Promnicki wyjeżdżając z kraju, powierzył mu opiekę nad nimi. Zakrucki biedził się, tyrał na stare lata, pracował dniami i nocami, aby odpowiedzieć zaufaniu obu swych przyjaciół. Był to bowiem człowiek wielkiej zacności i cnoty obywatelskiej, pełen katońskiej sumienności i poświęcenia. Zarządzając fortuną swych towarzyszków broni, nie zważał na to Zakrucki, że cierpi na tem własne jego mienie, na którego pilnowanie brakowało mu już nawet czasu. Po Warskim został sierotą nasz Tadeusz, a losem jego zajął się także Zakrucki. Bóg nie dał mu samemu syna, którego w tych nieszczęsnych dla ojczyzny czasach a przy własnym kalectwie tak gorąco pragnął, aby przelać w młodą duszę całą siłę własnego uczucia i zapału, włożyć na młode barki całe brzemie obywatelskich obowiązków. Tadeusz zastąpił mu syna. Zakrucki wychował go w swoim dworze, pokochał go jak własnego syna, zaprawił własnym hartem, utwierdził własną cnotą, natchnął własnym zapałem patriotycznym. Pod wodzą takiego nauczyciela urobił się umysł Tadeusza jak najpomysłniej. Cała szlachetna istota starego konfederata przelała się w młodą duszę wychowanka. Gdy Tadeusz dorósł lat młodzieńczych, Zakrucki polecił mu obrać stan rycerski. Rada

ta jak najzupełniej przypadająca do ognistej duszy Tadeusza, i opuściwszy Galicję przed trzema laty, udał się w szeregi wojska Rzeczypospolitej, którego organizacja pod wodzą księcia Józefa i Kościuszki była niejako rytmem rycerskim do uchwał wielkiego sejmu. Tadeusz jako oficer kawalerji w brygadzie Kościuszki przebył krótką kampanję i odbył w niej pierwszy chrzest krwawy, polski — chrzest, który namaścił wówczas tyłu bohaterów do całego szeregu walk na własnej i obcej ziemi. Po sromotnem odstępstwie króla i nagłem zakończeniu wojny, wystąpił Tadeusz tymczasowo z szeregów i wrócił do Galicji, do zagrody Zakruckiego. Stary konfederat był dla niego czemś więcej jeszcze, niż ojcem, przyjacielem, mentorem ukochanym, był ojcem Zosi. A powtarzalibyśmy się niepotrzebnie, gdybyśmy na tem miejscu chcieli opowiadać obszerniej, że Tadeusz pokochał nadobną córkę Zakruckiego. Wiedział o tem, i nie był temu przeciwny Zakrucki, widział owszem w stosunku tym tylko urzeczywistnienie własnego, tajnego życzenia, ale przy zbyt młodym wieku obojga, a nadto wśród tak groźnych i smutnych stosunków ojczyzny, która miała pierwszeństwo nad wszystkiemi osobistemi widokami i marzeniami, nie mogło być mowy o tak rychłem

urzeczywistnieniu życzeń zakochanych.
Jakoż zaledwie kilka miesięcy zabawił Tadeusz w domu swego opiekuna, gdzie miał także szczęście oglądania przybyłej do ojca w odwiedzin Zosi, gdy nowe, właśnie przygotowujące się wypadki powołały i Zakruckiego i jego do służby publicznej.
Uchwały sejmu grodzieńskiego, dyktowane przez Moskwę, wywołały reakcję w narodzie. Rzucili się patryjoci do ratowania nieszczęsnej ojczyzny od ostatecznego upadku. Wojsko, otrzymawszy nakaz redukcji, pragnęło walki. Szybko zrodziła się myśl powstania i szybko, błyskawicznie, podnieciła umysły.
Rozpoczęła się praca nad przygotowaniem, a wszystkie widoki i nadzieje znachodziły swój punkt środkowy w Kościuszcze. Rozbiegły się po ziemiach polskich przygotowujące wskazówki i wezwania do gotowości i ofiar. Wieści te szybko dobiegły Zakruckiego i przejęły go nową radosną nadzieją, nowym zapalem. Cały jego umysł utonął w jednej tylko, ciągle pracującej myśli, jakby ze swego stanowiska najdzielniej poprzeć tak pożądane zamiary. Ale najpierw chciał począć od siebie. Chciał najpierw pospieszyć z ofiarą mienia. I teraz dopiero najciężej, najboleśniej uczuł swe ubóstwo. Biedny stary konfederat nie miał grosza, aby nim wesprzeć sprawę ojczystą. Pragnąc koniecznie być jednym z

pierwszych w niesieniu ofiar, umyślił korzystać z środka, do którego dotąd czuł wstręt niezwykły, zaciągnąć pożyczkę znaczną. Do kontraktów lwowskich było jeszcze daleko, tą więc zwykłą drogą trudno było o otrzymanie znaczniejszej sumy. Zakrucki postanowił tedy zaciągnąć pożyczkę u jednego z bankierów żydowskich we Lwowie, u jednego z tych Manicheuszów, którzy podówczas, w czasie tylu zmian politycznych i połączonych z niemi zawichrzeń prywatnych stosunków, doprowadzali do ruiny tyle fortun polskich. Zakrucki, bardziej w interesach wielkiego majątku swego nieobecnego przyjaciela Promnickiego niżli w swoich własnych, miewał nieraz stosunki handlowe z jednym z najbogatszych izraelitów lwowskich, do niego więc udać się zamierzał. Wiedział dobrze, że ma do czynienia z lichwiarzem głośnym w okolicy i między szlachtą, ale pośpiech usunął wszelkie troski i obawy. Gdy nadszedł dzień, w którym Tadeusz pożegnać miał opiekuna swego, aby się udać do korpusu generała Madalińskiego, Zakrucki wręczył mu skrypt niezapełniony ale opatrzony w podpis, z zleceniem, aby pożyczył u izraelickiego Krezusa ile możliwości jak najznaczniejszą sumę i podług niej kwit biały wypełnił. Tadeusz musiał przejeżdżać przez Lwów, gdyż z zlecenia swego opiekuna miał się widzieć

także z jego dawnym przyjacielem, panem Gozdzkim z Jaryczowa, który najczęściej przebywał we Lwowie. Oprócz tego otrzymał Tadeusz i inne poruczenia, o których za jego przyjazdem do Lwowa się dowiemy. Zakrucki bowiem cierpiąc właśnie z powodu swych ran dawnych, nic mógł się ruszyć z domu. Z głębokiem rozrzewnieniem, ze łzami w oczach pożegnał i pobłogosławił stary konfederat odjeżdżającego Tadeusza. Wszakżeż wysyłał go na bliski bój, którego powodzenie osiwiwały towarzysze barski radby był- okupił ostatkami swej krwi serdecznej!... Jakżeż mu zazdrościł młodości! Tadeusz miał ramieniem pomagać sprawie, miał być bezpośrednim uczestnikiem i aktorem dramatu, którego perypecje stary konfederat w samotnej swej zagrodzie odczuwać. miał wszystkimi mękami obaw, niepewności, wyczekiwani... Z silnie wzburzonym sercem opuścił Tadeusz opiekuna — ale wkrótce owa wesoła swoboda młodości, chęć czynu i uśmiechające się dzielnej duszy widoki rycerskiego rzemiosła, powróciły mu pierwotną świeżość myśli i humoru. Takim go też poznaliśmy w przygodzie sokalskiej i w spotkaniu z nieznaną damą. A teraz, po tej przydługiej trochę dygresji, która unudziła może czytelnika, wracamy do Tadeusza i jego podróży. Nie będziemy jej opisywać, bo nic ciekawszego nie wydarzyło się w drodze

naszym podróznym.

Było to z rana, kiedy Tadeusz stanął we Lwowie. W jednym z następnych

rozdziałów, gdy wypadki naszej powieści odgrywać się będą w stolicy, podamy opis

jej ówczesnej fizjognomji, z tego więc powodu nie będziemy tym razem kreślić

postaci Lwowa.

We Lwowie, którego część właściwie miejska i stołeczna nie tak obszernych była

rozmiarów jak obecnie, znajdowało się na przedmieściach

bardzo dużo dworków,

należących do szlachty z bliskich i dalszych okolic. Bywały na każdym prawie

przedmieściu jurydyki szlacheckie, jak n. p. Sieniawszczyzna, Potoczczyna,

Kuropatniczczyna itd. Przyjaciel i towarzysz broni

Zakruckiego Promnicki,

posiadał we Lwowie na Halickim przedmieściu także dwór własny. Dwór ten w

mieście, tak jak zresztą cały majątek Promnickiego, był pod zarządem opiekuna

Tadeusza.

Tadeusz stanąwszy we Lwowie, a spiesząc się w dalszą podróż, zeskoczył z konia,

a oddawszy go wyrostkowi, kazał wraz z teligą zajechać do dworu Promnickiego a

sam wprost udał się do wskazanego sobie przez opiekuna Izraelity. Łatwo się

dopytał zaraz w rynku o jego pomieszkanie, bo któżby we Lwowie nie znał

podówczas Naftala, słynnego z grubych kapitałów i grubej lichwy? Na Krakowskiej

ulicy, za akademją, w starej, brudnej kamienicy mieszkał Naftal. Ciemne i popsute wschody wiodły na pierwsze piętro, gdzie mieszkał starozakonny bankier.

Tadeusz wszedł do zadusznej izby, która jakkolwiek nie bardzo czysto utrzymana, odbijała przecież od zwykłych mieszkań żydowskich swą pretensją do porządku i ochędóstwa.

Znane to było pomieszkание i odwiedzane przez licznych a rozmaitych gości,

cisnących się po pożyczki do nabitej szkatuły Naftala.

Wydeptywali doń drogę i

miejscy panicze, i oficerowie garnizujących we Lwowie pułków, pielgrzymowała doń

podczas kontraktów szlachta, choć każdy przeklinał później Naftala, osławionego

z ogromnej lichwy, z srogości w ściąganiu długów i z wielu nieczystych sprawek i

sztuczek spekulacyjnych. Ale w owym czasie, skutkiem ruiny kraju a w znacznej

części i nowej jego organizacji, kredyt upadł był niesłychanie a lichwa zakwitła

bujnie. Bawili się lichwą nietylko żydzi, ale wielu z obcych urzędników,

spekulujących na kieszeń "głupiego Polaka".

Tadeusz wszedłszy do izby zapytał o gospodarza:

— Naftal w domu?

— Czemu nie? — odpowiedziała zaszargana żydówka, widocznie czcigodna żona

bankiera, mierząc okiem Tadeusza.

Wszedł niebawem z drugiego pokoju sam gospodarz, żyd niski, chudy, z

błyszczącymi oczkami i z niemiłym uśmiechem na ustach.

— A to pan Tadeusz!... — zawołał przypatrując się młodzianowi — już wiem, już sobie przypominam...

— Naftal mnie widział u pana Zakruckiego...

— Tak, u pana Zakruckiego, kiedyś z nim handel robił. Nu, co porabia pan Zakrucki?

— Zdrów; i on to właśnie mnie do Naftala przysyła....
Potrzebuje pieniędzy....

— Ja nie wiem, czemu ten pan Zakrucki taki dziwny pan! Proszę tylko, on ma w rękę dobra Promnickiego, taka wielka fortuna!... Z tych dóbr nabierał pewnie już kapitały a nie ruszy!...

— Bo nie jego — odparł Tadeusz krótko, niezadowolony z takich uwag; żyda.

— Nu, albo pan Promnicki wróci ?...

— Wróci.

— A jak nie żyje ?

— Ale gdzie tam, żyje i wróci! Ale do interesu panie Naftal.

— Nu, choćby i wrócił, to i on i pan Zakrucki mieliby dosyć... No, no, niech się pan wielmożny nie chmurzy.... A ile to potrzeba?

— Jaknajwięcej.

— Jaknajwięcej! Zkąd wziąć jaknajwięcej.... Teraz nie ma pieniędzy, aż strach.

Ja zawsze słyszał od pana starosty olchowieckiego jedną piosneczkę, i ja ją zawsze sobie teraz powtarzam. Pan starosta, a miał on dużo interesów ze mną, zawsze tak mówił:

Szóstak z tymfera, ćwierć z talarem,
Z których probierz zrobił nicę,
I co było z Drezna darem
Poszło w posły za granicę.

— A wie wielmożny pan — ciągnął żyd dalej, kontent
z konceptu — jak mówił pan starosta olchowiecki, co przyszło
z zagranicy?

Ztamąd w zamian przyszły posły.
Włoch z małpami. Niemiec ?. osły,
Włoszka, kastrat, atlas, kwiatki!
I projekta na podatki.

— Nu, jak się panu podoba, czy nieprawda?... Ale widzę, ie
się pan kwapi, ile
mam dać?

— Trzy tysiące dukatów...

— Aj! to grosz wielki! A na jaką ewikcję, na dobra pana
Promnickiego, czy na
wieś pana Zakruckiego?

— Ależ to nie pan Promnicki, ale pan Zakrucki pożyczka !

— Nu pan Zakrucki pewnie zapłaci, ale niedaj Boże jakiego
wypadku, to nie ma na
taką sumę dobrej ewikcji...

— Czegoż się to Naftal obawia?

— Niczego złego, broń Boże, ale zawsze lepiej mniej niż
więcej... Byli bogatsi,
ta spotkał ich wypadek i nie mogli później zapłacić. Pan
Tepper z Warszawy, jaki
bankier, a pan Blank, co ? A przecież pozarywali ludzi i
pobankrutowali... A pan
Prot Potocki, czy nie magnat, a co to u niego przepadło, aj!

Po dalszej jeszcze rozmowie zdecydował się Naftal dać dwa tysiące dukatów.

Tadeusz wyciągnął papier z podpisem Zakruckiego i wypełnił skrypt, według

dyktanda Naftala, bez uwagi i z pośpiechem.

Naftal odliczył pieniądze, a Tadeusz opuścił pomieszkane izraelity i podążył

spiesznie do domu Promnickiego na Halickiem.

W dworku tym, stojącym pustka już od dawnych czasów, rezydował staruszek, dawny

towarzysz Promnickiego i Zakruckiego podczas konfederacji, szlachcic ubogi, pan

Dederkało. Powrócił on razem z naszą trójką z konfederacji, a że nie miał ani

szmatka ziemi w domu, na którejby mógł osiąść, a nadto po trudach i burzach

wojaczki poczuł w sobie jakiś pociąg do dewocji i pragnął zamieszkać w mieście,

wiec osadził go Promnicki w swoim dworze na przedmieściu.

Pan Dederkało żył tu sobie w małym alkierzu spokojnie, chodził regularnie do

pobliskiego kościoła Karmelitów i spełniał w dworze niby funkcję klucznika,

która najmniejszego trudu nie wymagała. Zakrucki dośelał mu ze wsi wiktuałów i

kiedy niekiedy jakiś grosik w dodatku. Dederkało wżył się w miejskie życie,

poznajomił się i poprzyjaźnił z przedmieszczuchami i spokojnie spędzał stare

lata.

Tadeusz miał od opiekuna osobne zlecenia dla starego

Dederkały. Idąc do dworku,

wyobrażał sobie już naprzód jak się nim ucieszy stary gracz konfederacki, który był zawsze przywiązany do swoich dawnych towarzyszy i ich potomstwa. Jakże przykro zdziwił się Tadeusz, gdy już na podwórzu otrzymał od wyrostka swego wiadomość, że pan Dederkało ciężko jest chory. Tadeusz wszedł spiesźnie do dworu i zastał w alkierzu staruszką na łożu. Był mizerny i blady, dawna czerstwość zawadzonego wiatrami wygi zniknęła z pomarszczonego lica. Chory był poobwiązywany chustkami i twarz miał z jednego boku zapuchniętą. Gdy obaczył Tadeusza, chciał się porwać z łóżka Dederkało, ale nie mógł; i podnosząc tylko głowę uśmiechnął się dość wesoło i mrugnął pocziwie siwymi oczyma, jak to zwykł był czynić dawniej jeszcze, kiedy Tadeusz był małym chłopięciem. Tadeusz poskoczył do chorego, uścisnął rękę starca serdecznie i zawołał:

— A cóż to mościpanie Dederkało, źle się sprawujesz, zgryzotę robisz mnie i panu Zakruckiemu, chorujesz ?...

— Cóż robić! cóż robić! Dopuszczenie Boże!

— Ale cóżto waszmości się stało, obwiązany chustami, jakby cię wprost po moskiewskich razach felczer miał w swym ręku?

— A miał mnie felczer w ręku, oj miał — sieknął pan Dederkało — zszywał i łątał

gębę, mospanie, jak torbę dziadowską!

— Ale cóżto, jakże to?

— At, przyszła kryska na Matyska! Dobrze mi taki Trzeba
było siedzieć cicho,
mości Dederkało, Boga chwalić, kaszę jeść, dworu pilnować i
na Promnickiego
czekać, czy nie przyplywa z Ameryki! Ale pop swoje, czart
swoje!

Po długim badaniu i rozmaitych zapytaniach wystękał W
końcu chory konfederat
całą przygodę, której skulki okupywać musiał słabością.
Podług opowiadania jego
tak się rzecz miała: Pan Dederkało wyszedłszy jednego
poranku z domu poszedł
starym zwyczajem do kościoła . Karmę-
litów, wysłuchał dwie mszy, modlił się długo, a opuściwszy
świątynię, wyszedł na
miasto.

Ledwie ku katedrze się zbliżał, kiedy ku wielkiej jego uciecze
zaszli mu drogę z
synami dwaj szlachcice zaściankowi pan Kasper i pan
Nikodem; starzy jak i on,
obaj z tegoż samego co i on zaścianku, a co stokroć więcej
znaczyło, obaj
konfederaci, starzy towarzysze broni! Uradował się
niezmiernie pan Dederkało,
uradowali się i panowie bracia Kasper i Nikodem, a po
pierwszych wykrzyknikach
radości i powitania stanęło na tem, aby uczcić pomyślne
spotkanie gęsiorkiem
miodku. Pan Dederkało jako Lwowianin i gospodarz
poprowadził panów braci do
winiarni przy tak zwanej Veteranische Hohle, czyli jak ją
króciej nazywał pan

Dederkało, do szeheli. Szehela była miejscem schadzki
starych wysłużonych
żołnierzy austriackich, inwalidów z siedmioletniej i z ostatniej
tureckiej wojny
i oficerów z garnizującego we Lwowie pułku Spleny.
Pan Dederkało, przyszedłszy tam z swoimi niegdy
towarzyszami broni i kochanemi
panami braćmi, zasiadł przy jednym ze stołów, podczas gdy
naprzeciw właśnie
raczyło się piwem grono niemieckich oficerów. Niechętnie
wprawdzie spozierała
szlachta na niemieckich weteranów, ale dopóki miodek nie
rozegrzał głów i
animuszów, dopóty nic nie zakłóciło spokoju
międzynarodowych stosunków. Ale gdy
w miarę, jak wojskowi pod wpływem częstych szklanic
stawali się głośniejszymi, i
szlachta także z panem Dederkała jako przewodzącą zaczęła się
ferworzyć i
ożywiać, po-
częły latać od stołu do stołu i niechętnie spojrzenia i
przejrzyste aluzje.
Nie byłoby ztąd jednak przyszło do głośniejszych
nieporozumień, gdyby spijany
trunek nie był rozbudził ochoty śpiewackiej u wojskowych. Po
kilku tonach i
pomrukach jakby na nastrojenie gardeł, odezwała się nagle
głośno od stołu
niemieckiego stara pieśń żołnierska, wyciągana z marsową
energją:

Prinz Eugenius, der edle Ritter
Wollt' dem Kaiser wied'rum kriegen

Stadt und Festung Belgarad!
Er liess schlagen eine Brueken,
Dass man kunnt hinuberrucken i t.d.

— Oho! patrzaj mi! — zawołał Dederkało — jak im to wesoło!

— Brak respektu, panie bracie, brak respektu — ozwał się pan Nikodem —

przeszkadzać drugim w statecznym dyskursie !

— To chyba huknąć im na silentium ! — zaproponował p. Kasper.

— A jużci, że nie godzi się dać tak ignorować! — zauważał rozogniony już pan Dederkało.

I podniósł starą, żylastą dłoń, aby nią trzasnąć o stół aa znak milczenia.

— A czy nie byłoby lepiej ot i nam zaśpiewać? Oni sobie, to my sobie!

— A jużciż, albo my gorsi, mospanie! Śpiewają pieśni wojacką, to i my sobie zanucim!

— A jaką?

— A jużci jaką konfederacką, panie bracie! ot naprzykład: Stawam na placu!

— Zgoda! zgoda! śpiewajmy!

Pan Dederkalo oparłszy się junacko na stole, poprawił sierzciście swego wąsa i rozpoczął śpiew.

Wpadła szlachta tubalnemi głosy i głośniej niż śpiew niemiecki zagrzmiała zwykłą pieśń konfederacką:

Stawam na placu z Boga ordynansu.
Rangę porzucam dla nieba wakansu,
Dla wolności ginę,
Wiary swej nie minę,
To jest mój azard!

— To jest mój azard! — powtórzyło grono szlacheckie wiersz ostatni

podniesionemi głosy jakby wojennemi surmami, ze aż szyby zabrzączały a śpiew od stołu niemieckiego ucichnął.

— Still! — odezwało się z przeciwnego stołu.

— Sam sztyl! — wrzasnął pan Dederkało i palnął z całej siły o stół pięścią.

Na groźne odkrzyknięcie przyleciała w odpowiedź próżna szklanica.

Porwali się zaściankowcy z krzeseł, jeden i drugi macnął się po lewym boku,

jakby czego szukał, a nie znalazłszy chwycił co było pod ręką.

Rozpoczęła się

zwawa utarczka, z której zwycięzko byliby wyszli pan

Dederkało i jego

towarzysze, gdyby nie nowe grono wojskowych, którzy weszli właśnie wśród

najzaciętszej zamieszki do gospody i rzu-

cili się swoim do pomocy. Zabłysnęły gole szable, a grono

zaściankowców

bezbronne i trzykroć słabsze, mimo zaciętego oporu zostało pokonane. Wzięto ich

w środek i zaprowadzono na odwach.

W kilka godzin wypuszczono pana Nikodema i pana Kaspra wraz z synami, ale

biednego pana Dederkałę zdeklarowano za rädelsfilhrera i choć był poraniony znacznie, zamknięto na dni kilkanaście do kordegardy. Rany odniesione w bójce, przeteżenie się w późnym wieku, tak nieszczęśliwie poskutkowały na biednym rezydencie, że zaledwie powrócił z więzienia do dworu Promnickiego, zaniemógł ciężko.

Taka była przyczyna choroby pana Dederkały. Zmartwił się nią nie pomału Tadeusz i zakłopotał, bo stary rezydent jeżeli kiedy, to teras na swem stanowisku klucznika był bardzo potrzebnym w dworze pana Promnickiego. Zadumał się, jakby odbywał naradę z własnymi myślami, gdy rozchyliły się drzwi od alkierza i wszedł wyrostek:

— Proszę jasnego pana — zapytał — a co się zrobi z tym dziadem z Sokala?

Tadeusz, który prawie był zapomniał o Madeju, potarł się w czoło, jakby w skutek nowego, niepotrzebnego kłopotu.

— A zawołaj go tu.

— Jest za drzwiami — odpowiedział wyrostek.

W tej samej chwili zajrzała przez rozchylone drzwi twarz Madeja.

Na skinienie Tadeusza dziad wszedł do alkierza i skłonił się nisko.

— Cóż zrobimy z tobą Madeju ? — zapytał Tadeusz.

— Ach jasny paniczu, miłosierny dobrodzieju — odpowiedział Madej — czyż ja

wiem, co ja z sobą pocznę? Ja się w mieście zgubię,
przepadnę! Chyba wrócę znowu
piechotą...

Tadeusz uśmiechnął się, spojrział na Madeja, a potem jakby
pod wpływem jakiejś
nowej myśli, rzekł:

— - Chodź no za mną.

I zaprowadził dziada do drugiego pokoju.

— Czyś ty poczciwy człowiek, Madeju?

— Mnie zna sto gromad i poświadczyć by mogło, że dziad
poczciwy.

— Czy porzuciłbyś włóczęgę dziadowską i potrafiłbyś
siedzieć w kącie?

— Czemuż nie, jasny paniczku, na stare lata i kości dobry
wypoczynek...

— A gdybym ci dał przytułek dobry...

— Chwaliłbym Boga i dziękował jasnemu paniczowi. - Więc
zostaniesz tu w tym
dworze. —

Dziad ciekawie i z zadziwieniem spojrział na Tadeusza.

— A umiesz być cicho i trzymać język za zębami?

— Jak ryba niema, jasny paniczku.

— Słuchajże. Pan Dederkało, rezydent tego dworu jest chory.
Potrzeba kogoś, aby
i domu i jego pilnował. Rozumiesz ?

— Rozumiem.

— Będziesz więc pilnował domu. Jeść i pić będziesz miał do
syta, ale wiernym
być musisz

Madej z uroczystym gestem schylił głowę.

— A teraz uważaj. Ty znasz pana Zakruckiego z pod
Sokala?

— Znam, miłosierny pan, nieraz pożywił i obdarzył biednego dziada.

— Pamiętajże, aby nikt nie wchodził do dworu, tylko pan Zakrucki, jeżeli przyjedzie! Nikt inny nogi tu postawić nie śmie! Rozumiesz?

— Rozumię.

— Gdyby tu w nocy kto przybył z jakimi furami, nie wpuść na podwórze, ale zapytaj o cedułkę. Gdy ci dadzą cedułkę, daj ją przeczytać panu Dederkale, a on ci powie, czy wpuścić czy nie.

Dziad skinął głową na znak, że pojął.

— Zresztą brama musi być zawsze zamknięta, dniem i nocą! Tadeusz wskazał potem na ścianę.

— Jeżeli kiedy za tą ścianą usłyszysz gwar i stuk jaki, to nic cię to obchodzić nie powinno!

— Może strachy, duch święty z nami!

— Nie bądźże głupim stary! Jeżeli tam posłyszysz ludzi za ścianą, to nie trwóż się i nie rób hałasu, bo im tam być wolno.

— A zkadże się tam wezmą, jeżeli nikogo nie mam puścić?

— To cię nie obchodzi, ale skoro będą, to sza!

— Rozumiem, jasny paniczu!

— Jeżeliby kto obcy pytał, czy jest kto we dworze, powiedz zawsze, że nie ma nikogo.

Madej w milczeniu skinął głową.

— A teraz uważaj. Widzisz to czarne kółko w kącie na ścianie?

— Widzę.

— Jeżeliby jacy ludzie gwałtem i przemocą dobijali się do bramy, to pociągniesz

za to kółko mocno... Będiesz pamiętał ?

— Będę.

— Słuchaj więc. Jeżeli będziesz wiernie spełniał rozkazy i milczał, nie

zaturbujesz się już aż do śmierci o dobry kęs chleba...

Madej ścisnął kolana Tadeusza.

— Jeżeli w czym uchybisz rozkazowi, pamiętaj że ja sam kiedyś, prędzej czy

później, powiesić cię każę na suchej wierzbie!

— Broń Chryste Panie!

— Więc zgoda?

— Zgoda.

Tadeusz siadł przy małym dębowym stoliku i pisał coś na białej karcie papieru.

Napisawszy złożył i zapieczętował.

— Masz ten list. Wkrótce przyjedzie tu pan Zakrucki, a ty ten list mu oddasz.

On cię jeszcze lepiej pouczy, co masz robić.

— Dobrze, jasny paniczu.

— Więc sprawa skończona! — dodał Tadeusz i skinął na Madeja, aby wyszedł.

IV.

GALICJA W KOLEBCE.

Galicja była owego czasu jeszcze w kolebce... Mieszkańcy jej odbywali dopiero

nowicjat niewoli... Jakiż to był nowicjat, jaki był los pierwszych Galicjan?

Wystawmy sobie ludzi, którzy żyli dotąd w całej pełni swego narodowego uczucia,

którzy korzystali z tak nieograniczonej, niestety aż do samowoli posuniętej

osobistej i politycznej wolności — przeniesionych nagle w
stan niewolniczej

podległości, w ucisk obcych rządów, w nowe tak ciężkie i
wstrętne z początku

formy publicznego a nawet prywatnego życia, a własna
imaginacja zdoła nam może

odpowiedzieć na to pytanie...

Dwie wręcz przeciwne sobie formy rządu, absolutna i że tak
powiemy ultra -

konstytucyjna, dwie wręcz przeciwne sobie charakterem
swym narodowości,

niemiecka i polska — a więc dwie formy publicznego żywota,
z których pierwsza

była już nowym, żelaznym faktem a druga jeszcze tak
świeżem i niczem z serc i

umysłów niezatartem wspomnieniem, i dwie narodowości, z
których druga stała się

służebnicą i przedmiotem pogardy pierwszej — musiały w
pierwszem swem ścieraniu

się, w pierwszych chwilach nierównej

walki, przedstawiać widok dziwnie smutnego, przerażającego
wywrotu...

Był to też wywrót bezprzykładny, który my pogrobowcy,
w/rośli już na mogile

ojczyzny, za ledwie wyobrazić sobie zdołamy. Galicja musiała
być płodem ciężkiego

porodu. Wykołysały ją rewindykacyjne akta, cały zastęp
dekretów, przepisów,

rozkazów i innych pisanych i niepisanych eksperymentów, a
do niemieckiego chóru

tej kołysanki wtórzyły bezradne, rozpaczliwe narzekania tego
pokolenia, na

którego żywym ciele dokonywano tych bolesnych operacji,
któremu nagle z pod nóg
usumęto całą podstawę społecznego i publicznego życia,
któremu zanegowano
najistotniejszą treść dotychczasowych praw, uczuć, tradycji i
nawyknień, aby je
zastąpić najjaskrawszym kontrastem nowego porządku.
Utwór ten nowy dostał na chrzcie imię Galicji.
Chrzest ten musiał być bolesny dla pierwszych neofitów
nawet i bez winy nowych
rządów. Nowe te bowiem rządy mogły może nieczuć z swego
stanowiska dotkliwości
zmian poczynionych. Przypuśćmy, że dawały one swym
nowym poddanym to, co mieli
wszyscy poddani dawniejsi, równały nową prowincję z resztą
swych dzierżaw. Ale
to zrównanie właśnie musiało być dla wychowanków dawnej,
złotej wolności
uciskiem, choćby ucisk ten i nie leżał był w interesie władz
nowych. Samo już
równouprawnienie było tu praw i swobód odjęciem. A Austria
była podówczas
państwem absolutnym w całym tego słowa znaczeniu.
Przyszły historyk Galicji będzie miał bardzo trudne zadanie. Z
najważniejszej, z
najciekawszej właśnie pory, z cza-
sów pierwszego istnienia Galicji, bardzo mało zostało nam
materiałów i
wskazówek. Do skreślenia odmętu pierwszych lat galicyjskich
nie masz innych
źródeł nart kilka paszkwilów niemieckich, nad kilka zapisków
w raptularzu

jakiegoś szlachcica i nad stos Gesetzsammlungu. Porównanie tego opłakanego nowicjatu Galicji z dzisiejszym stanem kraju, z dzisiejszą swobodą i pewnem uznaniem jego praw historycznych i narodowych, byłoby wymownym dowodem, jak wśród najtrudniejszych nawet stosunków łomią sobie tory prawdziwie żywotne ideje, byłoby zarazem wykazem, jak znacznie najnowszym swym liberalnym zwrotem odbiegły rządy austriackie od dawnego swego systematu. Nam jednak mówić przychodzi o Galicji pod rządem austriackim u schyłku wieku ośmnastego. Paktem jest dowiedzionym przez pozostałe zapiski i pamiętniki, że Polacy zawiedli się na nim wówczas nawet w tych nadziejach, które przypuścić jeszcze mogła rezygnacja, zniewolona godzić się z koniecznością. Najwięcej otuchy mieli po rozbiore Polski ci właśnie Polacy, którym przypadł los należenia do Austrii. Niewiadomo z jakich przyczyn, najpewniej jednak dla tego, że siedziała właśnie w czasie pierwszego rozbioru na tronie rakuzkim cesarzowa tak pobożnej sławy, jak Marja Teresa, i że rządy jej odpowiadały bardziej zabranemu krajowi już samą wspólnością religji — Polacy galicyjscy spodziewali się zawsze, że im w tej klęsce jeszcze najlżejszy los przypadł w udziale. Tymczasem nawet te rezygnacją miarkowane nadzieje okazały się sangwinicznymi.

Doświadczyla tego boleśnie dzisiaj-
sza Galicja, a jeszcze bardziej może owa tak zwana Galicja
druga, choć nie długo
była pod panowaniem austriackim. Około czasu naszego
opowiadania najbardziej to
uczuli Polacy. Ucisk powszechny, zmuszanie do służby w
kamaszach kijami,
wieszanie rozproszonych oddziałów z powstania
Kościuszkowskiego, które szukały
schronienia za granicami Austrii, liczne aresztowania jak np.
Ignacego
Potockiego, marszałka Małachowskiego, Piramowicza i
Zakrzewskiego, jak również
Kołłątaja i Zajączka, którzy pierwsi utworzyli szereg
więźniów polskich w
fortecy jozefszadzkiej, brutalne chłosty przy indagacjach, jak
np. w sprawie
Raciborskiego, pogarda i ucisk polskiej narodowości,
nieszanowanie własności
prywatnej przez niektórych urzędników cudzoziemskich; to
wszystko rozczarowywało
nawet tych, którzy ciągle jeszcze ze wszystkich rozbiorowych
rządów najwięcej
pokładali ufności w Austrii.
W naszej jednak Galicji, w tej, która nią do dziś dnia
pozostała, rozczarowanie
takie nastąpiło zaraz z początku. Zaraz z pierwszych lat
panowania austriackiego
zostały nam ciągle skargi i narzekania. Naruszenie praw
własności, zubożenie
mieszkańców, upadek rolnictwa i kredytu, powaśnienie
stanów i rodzin nawet, brak

opieki nad religją, wywrót wiary publicznej — te wszystkie
opłakane skutki
przypisywano zmianie rządów.
Już sam sposób składania przysięgi nowemu rządowi mocno
obraził nowych
poddanych. Chciano przysięgę homagjalną złożyć w
godziwszy sposób za
pośrednictwem deputowanych i w imieniu całego kraju, a rząd
tymczasem
kazał składać hołd w ręce cudzoziemskich urzędników, którzy
najczęściej niegodni
reprezentować tronu już samym swym charakterem
pozbawionym wszelkiej godziwości,
pogardą swą dla Polaków i brakiem taktu jątrzyli umysły.
Egzekwowanie przysięgi
homagjalnej, było upokarzające, i oburzało narodowe i
osobiste uczucie do głębi.
Nowa i nagła zmiana organizacji w stosunkach ziemiańskich
zachwiała kredytem
ziemian. Przyczyniło się do tego takie niedotrzymywanie
warunków słuszności ze
strony władz nowych, mianowicie przy sprzedaży starostw lub
przy nabywaniu salin.
Brak pieniędzy dał się uczuć w gwałtowny sposób, złoto i
srebro zniknęło, a
natomiast zalały kraj papiery wątpliwej wartości i moneta bita
z podłego
kruszczu. Podkopany kredyt pociągnął za sobą niesłychaną
lichwę. Szlachta lichwy
tej wyminąć nie mogła i poczęły się mnożyć ruiny majątku.
Ztąd masa procesów
konkursowych, subhastacyjnych i fiskalnych, i bezprzykładny
zamęt w stosunkach

majątkowych. Niesumienność mianowanych kuratorów i sekwestratorów podkopywała jeszcze bardziej kredyt i publiczną wiarę. Zabranie prywatnych zapisów kościelnych na fundusz religijny, znoszenie kościołów i klasztorów, wydało się naruszeniem praw religii. Do zarzutu tego przyczynił się dalej i zarzut demoralizowania społeczeństwa. Wyszły bowiem świeżo tak nowe podówczas jeszcze prawa, na mocy których żony swych mężów, dzieci rodziców wplątywały w gorszące procesa, o majątkowe sprawy. Powstało ztąd rozdzielenie w kole samej rodziny, sądowe skandala między rodzicami a dziećmi. Znając dawną, tradycyjną patryarchalność rodziny polskiej można sobie wyobrazić, jak dalece gorszyć musiały słusznie czy niesłusznie podobne wypadki literą nowego prawa dozwalane. Ogromny, coraz bardziej wzrastający ciężar najrozmaitszych podatków dopełnił miary nieukontentowania. Nowa organizacja rządów, w których zasiadali prawie sami Niemcy przejmowały nieufnością do organów publicznej sprawiedliwości — a szlachta skarżyła się gorzko, że rząd nie dotrzymał danego przyrzeczenia i nieuszanował zasady: *a paribus et constatibus judicamini*. Ludziom nawykłym do konstytucyjnych form rządu musiało się także dotkliwie dać uczuć zupełne zniesienie wszelkiego cienia nawet reprezentacji politycznej.

Ciągle domagania się jukiejkolwiek bądź parlamentarnej instytucji, powtarzające się pod wszystkimi monarchami Austrii z owej pory, pozostawszy długo bez uwzględnienia, doczekały się w końcu — obietnicy. A obietnica ta, której wykonanie tak długo zwlekano, zawierała w sobie tylko igraszkę, tylko dziecinną komedję, bo za taką uważać należy późniejsze stany galicyjskie, te sławne stany i ten sławniejszy jeszcze sejm postulatowy, który przyszedł dopiero za cesarza Franciszka w życie! Stany zaprowadzone na papierze w roku były dowcipnym żartem z biednej prowincji, która tak łaknęła choćby cienia reprezentacyjnego życia. Nie an? ale quomodo? było hasłem przywileju tej śmiesznej instytucji. Miano się naradzać nie nad tem, czy płacić wielkie podatki i ponosić ciężary, ale jak je płacić i jak je ponosić. Atoli wolno było — tak głosił dekret urządzający stany — wolno było..... podawać pokorne przełożenia i najuniżeńsze przedstawienia w formie proźb!... A zażartowanie takie z żądań i życzeń kraju uchodziło dobrze podówczas a co więcej, wydawało się wielu galicyjskim panom, którzy z przedziwną łatwością potrafili wyzuć się z polskości i wleźć od razu w galicyjską skórę, prawdziwem

ustępstwem, przywilejem wielkiej ceny i wagi!... Niestety!
miały to do siebie
owe nieszczęsne porozbiorowe czasy, miał to do siebie nizki i
lekkomyślny
charakter pewnej części wyższej szlachty polskiej, że mimo
kontrastów między
dawnym a obecnym stanem rzeczy, srom służalstwa tak łatwo
jakoś przystawał do
duszy!
Dość wielu było takich, których zaraz pierwszy nowicjat
niewoli zdemoralizował w
najsmutniejszy sposób, którzy dla widoków dziecinnej ambicji
tak prędko
zapomnieli a tak prędko się nauczyli! którym do liberji nawet
miary brać nie
było potrzeba! Może najciekawszą choć najbardziej
upokarzającą byłaby historją
owej pory zabiegów o zaszczyt nowych niemieckich tytułów,
owego wywodu
szlactwa, nakazanego dekretem z r. . Dekret ten, który
namnożył tylu
grafów i grafiątek galicyjskich, jeżeli znalazł odpowiedź
takich n. p.
Bąkowskich, którzy płacili za to po , , aby im — oszczędzono
niepożądanego
tytułu grafów, jeżeli znalazł wielu potomków dawnych
znakomitych rodów, którzy
tylko przymusowo przyjmowali nowe tytuły to iluż za to
zastał w kraju
półgłówków, co dla śmiesznej ambi-
cyjki wyzuwali się w szale swej grafomanji z fortun, z własnej
godności, z
poczucia narodowych tradycyj!

Dziwne to zjawisko, że tam właśnie gdzie ojczysta polityczna
wolność znalazła
tyle ambicji, tyle wichrzycielstwa i niesforności, zastał obcy
ucisk tyle
służalstwa, tyle krwi zimnej na poniżające upokorzenia!
Niezawodnie bardzo
słusznie zcharakteryzował poeta Karpiński pewną wyrodną
część magnaterji
polskiej, kiedy urażony pewnego razu przez jakiegoś
tytułowca owej daty, rzekł
mu:

— Wy magnaci zawsze od nas szczęśliwsi!

— Dla czegoż? W czernie mamy preferencją? — zapytał tak
zagadniony.

— Oto wy magnaci — odparł nasz poeta — po upadku Polski
najpierwsi w pyski
braliście, a potem niektórych z naszych ubogich
policzkowano!

Jeżeli słów tych żadną miarą zastosować nie można do całego
stanu, jak to

uczynił rozgoryczony śpiewak sielanek, to przecież jedną,
nieliczną a wyrodną

część szlachty oceniają one bardzo trafnie. Ale taka to już była
klątwa pory i

stosunków, że jak z strony władz nowych działały się często
najdotkliwsze

nadużycia i wychodziły ciężkie zniewagi dla narodowości
zabranego kraju, tak

znowu w wielu reprezentantach tegoż samego kraju uderzały
brak taktu i dziwna

lekkomyślność. Wielce zabawnie opowiadają nam pamiętniki
z owych czasów, że gdy

cesarz Józef był w nowej swej prowincji i bawił we Lwowie
właśnie w czasie
kontraktów, możniejsza szlachta chcąc zaimponować niejako
Niemcom, występowała
wszędzie z ogromnym przepychem, olśniewała
zbytkową wystawą strojów, pocztów i ekwipaży. Cesarz Józef
widząc tę ostentację
zbytków i bogactwa, którego w istocie nie było już w kraju,
miał wyrzec
publicznie:

— Żalicie się na wielkie podatki, a taki zbytek u was!
I oto, jeśli można uwierzyć w tak arcyśmieszny fortel, szlachta
natychmiast
zaprzystała ostentacji i uciekła się wprost do ekstremu. Panie
pozdejmowały
klejnoty i perły drogie, panowie poodsełali na wieś ekwipaże i
chodzili po
Lwowie piechotą. Cesarza i Niemców musiało to oczywiście
ubawić serdecznie!...
Znachodzili się i tacy już nawet, którzy zamiast stawić tamę
germanizacyjnej
powodzi, pomagali niejako urzędnikom niemieckim, jak np.
pewien pan galicyjski,
który proponował, aby żaden krajowiec nie był urzędnikiem,
na co nawet ówczesny
gubernator Brygido zgodzić się nie chciał. Powstał osobny ród
zauszników,
pochlebców, zaprzańców, którzy więcej niezawodnie
dokuczali krajowi niż
cudzoziemcy.
Tymczasem rząd ignorował zupełnie narodowość polską, a
językowi krajowemu

żadnego nie uczynił ustępstwa. Rozpoczęła się praca
germanizacyjna, praca
zacięta ale płonna, jak tego dowiodła jej ciągła
bezskuteczność, mimo że praca
ta prawie wiek cały trwała. Rzuciła się biurokracja z swą
drobnostkową
gorliwością do tępienia narodowości, wymazywano z akt, z
pism, z kalendarzów
nawet imię Polski, zakazywano Matkę Boską zwać królową
Polski, kazano się uczyć
po niemiecku.
Urządzono demoralizujący system szpiegostwa w
kancelariach biurokracji, a każdy
przeklinał *pessimus genus delatorum*, bo każdemu dali się we
znaki mistrzowie
tego nikczemnego rzemiosła. Nadto rząd sam, choć był
zapewne humanitarniejszym
od moskiewskiego, był uprzykrzony, nudny, cikliwy. Dręczono
drobnostkami,
formalnościami, zalewano powodziami przepisów, cyrkularzy,
nakazów itd.,
trapiono do rozpaczki pedanterją.
Podział na dystrykta a później na cyrkuły źle odpowiadał
potrzebom kraju, a w
dystryktach tych i cyrkulach dokazywali ojcowie naszej
biurokracji nudząc,
sekując, tyranizując szlachtę. Rozchodziły się po dworach
szlacheckich befele i
ferordnungi, pisane w niemieckim niezrozumiałym języku,
trzymane w tonie ostrym,
bezwzględny, grożące rygorami kar i egzekucyj. Nie prawo
ale często kaprys

dyrektora dystryktu lub krajshauptmana decydował o spokoju
biednych ziemian,
cytowano ich bez ustanku, wodzano od Anasza do Kaifasza..
Szlachta stawiać się musiała na takzwane interrogatoria, które
były czemś na
wzór amtstagów dla wójtów. Na interrogatorjach tych miano
wypytywać się o to, co
dolega i krajowcom pod nowym rządem — a istotnie używano
ich na to tylko, aby im
przypomnie w najboleśniejszy sposób, że stracili wolność i
ojczyznę. Skarżyła
się szlachta na tych interrogatorjach na ciągle pisaniny i
egzekucje, (continuae
et assiduae scriptoriae et continuae executiones), ale nic to nie
pomagało, bo
obięto się o niewyroczniałość urzędników pierwszej zaraz
instancji, którzy
nadużywając w obu-
rzający sposób swej władzy, byli nieraz w swych dystryktach
prawdziwymi
kacykami.

Los obywatela pod władzą kreishauptmanów najlepiej maluje
nam humorystyczny
wierszyk Karpińskiego, który sam mając w Galicji dzierżawę
w pierwszych latach
zaboru austriackiego, doświadczył na sobie wszystkich tych
systematycznych
przykrości. Pisze on list do przyjaciela za kordonem a list ten
datuje:

Z ostatniego Polski progu,
Gdzie się zdało Panu Bogu,
Oderwać od nas kraj żyzny,

Ruś, dawną mamkę ojczyzny...

W liście tym daje nam poeta następujący obraz pierwszego krajskapitana galicyjskiego.

Po wesołej w Polsce chwili,
Jużeśmy prawie wkroczyli
W kraj gdzie śmiać się zapomniano,
I gdzie płakać zakazano!
W kraj pełny uniwersałów,
Wiecznych prawnych foljałów,
I kursoryj, instruktarzów,
Ostrzeżenia, cyrkularzów !
Któż ich wszystkich nawspomina,
Gdy ich sto rodzi godzina ?...
W polskiej bawiąc się krainie,
Słodko każdy dzień przeminie,
Czym był z równym, czym był z panem,
Insza tu rzecz z krajshauptmanem.
Ustąpcie ! jedzie przez miasto,

Strojno, czubno, pętliczasto,
Sama jejmość pełna sadła,
Jakby naraz wołu zjadła,
Tuż przy niej pociechy lube:
Dwoje przy boku sspicbube!
Wszelako z temi paniami,
Często sobie radzim sami;
Lecz w głowę zająć z temi pany,
Zowią się memi landsmany,
A gorsi są niż Tatary,
Wrogi i worka i wiary, Lubią, gdy co kogo boli...

Już ich czuję.... Tibi soli....

Istotnie też nie tyle sam system rządu, co jego wykonawcy, był przykrym i srogim dla Galicji. Cyrkuły np. tak mocno dojęły szlachcie, że podając później petycję do tronu, prosiła nie tylko o reformę organizacji kraju, ale wyraźnie i osobno błagała o wieczne usunięcie nienawistnej nazwy cyrkułów. Que quoique dans la réalité le nom ne fasse rien à la chose, que cependant par indulgence pour l'opinion de ces peuples, et pour empêcher, que les noms odieux ne rappellent pas des maux passés V. M. daigne casser le nom des cercles justement abhorré dans le pays... — mówi napisany po francusku memoriał z r. . Nasłani z Niemiec urzędnicy przynieśli z sobą pogardę dla kraju i jego narodowości, a pogardę tę objawiali przy każdej sposobności. Brak ludzkości i ogłady, duma, zarozumiałość, despotyzm, były przymiotami wielu biurokratów. Powodowały nimi często nienawiść do kraju i pewne rozmiłowanie się w dręczeniu jego mieszkańców, osobliwie szlachty. Ziemianin nie miał do czynienia z urzędnikiem ale z wrogiem, od którego ciągle doznawał najdotkliwszych upokorzeń i uraz. Tak było przynajmniej na początku. Przytoczymy przykłady. Pan krajskapitan brzeżański rozesłał był do wszystkich

obywateli swego cyrkułu cytacje, aby się na oznaczony dzień pod rygorem aresztu

i kajdan stawili u niego. Zjechała się szlachta punktualnie, czekała długo w

przedpokoju, aż nareście wszedł i sam pan krajskapitan.

— Allle da? — zapytał.

— Wszyscy! — odpowiedzieli zgromadzeni.

— Czy zachowujecie przepisy cesarskie?

— Zachowujemy.

— Jedźcież sobie do domu — odparł krótko p. krajskapitan.

Oczywiście odgryzała się szlachta jak mogła, a nieraz nawet bardzo dobitnie.

Pewien szlachcic, Bobrowski, jadąc spotkał się na drodze z krajskapitanem i nie

ustąpił mu wcześniej.

— Na bok schelm Polak! — zawołał krajskapitan. Bobrowski uniesiony gniewem

chwycił za strzelbę i wypalił do Niemca.

Inny obywatel z ziemi przemyskiej otrzymał nakaz w

prostackich wyrazach, aby się

stawił zaraz do krajskapitana. Szlachcic nie stanął, i oto na drugi dzień

zjeżdża do niego sam pan krajskapitan, a nie zważając na zgromadzonych

właśnie licznie gości, złajał i i zszelmował gospodarza.

Szlachcic nie wiele

myśląc, kazał uchwycie Niemca i krótką sprawą sto bizunów mu wyliczył. Wplątał

się ztąd w długi proces, z którego jednak po długich zabiegach i kosztach na

sucho wyszedł.

Dyrektor dystryktu lwowskiego, Ferdinandi, który był dawniej lokajem w Wiedniu, biczem uderzył szlachcica w własnym pomieszkaniu. Zelżony kazał go zamknąć do chlewu, a na drugi dzień związanego do Lwowa odstawił. Nie było moje nawet nieraz innego sposobu odwetu, Trzeba bowiem wiedzieć, że wielka część niższych urzędników w Galicji składała się wówczas z ludzi wątpliwej przeszłości i wątpliwszego jeszcze wykształcenia. Sami nawet paszkwilanci i oszczercy Galicji, jak np. autor Schmähbriefów Kratter, i Rohrer przyznają, że wielu urzędników było prostakami i nikczemnych antecedenyj, i że w kraju zabranym odznaczali się gorszą demoralizacją, burdami a niekiedy lichwą.

Z jakich ludzi rekrutowały się w części niższe zastępy biurokracji charakteryzuje dosadnie dowcip pani Kossakowskiej, kasztelanowej kamińskiej, która będąc w Wiedniu u cesarzowej Marji Teresy, na zapytanie, jak się jej Wiedeń od czasu pierwszego w nim pobytu podoba, odpowiedziała:

— Bardzo mi się podoba. Od ostatniego mego pobytu Wiedeń się upięknił. Uważam, że od czasu zajęcia Galicjii mieszkańcy kraty z okien powyjmywali, bo tych, których się obawiali, wysłano na urzędników do Galicji. Tażsama pani Kossakowska, jadąc raz we Lwowie z gubernatorem przez ulicę,

rzuciła zebrzącemu jałmużny Niemcowi dukata, podczas gdy przedtem polskiemu żebrakowi dała tylko złoty. Gdy ją gubernator o przyczynę tej różnicy zapytał, odrzekła:

— Bo Niemiec prędko się u nas z bogaci, a jak zostanie konsyljarzem, to mi będzie pamiętał.

Pani Kossakowska prowadziła też ciągłą wojnę z Niemcami. Miała wielką satysfakcję usuwać ich z posad, co ją bardzo dużo kosztowało, czego jednak zazwyczaj dopiąć umiała w Wiedniu. Bali się jej więc ogromnie niemieccy biurokraci, wiedząc, że zadarłszy się z panią kasztelanową urzęda potracić by mogli.

Ale prawdziwym biczem na dokuczliwych Niemców był hrabia Gozdzki, pan możny, mieszkający w pobliżu Lwowa. Znany on był z figłów, które płatał Niemcom, w czym mu pomagały znaczne wpływy, majątek i niczem nie ustraszona odwaga. W przyszłym rozdziele przyjdzie nam zaglądnąć wraz z Tadeuszem do jego dworu w Jaryczowie, gdzie będziemy mieli sposobność zabrania także znajomości z pierwszym krajskapitanem galicyjskim.

Tymczasem przeprosić musimy czytelnika za tę dygresję o Galicji w kolebce, która urósłszy w rozdział cały, przerwała zwykły tok naszej powieści.

PAN GRAF JARYCZOWSKI.

Tadeusz, załatwiwszy polecenia Zakruckiego we Lwowie i
pożegnawszy serdecznie
chorego Dederkałę, opuścił zaraz tegoż samego dnia stolicę.
Celem jego podróży
był Kraków, dokąd tak spiesznie było młodej duszy, pragnącej
czynu i burzy. Nim
jednak ostatecznie puścić się miał w drogę ku staremu
grodowi, musiał Tadeusz
zboczyć jeszcze ze Lwowa na chwilę. Jak już wiemy z
przedostatniego rozdziału,
miał się Tadeusz z polecenia Zakruckiego widzieć z panem
hrabią Gozdzkim().
Gozdzki bardzo często przebywał we Lwowie, tym razem
wyjazd jego uprzedził
przybycie Tadeusza. Młody nasz oficer musiał tedy odwiedzić
Gozdzkiego w jego
własnym dworze w Jaryczowie.
Uprzedzimy Tadeusza, a nim zdąży do tej miejsciny,
zapoznamy czytelnika z panem
Gozdzkim.
Znanym i głośnym na Galicję całą był dwór jaryczowski,
sławnym i wielce
popularnym gospodarz jego! Józef hrabia Gozdzki, pan
możny, szwagier tak
głośnego podówczas księcia de Nassau, należał do
najwybitniejszych figur
szlachty

() Szczegóły do oddania postaci hr. Gozdzkiego zawdzięczam
Pamiętnikowi

anegdotycznemu, wydanemu przez I. J. Kraszewskiego.

Poznań

galicyjskiej, był pod niejednym względem typem pierwszego Galicjanina., typem

jakiego musiały stworzyć nagły przewrót publicznego życia i owa konieczna walka

narodowego charakteru z przykreimi warunkami i formami nowego bytu.

Cechami takich typów były głównie: uporne odmawianie nowemu porządkowi rzeczy

tytułu de jure a przymusowe tylko folgowanie temu, co było de facto, rezygnacja

bez kapitulacji, powolne posłuszeństwo bez hołdu, mus bez uznania, wieczny

protest w sercu i na ustach, walka umysłu i uczucia z rzeczywistym stanem

stosunków, uciekanie się bodaj do własnej iluzji, aby choć nią nawiązywać

zerwaną nić ojczyściej wolności...

Taki dziwny i bolesny czas dysharmonji i kontrastów między tem co żyło jeszcze w

duszy a tem co pogrzebano w rzeczywistości — jak cichsze i spokojniejsze

charaktery wiódł do zupełnego odcięcia się od świata, do zamknięcia się w

najciaśniejszej skorupie przed przykreimi wrażeniami nowego ładu, do formalnego

pustelnicstwa — tak znowu burzliwsze i gwałtowniejsze umysły pobudzał do ciągłych

starć, do czynnego oporu, do awanturnicznych zapasów z nowym rządem.

Pan Gozdcki należał właśnie do tego ostatniego rodzaju. Z natury burzliwego i

namiętnego usposobienia, obdarzony bezprzykładną, do
szaleństwa posuniętą
odwagą, z wrodzonym popędem do krnąbrnej
awanturniczości, przeżył on młodość swą
i wiek mężki wśród ciągłych przygód. Gdy po rozbiorze
Polski nie chciał złożyć
homagjum carycy, skon-
fiskowano mu na Podolu dobra, a on przeniósł się wówczas do
Galicji, gdzie objął
majątek, zapisany mu przez wujenkę, panią stolnikową
Humiecką.

Jeszcze przed stałem swem osiedleniem się w Galicji, znany
on był w tej
prowincji z całego szeregu przygód i awantur. Staczał
formalne bitwy z panem
starostą kaniowskim o jego żonę, rębał Moskali, kiedy przed
rozbiorem zajęli
byli stolicę Rusi, później rozbijał Niemców, wyrzucał -
nowych urzędników z swego
domu, nie uznawał nowego porządku i nie płacił dobrowolnie
podatków, dając się
egzekwować i składając starannie kwity egzekucyjne, aby się
niemi, jak mawiał,
później wykazać, że nie on płacił, ale mu przymusowo
zabierano.

Niegdyś rębacz pierwszej sławy, jeździec nieprześcigniony i
obdarzony olbrzymią
siłą, poddał się już w czasie naszego opowiadania starości,
która po tak
burzliwym życiu musiała być w dwójnasób dokuczliwą.
Goździki nie dosiadał już
konia, nie dobywał szabli, choć się nigdy od niej nie odłączał,
a ból w nogach

zmuszał go prawie do ciągłego siedzenia. Rozrywał się za to
czytaniem książek i
gazet, których był wielkim miłośnikiem, lub muzyką, w której
był biegłym
dyletantem.

Dwór jaryczowski, jakkolwiek nie był już tak huczny i głośny
jak za młodszych

lat swego gospodarza, zachował jednak zawsze stopę
magnackiej okazałości.

Sześćdziesięciu pajuków w szarozielonej barwie, pod
rozkazami marszałka, liczny

oddział strzelców z łowczym na czele, osobna dworska kapela
— robiły dwór ludnym

i rojnym. W stajni stało sto

dwadzieścia koni, bo choć sam Gozdzki jeździ! jednokonną
soliterką, to

towarzyszyło mu przecież zawsze około czterdziestu ludzi i
tyleż koni. Oprócz

służby zwykłej przebywali na dworze jaryczowskim zawsze
kapelan i lekarz

nadworny, i mieściła się nadto znaczna liczba szlachty i
rezydentów.

Lecz czas już zapoznać się nam z samym gospodarzem. W
ulubionej swej komnacie,

która będąc rodzajem sypialni, zbrojowni i gabinetu zarazem,
przepełniona była

książkami, papierami i całym zbiorem broni wojennej i
myśliwskiej wszelkiego

rodzaju, siedział sam pan na wygodnym, szerokim krześle z
ręką opartą na grubej

lasce. Był to mężczyzna olbrzymiej budowy ciała i wielkiej
bardzo tuszy. Twarz

jego, jakkolwiek tuszą tą zmieniona i pozbawiona wyrazu,
uderzała przecież
stanowczemi rysami, a oczy zachowały cały ogień i całą
energję spojrzenia z lat
młodszych. Siwa czupryna krótko była postrzyżoną, ale zato
wąs duży i pokrętny
sumiasto przewijał się po ogromnych policzkach i nadawał
całości twarzy wiele
charakterystycznej, sarmackiej grozy, którą podwajało jeszcze
czoło wysokie i
chmurne.

Pan Gozdcki właśnie przed kilku godzinami powrócił ze
Lwowa i siedząc na krześle
z markotną miną, nudził się widocznie. Słabość nóg nie
pozwalała mu nigdy prawie
opuszczać krzesła, odjęła mu najprzyjemniejsze niegdyś
rozrywki. Przy podobnym
stanie zdrowia jedyną zabawą, przypominającą czasy zdrowia
i siły, było
polowanie na kaczki. Pan Gozdcki kazał się wówczas wynosić
na krześle nad brzegi
dużego stawu jaryczowskiego i strzelał do kaczek, krzesło
było umyślnie tak
urządzone, że łatwo na wszystkie
strony można się było na niem poruszać, a sam strzelec był tak
dzielny, że żaden
strzał nie spudłował mimo utrudnionej pozycji. Ale dziś już
minęła pora
polowania, a tym sposobem odpadła jedna z najmilszych
rozrywek. Pan Gozdcki
bawił się jakiś czas książką, potem kazał sobie podać skrzypce
i próbował

dawnego talentu, ale i głowa dziś jakoś do czytania nie była
układna i palce do
smyczka nie zręczne.
Rzucił tedy jedno i drugie, stuknął laską, ruszył niecierpliwie
nogami, które
mimo słabości tkwiły zawsze w ślniących palonych sztylpach
z ostrogami, ziewnął
i szarpnął za taśmę od dzwonka. Jeszcze się nie uspokoiła
poruszona szarpnięciem
taśma, kiedy za drzwiami dał się czuć powolny! ociężały krok
i niebawem stanęła
w pokoju wysoka, chuda postać.
Był to pan Dyzma Hołubowicz, marszałek dworu i
nierozłączny towarzysz i
przyjaciel pana Gozdzkiego. Chudy, cienki, zgarbiony, miał
główkę w stosunku do
postaci bardzo malutką, twarz drobną zwiędłą, pomarszczoną i
pobabczoną, nos
cienki z karmazynowym kolorytem, a na głowie zaledwie
garść siwych włosów.
Ubrany był w płowy kontusz przepasany jasnoWękitnym
jedwabnym pasem, za który
powsuwał ręce kończasto w łokciach zgięte. Starowina ledwie
suwał nogami i
pokaszwał po drodze, a posunąwszy się na kilka kroków od
drzwi w głąb pokoju,
stanął, uklonił się i zapytał;
— Pan hrabia woła?
— Wołam, wołam bratuniu, bo mi już drzemać przychodzi z
nudów! Ale siadaj
stary, siadaj, bo jak zóraw kiwasz się na nogach...
Pan Hołubowicz jeszcze przed zaproszeniem oglądnął się za
krzesłem a teraz

usiadł sobie sztywnie i odchrząknął.

- Nie ma kaczek?

- Oho! kędy tam kaczki, ani łapki! — odparł stary machnąwszy ręką.

— A z poetyką jak tam? — zapytał dalej p. Gozdzki.

Była to aluzja do słabości pana Hołubowicza, który nudząc się często we dworze

próbował nieraz Pegaza. Była to najśłabsza i najdrażliwszą strona starego

Hołubowicza, więc popatrzył podejrzliwie na hrabiego, czy też nie szydzi z

niego.,

— No, no, przyznaj się stary bratku! Palce jak widzę masz waszmość inkaustem

powalane!

— At wolne żarty, panie hrabio, wolne żarty! — odparł Hołubowicz — pan hrabia

kpi ze starego a już to, mówiąc otwarcie, nie takim tam bardzo podlejszy od pana

starościca korytnickiego, albo od pana Karpińskiego, co sobie tak hrabia w nich

upodobał! Ich poezje za złamanego szeląga nie mają kunsztu!

Kunszt panie,

kunszt! to fundament artis poeticce!...

Stary widocznie się zapalił, bo i rumieniec na twarz mu wystąpił i długie

kościste ramiona biegały jak skrzydła wiatraku.

— Jakiż to kunszt, panie Dyzma?

— A cóż mi tam za kunszt kleić rymy do rymów, to i gmin potrafi! Ale naprzykład

logogryf składany, albo akrostyk cefoliczny, albo pieśń orficzna, albo wiersz

wężykowaty, z gwiazdą podwójną i et caetera, to mi kunszt prawdziwy! Gdzie tam teraz takie wiersze piszą...

— No i napisałeś jaki wiersz kunsztowny? — zapytał z uśmiechem Gozdzki.

— Ba! gdyby to pan hrabia bez pośmieszków wysłuchał, np. ten rodowód Gozdzkich, co się zaczyna: Got z Gotów gotów, godny pan graf Gotski...

— No, no, daj wasze pokój, ja się nie będę starał o żadną monarchię, tak jak moja pani siostra o monarchów, to mi się i z królów gotskich wywodzić nie potrzeba! A zresztą to stare, a masz zapewne coś nowego.

— To chyba ten obelizek z szesnastu gatunków wierszy do panny...

— Oho! do panny, do panny! A do jakiej ?

— Do panny Nowotarskiej! — bąknął stary mieszając się znacznie.

— Złapał się stary, złapał! A to pięknie do panien wiersze pisać, a grzybie! grzybie!...

— A no i pan hrabia nie o wiele młodszy, a przecież niedawno...

— Plus quam perfectum! panie Hołubowicz! Dawne dzieje! dawne dzieje!

— Dawne i niedawne — poderwał Hołubowicz, kontent że temat kłopotliwy zmienić może — Nieraz jak się człek zaduma, to mu się zdaje, że to wczoraj było, jakeśmy sobie hulali, np. jakto mnie pan hrabia poznał i z zaścianku wydobył.

— Aha! kiedyśmy to Kamieńca dobywali! — zaśmiał się Gozdzki.

— Kiedyśmy to przez rankor na pana komendanta
Kuczyńskiego azardowali się w
ośmdziesiąt koni na ludzi, na cały garnizon forteczny!

— A potem w łańcuszkach siedzieli w kozie!

— Albo mospanie! — ciągnął rozpalając się Hołubowicz —
kiedyśmy w wojnie
pruskiej jednym patrolem z pułku Małachowskiego trzechset
Austrjaków żywcem
złapali!

— Za co potem król Fryc mało mnie nie powiesił, żem
rozejm zakłócił! Ale milcz
o tem waszę, wstyd mi, żem kiedyś w pruskim wojsku służył,
pod tym
rozbójnikiem, co potem kraju nam zdradnie nadszarpnął!

— Szelma luter!... Nie mówiłem ja już wtedy, że szelma!
Albo potem we Lwowie za
okupacji Kreczetnikowa? he? kiedy to kilkadziesiąt oficerów
atakowało w nocy
pana hrabiego. Pamiętam jak dzisiaj! Śpię sobie w alkierzu, a
tu naraz hurma
oficerów nastaje na pana. Pan hrabia woła: Zamknij drzwi!" i
brzęk, szczęk na
szable! Ja wybiegam z szerpentyną, wal! pal! i tałałajstwo w
nogi!

Goźdzki uśmiechnął się na to wspomnienie; a po uśmiechu
tym poznać było, że było
mu miłe.

A potem... potem!... Co też to się awantur nie narobiło, ale już
pamięć nie
dopisuje!

— Potem — dokończył Goźdzki — staliśmy się kaiserlikami,
przyszli Austrijacy, i
trzeba było szablę zanitować, i cicho siedzieć...

— O niech bo hrabia poczeka, a wojna z panem Kaniowskim? Kiedyśmy mu jego nieboszczkę żonę, a później naszą panią hrabinę, po dwakroć odbijali? A obleżenie Jaryczowa, kiedy to pan Potocki z armatkami na nas nadciągnął, a my się odsiekli i armatki zabrali? A bitwa z milicją Kaniowską pod Glinianami i traktat pokojowy w tem mieście z panem Potockim zawarty?

— Infandum jubes renovare... panie Dyzma ! Dziś milicji nie ma, nie wolno, a

coby to czarapary z harbajtlami powiedzieli?

— Owa! bijaliśmy i czarapary, albośmy to z kretesem raz albo dwa razy zalali sadła Niemiaszkom? A jak pan dyrektora policji, tego Strassolda, co potem uciekł ze Lwowa, u samego gubernatora, kiedy panu przymówił, tak macnął po czerepie, że Niemiaszek aż za trzecie drzwi wyleciał! Chciał się mścić potem i nastawił zasadzkę w teatrze! Oj byłaż to łaźnia! Pan hrabia jednego Niemca kijem strzepał, a chwyciwszy drugiego za nogi, wywijał nim i obraniał się przed reszty!

— Ale potem z Galicji fugas chrustas...

— No, ale się wróciło i co nam zrobili? Stary się rozsapał, rozpalił i przymilkł zadyszany.

— Widzisz że, widzisz, panie bratku — ozwał się Gozdcki ze śmiechem — jacy to my zuchy byli! A teraz co? Ja stary grzyb, kaleka z krzesła ruszyć się nie mogę,

a ty
łazisz iak ćma, szurujesz łapami i kiepskie wiersze orficzne i
obeliszki

gryzmolisz! Zachnął się pan Hołubowicz draśnięty
najdotkliwiej tą przymówką i już
miał wyjechać z jakimś argumentem na obronę swego
poetyckiego kunsztu, kiedy
nagle wszedł sługa w szarozielonej liberji. Porwał się
marszałek z poważną miną
z zapytaniem, i dowiedział się, że jakiś młody pan przybył ze
Lwowa i chce się
widzieć z panem Gozdzkim.

— Gzy wpuścić zaraz? — zapytał Hołubowicz.

— Ale zaraz! natychmiast! Rad będę gościowi! Wysunął się z
pokoju Hołubowicz,
szurając butami po
posadzce, a za chwilę wszedł do komnaty gość
zapowiedziany. Był to Tadeusz.

Uklonił się nisko i z uszanowaniem, a pan Gozdzki uprzejmie
pochylił się z
krzesła.

— Tadeusz Warski! — przedstawił się nasz bohater.

— Warski?... Warski... Tadeusz? — przypominał sobie hrabia
— aha! już mam!

Widziałem Waćpana temu lat kilka wraz z panem Zakruckim!
Byłeś wasze młokos

jeszcze, a teraz jak widzę szlifa oficerska na mundurku!

Witam waćpana i jestem
na rozkazy!

I podał uprzejmie Tadeuszowi dłonie. Tadeusz uścisnął dłoń
starca i wydobywszy
list podał go Gozdzkiemu.

— Od pana Zakruckiego? A zdrów stary i wesół? co? — i nie czekając odpowiedzi na zapytanie rozłamał pieczętkę i począł szybko list czytać. Nagle porwał się z krzesła mimo nóg osłabionych i z rozpromienioną twarzą zawołał:

— Wiec rzecz skończona! Więc pomścimy się krzywd naszych! Alea jacta est!
I szarpnąwszy ku sobie Tadeusza z uniesieniem go uściskał.

— Wiedziałem o tem dawniej, ale niedokładnie, a we Lwowie jakoś mi nic całkiem stanowczego powiedzieć nie umiano. Zwyczajnie człowiek stary, chory, to już ludzie o nim nie pamiętają, a jak mecenasa Dzierżkowskiego nie zastaniesz w mieście, to już nic się nie dowiesz...

I przebiegłszy raz jeszcze okiem list Zakruckiego mówił dalej:

— Frant Zakrucki! Mieszka za światem a już ztamtąd ma wiadomości i informacje, a ja choć bliżej ludzi, czekam i czekam na listy i instrukcje z Krakowa! Zuch obywatel, o ojczyźnie pamięta! No dzięki Bogu! już rzecz gotowa, już plan stanowczy! Waszmość wprost do Krakowa?

— Wprost i bez zwłoki!

— Pisz stary o akcesie! Alei ja wszystko dam na akces!
Bierzcie cały mój majątek, bierzcie wszystko, wszystko! Krwi dać nie mogę, bo ledwie gdzieś jeszcze kropla jest w żyłach, co nie zastygła, a człowiek okaleczał z kretesem! Wiwat nasza! Wiwat pan Kościuszko!

I stary Gozdzki odmłodził, odżył, a radość twarz mu opromieniła.

I znowu uścisnął Tadeusza.

— Byleby nie zwlekać, byleby ot zaraz i hajże na szelmów!

My damy wszystko,

mienie nasze, życie nasze! Lepiej paść z orężem w dłoni narodowi, niż nikczemnie

hańbą się dodławić!

Tadeuszowi rozgorzało oko, jakby w odpowiedź na zapal starca.

— Waszmość u mnie do jutra będziesz łaskaw zostać?

— Nie wiem czy mogę zwlec tak wyjazd...

— Ale możesz, możesz! Już ku wieczorowi, daleko dziś dojedziesz. A ja

chciałbym dać przez Waćpana listy do Krakowa.

— I Zakruckiemu raczy hrabia odpisać...

— Natychmiast odpiszę i stawić się będę we Lwowie na termin. Uwagi jego

aprobuję jako szlachetne, trzeba robić koniecznie tak jak on myśli, wszakże

provincia nasza choć przechrzczona, to przecież zawsze polska... Ale siadaj

panie Tadeuszu, rozgość się, pogadamy.

Niebawem rozpoczęła się żywa pogadanka. Przedmiotem jej było bliskie powstanie

narodu i jego nadzieje. Gozdzki rozmawiał z zapalem

młodego, z wiarą i otuchą

człowieka, którego nic złamać dotąd nie mogło.

Tak rozmawiali przez pewien czas gospodarz z gościem. gdy naraz zaskrzyły drzwi

i ukazała się w progu chuda i długa figura pana marszałka

Hołubowicza.

— A co tam stary bratku? Choć no wasze bliżej! — zawołał Gozdzki, którego rozmowa w dobry wprawiała humor.

Hołubowicz był jakoś zmieszany i kręcił węzłem swego pasa.

— No cóż tam, gość nowy?

— A gość, ale bodajby... — mruknął p. Hołubowicz.

— Gadajże prędko!

— Pan hrabia sobie przypomina, że zakazał sobie pokazywać niemieckie pisma, które nadejdą z cyrkułu.

— Przypominam sobie — zawołał chmurząc czoło Gozdzki — i jeszcze raz zakazuję, najostrzej zakazuję, aby mi nigdy na oczy nie przyszło! To mnie irytuje i o chorobę przyprawia!

— Stało się wedle rozkazu. Było w tym miesiącu aż trzy pisma z krajshauptmanamtu, a ja żadnego nie pokazywałem...

— To nie pokazuj i czwartego, jeśli przyszło...

— Ale bo to nie czwarte pismo, ale sam urzędnik...

— Co, Niemiec przyjechał, dziś! teraz?

— Właśnie co zlaźł z wozu i chce się widzieć z hrabią...

— Nie będzie się widział do kroćset! Nie puszczaj go! I pan Gozdzki uderzył silnie laską o podłogę. Wspomnienie Niemca skwasło go i rozgniewało.

Pan Hołubowicz kiwnął maleńką główką i wyszedł z pokoju. I my udamy się za nim, aby poznać niepożądanego gościa.

W przedpokoju przechadzała się krótkimi i szybkimi kroczkami figurka

pocieszna. Był to jegomość z długim nosem, w ryżej peruczce z katagonem, w pończoszkach, ciemnozielonych pluderkach i w długim fraku z ogromnemi guzikami.

Był to krajshauptman, jeden z tych, którzy najzawzięciej nienawidzili Polaków i nieraz wbrew woli rządu przebierali miarę w swej arogancji i dokuczliwości.

— Gemeldet ? — zapytał ten człowieczek ujrawszy powracającego Hołubowicza —

Bin der Kreisbeamtera Pratzel von Pudelpilz!

Słowa te szybko zaszwargotał Niemiec, a Hołubowicz tymczasem zatknąwszy kończaste ręce za pas niebieski, spoglądał nań z góry zmarszczywszy do połowy oczy.

— Pratzel von Pudelpilz szeka, pul gożina szekaj Hołubowicz ciągle nań patrzył milcząc.

— Kruzitörck! Potz Blitz ! Pro wazie zaraz Polak багаż! I posunął szybko ku drzwiom.

— Nie wolno! — mruknął flegmatycznie pan Hołubowicz i przymknął drzwi przed Niemcem.

— Gut, ja będę czekał, ale wasz polnischer Graf, i wasz багаż cały, będzie tego żałować! — odparł rozszrożony pan Pratzel von Pudelpilz. I podniósłszy leżącą w kącie torebkę, wyciągnął z niej szlafmycę i fajkę. Włożył szlafmycę na głowę, potem nałożył porcelanową fajkę i zapalił.

— Tu nie wolno palić! — zaprotestował z indygnacją Hołubowicz. .

— Schweigen! Potz Blitz! — zawołał na to p. Pudelpilz i
potrząsając szlafmycą
na głowie począł się z urzędową miną przechadzać po pokoju.
Hołubowicz wzruszył ramionami, rzucił niecierpliwe
spojrzenie na Niemca i
wyszedł do pokoju hrabiego. Po krótkiej chwili wybiegł,
spojrzał z złośliwym
uśmiechem na gościa i wysunął się drugimi drzwiami. jakby
spieszył wykonać jaki
rozkaz.

VI.

PAN PRATZEL V. PUDELPI LZ W KŁOPOTACH.

Pan Pratzel von Pudelpilz zostawszy sam w pokoju zadarł
jeszcze bundziuczniej
szlafmycy, puścił olbrzymi kłęb dymu, a potem wyciągnawszy
plik urzędowych
papierów, począł je przeglądać.

— Potz Blitz! Kruzitörck! — prawił sam do siebie kiwając się
na cienkich

nózkach — Strafe, doppelte Strafe, Straffkosten,
Kanzeleikosten,

Executionskosten, Straf einhebungs-executions-verzug-
commissions-reise-kosten !

I począł z upodobaniem liczyć cyfry, kłąć Polskę i Polaków.

Wtem nagle rozwarły się drzwi, któremi wyszedł był

Hołubowicz, i do przedpokoju

wcisnęła się cała zgraja dworskiej służby. Było ich około
trzydziestu: kozaków,

fagasów, kuchtów a każdy miał szlafmycę i fajkę w ustach!

Na czele szedł pan Hołubowicz w ogromnej szlafmycy na
drobnej główce, i z fajką

turecką, która go krztusiła, gdyż nigdy nie kurzył — za nim
stapał gęsiego cały
orszak, puszczając olbrzymie kłęby dymu...

— Kurzysz ty nam, zakurzymy my tobie! — mruknął pan
Hołubowicz i dmuchnął panu

Pudelpilzowi wprost w oczy spory kłęb dymu.

Pan Pratzel v. Pudelpilz zastraszonem okiem wypatrzył się na
tę maszkaradę i

cofnął się w drugi kąt pokoju, ale tuż za nim posunęła się cała
czereda dworska,

naśladując ruchy Niemca, potrząsając szlafmycami i okurzając
go formalnemi

chmurami dymu z fajek.

Pan Pudelpilz utonął w mgłach dymu i ledwie czubkiem
szlafmycy wypływał od czasu

do czasu na widok. Chwycił w obie ręce urzędowe papiery i
machając niemi

rozpaczliwie rozbijał kłęby dymu, aby się okazać w całej swej
grozie przed

dworskimi. Zmarszczył brwi okropnie, przybrał minę
urzędową i zawołał:

— Was ist das?!

— Wasizdas! — powtórzył pan Hołubowicz.

— Wasizdas! — powtórzyła cała banda w szlafmycach.

— Potz Blitz! To kryminał! — wołał dalej pan Pudelpilz.

— Poc Blic! to kryminał! Pocblic to kryminał! — zawołała
parodystycznym chórem

banda w szlafmycach.

Pan Pudelpilz ciężko urażony w swej powadze począł ciskać
okropne groźby i

przekleństwa, ale odpowiadało mu zawsze echo dworzan,
którzy przedrzeźniając

powtarzali jego słowa i obsypywali je następnie grzmiącym śmiechem.

Pan Pudelpilz, doprowadzony do rozpacz, wziął torbę i kapelusz, rozpuścił ręce

jak do pływania i wybiegł za drzwi. Za nim sznurkiem z fajkami i w szlafmycach

pomknęli się dworscy wśród śmiechu i hałasu na podwórze.

Pan Pudelpilz tymczasem

nie zatrzymując się na podwórzu pobiegł

ku miasteczku, skacząc swemi nóżkami w pończochach po błocie, rozgniewany i

zastraszony, z aktami pod pachą, i szlafmyca na głowie. Oparł się dopiero w

domu, oznaczonym godłem orła, gdzie znajdował się ferlag.

Wpadłszy do domu ferlegera, rzucił się pan Pratzel de

Pudelpilz zadyszany na

krzesło, odsapnął ciężko, spojrzął żalonym wzrokiem na obłocone pończoszki, a

potem zrywając się nagle, zawołał:

— Polnische Canaille! Heda! Tinte, Feder, Papier! Potz Blitz!
Zum

abschreckenden Exempel!

I zasiadłszy za stół począł z gorączkowym pośpiechem pisać, strojąc okropne miny

i klnąc bezustannie.

Był to mandat srogi, wydany do pana Gozdzkiego a

nakazujący temuż stawić się

natychmiast do domu ferlegera, do pana Pudelpilza. Gdyby się pan Gozdzki nie

stawił natychmiast, wyznaczył pan Pratzel von Pudelpilz dukatów za każdą

godzinę zwłoki. Napisawszy ten mandat, zapieczętował go p. Pudelpilz, a

wysławszy z nim ferlegera do dworu, zatarł ręce z
ukontentowaniem.

We dworze tymczasem rychło zapomniano o Niemcu. Pan
Gozdzki siedział z Tadeuszem
przy oknie i zajęty był rozmową, gdy na podwórzu pojawił się
ferleger z papierem
w ręku. Wiedział on, że hrabia zakazał najsurowiej pokazywać
sobie niemieckie
mandata, więc niósł cytację wprost do Hołubowicza.

Tymczasem jakby na
nieszczęście wyjrzał pan Gozdzki przez okno i wpadł mu w
oczy ferleger z
papierem w ręku. Roztworzył więc okno i zawołał: — Hola!
Zkąd to? od kogo?

Biedny poseł zadrżał ze strachu — lecz nie widząc innego
fortelu podał hrabiemu
w milczeniu papier.

Gozdzki chwycił szybko za papier, zżymnął się z gniewu,
skoro tylko z pierwszym
"sintenmalen" się spotkał — a porwał się z najwyższą furją,
skoro całą cytację
odczytał.

— Do pioruna! — krzyknął — zobaczymy!
I podarłszy papier w kawałki, podeptał go nogą, a potem
zawołał:

— Hołubowicz!
Stawił się natychmiast stary marszałek, a ujrzawszy kawałki
podartego papieru,
domyślił się wszystkiego i kłopotliwie poskrobał się w głowę.
— Patrz, ten warjat grozi, karę nakłada! Dam ja mu! —
krzyczał pan Gozdzki —
oćwiczę, zabiję!

Pofolgowawszy pierwszemu uniesieniu dodał jednak spokojniej:

— Pisze, że za każdą godzinę zwłoki, skoro się u niego stawić nie będę, mam

zapłacić dukatów. Ja Gozdzki u tego... tego...

— Pilcepudla... — poderwał Hołubowicz.

— Ja u Pratzelplica!...

— Pudelpracla! panie hrabio, o ile wykalkulowałem jego nazwisko... — poprawił

Hołubowicz.

— Słuchajże! Pieniądzy nie posełać! Zobaczymy!

Urwała się rozmowa z Tadeuszem, mandat pana Pratzla v. Pudelpilz przerwał ją przykrym dysonansem. Pan hrabia Gozdzki milczał,

mrucząc podkrecał wąsa, widocznie coś

rozmyślał i układał. Nagle jakby jakaś myśl szczęśliwa wpadła mu do głowy,

wybuchł głośnym śmiechem i zawołał:

— Mam sposób! mam! Napatrzysz się panie Tadeuszu i będziesz rozповідаł polem,

jak stary Gozdzki Niemiaszków rozumu uczy!

I zadzwonił znowu na Hołubowicza.

— Hołubowicz! — rzekł do przybywającego — kiedy mi przysłał mandat pan

Pratzelplitz?

— Przed godziną.

— Poczekasz tedy jeszcze trzy kwadranse, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Potem weźmiesz pięćdziesiąt dukatów, jako grzywnę za dwie godziny zwłoki i

zawiesz temu Pradelputzlowi!

— Dobrze, panie hrabio.

— Czekajże jeszcze Waszmość. Secundo: zaraz po odniesieniu pieniędzy obstawisz dom ferlegera, gdzie ten Niemcaszek siedzi, dokoła hajdukami, aby go strzegli, przez okna straszili i umknąć nie dali...

— Fiat, jak hrabia każe.

— Tertio: zawołasz do mnie zaraz żydka Berka. Hołubowicz chciał odejść.

— Czekaj! Co się to wczoraj w pasiekach stało? — Skradziono kilkanaście ułów...

— Wyszlesz tedy koniuszego z trzema kozakami, aby tam wartowali noc całą. Gdy im się nawinie jakie podejrzane indywiduum, niech go odstawią do justycjarjusza.... Zresztą z koniuszym, nim się uda według dyspozycji, sam się chcę widzieć...

— Każę mu się stawić...

— A teraz nakoniec Waszmość gotuj się do wyjazdu....

Przed ranem wyjedziesz, aby stanąć wraz z dniem we Lwowie. Weźmiesz z kasy jeden rulon z setką dukatów, drugi z pięćdziesięcioma, dalej dwie asygnacje na sto fur drzewa i sto korcy owsa. Dam ci także listy do gubernatora i do pana konsyljarza Milbachera... Oddasz wszystko gdzie należy, dodam ci konotatkę dla pamięci.

— Będę pamiętał.

— Więc zwiń się stary!

Rzucił się Hołubowicz do interesów, a w pół godziny był już u pana Pratzla v.

Pudelpilz z pieniędzmi. Równocześnie stawił się żydek Berko u pana hrabiego.

Berko był to typ sprytnego i dowcipnego żydka. Zawsze pełen
konceptów, sposobów
i fortelów, nieoceniony był do wszelkiego rodzaju spraw i
sprawek, wymagających
zręczności. Po krótkiej naradzie z p. Gozdzkim wybiegł Berko
z izby z figlarnym
uśmiechem na ustach, a wracając do miasteczka, umyślnie
zmienił drogę, aby nie
wiedziano, że był u pana Gozdzkiego.

Tymczasem p. Pratzel von Pudelpilz ujrzawszy u siebie p.
Hołubowicza z dukatami
nabrał ogromnego kontenansu.

— A co Potz Blitz Krucitörck trzeba wam tego było ? —
zawołał.

— Co komu posłuży, co komu posłuży — odpowiedział
Hołubowicz.

Już ja was nauczę szelmy Polaki! — srożył się dalej pan
Pudelpilz.

Ale Hołubowicz nie słuchał dalej, złożył dukaty, spojrzął
pogardliwie na Niemca
i odszedł.

Pan Pratzel von Pudelpilz zasiadł zaraz do stołu, zapalił
świecę, bo już ciemno
było, wziął czysty arkusz papieru i napisał na wierzchu:
Bericht! Potem wziął
pióro do ust, położył się w krześle i zmrużywszy oczy, myślał
nad treścią
dokumentu, który miał ułożyć. Nagle rzucił się ku papierowi i
z wielkim zamachem
zawinał piórem. Lecz jeszcze pierwszego nie napisał słowa,
gdy naraz nagle
uderzenie w okno i gwar głośny około domu obił się o jego
uszy.

P. Pudelpilz porwał się na równe nogi i począł słuchać zastraszony...

Na dworze rozległ się gwar ogromny, jacyś ludzie bili kijami o drzwi i okna, i

słysząc było wyraźnie:

— Dawaj go tu! dawaj go tu!

— Łapaj! dobywaj!

Panu Pudelpilzowi zadrżały łytki i skoczył w przerażeniu w najciemniejszy kąt pokoju. Wtem i drzwi się rozwarły a do pokoju wbiegł zastraszony ferleger.

— Źle, panie, przepadliśmy!

— Was ist?!

— Ludzie dworscy otoczyli dom do koła! Chcą pana komisarza żywcem lub trupem dostać w swe ręce.

— Potz Blitz!... — bełknął w przerażeniu pan Pudelpilz i zatoczył się na nogach.

W izbie stała ogromna skrzynia czyli raczej paka drewniana bez wieka. Pan

Pudelpilz zgasił świecę i jednym susem zanurzył się wraz z czubem w pace

Ferleger strwo-

żony wybiegł z pokoju. Ciemność ogarnęła biednego więźnia

— a na dworze słysząc

było wciąż krzyki i pogróżki...

Pan Pudelpilz stracił do reszty animusz, przykucnął w skrzyni i począł kłapać

zębami. Tak siedział w trwodze godzinę całą, polecając się w opiekę wszystkim

świętym. Ale krzyk na dworze nie ustawał i dworska czereda nie odstępowała jak

widać od domu.

Naraz drzwi zaskrzypnęły z lekka i do pokoju wsunęła się jakaś ciemna postać.

Pan Pudelpilz zerknął przez ścianę skrzyni, a ujrawszy ciemnego gościa, dał nurka w kącik swej klatki, zwinął się w kłębek i zaparł oddech w sobie. Ciemna postać ogłędnęła się po izbie, dobyła krzesiwa i rozbliwszy ogień zapaliła świecę.

Przy świetle poznajemy żydka Berka. Żydek rozglądnięty po pokoju i zaczął szeptać półgłosem:

— Wielmożny pan Pudelpilz! wielmożny pan Pudelpilz! Ale wołany nie dawał żadnego znaku życia. Berko począł szukać z świecą po kątach izby i zagłędnięty w końcu do skrzyni.

— Wielmożny pan Pudelpilz niech wyłazi! — szepnął dotykając Niemca.

Pan Pudelpilz jęknął i w śmiertelnej trwodze spojrzął na mówiącego. Lecz zaraz pierwszy rzut oka uspokoił go nieco. Zamiast jakiego węsacza kozaka lub hajduka z szablą lub nahajem w ręku ujrzał brodę żydka.

Podniósł się tedy trochę i wystawiając nos z skrzyni zapytał drżącym głosem:

— Co tam się dzieje?

— Źle się dzieje, okropnie źle, wielmożny panie komisarzu!

— odpowiedział Berko śmiejąc mu się w oczy.

— Ratuj mnie!

— Nu, jak ja to zrobię, jabył chciał....

— Kruzitörck... — mruknął omdlały pan Pudelpilz.

— Tu straszne będzie nieszczęście... — ciągnął żydek. Pan Pudelpilz jęknął.

— Czy pan wie, że tam na dworze stoi z jakich sto hajduków...

— Wiem.

— Czy pan wie, że oni mają szablów, nożów, fuzjów, pistoletów, nahajów, po cztery na jednego...

P. Pudelpilz zrejterował z nosem napowrót do skrzyni.

— A czy pan wie, po co oni tam stoją ?

— Nie... — szepnął głucho więzień.

— A wie pan gdzie jest studnia za miastem.. Pan ją widział, jak pan tu jechał...

— Widział!

— Otóż oni chcą zrobić coś strasznego, coś okrutnego, aj! aż mnie samego strach bierze...

— Co ?... — zapytał zamarłym głosem pan Pudelpilz.

— Oni chcą najpierw uwięzić wielmożnemu panu wielki kamień do szyji...

Pan Pudelpilz jęknął w rozpacz.

— A potem chcą wielmożnego pana rzucić do studni..

Pan Pudelpilz padł z łoskotem w skrzynię i drygnął tylko cienkimi nóżkami.

— A potem... potem jeszcze oni studnię zasypią het do góry! Aj waj! okropna historją!

Pan Pudelpilz dobył ostatnich sił i rozpaczliwym rzutem wystawił nad skrzynię czubek szlafmocy.

— Ratuj mnie! — szepnął do żyda.

— Nu, jakże ja mam ratować! To daremna rzecz! Ja tylko tu przyszedł pana

uprzędzić, bo mi się żal bardzo wielmożnego pana zrobiło!...

— Pokaż mi drogę, którą by uciec! — błagał pan Pudelpilz zrozpaczonym głosem.

— A gdzież tu jest jaka droga, kiedy wszędzie hajducy? A zresztą, co by mi potem graf Gozdzki zrobił, on by mnie powiesił!

Więzień zginął znów bez śladu w ciemnej czeluści skrzyni.

Żyd myślał chwilę a

potem rzekł znowu:

— Panie, panie, możebym ja co i zrobił... Biała szlafmyca pojawiła się znowu na wierzchu.

— Ratuj, dam ci, co chcesz! Ratuj mi życie! — błagał p. Pudelpilz.

— Nu, ja tak z miłosierdzia możebym i co poradził. Ale ja biedny żyd! Jabym musiał potemu uciekać przed panem grafem z Jaryczowa... Moja żona i dzieci z głodu by poginęły...

— Ja ci zapłacę!

— Nu, a wiele? Da wielmożny pan pięćdziesiąt dukatów? Życie więcej warto...

Niech już ze stratą zarobię...

Pan Pudelpilz porwał się z skrzyni. Miał w kieszeni dukatów grzywny za zwłokę

dwóch godzin, którą mu niedawno przyniósł był Hołubowicz.

Wydobył je i dał

żydowi. Żyd przeliczył powoli dukaty a potem rzekł:

— O północy oni mają pana utopić... Do północy jest jeszcze godzina...

— Kruzitörck... Uciekajmy!

— Zaraz, zaraz, tu w tyle jest jeden wychód z domu, tam nie stoi żaden kozak!

Pan Pratzel von Pudelpilz wyskoczył teraz ze skrzyni i drżąc od strachu chwycił żyda za rękę.

Berko zgasił świecę, a potem pociągnął go za sobą. Wyszli do ciemnych sieni a

pan Pudelpilz tak lekko i cichutko stapał po ziemi jak po kobiercu. Z sieni

wyszli na tylne obejście i stanęli przed płotem. Z tej strony domu nie widać

było istotnie żadnego hajduka. Berko pierwszy płot przelazł, a za nim w susie

akrobatycznym mignęła biała szlafmyca.

Berko spieszył naprzód uliczką a pan Pudelpilz dreptał w jego ślady, oglądając

się, czyli ich pogoń nie ściga. Noc była ciemna, a Niemiec co chwila potykał się

i padał w jaryczowskie błoto.

— Potz Blitz! Kruzitörck! — klął za każdym potknięciem się i za każdą kąpielą w

kałuży pan Pudelpilz, ale Berko słusznie go pocieszał, że lepsze małe

dolegliwości żywota nad studzienną topiel.

— Tak spiesząc naprzód stanęli u jaryczowskiego młyna, gdzie od dalszej drogi

dzieliła ich rzeka. Właśnie w tem

miejscu doleciał uciekających jakiś gwar z miasta. Pan Pudelpilz myślał że to

pogoń, skoczył jak szalony w wodę, a trafiwszy nieszczęściem na miejsce głębokie

dał nurka. Spłynęła biała szlafmyca a za nią i peruka po wierzchu, ale sam ich

właściciel znikł na chwilę pod wodą.

. Na szczęście uniosła woda nieszczęśliwego pana Pratzla pod kładkę, którą właśnie przechodził Berko. Woda tu była już płytsza i niebawem łysa głowa wydobyła się z topieli i dwoje rąk poczęło strzydz rozpaczliwie po nad wodą.

Dopomógł Berko tonącemu i pan Pudelpilz zmoczony, wylękły, dzwoniąc zębami znalazł się na drugim brzegu rzeki. Ztąd przeprowadził go Berko polem ku dworskim pasiekom. Ledwie się jednak do nich zbliżyli, gdy naraz ozwał się krzyk:

— Jest złodziej! Łapaj!

I kilku jeźdźców jakby wystąpiło z pod ziemi.

Berko zwinął się w kabłąk, skoczył bokiem i kocim susem zniknął gdzieś w cieniach nocy.

Pan Pratzel von Pudelpilz wydał okrzyk grozy i padł plackiem na ziemię...

Jeźdźcy pozłazili z koni. Byli to kozacy dworscy!

— Wstawaj bratku! — zawołali podnosząc leżącego. Pan Pudelpilz ledwie się trzymał na nogach i jęczał ołaskę.

— Coś ty za jeden? — zapytał jeden z kozaków.

— Co go się pytać, to pewno złodziej! — odezwał się drugi.

— To tyś bratku ukradł wczoraj ule?

Pan Pratzel nie był w stanie odpowiedzieć.

— Udało ci się wczoraj, to i dziś chciałeś próbować.... Ho, ho, nie udała się sztuka!

— Ja żaden szlodzi, ja... ja... jest Pratzel v. Pudelpilz!...

— A patrzajże, jak szelma Niemca dobrze udaje!

— Ja krajsbeamter....

— Go, ty krajsbeamter? Pan krajsbeamter w dworze na komisji siedzi. Piękny mi beamter! Nie wykpiasz się włóczęgo! dalej do aresztu! — zawołał koniuszy.

Wzięto pana Pudelpilza do środka i wkrótce odstawiono go do miejskiego kałauzu.

Na drugi dzień wyprowadzono pana Pudelpilza z aresztu.

Justycjarjusz zrobił z nim protokół jako z włóczęgą i podejrzanem indywiduum.

Daremnie pan Pudelpilz gniewał się i zżymał, daremnie usiłował się tłumaczyć — justycjarjusz opierając się na jego ucieczce ku stronie pasieki, na stan, w jakim go znaleziono, upornie trwał przy podejrzeniach.

Wtem dano znać, że przyjechała komisja ze Lwowa. Ucieszył się p. Pudelpilz i zawołał:

— Potz Blitz! Krucitörck! Weźmiecie teraz za wasze! Ale zawiódł się nieborak.

Stawiono go przed komisją, której przewodniczył sam pan Milbacher. Począł pan Pudelpilz oskarżać i wyrzucać, odwołując się do gwałtów i krzywd) jakie mu wyrządzono.

— Pan nałożyłeś karę za zwłokę w stawieniu się hrabiego? — zapytała go komisja.

— Ja.

— Pan odebrałeś pięćdziesiąt dukatów za dwie godziny? Pan Pudelpilz potwierdził lecz zmieszał się okropnie.

— Gdzież są te pieniądze? Proszę je złożyć...

— Nie mam... Żyd... Dingsda... — począł się jękać pan
Pudelpilz — musiałem
niemi ratować życie!

— Jak? co?

Pan Pudelpilz opowiedział swą przygodę. Rzucono się zaraz
za żydem — lecz o

Berku ani śladu nie było w Jaryczowie. Świadkowie zeznali,
że Berka od kilku dni
nie widziano w miasteczku.

Szanowny pan Pratzel v. Pudelpilz znalazł się w strasznym
kłopotcie... Obrona

jego wydała się tak dziwną i nieprawdopodobną, on sam był w
tak podejrzany

sposób zmieszany, że komisja musiała przypuszczać, iż
szanowny człowieczek

usiłował umknąć z zabraną grzywną. P. Pudelpilz znalazł się
pod zarzutem

przeniewierstwa...

Kłopoty nie tak rychło się skończyły. P. Pratzel v. Pudelpilz
został

suspendowanym i byłby może gorszego jeszcze doznał losu,
gdyby nie pan Gozdzki,

który wstawił się za nim. W skutek tej interwencji skończyło
się na tem, że p.

Pudelpilz przeniesiony został z Galicji znowu nach draussen.
Fungując później w Czechach, p. Pudelpilz opowiadał nieraz
w kole swych

przyjaciół i znajomych przy piwie swe przygody w Galicji,
chełpiąc się swą

ogromną odwagą i energją — a kończył swoje opowiadanie
zazwyczaj taką Wzmianką:

— So wahr ich Pratzel von Pudelpilz bin! Pratzel von
Pudelpilz to straszne imię

dla Galicji ! Potz Blitz ! Die polnischen Graf en, die habe ich
zu Paaren

getrieben! Jest tam ein verflixter Canaillengraf Goschky, an
dem habe ich ein

schreckliches Exempel statuirt! Oni mnie tam popamiętają !

Potz Blitz !

Kruzitörck!

VII.

LWÓW.

Ponieważ odtąd kreślone w tej powieści sceny odbywać się
będą głównie we Lwowie,
więc podamy tu, jakeśmy nieco wyżej przyrzekli, kilka rysów
do charakterystyki

ówczesnej fizjonomji tego miasta.

Od czasu zajęcia Galicji przez Austryję, Lwów zmienił się
znacznie i ożywił się

napływem nowych licznych władz i całej rzeszy obcych
przybyszów. Już to samo

zmieniało ogromnie jego postać, nadając jej od razu pewien
Wyraz cudzoziemski.

Roilo się miasto najrozmaitszymi urzędnikami

najrozmaitszych subselij,

żołnierzami nowych rządów i niepospolita mnogością

przemysłowców, którzy

spieszili bogacić się w nowej prowincji. Ćma Niemców, nie
mających w własnej

ojczyźnie ani zajęcia ani chleba, spieszyla cywilizować
biednych Polaków,

przynosząc z sobą zmysł spekulacyjny i próżny żołądek, a
szukając w zamian

chleba i złota.

Siły żywotne polskiego mieszczaństwa były we Lwowie
zanadto słabe, aby oprzeć
się nawałowi obcych żywiołów, i ztąd też nie dziw, że miasto
od razu prawie
oblekło się w pewną barwę niemiecką, która dopiero zwolna i
z trudnością
zacierала się już w naszych oczach. Zresztą miasto
samo było wycieńczone ostatnimi burzami politycznymi,
ucierpiałono wiele
podczas konfederacji barskiej, a okupacja przez wojska
moskiewskie pod
dowództwem generała Kreczetnikowa podkopała do reszty ład
miasta i byt
mieszkańców.

Jak już powiedzieliśmy, wzmógł się po zaprowadzeniu
rządów austriackich znacznie
ruch w mieście. Stało się to nie tylko napływem nowych
władz i cudzoziemców,
lecz i zmianą stanowiska miasta. Lwów; stawszy się siedzibą
namiestnictwa,
trybunału i wielu innych głównych urzędów, począł teraz
koncentrować w sobie
życie świeżo zadekretowanej Galicji. Szlachta zmuszona
załatwiać mnóstwo
własnych spraw, wywoływanych nagłą zmianą i
zaprowadzeniem nowego ładu
administracji, garnęła się licznie do stolicy nowej prowincji.
Tu po raz
pierwszy spotkały się z sobą dwa światy: świat polski i świat
niemiecki.

Jakoż w krótkim czasie nie poznawali już prawie Lwowa
podróżni przybywający z za

kordonu. Znachodzili go i okazalszym i ludniejszym od dawnego prowincjonalnego miasta Rusi — ale znachodzili go także obcym, zniemczonym. Wrażenie, jakie sprawiał Lwów w tej nowej swej postaci, zachowała nam krótka wzmianka księdza biskupa Warmińskiego, który przejezdziawszy tędy już w kilkanaście lat po rozbiorze, tak o stolicy galicyjskiej się wyraża:

I wspanialszy i ludniejszy.
Jednak przedtem, choć był mniejszy,
Choć raniej ludny, mniej kształtniejszy,
Że był swoim, był wdzięczniejszy!
W czasie naszego opowiadania Lwów był ludniejszy niż kiedykolwiek. Przedtem bardziej był izolowany od wolnej reszty polskiej, a nietylko nikt nie miał ochoty przyjeżdżać doń z za kordonu, z wolnego i polskiego świata, ale nadto wiele jeszcze szlachty galicyjskiej wydaląo się z kraju i zamiast we Lwowie spędzało pewną część roku w miastach pod oj czystem berłem pozostałych.
W ogóle w pierwszych latach panowania austriackiego w Galicji, mimo surowego prawa o emigracji, wydaląo się wiele szlachty z stron rodzinnych, nie mogąc się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy, uchylając się przed przykreimi wrażeniami nowej zmiany. W tem wydalaniu się z zakordonowanej prowincji, w tem rozpaczliwem

dawaniu za wygraną nie wszystkimi jużciż powodowała taka pobudka, jaką przypisują pamiętniki n.p. Szczęsnemu Potockiemu, który dla tego tylko miał znieawidzić Galicję, iż uwięziwszy samowolnie jakiegoś żyda w Krystynopolu, musiał go puścić za następującym wyrokiem Józefa II: Par super pari non habet potestatem, ergo Judaeus carceribus dimittatur ! To porównanie z żydem tak mocno obraziło smutnej pamięci magnata, że sprzedał wszystkie swe dobra galicyjskie: Krystynopol, Sokal, Bełz, Waręż itd. i odtąd nigdy nie zaglądnął do zakordonowanego kraju... Emigracja z Galicji ustała jednak, gdy z czasem coraz mniejszym stawał się obszar wolnego przytułku. Drugi rozbiór Polski i wypadki Kościuszkowskiego powstania zmieniły rzeczy. Odtąd nie z Galicji ale do Galicji poczęły się cisnąć pojedyncze osoby i całe rodziny, niestety już nie Wolnej ojczyściej ziemi, ale spokoju i chwilowej bodaj ochrony przed prześladowaniem wrogów szukając. Takimi wygnańcami z różnych stron Polski, osobliwie z ziem zabranych przez Moskwę, zaludniał się Lwów - a ztąd przybywał mu ruch coraz większy i nowy pozór stołeczny. Mimo to jednak Lwów w czasie naszego opowiadania był jeszcze miastem dość małym, które nie mogłoby ani okazałością zewnętrzną, ani stołeczną

fizjognomją, ani liczbą ludności wreszcie sprostać choćby
połowie, tylko Lwowa
dzisiejszego.

Lwów liczył w czasie naszego opowiadania mało co więcej
nad . mieszkańców,
a obręb właściwego miasta nie rozszerzył się był jeszcze
drugiem niejako, nowem
miastem ulic dalszych i przedmiejskich, mieścił się owszem
skromnie prawie w
tych samych ramach, które wyznaczyły mu główne bramy
jeszcze za pradawnych lat
jego istnienia. Przy braku dobrych komunalnych urządzeń nie
wielki w nim panował
porządek. Osobliwie owe tradycyjne, charakterystyczne błoto
miast polskich było
we Lwowie przede miotem ciągłych narzekań.
Kiedy cesarz Józef po raz pierwszy przybył oglądnąć stolicę
swej nowej
prowincji, powóz jego ugrzązł w rynku samym tak głęboko, że
koła musiano
formalnie windować na wierzch. Gdy w skutek tego wypadku
nakazały nowe władze
brukować miasto, okazało się, że nie tyle niedbałość polska co
bezdennie
błotnisty grunt, na którym stało miasto, był główną przyczyną
złego. Gdy się
bowiem wzięło do czyszczenia rynku i ulic, okazało się, że
pod błotem
były aż trzy dawne bruki, każdy oczywiście pokryty wysoką
warstwą błota.
Kiedy wkrótce uporano się z czwartym brukiem, nowy był
kłopot i to

arcypocieszny! Piesze elegantki lwowskie były wprawdzie zachwycone, ale za to pogniewały się na bruk nowy panie karetowe! Powozy bowiem trzęsły mocno po kamieniach, co się tak niepodobało niektórym magnatkom przebywającym we Lwowie, że jeśli można uwierzyć współczesnym zapiskom, wniosły petycję do namiestnika, aby, nowego bruku zaniechać a zostawić miękkie i wygodne błoto !...

Przemysł i handel spoczywał wyłącznie prawie w ręku Niemców i żydów. Niemcy wszelkiego zawodu, którzy przybyli wraz z pierwszym żołnierzem austriackim do Galicji, w krótkim bardzo czasie przyszedli do majątku — a chleb polski i złoto szlacheckie służyły doskonale konstytucji niemieckiej. To też jednym z najmajątniejszych i najśłynniejszych kupców i bankierów lwowskich był Niemiec Preschel, który też znał się dobrze na pokupności towarów, bo już nawet po okupacji austriackiej przedawał z dobrym zyskiem order polskie, a osobliwie order "Orła białego!" Przy całej ćmie sklepów świeżo przybyłych Niemców, jak Fischera, Burgerów, Klotza, Koberweina itd., spotykamy zaledwie jeden wielki handel polski, Machowskiego, ale za to i dwa sławne podówczas składy handlowe dwóch polskich żydów: Cudyka i Bałabana. Dwa wielkie hotele, jeden Georga Hofmanna, która to, firma dotąd istnieje, drugi

Hechta, mieściły w sobie licznych
przyjezdnych i podróżnych. W owym to hotelu Georga, który
się zwał początkowo
"pod trzema hakami", był niedawno kelnerem ów sławny
właśnie w czasie naszego
opowiadania awanturnik Walicki.
Jakkolwiek z zamożnego szlacheckiego domu pochodząc, w
tak smutnym znalazł się
kłopotcie Walicki, że musiał przyjąć miejsce markiera w
hotelu. Tak go zastał we
Lwowie książe Franciszek S., pan dziwnych gustów, i sam
rozlubowany w życiu
awanturnikiem, a poznawszy w biednym markierze
niepospolity spryt i wyższe
wykształcenie, wziął go z sobą. Wydobywszy się z nędzy przy
pomocy dobroczynnego
księcia, Walicki zasłynął później tajemniczą sławą Casanovy.
Zostawszy hrabią i
panem ogromnej fortuny, objeżdżał on Europę całą i
zdumiewał wszędzie
bezprzykładną wystawą, urokiem tajemniczości intrygował
umysły, a blaskiem swego
własnego zbioru klejnotów i kosztowności olśniewał oczy
najwyższej nawet
arystokracji.
Do najulubieńszych dla niemieckiej zwłaszcza publiczności
lokalów publicznych,
należały takzwane Veteranische Höhle i Steinernes
Wirthshaus. Pierwsza, nosząca
swe nazwisko na pamiątkę generała austriackiego Veterani i
jego waleczności przy
obronie jakiejś jaskini w czasie ostatniej wojny tureckiej, była
w mieście,

czyli biorąc miarę z obrębu ówczesnego Lwowa, już dobrze za miastem, bo na ulicy strzeleckiej; druga była w Zboiskach. Lokal tej Veteranische Höhle, czyli takzwaney krótko przez Polaków sheheli, istnieje dotychczas we Lwowie i dotychczas służy za restaurację i salę balową dla niższej warstwy ludności miejskiej. Jest to znany szynk Tyrego — ścieśniony dziś i osłoniiony nowemi kamienicami. Steinernes Wirihshatis odgrywał także znaczną rolę w zabawach ówczesnej ludności lwowskiej, a bywał także i celem wycieczki polskiej jej części, w której Niemcy poczęli wzbudzać gust do ogródków. Steinernes Wirthshaus był atoli głównie zbiorowiskiem niemieckiej inteligencji, miał bowiem dla niej także pewien historyczny urok. Gospoda ta miała bowiem swój osobny relikwiarz, a w tym relikwiarzu była kula kręgielna, którą cesarz Józef potoczył, i kręgle, które własnoręcznie obalił. Cesarz będąc we Lwowie chciał zobaczyć ową sławną gospodę w Zboiskach, a zastawszy tam grono Niemców i Niemek grających w kręgle, wziął z rąk pani konsyljarzowej Albrecht kulę i obalił króla i siedm kręgli. Pan Vogetzer, właściciel zakładu kazał zaraz kulę i kręgle oprawić w srebro, i odtąd jego restauracja stała się niejako Mekką dla lwowskich Niemców.

Oprócz gospody w Zboiskach były jeszcze podówczas dwa inne ulubione cele przechadzki. Pierwszym był lasek Longchamps, drugim ogród przy pałacu Jabłonowskich, ogród, który także miał pewne historyczne znaczenie, a to z powodu pojednania matki z córką za pośrednictwem Józefa II. Matką czyli raczej macochą była kasztelanowa Konstancja Bilaska, dama gwiazdzistego krzyża, córką Teofila. To pojednanie długą nienawiścią dzielonych od siebie matki i córki natchnęło nawet jakiegoś lwowskiego wierszopisa do szumnego wiersza w łacińskim i polskim języku, z którego przytaczamy ustęp, malujący nam ów tak ulubiony dla Lwowian ogród Jabłonowskich.

Poeta tak śpiewa: Kędy leży przedmieście tuż przy górach blisko.

Tam pałac Jabłonowskich z obszernym ogrodem,
Gdzie ulicami chodzić w spieki można chłodem.

Tam wzniośle w niebo lipy wzywają słowiki,

Tam me daleko mruczą z opoki strumyki,

Tam ogromne dźwigają góry w obłok karki,

Zkąd Turek już gotował arkany na barki,

Burzliwe z śmiercionośnej miecąc spizę gromy,

Czem się waliły wieże, świątynie i dумы:

Tu się z całego miasta liczne państwo schodzi,

I chłodnemi wieczoryienne prace chłodzi. () Oprócz przechadzek dalszych ulubione były także i wały, które staraniem

konsyljarza Reizenheima urządzone, były miejscem schadzek w dnie pogodne, a

odgrywały takie wielką rolę w miłosnym świecie Lwowa,
który w owych czasach nie
bardzo moralnej używał sławy, o czym jeszcze w dalszym
ciągu tych obrazków mówić
będziemy mieli sposobność, jak w ogóle wprowadzonych tu
pobieżnie rysów Lwowa
dopełnimy w miarę, jak do tego później nastęczą nam
sposobność opisywane sceny.
Ale otóż straciliśmy już znaczną część rozdziału na drobne i
nic nie znaczące
szczególiki — a dotąd nie wspomnieliśmy o ważniejszych.
Ale nie piszemy też
uporządko-

() Opisanie proste i rzetelne z najchwalebniejszego dzieła etc.
p. J.H. K.K.
K.H. Lwów, .
wanej monografji Lwowa z owego czasu, lecz
charakteryzujemy go z powieściarską
swobodą.
Wypada nam dotknąć i społeczeństwa lwowskiego. Było ono
dziwne, mieszane,
ruchliwe. W czasach, które nam służą za tło opowiadania,
kiedy tyle wypadków i
burz miało do gruntu całem społeczeństwem polskiem, duch
ten gorączkowy,
bezlądny, który możnaby porównać do niepokoju więźnia,
kiedy ostatnim rygłem
zamykają go od świata, kiedy ostatniemi kratami odgradzają
mu widok jasnego
słońca — musiał i na fizjognomji Lwowa wybić swoje piętno.
Jakoż był i Lwów

jednym z ognisk tego ruchu — a mieszkańcy z dalszej i
najdalszej Polski, bądź to
w sprawach publicznych bądź prywatnych goszcząc w nim
stale lub przelotnie,
nadawali mu cechę czasom odpowiednią. Bawiło we Lwowie
wówczas mnóstwo rodzin z
rozmaitych części Polski, a w miarę jak wypadki wojenne za
kordonem smutniejszy
brały obrót, przyływ ten wzrastał się z dniem każdym. Było
w tem wszystkim
jednak coś niestałego, coś, koczowniczego — osoby i rodziny
jawiły się i
znikały, i widać było że przelotna potrzeba a nie zamiar
stalszego zamieszkania
wiódł je do galicyjskiej stolicy.
Współcześnie naszemu opowiadaniu liczył jednak Lwów
wiele znakomitych
mieszkańców polskich, którzy stale już w nim osiedli. Oni to
głównie
reprezentowali życie polskie: W stolicy przepelnionej
Niemcami na urzędach i bez
urzędów a ogołoconej z prawdziwie polskiego mieszczaństwa.
Prowadzili domy
otwarte, a w domach tych koncentrował się nie tylko ruch
wyższego towarzystwa,
ale zarazem i cały
świat polski tej prowincji z swymi usiłowaniami i nadziejami,
z swym
patriotycznym udziałem i uczuciem łączności, z całą ojczyzną.
Z domów polskich możniejszych wyliczymy n. p. domy pani
Humieckiej, pani
Kossakowskiej, która mieszkała w pokojach kanonickich przy
cerkwi św. Jura,

arcybiskupa Kickiego, hr. Mierów, Baworowskich,
Kazimierza Rzewuskiego, Michała
Wielhorskiego. Nad całym towarzystwem wiedli rej ci dwaj
ostatni. Zwłaszcza
Michał Wielhorski, niegdyś! poseł konfederacji barskiej w
Paryżu, ojciec
generała Józefa Wielhorskiego, druh Kościuszki, przyjaciel
Jana Jakóba Rousseau,
który za jego wpływem napisał swe uwagi nad Polską,
zwolennik i osobisty
towarzysz encyklopedystów, który sprowadził był jak
wiadomo do Polski słynnego
Mablego — był niejako mentorem wyższego lwowskiego
towarzystwa.
Bawiło się zaś to towarzystwo także mniej lub więcej świeżem
wspomnieniem gości,
którzy tylko przelotnie Lwów odwiedzili. I tak niedawno, bo
ledwo dwa lata temu,
odwiedził był Lwów Kościuszko. Już wówczas sposób, w jaki
go przyjmowała ludność
Lwowa, był niejako wieszczem uznaniem przyszłej,
niedalekiej wielkości tego
nieśmiertelnego wodza ginącej Polski. Wiadomo, że już wtedy
pobyt jego we Lwowie
wzbudził niezmiernie wrażenie na mieszkańcach. Ilekroć
Kościuszko pojawił się na
ulicy, towarzyszyły mu tłumy ludności, spozierając ze czcią
na bohatera z pod
Dubienki, i w hołdzie tym powodując się niejako przecuciem
wielkiej roli, jaką
ostatnie dzieje Polski miały powierzyć
temu mężowi. Władze austriackie z tego powodu nakazały
Kościuszce opuścić

Galicje.

Ale obok drogich wspomnieniu odwiedzin wielkich mężów, miewał Lwów także od czasu do czasu wizyty osób nie tyle sławnych co osławionych, które nadawały towarzystwu tego miasta choćby chwilowo pewnej niezwyklej barwności. Dość tu na przykład przytoczyć słynnego awanturnika Casanowę, który przywalał się tu był za swym przyjacielem Strassoldem, dawniej dyrektorem policji lwowskiej, a który zagościł także do domu Potockich w Krystynopolu, lub awanturnicę Wittowę, kochankę Szczęsnego Potockiego, tyle sławną swemi olśniewającymi wdziękami — lub w końcu także księcia de Nassau, znanego z oryginalności i burzliwych przygód życia.

Obok wyliczonych powyżej arystokratycznych domów, trzymali we Lwowie głównie berło inteligencji adwokaci. Nowa organizacja sądowa zaprowadzona przez rząd austriacki wywołała wielką ilość prawników i mecenasów, a że zazwyczaj co najzdolniejsi poświęcali się temu zawodowi, więc mecenas ci w towarzystwie lwowskiem i w dziedzinie umysłowego świata wielce ważną odgrywali rolę. Wyrodziła się była i w tym stanie osobna klasa, jakby tylko ku podsycaniu pieniactwa i ku demoralizowaniu sądów i sądzonych zorganizowana, jednakże w

historję życia politycznego i społecznego Galicji o osobliwie
Lwowa wpisały się
także imiona poważne zasłużonych i sławnych prawników.
Wziętość i wpływy adwokatów lwowskich owego czasu
przesięgły nieraz i miary
zwyczajności, byli oni pewną że tak powiemy
inteligencyjno-arystokratyczną potęgą. Obierając sobie
niejako za wzór
współczesnego belgijskiego Vanderburcha, adwokaci
galicyjscy szybko dobijali się
sławy i majątku. Najpoważniejszym i najbardziej wpływowym
z prawników lwowskich
owego czasu był Dzierzkowski, najgłośniejszym i
najruchliwszym Węgliński, znany
także z swego wesołego życia właściciel Pohulanki, przy
lasku, zwanym dotychczas
jego imieniem. Stan adwokacki, jak wiele ściągnął na siebie
żałów w owych
czasach skandalicznej rabulistyki, kiedy to toczyły się
gorszące procesa dzieci
przeciw rodzicom, dochodzenia synowstwa u matek,
wpieranie się synowstwa u
bogatych ojców itp. — tak znowu wiele też chluby pozyskał
patriotyczną i
skuteczną pracą w sprawie powstania Kościuszki.
Ruchu umysłowego, o ile tenże publicznie się objawia, bardzo
mało było w naszym
mieście. Nie lepiej było też z środkami do oświaty. Oprócz
akademji założonej
przez Józefa, która to akademja jednak pod naukowym
względem bardzo niski
zajmowała stopień, były jeszcze szkoły średnie, tak jak je
zostawili po sobie

lwowscy Jezuici, i jedna szkoła niemiecka. Wiele młodzieży polskiej z stron dalszych i bliższych wychowywało się we Lwowie — a jedno z najlepszych miejsc zajmował między innymi "dom edukacji młodzieży płci męskiej" założony i utrzymywany przez kanonika archikatedry ormiańskiej, księdza Minasowicza.

Dla akademii kazał cesarz Józef przywieźć z Wiednia zbiór książek Garellego, i zbiór ten stanowił zawiązek dzisiejszej biblioteki przy wszechnicy. Na pomnożenie tej biblioteki zabrano równocześnie także bibliotekę bernadyńską i niektóre inne zbiory klasztorne.

Istniała jednak we Lwowie obok biblioteki akademickiej także i inna biblioteka

prywatna ale wszystkim przystępna. Była to biblioteka Rzewuskiego, o której

bardzo pochlebnie wspominają ówczesni turyści niemieccy.

Z pism publicznych wychodziło oprócz tak zwanego

Intelligenzblattu urzędowego

tylko jedno pismo polskie. Było to "Pismo uwiadamiające", które zmieniło się w

r. na "Dziennik patrijotycznych polityków" i wychodziło przez lat kilka w

małej oktawce, podając wiadomości polityczne z Polski i z zagranicy, ale nie

mając najmniejszej barwy lokalnej.

Z drukarni największą była drukarnia Piltera założona w r. .

Oprócz niej

istniały wówczas takie dwie inne drukarnie Pfaffa i Wichmana. Księgarń było trzy. Bogusław Pfaff założył swoją księgarnię w roku , a właśnie w czasie naszego opowiadania przybyła także księgarnia Karola Wilda. W czasie zjazdów obywatelskich t. j. w porze kontraktów lwowskich stawiano także na rynku budy drewniane, w których sprzedawano książki. Same kontrakty odbywały się corocznie od połowy stycznia do końca lutego. Sala, w której zbierała się szlachta przybyła na kontrakty, mieściła się w budynku istniejącym dotąd. Jest nim ów w kształcie dworku czy pałacyku zbudowany dom na przeciw ogrodu jezuickiego, tuż koło łazienek. Dom ten należał do Hechta, a salę w nim umieszczoną, używaną częściej jeszcze niż na giełdę obywatelską na bale i zabawy karnawałowe, zwano po prostu salą Hechta. W porze kontraktów zastać było można w sali Hechta wielką bardzo liczbę szlachty nie tylko z Galicji ale i z najrozmaitszych innych stron Polski. Mianowicie zjeżdżało się w tę porę do Lwowa wiele szlachty kijowskiej i berdyczowskiej. Wstęp do sali Hechta, w którego domu było także kasyno, kosztował krajcarów. Kielich i interes kolejno się tam zmieniały, były tam bowiem dwa obok siebie pokoje, w jednym szlachta załatwiała sprawę w drugim piła. Jak zapewniają głosy

współczesne, ten drugi pokój bywał pełniejszy. Dyrektor niemieckiego teatru, Bulla, miał przywilej na urządzenie klubu w czasie kontraktów, a pan Hecht urządził już wówczas ogród jezuicki, w którym latem schadzano się na kawę.

W czasie naszego opowiadania istniały we Lwowie także dwie łoże wolnomularskie, jedna francuzka, druga niemiecka. Wiele szlachty należało do "Wschodu lwowskiego", któremu podobno przewodniczył bawiący właśnie we Lwowie Kazimierz Rzewuski. Łoża niemiecka miała bardzo smutną sławę. Autorowie i turyści niemieccy, którzy w owych czasach pisali o Galicji, skarżą się gorzko na łożę niemiecką, do której wstęp sprzedawano za bezcen i dla spekulacji, a w której zorganizowała się była cała szajka rozmaitego rodzaju szalbierzy.

Ale czas już zakończyć te uwagi o Lwowie z owych czasów. Nie wyczerpaliśmy wszystkich jego rysów, bo jak już nadmieniliśmy wyżej, uzupełniać będziemy szczegóły życia lwowskiego w dalszym ciągu naszych obrazków. I tak już sporej dopuściliśmy się dygressji, za którą bodaj czy nie przeproszać trzeba czytelnika! Jestto jednak ostatnie obszerniejsze zboczenie, a odtąd podążymy zwawiej w toku naszego opowiadania.

VIII.

CZŁOWIEK, KTÓRY SAM SIEBIE KUPIŁ.

W jednej z kamienic rynkowych we Lwowie, na pierwszym piątrze, mieszkała od niejakiego czasu jakaś młoda jeszcze, nieznajoma dama, która wielce zaintrygowała cały świat wyższy lwowski. Niedawno przybyła ona do Galicji, a miesiąc zaledwie upływał, jak stała się osiadła we Lwowie. Zaraz pierwszym swym pojawieniem się w stolicy zwróciła nieznajoma na siebie uwagę towarzystwa. Przybywała z Warszawy, z tego zaczarowanego przybytku modnego tonu i życia, z polskiego Paryża owych czasów, z stolicy wykwiśniętości i blasków salonowych. Była pierwszorzędną piękną, olśniewała cały świat mężkami powabem swych wdzięków. Uroda jej miała na sobie wszystkie cechy ówczesnych czasów zepsucia salonowego. Wdzięki jej wyzywały, wabiły, posiłkowały się całym przyborem rozkosznej gracji i kokietery. Widać było w każdym jej ruchu, w każdym kroku, w każdym spojrzeniu i uśmiechu, że jest mistrzynią zalotności. Zaledwie też pojawiła się w stolicy, sława jej wdzięków brzmiała w salonach lwowskich. Rój młodych i starych wielbicieli urody żeńskiej ścigał ją oczyma, kiedy przejeżdżała się po ulicach Lwowa, garnał się do jej zalotnych spojrzeń i stówek,

kiedy była gościem w którym z salonów. Zaraz w pierwszym miesiącu jej pobytu we Lwowie opowiadano sobie głośno lub na ucho, że stary hrabia Omega szaleje za nią resztkami namiętności i złota, że książę Alfa złożył jej wizytę i odtąd uwiązał w sieci jej wdzięków bez ratunku, że między panem Ypsilonem a Zetem krwawy odbył się pojedynek z powodu niewyraźnego adresu jej uśmiechu. Nieznajoma rozwinęła przytem od razu wielki zbytek i przepych, żyła na pańską stopę i kazała się zwać hrabiną. Mieszkanie jej urządzone było z całą wystawnością magnackiego domu, służba lśniła kosztowną liberją, a ekwipaż jej z czterema pysznymi tarantowatemi końmi nie miał równego sobie we Lwowie. Do tych wszystkich uroków piękności i przepychu przybywał jeszcze urok pewnej tajemniczości. Starsze i poważniejsze damy lwowskie krzywiły się na jej postępowanie i uprzedzały się jej zagadkowością, mało kto znał jej nazwisko, a i o tem mówiono że jest przybrane, a nikt zgoła nie znał ani jednego szczegółu z jej przeszłości. Przeszłość ta jednak nie musiała być pospolitą, bo nieznajoma zdradzała nietylko wykształceniem i tonem salonowe antecedenccje, ale nadto dowodziła w swych wzmiankach i rozmowach wielkiej znajomości wysokiego świata Warszawskiego. Widać

było od razu, że miała żywy i niepospolity udział w
salonowym życiu
warszawskim, że obracała się w kółku najświetniejszych jego
figur, że sam król

i otaczający go kwiat wykwiśniętego towarzystwa nie stali po
za kresami jej
znajomości.

Poco przybyła do Lwowa, to było mniejszej już wagi
zagadnienie; wszakże w owych
czasach rozbicia tyle nieznajomych i nowych figur pojawiało
się wszędy — ale kto
była właściwie, nad tem łamano sobie głowy. Mężatka?
rozwódka? wdowa? Każdy na
to odpowiadał inaczej.

Nie wdając się w zbieranie i rozstrzyganie rozmaitych
pogłosek i domysłów,
odwiedzimy zagadkową piękność w jej własnym mieszkaniu.
Przejdźmy przez pysznie urządzone pokoje do budoaru.
Budoar ten był prawdziwym
wzorem bogatej elegancji i wytworności. Wszystko,
czegokolwiek zapragnąć by
mogła najwykwintniejsza wybredność, złożyło się na
urządzenie tego małego
przybytku salonowej królowej. Wszystkie wymagania
wypieszczanego smaku,
wszystkie zachcenia i kaprysy wygody i elegancji znachodziły
w nim
najwytworniejsze zadośćuczynienie. Począwszy od drogich
grubych tureckich
kobietów, aż do ciężkich jedwabnych makat i firanek, od
drogiemi materjami

obitych mebli aż do małych cacek i drobiazgów strojących
pyszny stolik toaletowy
— świadczyło wszystko o wykwintnym guście i rozkosznych
nawyczkach pani domu.

Rozpartą wygodnie w poręczowym krześle, z pewnym
wyrazem znużenia na twarzy i w
całej postaci, zastajemy nieznaną damę. Musiała właśnie
powrócić z rannej
wizyty, bo strój jej był bogaty i wystawny. Miała na sobie
suknię z ciężkiego
jedwabiu, na której tle jasnopapuziem
połyskiwał jaskrawy deseń złożony z kwiatów, ptaszków i
motyli. Włosy falowały
się na głowie w sztucznej fryzurze a spięte były u skroni
koralowa i złotą
kotwicą. Twarz okryta modnie bielidłem oparta była na
pięknej toczonej paczce,
której śnieżną białość po łokieć tylko okrywał szeroki a krótki
rękaw sukni,
strojny w przejrzystą sieć drogich koronek. Z pod sukni
wyglądała wysunięta
naprzód niedbale nóżka rzadkiej drobności i
najwdzięczniejszych kształtów,
tkwiąca w białym atłasowym trzewiczku z czerwonym
korkiem.

Lwowskie towarzystwo salonowe miało słuszność — kobieta
ta była rzadkiej
piękności. Wdzięki jej same przez się już były olśniewające, a
cóż dopiero kiedy
niemi przemawiała zalotność, uroku swego pewna!
Nieznajoma nie była już w
pierwszych latach młodości — mogła mieć już lat trzydzieści.
Mimo to twarz jej

pełna była powabu życia, a oko pełne jeszcze gorącego blasku.
I twarz ta nadobna, rozjaśniona stałym niejako uśmiechem
kokieterji, i to oko
czarne, namiętne, pałające, nie są nam już nie znane. Twarz tę
i oczy te
spotkaliśmy już w naszej powieści. Pod uśmiechem tej
powabnej twarzy i pod
figlarnem spojrzeniem tych czarnych oczów widzieliśmy
rumieniącego się i
mieszającego Tadeusza, kiedy to uchodząc przed niemiecką
pogonią, w tak dziwny
sposób tak dziwną zrobił znajomość.
Nowa, nieznana gwiazda na horyzoncie salonowych piękności
lwowskich, zagadkowa
bogini serc tylu młodych
i starych wielbicieli — to znajoma i nieznajoma nam zarazem
Laura.
Jakoż i we Lwowie, od czasu krótkiego jej pobytu w tem
mieście, nie nazywano jej
najczęściej inaczej, jak hrabiną, Laurą, panią Laurą. Do
imienia tego dodawano
czasem i nazwisko Łotocka, które to nazwisko należeć miało
nieznajomej po
rodzicach.
Piękna pani Laura siedziała nieruchomie jakby w zamyśleniu.
Zamyślenie nie
musiało być miłe, bo na czole jej zarysowały się lekkie
zmarszczki jakby
kłopotu, a z ust różowych znikł na chwilę uśmiech swobody i
pustoty. W oczach
przygasł wesoły ognik swawoli, a głowa pochyliła się na dół.
Uważając jednak

cały wyraz twarzy, poznać było można, że zaduma
zaprzatająca głowę elegantki nie
była ani głęboką ani smutną.
Było to widocznie tylko zakłopotanie, które więcej w niechęć
i złość niżli w
smutek wprawiało, bo Laura od czasu do czasu ruszała się
niecierpliwie na
krześle i tupała małą nóżką. Dość było spojrzeć na całą postać
pięknej kobiety,
dość było zastanowić się nad wymownymi rysami jej twarzy,
aby przyjść do
przekonania, że ona nie umie się martwić, że nie zna
głębszego smutku. W całej
tej nadobnej twarzy tyle się przebijało pustoty, tyle
lekkomyślności — że nie
można było przypuszczać, aby pod to czoło białe wgryzła się
kiedy głębiej myśl
poważna lub smutna, aby pod temi piersiami, co zdawały się
wyzywać w zawody
kształty wszystkich posągów cyteryjskiej bogini, było serce do
bolu, a nie
jedynie do uciechy i rozkoszy zdolne.
Znawca natury ludzkiej najlepiej podobno odgadnie charakter
każdej kobiety,
jeżeli ją podglądnie w chwili kiedy przestaje być aktorką a jest
samą sobą.
Wówczas, jeżeli ją znałeś przedtem, znajdziesz w wyrazie jej
twarzy, w jej
zajęciu się wskazówkę jej usposobienia, a przynajmniej
komentarz do niejednego
jej przymiotu, klucz do niejednej zagadki jej charakteru.
Gdyby tak podglądnać, podsłuchać można każdą kobietę po
jakiejś ważniejszej

chwili jej życia, np. młodą dziewczynę po balu, po czułej rozmowie z kochankiem, po jakiejś scenie wybitniejszej niż codzienne drobnostki życia — podsłuchać w chwili, kiedy wrażenie lub uczucie prawdziwe drży dalej w jej duszy, a fałszywe zrzuca maskę przybraną — ileżby kobietom przybyło nowych czcicieli i obrońców, lecz o ileż pomnożyłaby się także liczba ich przeciwników !... Laura wnet się uporała z ową drobną troską, która na chwilę sfałdowała jej białe, gładkie czoło. Tupnęła żywiej nóżką, porwała się z krzesła, stanęła przy zwierciadle i znowu w oczach jej zamigotała pustota, usta zaśmiały się rozkosznym śmiechem swawoli, a z piersi wydobył się dźwięk jakiejś piosenki francuzkiej. Piosenka była wesoła, mówiła coś o miłości i rozkoszy, a piękna kobieta nucąc ją półgłosem wtórzyła jej gorącym połyskiem swych czarnych oczu i przyspieszonym oddechem swej toczonej piersi. Potem raz jeszcze rzuciła okiem w zwierciadło, poprawiła koronki u obnażonego gorsu i uśmiechnęła się do siebie z wyrazem prawie epikurejskim, z wyrazem, którego jedyną treścią wesele życia, szal zabaw, igraszka szczęścia i rozkoszy... Usiadła znowu na chwilę, a potem nie chcąc powstać do dzwonka, klasnęła kilka razy drobnymi dłońmi. Do pokoju wbiegła chyżo młoda, wystrojona garderobiana. — Czy pani hrabina się przebierze? — zapytała.

— Pani Miżewska w domu ?

— Nie ma, poszła do kościoła.

— Nieznośna baba! Cały dzień klepie tylko godzinki!

Potrzeba się będzie

postarać o inną towarzyszkę. Moja nabożna duenna gotowa
mnie do klasztoru

namówić! — dodała sama do siebie z uśmiechem.

— Antoni był u pana Żagwina ?

— Był.

— I cóż powiedział?

— Pan Żagwin kazał oświadczyć, że przyjdzie zaraz.

— Dobrze, wpuścić go!

— A jakby kto inny przyszedł?

— Dopóki pan Żagwin będzie, nie ma mnie w domu.

Pokojówka wybiegła, ale

zaledwie szum jej sukni ucichł w powietrzu, dały się słyszeć u
drzwi głównych

odgłos dzwonka a potem słowa rozmowy.

— Otóż i on pewnie! — rzekła sama do siebie piękna kobieta

— ach! jakież się

unudzę! Boie mój! te interesa, te interesa !

I rzuciła się z pewną kwaśną rezygnacją na sofę. Za chwilę

ukazał się gość w

budoarze.

— A, pan Żagwin! Witam! — zawołała Laura z uprzejmym
uśmiechem i podała dłoń do

powitania.

Gość pospieszył ucałować nadobną rączkę i zaproszony

skinieniem usiadł na

taburecie.

Nowoprzybyły pan Żagwin, był to mężczyzna około lat górą
czterdziestu, miernego

wzrostu, krępej i silnej budowy. Oczy miał małe, dość głęboko osadzone, piwne, niezmiernie ruchliwe. Oczy te były główną charakterystyką jego twarzy. Dziwne też były różnorodnością wyrazu, jakie przybierały wedle usposobienia Żagwina. Zazwyczaj malował się w nich spryt i chytryść — ale na tle tych dwóch głównych wyrazów odbijało się mnóstwo innych. Była tam i ponurość i jakieś jakby zaczajenie się, czyhanie i lisi dowcip i coś z połyску namiętności. Nad temi oczyma wznosiło się czoło niskie ale wypukłe, w dwa garby podzielone, które nadawały twarzy charakter uparty, przekorny, i zdawały się zdradzać, że właściciel tego czoła gotów jest zawsze do upartej walki, do łamania przebojem trudności. Reszta twarzy uderzała regularnym ale kościstym składem, i nadawała twarzy wyrazu wytrwałości. Pan Żagwin ubrany był starannie a nawet elegancko. Frak niebieski świeżej mody ujmował jego silne kształty, jedwabna chustka zgrabnie drapowała się u szyi, a cienkie żaboty były śnieżnej białości. Na długiej adamszkowej kamizelce wisiał gruby łańcuch złoty od zegarka i mnóstwo Przy nim kosztownych bryloków, a palce świeciły od pierścieni z pięknymi kamieniami. Poznać było od razu pewną ostentację w tym zbytku złota u zegarka i na palcach. Właściciel znać znaczną

doń przypisywał wagę, bo przeglądał mu się od czasu do czasu z pewnem źle ukrytem upodobaniem. Kto był pan Żagwin, o tem każdy ulicznik lwowski umiałby powiedzieć. Żagwin był sławnym w mieście rabulistą. Wszystkie nieczyste sprawy, wszystkie brudne procesa, których nie podejmowali się inni adwokaci, przyjmował on i prowadził ku wielkiemu zadowoleniu strony, której bronił. Posiadał niepospolite zdolności, niezwykłą wiadomość prawa i spryt ogromny — nie wzdragał się przed najbrudniejszą sprawą, przed forytowaniem najlichszej napaści pieniackiej, byleby zysk miał widoczny. Osławiony był z tego powodu, mecenas i inni pogardzali nim i usuwali się od niego na każdym kroku, a wszyscy w ogóle mieli go za człowieka bez serca i z czołem wytartem. On drwił z wszystkich, nie napychał się swoją osobą nigdy, a co dziwna, przy całym swym rabulistycznym cynizmie zachował pewną szorstką dumę i wyniosłość w stosunkach z ludźmi, o których wiedział, że go potępiają. Niegdyś Żagwin miał być innym wcale człowiekiem, po którymby się nikt tak dwuznacznej nie był spodziewał kariery. Na dzisiejszego rabulistę wychowały go trudne życie i nieszczęśliwe stosunki. Żagwin był synem prostego chłopa, a więc

z tego względu prawdziwie białym krukiem na owe na wskrós
szlacheckie czasy. On
się przemycił w życie inne, w stan wyższy, przedarł się
gwałtem. Był
kontrabandą. Już
to samo zwichnęło wielce szkodliwie jego charakter, z natury
swej do złego
skłonny.
Urodził się prawie na dwadzieścia lat przed pierwszym
rozbiorem polskim. Za
protekcją jakiegoś Ojca Jezuity, brata proboszcza wsi, dostał
się z pod nahaja
ekonomów i hajduków, z pod biczat atamańskiego, do Lwowa.
Tu czyścił buty
Jezuitom i spełniał inne najniższe posługi w klasztorze. Jezuitom
mieli w swym
ręku szkołę lwowską, która później współzawodniczyła z
akademją zamojską. Przez
protekcję swego dobrodzieja dostał się Żagwin do szkoły, nie
jako uczeń, ale
jako jakiś nikczemny rodzaj kalafaktora, jako zamiatacz izby i
oprawca przy
egzekucjach szkolnych.
Tak trudem niesłychanym, bezprzykładną wytrwałością, lisim
sprytem i
przebiegłością przemycił się przez klasy, uczył się z upartą,
namiętą
pilnością, uciekł Jezuitom, wśliznął się do palestry lubelskiej,
pracował, marł
z głodu — ale wyszedł na człowieka. A człowiekiem w jego
rozumieniu był ów, kto
miał porządny, cienki żupan na grzbiecie, kto miał sakwę
pełną złota i

sposobność obicia czasami kogoś niższego tak serdecznie, jak
jego do niedawna
objano.

Będąc tak żywą kontrabandą, torując sobie drogę zamkniętą
przemocą chytrłości i
wybiegów, ciągłą pracą sprytu i przebiegłości, nieraz kosztem
upokorzenia się i
upodlenia tylokrotnie wyszturkiwany, wypychany jako intruz
bezczelny, z natury
nie bardzo surowy w wybieraniu środków a nadto, zarwawszy
nieco jezuickiego
wychowania — wyrobił
w sobie Żagwin charakter przewrotny. Do przewrotności tej
przybyły gorycz,
nienawiść, mściwość. Życie jego było ciągiem pasmem
cierpień, niedostatków,
walk, krzywd prawdziwych i urojonych, upokorzeń — trzeba
było żelaznej
wytrwałości, aby je przebyć, trzeba było anielskiej dobroci
duszy, aby nie upaść
moralnie, nie zatruć serca jadami. Żagwin nie miał tej
anielskiej słodyczy —
pragnął tylko, aby się jak wąż wygrzać na łonie tego
społeczeństwa, które miał
później kąsać z całą rozkoszą zemsty. Mecenasem nie mógł
zostać, bo mu zapierało
do tego urzędu drogę mnóstwo przeszkód, a mianowicie
urodzenie. Będąc jednak
niesłychanie sprytnym i zdolnym prawnikiem, znalazł łatwo
pomieszczenie u
jednego z mecenasów lubelskich.
Pan mecenas pracował Żagwinem jak wołem, wygrywał jego
bystrością i rozumem

najtrudniejsze i najzawikłańsze spory, zasłynął, brał pieniądze grube i robił majątek. Tymczasem Żagwin od pryncypała swego brał tylko małą pensyjkę. Dla
ozwyczajonego z nędzą biedaka wystarczała ona najzupełniej, ale człowieka z wielkimi zdolnościami, z poczuciem tych zdolności i ceny swej pracy, rozgoryczała jeszcze bardziej ku ludziom. Żagwin pragnął pieniędzy, bo czuł dobrze ich wszechmocną władzę — złoto tylko, złoto i jeszcze raz złoto mogło go wyrwać z jego niedoli i upokorzenia, mogło dać sposobność pohulania orgją zemsty dla duszy przejętej do głębi nienawiścią. Nie sypiał tedy nocami całemi, pracował ubocznie i zarabiał dużo. W końcu, po kilku latach takiej żelaznej, niestrudzonej pracy, udało mu się zebrać znaczną stosunkowo fortunę. Zdawało mu się teraz, że stanął u kresu swych życzeń, że będzie mógł odtąd swobodniej i samoistniej oglądać się po świecie. Umyślił opuścić tedy swego pryncypała, lecz chciał się wpierw zemścić na nim dotkliwie. Nadarzyła mu się do tego wyborna sposobność. Szlachcic pewien przybył do pryncypała z jakąś sprawą bardzo dwuznaczną, rozpaczliwą, niezmiernie powikłaną, w wiekowem pieniactwie spleśniałą. Mecenas, bardzo słabą obdarzony głową, nawet głównej nici całego procesu dojść nie

zdołał. Bał się przyjąć proces. Szlachcic, który daremnie szukał pomocy u innych mecenasów, prosił, błagał, ofiarował ogromne honorarium. Mecenas poradził się z Żagwinem. Żagwin zamknął się na noc całą z stosem aktów, kondemnat, delacyj itd., przewartował wszystko, doszedł najzawikłańszych sieci i poradził przyjąć. Pryncypał starym zwyczajem zagarnął sporą antycypację, a prowadzenie procesu powierzył Żagwinowi. Żagwin zwinął się tak zręcznie, że jeszcze przed limitami trybunalskich sądów uzyskał pierwszy wyrok pomyślny, nie rozstrzygający jeszcze, ale stawiający sprawę na najlepszej stopie. Szlachcic pieniacz uradował się niezmiernie, sypnął złotem i sławił zdolności swego mecenasa. Proces toczył się dalej, gdy naraz w stanowczej, krytycznej chwili, kiedy należało użyć całego sprytu i zręczności do odniesienia zwycięstwa, Żagwin porzucił mecenasa, głuchy na jego prośby i zaklinania. Udał się do drugiego prawnika, który miał właśnie w opiece prawnej przeciwną stronę owego powikłanego procesu i temu zaofiarował tajemnie swe usługi. Znając dokładnie proces cały i jego najśłabsze strony umożliwił od razu zwrot przeciwny w jego toku. Gdy przyszło do terminu, dawny pryncypał Żagwina nie tylko musiał uleść, ale skompromitował się

najfatalniej. Proces dzięki sprytowi Żagwina przechylił się od razu na stronę przeciwną.

Skompromitowany dotkliwie mecenas, pozbawiony od razu nabytej sławy, nagabywany wyrzutami pieniacza szlachcica, umyślił się teraz zemścić na Żagwinie.

Nieszczęśliwy dla Żagwina przypadek zdarzył, że ów szlachcic był bratem dziedzica włości, w której się urodził Żagwin. Zdradzony mecenas znał dobrze pochodzenie zdrajcy, wyjawił rzecz całą szlachcicowi — i nagle porwano Żagwina i odstawiono go do wsi rodzinnej.

Pierwszy raz on tam był od czasu wyjazdu z Jezuitą. Przedtem nie zaglądał nigdy do wsi rodzinnej, choć miał tam ojca i matkę. Teraz dopiero poniewolnie

odwiedził swych rodziców, konwojowany przez hajduków w upokarzający i nielitościwy zarówno sposób. Czekala go sroga zemsta — on jej umiał jednak

zapobiedz. Dziedzic był w kłopotach pieniężnych, Żagwin ofiarował mu wykupno.

Poświęcił na to całą swą oszczędzoną sumę, owoc krwawych trudów i nocy

niespanych. Szlachcic zgodził się i wziął pieniądze, a ukontentowany z dobrego

interesu dodał mu z własnego wspaniałomyślnego popędu starą matkę w dodatku.

Ojciec bowiem Żagwina, unikając jakiejś chłosty dworskiej, umknął był już dawno ze wsi i znikł bez śladu w świecie.

Żagwin znalazł się znowu bez grosza, zaglądnął znowu w
oczy nędzy, gotować
musiał dłonie do nowej walki. Trzeba było zacząć na nowo!
Dał wszystko co trudem
i potem zdobył — aby kupić siebie. Dusza do gruntu
rozburzyła mu się namiętą
nienawiścią i zawołał ze zgrzytem zębów:
— Kupiłem siebie! Dobrze, ludzie! mnie sprzedaliście mnie
samemu! Ale teraz już
kwita z nami! Wykupiłem się od was — jestem wolny!
W obec tej burzy nienawiści jedno tylko szlachetniejsze
uczucie nie ucichło mu w
piersi. Matka jego, widząc go wiezionego pod strażą
hajduków, w nieszczęściu, w
nędzy, otuliła go swą miłością, ogrzała gorącymi łzami.
Żagwin wziął matkę z
sobą i udał się w świat bez celu. Właśnie w ową porę przypadł
rozbiór Polski.
Żagwin nie znał Polski, nie znał ojczyzny, jak jej znać nie
mogli wszyscy
heloci. A przecież coś nakształt żalu owładnęło mu serce... To
uczucie
przywiązania do ziemi ojczystej w człowieku, który wytepił w
sobie wszystko, co
nie było żółcią i nienawiścią, było zagadką.
Zaraz po rozbiorze przeniósł się do Galicji i osiadł we
Lwowie. Pod nowym rządem
łatwo mu było uzyskać miejsce prawnika, zwłaszcza, że
szybko nauczył się
niemieckiego języka i niemieckie wystudjował prawa. Odtąd
zaczęło mu się wieść
dobrze. Już w zeszłym rozdziale nadmieniliśmy, jak kwitnęła
podówczas

rabulistyka w kraju. Żagwin znalazł w tym brudnym odmęcie skandalicznego pieniactwa złote źródło. Nie było procesu najniesprawiedliwszego, przed którymby się usunął; nie było sprawy najpowikłańszej, którejby nie rozmotał, najjaśniejszej, którejby nie poplątał — według tego, jak mu było potrzeba. Sumienni koledzy stronili od niego, był wykluczany z grona uczciwych, ale on szydził z tego. Za to, gdy przyszło stanąć mu przed kratkami z innym mecenasem, wtedy wysiłał spryt swój i chytryść całą, aby go pokonać i rozbroić. Nie była w tem sama tylko gorliwość rzemiosła — była tam i osobista nienawiść. Szydził, pastwił się z prawdziwą rozkoszą. Krzyczano nań, skarżono się — on nie dawał się zbić z toru, bo mimo tych krzyków miał mnóstwo klientów. Ci sami, którzy najbardziej nań wołali, spieszyli w potrzebie o pomoc do niego. Tym sposobem w krótkim czasie zrobił sobie bardzo wielki majątek, nie tylko z procesów zwykłych, ale z rabulistycznych sprawek na własną rękę, o które tak łatwo mu było w owych czasach rozbicia fortun i zamętu stosunków krajowych. Gdy mu kiedy kto w oczy zarzucał niesumienność lub obelgę w twarz cisnął, on śmiał się szyderczo i mawiał:

— Sprawiedliwości chcecie! Głupcy, alboż to sądy i my na to, aby sprawiedliwość była? Alboż to ja na to trzydzieści lat marłem z głodu, aby dziś żyć twoją sprawiedliwością? A gdzież sprawiedliwość na świecie? Gdzie? powiedz mi!

Razu jednego szedł po pod mieszkanie jednego magnata. Przed drzwiami stał mały, obdarty chłopczyna i drżał od mrozu, bo było to w zimie. Żagwin zatrzymał się, spojrzał na chłopca i zapytał:

— Czego tu stoisz?

— Wypędzili mnie z kuchni lokaje! — zapłakał chłopczyna.

— A pocóżeś tam łaził?

— Bo tam służyła moja matka.

— Służyła. A teraz gdzie jest?

— W szpitalu. Żagwin popatrzył się na chłopca uważnie, na ustach zaigrał mu śmiech szyderski.

— Słuchaj! — rzekł — ja cię zrobię synem pana hrabiego! Ja cię zrobię paniczem, hrabiątkiem! Co, nie dobrze będzie?

Chłopiec patrzył nań osłupiałym wzrokiem.

— A prawda! ty nic nie masz, gałganie! nie miałbyś czym zapłacić! A ja nic darmo nie robię! A szkoda, byłby proces ładny!

A potem nagle, jakby mu się własna myśl podobała, chwycił chłopczykę za rękę i kazał się prowadzić do matki.

Za kilka dni rozpowiadano sobie o skandalicznym procesie, wytoczonym hrabiemu,

który znany był z bojaźliwego zamięłowania spokoju. Hrabia był niewinny, napaść była najoczywistsza, najohydniejsza — ale chcąc uniknąć skandalu, wolał się okupić i posłał na ręce Żagwina rulon dukatów. Żagwin podzielił pieniądze na dwie połowy — jedną dał biednej chorej, a drugą zatrzymał sobie...

Takim był Żagwin. Gdyby był w owym czasie żył we Francji, byłaby rewolucja znalazła w nim jednego z najkrwawszych bohaterów politycznej namiętności, gdyby się był urodził o kilka dziesiątek lat później w Polsce, byłby moim wykierował się na dobrego obywatela. Ale w swoim czasie był on anachronizmem, kontrabandą — choć stokroć więcej zapewne niż stosunki społeczne przyczynił się do rozwoju takiego charakteru ten nieszczęśliwy fatalizm, że w drodze żywota spotykał się tylko z ludźmi bez serca... Ale to już taka klątwa niedoli, taki los świata, że nim wyjdiesz pod błękit i jasność słońca, przejść musisz przez labirynt ciemności, a w tym labiryncie jakżeż łatwo zabłądzić, jeśli serce twe, twój anioł stróż, nie przyświeca ci pochodnią miłości! Ale charakteryzując Żagwina jeszcze jednego rysu pominąć nie możemy, rysu, który usprawiedliwić ma poniekąd jego dalsze losy w tej powieści. Mimo to, że w zaślepieniu źródło krzywdy, którego powinien był szukać u jednostek, odnosił do

całego społeczeństwa, mimo wyległą ztąd nienawiść, która
była kamertonem jego
duszy, świecił jeszcze w ciemności jego serca i jaśniejszy
promyk... Nawet
najzatwardziały zbrodniarz przechowuje jeszcze taki
promyczek w piersi!...

Stara to prawda, że ludzie ani doskonale złymi, ani doskonale
dobrymi być nie
potrafią. Jeżeli jedna zbłąkana gwiazdka na czarnym niebie
światelkiem swem robi
noc niezupełną — to i w piersi Żagwina była noc niezupełna.
Człowiek ten kochał swoją matkę — otaczał ją wszelkimi
wygodami, opiekował się
nią jak pieśczonek dzieckiem. Staruszka ta żyła dotąd, a
syna, który otoczył ją
taka troskliwością, który siebie i ją dźwignął z nędzy i
niewoli, uważała za
bóstwo rozumu i dobroci... Ale oprócz uczucia synowskiego
miał ten przewrotny i
ciemny charakter jeszcze inną jaśniejszą stronę....

Po długiej pracy przy biurze, po sofistycznym krętactwie
przed kratkami sądu,
zamykał się często Żagwin w osobnym pokoju i czytał z
najgłębszym zajęciem, z
rozkoszą prawdziwą książki treści sentymentalnej, poemata
mrzonek miłosnych i
idylicznej słodczy....

Człowiek, który właśnie co wstał od pracy nad wytoczeniem
brudnego,
niesprawiedliwego procesu, który wysiłał się przed chwilą na
zamącenie zgody
osób i rodzin — czytał po kilkakroć Heloizę Russa —
człowiek, który nie znał dla

świata i ludzi nic prócz nienawiści i bezczelnie chlubił się
cynizmem
niesumienności, z rozkosznym uniesieniem marzył z
Karpińskim o Justynach, o
sielankach miłości....
Niegdyś, będąc sługusem u Jezuitów we Lwowie, poznał tam
Kamińskiego osobiście —
a dziś pierwsze poezje tego czułego śpiewaka, które właśnie
wyszły na świat we
Lwowie, były najulubieńszym pokarmem jego wyobraźni w
chwilach wolnych od
rabulistyki. A wyobraźnia ta, rozmarzona słowem miłości i
obrazem lubych scen
pasterskich, wiodła duszę Żagwina do życzeń, których niktby
się nie był
spodziewał po tym człowieku bez serca...
Żagwin nie był żonaty... — ale mimo opóźnionego już dość
wieku marzył o
szczęściu miłości. Serce choć stwardło w kamień, choć
zwęglone żarem nienawiści,
nie zdołało się wyrzec tego rojenia. Żagwin chciał jedną —
jedną tylko istotę
wyjąć z pod swej nienawiści i przewrotności, i dla tej jedynej
być człowiekiem
innym. Tym jedynym i ostatnim wyjątkiem miała być jego
żona...
Ale marzenie to dotąd pozostało marzeniem. Dotąd podsycaly
je nie oczy wybranej,
ale zdarte i zbrudzone od ciągłego czytania karty Heloizy i
tkliwych dziejów
Justyny... Żagwin ciągle czekał i krył się z tą zagadką swej
duszy przed

światem. Nikt nie podejrzwał tej słabej jego strony. Była to jego najskrytsza tajemnica. Takim był Żagwin. Cóż za stosunki mogła mieć z tym człowiekiem piękna Laura?...

IX.

KTO KOGO OSZUKA ?

Nim przystąpimy do skreślenia konferencji, która się odbyła między Żagwinem a panią Laurą, musimy po krótko wyjaśnić stosunek, jaki się wywiązał między sławnym rabulistą a zagadkową damą. W chwili, kiedy wprowadzamy na scenę obie te osoby razem, stosunek ten znajdował się poniekąd, że tak powiemy, w porze dojrzewania.

Pani Laura przybywszy do Galicji miała na celu załatwienie jakiejś sprawy, która, sądząc z całego postępowania warszawskiej damy, musiała mieć dla niej wielką bardzo wagę. Laura pierwsze dni pobytu w Galicji spędziła u swej dobrej znajomej z salonów warszawskich, jakiejś emerytki wielkiego świata, która strwoniwszy lata młodości i znaczną część majątku w wirze stołecznego życia, przeniosła się do swoich dóbr w Galicji i tu wśród odzuwania miłych wspomnień spędzała resztki życia. Laura, nacieszywszy się z ex-lwiczą ówczesnych warszawskich salonów, złożywszy

jej szczegółowe sprawozdanie z całej kroniki salonowych plotek, wypadczków i skandalików, począwszy od balów królewskich i życia pod Blachą aż do szczegółowej historii pojedynczych bohaterów modnej i świetnej "tężyzny" — wypowiadała się z swych kłopotów i swych nadziei i za poradą starej przyjaciółki wybrała się do Lwowa. Kłopoty te i nadzieje były zarówno wielkie. Nietylko polityczne zmiany i wypadki, które Baltazarową wróżbą zakłóciły wesołość i swobodę warszawskich salonów, ale i inne dotkliwsze jeszcze powody zmusiły naszą piękną znajomą do opuszczenia Warszawy. Pani Laura przebywała w Warszawie bez męża, o którego losach nikt bliższych nie znał szczegółów, a utrzymywała się w stolicy z dóbr swoich posagowych, o kilka mil od Warszawy odległych. Żyła wytwornem życiem ówczesnych dam salonowych, na stopie świetnej, wśród zbytku i niesłychanego przepychu. Piękność i majątek nadawały jej prawo do wysokiej salonowej kariery, a kariery ta tem obszerniejsze miała granice, ile że pani Laura, będąc wdową czy rozwódką, nie znała żadnych obowiązków rodzinnych, któreby mogły ścieśniać jej swobodę. Przy braku takich obowiązków domowych i rodzinnych a wielkiem zwolnieniu obowiązków wyższych moralnych, którem celowało owego czasu społeczeństwo

warszawskiego wielkiego świata — pani Laura mogła
zasłynąć w krótkim czasie
sławą pierwszej bohaterki salonów, królowej zabaw i uciech,
bogini mody, tonu i
zbytkowego przepychu.
Ale odgrywanie tak świetnej roli wkrótce wyczerpać musiało
źródła majątkowe
pięknej kobiety. Zbytek i brak wszelkiej pieczy nad dobrami
rychło przyczyniły
się do ruiny posagowej fortuny, a niebawem znalazła się pani
Laura w
konieczności przedania dóbr swych poniżej wszelkiej
wartości. Resztki uzyskanych ztąd zasobów szybko się
rozplynęły wśród
wystawnego, modnego życia. Nim się opatrzeć zdołała nasza
salonowa bohaterka,
środki jej pieniężne wyczerpały się już ze szczętem.
Tymczasem i świeże wypadki polityczne rozbiły warszawskie
towarzystwo. Wesołym
salonom Warszawy zabrakło swobody i spokoju — powietrze
stało się dusznem. Pani
Laura widziała, że nie ma już co robić w stolicy. Opuściła
Warszawę i z
ostatkami świetności przybyła do Galicji. Wszakże i tu liczyć
mogła na dalszy
ciąg nudnej salonowej kariery, wszakże i Lwów w owym
czasie błyszczał przepychem
i świetnością swych kół salonowych i swego modnego tonu.
Ale oprócz tych marzeń
i widoków miała pani Laura jeszcze inne, których spełnienie
było jeszcze
ważniejszym i konieczniejszym.

Piękna nasza znajoma miała jakieś pretensje do dóbr
położonych w Galicji. Dopóki
była w dostatkach, dopóki własny majątek wystarczał na
pokrycie wszelkich
potrzeb modnej i pańskiej wytworności, nie przyszły pani
Laurze nigdy ani na
myśl te pretensje i plan ich podniesienia; ale kiedy ujrzała się
ogłoconą z
dalszych zasobów, kiedy obliczyć mogła naprzód dzień, w
którym spotka się oko w
oko z niedostatkami, zaświtała w jej sprytniej główce myśl,
której wykonanie było
jedną z najgłówniejszych przyczyn jej przyjazdu do Galicji.
Jaka to była myśl i na jakich opierała się podstawach, o tem
dokładniej dowiemy
się w ciągu bieżącego rozdziału — tu tylko powiemy tyle, że
myśl, której się
uchwyciła zban-
krutowana dama, wcielić się miała w prawną pretensję, w
wielki proces o znaczne
bardzo dobra. W interesach tego procesu przebywają od
niedawna pani Laura we
Lwowie. Zamierzony proces nie musiał być bardzo pewny,
podstawy jego nie musiały
leżeć po za obrębem dwuznaczności, a samże przyszły rezultat
nie musiał mieć
dość pewnej rękojmi powodzenia, gdyż mimo nawet dość
zdemoralizowanej i w
zuchwały sposób przedsiębiorczej rabulistyki w młodej
Galicji, trudno jakoś było
o rzecznika dla podjętej sprawy.
Przedewszystkiem nie mogła go jakoś znaleźć pani Laura w
gronie poważniejszych i

sumienniejszych mecenasów lwowskich. Prawie wszystkim znaczniejszym adwokatom ofiarowała prowadzenie swego procesu, ale w żadnym nie znalazła ani ochoty do podjęcia się tej sprawy, ani otuchy, aby zamierzone zabiegi odnieść mogły pomyślny skutek. Pani Laura była w prawdziwej rozpacz. Jedyny prawie plan, który jej jeszcze pozostawał i który zdawał się rokować pomyślniejszą zmianę w materialnej sytuacji kobiety, przywykłej do ogromnych dostatków i zbyt kownej wystawy w życiu, zaczynał spełzać na niczem. Wśród tak przykrego kłopotu obiała się o uszy pani Laury smutna sława Żagwina. Niesłychany spryt tego prawnika, zuchwała śmiałość jego rabulistycznych pomysłów, w końcu bezwzględna obojętność na godziwość w wybieraniu środków do popierania spraw podjętych, wydały się dla pani Laury ostatnim ratunkiem. Nie myśląc wiele udała się do Żagwina. Żagwin wysłuchał całej sprawy, nie przyobiecał na pewno powodzenia, ale nie odstraszył swej pięknej klientki i oświadczył gotowość do prowadzenia całego interesu. Ale proces ten wymagać miał wielkiego nakładu, wielkich kosztów zaraz u wstępu, a wierny swej naturze Żagwin koszta te obliczał bardziej jeszcze według miary własnej chciwości, aniżeli według samej niezbędnej potrzeby.

Nowy tedy szkopuł zagroził pani Laurze drogę do celu. Ale
szkopuł ten nie długo
trwożył naszą piękną znajomą. Laura uciekła się do jedyne-
go prawie środka, który
jej pozostawał. Tym środkiem była świetność jej wdzięków,
mistrzostwo jej w
sztuce uwodzenia. Chciała sobie ująć Żagwina, olśnić go
swym widokiem, podbić go
i swym niewolnikiem uczynić. Był to istotnie plan bardzo
niepewny! Trafić do
tego serca, co zachowawszy gdzieś w najgłębszym swym dniu
iskrę uczucia, okryło
się stałą oziębłości i szyderstwa, podbić bronią romansową
człowieka, który
stwardł i zardzewiał tak w życiu — było szalonym
przedsięwzięciem !
Żagwin był kilka razy na konferencjach w domu pani Laury, a
piękna gospodyni
korzystała wybornie z tych kilku odwiedzin. Rozwinęła przed
nim cały ów
porywający czar swej postaci, otoczyła go całą siecią uroków.
Laura była
mistrzynią w swej sztuce. Zamach na Żagwina był zręcznie
obmyślony, wysiliła się
nań cała przebiegłość jenjalnej kokiety. Od początkowej
obojętności i pewnej
wyniosłej dumy aż do mimowoli niby rzuconych słówek, od
spojrzeń i zapytań niby
prostej ciekawości aż do subtelnie odegranej komedji
współczucia — wszystko to
było wpływem głębokiej rachuby.
Żagwin był w pierwszych swych spotkaniach z piękną
awanturnicą samym sobą, był

Żagwinem prawnikiem, a to wystarczyłoby mniej pewnej
siebie kobiecie do
zaprzestania takich zamiarów. W rozmowach swych z Laurą
trzymał się Żagwin tylko
interesu, prawił tonem szorstkim, niegrzecznym, odpychał
cynizmem swego
moralnego bezwstydu, zbywał wszystkie słówka i uwagi
Laury, które nie miały
styczności z procesem, szyderstwem lub wybuchem jadowitej
goryczy. Ale to
wszystko nie zniechęciło pani Laury.
Wiemy już o dziwnej właściwości charakteru Żagwina — o
tajemnicy jego serca.
Widok tej ślicznej kobiety, otaczającej się urokiem dziwnej
słodyczy i uczucia
uderzył właśnie w tę ukrytą strunę jego duszy. Z razu nie
zważał Żagwin na te
wrażenia i przedstawiał się Laurze w postaci, którą miał dla
świata. Owego
dziwnego zajęcia, które Laura okazywała dla jego osoby, nie
sposstrzegł, nie
rozumiał, bo go nie przypuszczał. Ale po kilkokrotnem
widzeniu się z swoją
klientką w Żagwinie rubuliście, w Żagwinie szydery i
mizantropie, począł się
odzywać Żagwin marzyciel, Żagwin miłośnik Karpińskiego,
Żagwin czytelnik
Heloizy.
Ten ukryty Żagwin marzyciel począł walczyć z Żagwinem
prawnikiem. Kiedy prawnik
słuchał z zimną, rzemieślniczą niejako uwagą wywodów
klientki — marzyciel

chwytał dźwięk jej głosu i pieścił się nim z rozkoszą; kiedy
prawnik odpowiadał
suchemi słowy pieniackiego krętacza — marzyciel patrzył w
czarne oczy Laury. Ale
trzeba było oka niesłychanej bystrości, trzeba było oka,
któreby spojrzeniem
jak sondą wniknęło w samo najgłębsze dno serca, aby
dostrzedz tego rozstroju w
istocie zimnego prawnika, aby odgadnąć, że pod temi trzema
skorupami nienawiści,
moralnego cynizmu i oziębłości tleje iskierka innego uczucia,
aby zmiarkować ze
ten drugi zgłuszony, stłumiony, skowany Żagwin wypowiada
posłuszeństwo swemu
panu.

Czy pani Laura była tak przenikliwą, czy tylko tak wytrwałą
— dość ie mimo
jednostajnego na pozór zachowania się Żagwina nie traciła
otuchy. Wkrótce też za
to poczęły się pojawiać pewne nieznaczące ślady skuteczności
zabiegów pięknej
klientki. Żagwin, który pierwszy raz krótko i oschle rozmawiał
z Laurą, a ubrany
był w codzienny strój wytarty; który krótko i rubasznie urywał
rozmowę, gdy mu
zegarek oznajmił upływ kilkunastu minut; który ledwie za
trzykrotną proźbą
przyszedł na prawniczą konsultację — przybywał po raz
drugi, trzeci i czwarty
już bez osobnych zaprosin, przybywał starannie ubrany i
odświeżony, nie patrzył
na zegarek, nie spieszył się, owszem przeciągał dyskurs i był
mniej szorstki,

mniej suchy, choć zawsze ściśle interesu się tylko trzymał. Piękna Laura poczęła widocznie sprawiać wrażenie na osławionym prawniku. Jeżeli tego nie zdradzał wyraźniej przed Laurą, to za to gdyby go kto był podglądał w domu, byłby dostrzegł wymowniejszych wskazówek. Zagwin na dwakroć dłużej zamykał się w swym pokoju, podwójny czas spędzał nad ulubionymi książkami i na zadumie.

Jakkolwiek nie zaniedbywał swych zatrudnień, to przecież widać było nieraz, że ta praca, która mu dawniej starczyła za rozrywkę, czasami go nudzi i niecierpliwie. Wogóle było widać w jego usposobieniu jakiś rozstrój, jakieś pasowanie się.

Ale dość już jasno skreślił ten dziwny stosunek Żagwina do Laury. Czas już teraz wrócić do samych osób. Zostawiliśmy je w poprzednim rozdziale właśnie przy scenie powitania.

Żagwin siedział na krześle w milczeniu. Oczy miał spuszczone ku ziemi, na czole zarysowały się fałdy, jakby w znak zamyślenia, a cała fizjonomia przybrała wyraz jakby stanowczego namysłu. Co chwila ruszał sobą niecierpliwie, i pocierał ręką po czole.

Laura spoglądała nań badawczo, a usta jej przebiegał uśmiech na pół wesoły na pół drwiący.

— Jakże ci rada jestem, panie mecenasie — dziś więc stanowczo pomówimy...

— O czym? — przerwał szorstko Żagwin i spojrzał nagle na Laure.

Z ust pięknej kobiety znikł w jednej chwili uśmiech szyderczy, a osiadł słodki i wesoły.

— O mojej sprawie — odparła. Żagwin ruszył się niecierpliwie na krześle.

— Miałeś się dobrze rozmyślić, panie Żagwin.

— Rozmyśliłem się.

— A rezultat?

— Krótki. Proces pani nie ma nadziei... Lepiej go nie rozpoczynać...

I rzekłszy te słowa szybko, stanowczo, Żagwin odetchnął, iakby tę odpowiedź okupił walką z samym sobą.

Laura rzuciła się niechętnie na krześle i chmura osiadła jej na czole. Ale nagle przybrała minę łagodną.

— Tak, to dobrze... — rzekła spokojnie i z wyrazem na pół żalu na pół rezygnacji.

— Dobrze? — zapytał ze swojej strony Żagwin.

— Dobrze, bo ci ufam...

— Pani mi ufasz? — zawołał Żagwin — pani mi ufasz? Mnie, Żagwinowi, którego wszyscy mają za łotra, za pieniacza, oszusta, do których to trzech pięknych tytułów przez uczucie solidarności z ludźmi mam zaszczyt sam się przyznawać...

— Ufam... — odpowiedziała znowu spokojnym tonem Laura.

— Cha... cha! — zaśmiał się szyderczo Żagwin — a ja pani powiem, że mówisz mi — nieprawdę...

Słowo to wymówił z impertynencką prawie szorstkością.
Pani Laura udała, że w prostactwie upatruje tylko
oryginalność i uśmiechnęła się
z doskonale udanym zajęciem. Ale kurczowe nadeptanie
trzewiczka na ziemię
zdradzało, że wewnątrz inne było uczucie.

— Ufam panu — rzekła łagodnie — bo nie uważam pana za
takiego, jakim się sam
głosisz... Świat i życie ciężką są szkołą dla ludzi z silnym
uczuciem... Znam

pańskie koleje Po trosze... Pojmuję pańską gorycz!...

Słowa te wymówiła piękna klientka głosem, w którym zdało
ci się, brzmi całą
skalą echo prawdziwego współczucia... Żagwin bystro i
badawczo spojrzął w oczy
pięknej kobiecie.

Zastał je pełne smętnego współczucia...

— Dobrze! — zawołał — pani mi ufasz! Otóż nie ufaj mi
pani, bo cię zwodzę,
oszukuję!... Proces jest do wygrania....

— A! mecenasie! Czyż to się godziło tak żartować?...

— Pani mi znowu wierzysz! Mówię: nic z tego — wierzysz;
mówię: wygramy! —

wierzysz!... A to dalej pani uwierzysz, że masz do czynienia z
pocziwym

człowiekiem, a ja znów gotów uwierzyć, że mówię z...

Tu urwał Żagwin i wstał z krzesła.

— Ale wróćmy do interesu — począł mówić dalej — proces
pani może być wygrany...

Ale może go wygrać tylko Żagwin...

— Wiedziałam o tem, udając się do pana. Tylko Żagwina
bystrość zdoła przechylić
sprawę na stronę słuszności...

— Tylko Żagwina podłość może się podejmować procesów dwuznacznych, niesłusznych... Tylko Żagwin podejmie się tego, czego inni zacni ludzie dotknąć się nie chcieli!... — dokończył Żagwin.

I zaśmiał się z nielitościwym szyderstwem.

— Wiecznie ten sam! Niepoprawny! — zaśmiała się Laura i przygryzła wargi.

— Idźmy dalej — zaczął znowu Żagwin nie spuszczać z oczu swej klientki — pani zaczynasz proces z mężem.

Zachodzi tedy pytanie, czy

on żyje, czy nie żyje?

— Ależ według wszelkiego prawdopodobieństwa nie żyje...

— A jak żyje?

— To nie ze mną, a majątek mój... Ja go nigdy nie kochałam...

— Co tam miłość!... Miłość to kodeks serca; mówimy o procesach... Kodeks

austrjacki pozwala na procesa między mężami a żonami...

Więc pani nie masz

pewności, czy żyje czy nie żyje ?

— Nie!

— To nic nie znaczy... Jeśli żyje, zastosujemy prawo na emigrantów, jeśli nie

żyje, zastosujemy prawo spadku — w obu razach mamy słuszność.

— Bez niej nie rozpoczynałabym procesu...

— Z nią nie udawałabyś się pani do Żagwina... — zaśmiał się z cynicznym

szyderstwem rabulista.

— Ale rekapitulujmy całą sprawę — ciągnął dalej — abym mógł stanowczo ułożyć

plan kampanji. Dobra, o które chodzi, należały dawniej do pani...

— Do pani starościny Łotockiej, mojej stryjenki...

— Pani starościna Łotocka przeznaczyła te dobra dla pani...

— Dla mnie i dla mej córki...

— Córka ta żyje?

— Nie, umarła już dawno

— Pani Łotocka umierając zapomniała o testamencie?

Nieprawdaż?

— Tak.

— Ale sam stopień jej pokrewieństwa z panią świadczy, że nikomu innemu tylko

pani należy się scheda? Laura skinęła na znak potwierdzenia.

— Chodzi tylko o to, czy nie ma jeszcze jakich innych, np. pisanych skazówek,

że nieboszczka starościna nie mogła mieć innej ostatniej woli?...

— Skazówki te są.. Mam listy od stryjenki...

— Proszę o nie...

Laura wstała i otworzyła szufladkę biurka. Szukała dłuższą chwilę. Żagwin,

korzystając z tego czasu, począł połykać spojrzeniem jej wdzięczną postać. W

wzroku jego malowało się namiętne uczucie, na twarz wystąpił wyraz upodobania.

Gała jego postać zmieniała się w tej chwili... Ustąpiła z niej i cyniczna buta

przewrotnego pieniacza i wyraz przewrotności i cecha jadowitego uporu — wszystko

to utonęło w jakimś uczuciu łagodnym, prawie rzewnym...

Tak musiał wyglądać Żagwin, kiedy na klucz zamknięty poi! się czułem kwileniem

swego ulubionego poety...

Widział się bezpiecznym i zdemaskował się na chwilę
Wszakże nikt go nie widział.

Zagwin mylił się. Laura widziała tę zmianę na jego twarzy w
zwierciedle, które
wisało nad biórką... Usta jej przebiegł uśmiech
zadowolenia i tryumfu.

— Oto są listy — rzekła — odwracając się do Żagwina
i podając mu zwitek papierów. — Najgłówniejszym jest ten
— dodała wskazując na
list z samego wierzchu. Żagwin, który tymczasem był już
znowu samym sobą,
rozwinął papier i począł czytać. List ten był pełny uczucia
miłości i
przywiązania. Starościna pisała go, przesyłając Laurze w
przeddzień jej ślubu
błogosławieństwo. W liście tym pochwałała stryjenka
gorącymi wyrazami jej wybór,
życzyła kochającym sercem szczęścia w pożyciu
małżeńskim, dawała rady i
przestrogi. Z listu wypływało, że Laura była pieśczonej
faworytką bogatej
stryjenki... Żagwin odczytał głośno ten list, owiany
serdecznym ciepłem
macierzyńskiej życzliwości. Laura usiłowała zająć się czymś
innym, biegała
oczyma po budoarze, wstawiała i siadała, jakby tem chciała
koniecznie roztargnąć
uwagę i nie słyszeć osnowy listu, która widocznie przykre
jakieś w niej budziła
wspomnienie...
— Brawo! — zawołał Żagwin przeczytawszy list do końca —
to nieoceniony

dokument! Ale tak in parenthesin nie wolno spytać, czy
życzenia stryjenki się
spełniły?...

Laura westchnęła i rzekła:

— Nie! związek ten był poniewoiny, a serce nigdy się z nim
pogodzić nie

mogło...Żagwin zabrał się do czytania dalszych listów.

Następny już list

stryjenki był pełny smutku i żalu. Pisała swej bratanicy, że z
bólom dowiadyuje

się o jej nieszczęśliwym pożyciu z mężem, o niesnaskach i o
goryczy, którą młoda

żona przepelniła serce męża. Stryjanka przestrzega młodą

mężatkę i zaklina, aby się obliczyła z sercem i sumieniem, a
uzna, ie po jej

stronie wina: -Zygmunt to człowiek szlachetny i prawego
serca, w którego

sentymentów szczerosc nigdy wątpić nie mogę. Droga

Loreńku, kochane dziecie,

zatrzymaj się na tej drodze, zaklinam cię, błagam! O! obym
nie dożyła, abyś

zatrula serce człowieka, który zdolen jest zapewnić szczęście
zupełne kobiecie,

a który cię kocha do szaleństwa...

Zagwin odrzucił ten list na bok a począł czytać inne. Od czasu
do czasu -ustęp

jakiś przeczytał głośno.

— Więc ty nie tęsknisz za Marysieńką, za twojem dzieckiem
! — czytał Zagwin —

Biedne niebożatko, toć matki swej nie pozna! Kobieto! ja się
ciebie bać

zaczynam! O! gdybyś wiedziała, jak Zygmunt, który ma
wyjeżdżać, oblewa łzami
maleńką, jak ciężkie mu będzie rozstanie... Loreńko, nie daj
mi zwątpić o tobie,
przyjedź, ujrysz twoją Marysię, jaka śliczna, jaka dobra !...
Przyjedź — a
ręczę ci — pogodzicie się z Zygmuntem, ja go na to
przygotuję, a gdy się to
stanie, jakaż ja będę szczęśliwa! Umrę spokojnie i bez żalu. -
Zagwin przeczytawszy ten ustęp spojrział bystro na Laurę.
Laura miała u oczu
koronkową chustkę. Zagwin żałował, że oko jego tkanki tej
przedrzeć nie mogło.
— Na miłosierdzie Boże — czytał ustęp z innego listu —
matko wyrodna,
nieludzka! Kamieniem twe serce chyba, potworem jesteś, nie
matką...
Laura porwała się z krzesła i wysunęła rękę, jakby chciała
odebrać list
Zagwinowi.
Żagwin cofnął list i spojrział na nią przenikliwie.
— Czy nie wolno czytać ? — zapytał.
— O czytaj pan, jeśli chcesz — ale ten zarzut okropny,
niesłuszny, serce mi
dziś jeszcze rozrywa!
— Marysia twa chora, śmiertelnie chora — czytał Żagwin
dalej — ja trzy razy
szle do ciebie poczty, a ty nie przybywasz! Więc nie złożysz
nawet ostatniego
całusa na skroni dziecięcia, nim zmartwieje i lodem śmierci
się zetnie?...
Kobieto! ja cię przeklnę, ja...

Tu Laura głośnym wybuchem płaczu przerwała czytanie Żagwinowi.

— To okropnie! — wołała szlochając — stryjenka nielitościwie mnie osądziła.

Właśnie w tym czasie ja sarna byłam śmiertelnie chora, pasowałam się sama ze śmiercią! Otaczające mnie osoby ukrywały listy przedemną, aby mnie nie dobić! O

czemuż ukrywały, byłabym wydarła się chorobie i spieszyła do dziecięcia, albo

przynajmniej śmiercią swą usprawiedliwiła nieobecność przy jego skonie!...

I piękna Laura wybuchła nowym spazmatycznym szlochaniem. Żagwin spojrzał na nią

zimno, potem spokojnie złożył list i rzekł:

— To brzydki list, bardzo brzydki list!... z prawniczego względu oczywiście!

Ten list zniszczyć trzeba, aby nawet ślad zginął po takiej okoliczności, która

mogłaby nam pokrzyżować plan cały.

I przejrawszy raz jeszcze pobieżnie listy, złożył je i schował starannie do

kieszeni.

Potem oparł się w krzesło i patrzył na płaczącą Laurę. Widok jej był istotnie

porywający.

Rzucona w fotel jakby w omdleniu, z białą piersią falującą w cichym płaczu, z

drobnymi dłońmi przy ślicznej twarzy, w stroju modnym i wykwinnym, była pani

Laura . istotnie arcy powabnym typem salonowej Nioby...

Adwokat milczał patrząc badawczo na rozżaloną, jakby śledził, ile w tym wybuchu boleści prawdy, a ile udania. Skutek tego badania musiał wypaść na korzyść klientki, bo z oczu adwokata ustąpiły na chwilę szyderstwo i surowość.

Gdy się pani Laura trochę uspokoiła, zapytał ją pan

— Czy po tym liście nie było już innych?

— Był to ostatni.

— Gzy o tem małym nieporozumieniu między panią a nieboszczką starościna wie kto jeszcze?

— Zapewne przyjaciel mego męża...

— Przyjaciel! wiem już kto... — powtórzył adwokat i zamyślił — a więc ten sam, w którym w całym procesie będziemy mieli głównego przeciwnika.... On to wystąpi jako zastępca strony przeciwnej....

— Czy pani mniema — dodał po chwili — że w ręku tego pana znajdują się jakie dokumenta i dowody przeciw nam?

— Nie wiem.

— Niezawodnie się znajdują — rzeki na to Żagwin — ten przyjaciel męża pani może nam być niebezpiecznym, bardzo niebezpiecznym !...Żagwin wstał z krzesła i

zadumany przeszedł się kilka razy po pokoju.

Nagle zatrzymał się, spojrzął na Laurę i rzekł:

— Więc dobrze, rzecz się rozpocznie! Ale posłuchaj pani! W najdwuznaczniejszych nawet procesach nie oglądałem się nigdy na to, czy klienci zgodzą się na wybór

potrzebnych środków. Z panią robię wyjątek..... z panią pierwszą...

— Dziękuję panu — szepnęła piękna Laura i podała adwokatowi rączkę.

— Pytam panią, czy przyjmujesz solidarność w tej sprawie ze mną, i z tem

wszystkiem, co uczynić uznam za dobre! Zastanów się pani, rozmyśl, czy

przyjmujesz solidarność z Żagwinem ?

Laura rzuciła na Żagwina jedno z najpowabniejszych swych spojrzeń. W spojrzeniu

tem przebijała się wdzięczność i ufność.

— Jestem sama na świecie — rzekła tonem pełnym uczucia

— nie mam przyjaciół,

nie mam obrońcy... Ty mnie broń, panie Żagwinie, tobie się

powierzam... Odwołuję

się nie tylko do bystrości prawnika, ale do serca

człowieka... Żagwin chwycił się

za lewą pierś, jakby istotnie to serce odezwało mu się nagle,

niespodziewanie,

po raz pierwszy w życiu! I dziwna rzecz, na tę apelację do

serca,

usta po raz pierwszy odmówiły Żagwinowi głosu szyderstwa i cynicznego śmiechu!

Laura dobrze poznała się na tem. Wstała z fotelu i

przystępując do Żagwina ujęła

swą rączką dłoń jego...

— Panie Żagwinie — rzekła tonem nadobnej szczerości —

czy można mówić z tobą

otwarcie...

Adwokat z szorstkiem zdziwieniem spojrział na mówiącą, ale

nie cofnął dłoni z jej

ręki.

— Nie zawsze i nie wszyscy mogą — odpowiedział.

— Czy nie zawiedziesz pan mego zaufania? — pytała dalej Laura słodkim, proszącym głosem.

— To trochę za późne pytanie...

— Późne bo trudne... Jakżeż mi ciężko bowiem wynurzyć się z prośbą, która może przekracza granice naszego prawniczego interesu...

I piękna kobieta spojrzała przeciągle na Żagwina. Żagwin stał nieruchomo, jakby na uwięzi tego spojrzenia i rzekł tylko:

— Słucham!

Laura zawahała się chwilkę, a potem zaczęła:

— Jestem w położeniu bardzo przykrem, bardzo trudnem...

Mój majątek, który miałam za kordonem, padł ofiarą wypadków politycznych i bankructw bankierów warszawskich.... Żagwin z pewnem rozczarowaniem spojrzał na Laurę. Prolog zdawał mu się coś innego obiecywać.

— To, czem się zazwyczaj najmniej zajmowałam w życiu, co nie wchodziło w zakres mych trosk, dziś staje groźbą przedemną. Moje majątkowe stosunki są w opłakanym stanie... Widzę się bez środków...

— Nie upominałem się przecież jeszcze o honorarjum! — przerwał rubasznie Żagwin i chciał znowu wybuchnąć swym szyderczym śmiechem, ale spojrzawszy w oczy Laurze, umilkł prawie zmieszany.

Laura, jakby słów tych nie słyszała, ciągnęła dalej:

— Pan wiesz, jak przykre to położenie dla kobiety samej jednej, opuszczonej, jak ja! W obec takiego położenia, musiałabym może uleść okropnej konieczności i rozrzucić swym losem wbrew sercu... Musiałabym oddać rękę mą człowiekowi, którego nie kocham, zadać gwałt sercu i zatruć goryczą całe życie.... Panie Żagwinie, czy pan pojmujesz, co to za straszny los dla kobiety, która tylko prawdziwym uczuciem kierować się zwykła ?...

— Ależ pani, do czegoż to dąży?! — zawołał Żagwin.

— Zaczęłam, więc skończę — mówiła dalej Laura, odetchnąwszy ciężko jakby od zmęczenia. — Proces powlecze się zapewne długo ?

— Niezawodnie.

— Więc ratując wolność mego serca i niezawisłość całego życia, gotowa jestem do ofiary...

— Nie rozumiem — szepnął półgłosem Żagwin, patrząc na mówiącą.

— Gotowa jestem pozbyć się moich pretensyj na rzecz kogoś innego.... Kieruje mną więcej niż zaufanie, jeśli z tem udaję się do ciebie, panie Żagwinie....

Skończyłam.

I opuszczając dłoń Żagwina, Laura usiadła znużona w fotelu. Żagwin z dziwnym wyrazem pomieszania i zdziwienia przeszedł się po budoarze. Nagle przystanął i zapytał:

— Więc to znaczy, że pani mi chcesz sprzedać swoje pretensje ?....

Laura odpowiedziała twierdzącym milczeniem.

- Ile warte są dobra, do których pani masz pretensję?....
- Najmniej pięćdziesiąt tysięcy dukatów....
- Ile pani żądasz za swe pretensje do nich?
- Mniej niż połowę..... dwadzieścia...
- To cały mój majątek! Cały majątek! — zawołał Żagwin.

I milcząc począł chodzić spiesznym krokiem po pokoju. Po twarzy jego widać było, że odbywa jakąś ważną naradę z myślami, że jakąś walkę stacza z samym sobą.

Potem stanął i rzekł:

— Rzecz cała zmienia się! Na taką propozycję nie byłem przygotowany. Potrzebuję namysłu i proszę o zwłokę do jutra!

I z dziwnym pośpiechem chwycił za kapelusz, krótkim ukłonem pożegnał Laurę i wybiegł z budoaru. Gdy wychodził z kamienicy, ujrzał zajeżdżający właśnie bogaty powóz. Z powozu wysiadał stary książe N. Wizyta była zapewne przeznaczoną pani Laurze.

Żagwin, spojrzawszy szyderczo na księcia i z impertynencją zaśmiał mu się w oczy....

Potem spiesznie pobiegł ku domowi. Żagwin przybiegłszy do domu, zamknął się na klucz w swoim pokoju i padł w zamyśleniu na krzesło. Twarz jego to wykrzywiała się szyderstwem, to łagodniała na przemian. Bił się widocznie z myślami, pasował się sarn z sobą. Nie wziął się już do czytania swych ulubionych książek — czytał w tej chwili w tajnikach swego serca, na jedynej jaśniejszej kartce tej czarnej

księgi swych uczuć....

Twardy rabulista uczuł się dziwnie zmienionym. Pięknej jego klientce udała się

kampanja... Maleńka, słaba isierka uczucia, która tliła w duszy Żagwina,

rozjarzyła się pod gorącym blaskiem oczu pięknej kobiety, pod tchem jej

czarujących słówek, rozgorzała płomieniem, od którego zdawała się pryskać stal

brutalności, topnieć lód cynicznego hartu... Żagwin utracił całą sprężystość

woli, całą ową zimną trzeźwość myśli, która go dotąd nigdy nie opuszczała...

Kiedy przed kilku dniami wybierał się do swej klientki, czuł niebezpieczeństwo i

postanowił był zerwać stosunki. Widzieliśmy te szorstkie zapędy i ich ostateczną

płonność. Obecnie Żagwin nie znalazł już w sobie sił do odwrotu. Ta biedna,

styranizowana gwałtem dusza, poczęła się dziwnie odzywać — to biedne serce,

sycone dotąd tylko jadem, wypowiedało posłuszeństwo, domagało się swych praw

!...Żagwin porwał się z zamyślenia i zawołał sam do siebie:

— Ani błoto, w którym się tarzałem, ani całe piekło życia, w którym szukałem

hartu, nie wystarczyły na za-

bicie tej głupiej strony mej duszy! Któraż to arterja serca, do której nie

dostał się jad nienawiści, tętni dziś we mnie! Gdzie to głupie uczucie ukryło

się tak w tej zbrudzonej piersi, że go wydrzeć nie mogę własnymi dłońmi, że go

świat nie wydarł dotąd, jak tyle innych już wydarł dawno!...
Potem biegał znowu jakby w gorączkowym szale po pokoju
— aż zszamotany, znużony
szepnął z pewną rezygnacją:

— Dobrze! To uczucie zostało mi w piersi zapewne albo na
karę za to, co
przewiniłem, albo na nagrodę za to, co przecierpiałem! Albo
mnie zgubi, albo
uszcześliwi!

W tonie, którym wyrzekł te ostatnie słowa, niktby nie
dostrzegł głosu Żagwina,
tyle w nim było drzenia, tyle uczucia i nadziei!

— Zgubi ranie, albo uszcześliwi! Va banque! Jeśli zgubi, to
zacznę na nowo!

I jakby stanowczo zdecydowany chwycił za kapelusz i
wybiegł z swego pokoju. W
drugiej izbie była jego matka. W miękkim fotelu drzemała
siwa staruszka. Żagwin
wstrzymał swój pęd, szedł dalej cichutko, na palcach, spojrzał
na matkę łagodnym
wzrokiem, nachylił się ku niej i szepnął:

— Spij mateńko, spij! Niech ci się wyśni moje szczęście!
Niech ci się wyśni
złocista pani, brylantowa hrabina! Mateńko, będziesz miała
synową, synową
śliczną i jasną jak z bajki! Spij mateńko!

I wysunął się za drzwi.

Staruszka zbudzona szeptem otworzyła oczy, oglądnęła się
zdziwiona po pokoju —
ale nikogo w nim nie było. Żagwin za chwile był na mieście,
za kwadrans już
obiegał rozmaite miejsca. Odbywał narady z indywidualiami
różnego rodzaju,

odwiedzał mieszkania żydowskich faktorów, zaglądnął do kasyna Hechta, wstąpił do jednego i drugiego urzędu a wszędzie rozpytywał się o coś, badał, dochodził. W pytaniach i rozmowach jego usłyszeć można było często imię Zakruckiego.

Gdy późno w nocy powrócił, siedział długo przy świetle lampy, notował sobie coś na papierze i rozmawiał sam z sobą:

— Testamentu formalnego nie ma! Pewnych pisemnych kontr-dowodów żadnych! Ale jest Zakrucki! Zakrucki może sparaliżować plan cały, on jeden tylko stoi na zawadzie!

I zamyślił się głęboko.

— A więc precz z Zakruckim! Usunąć go! — zawołał.

— Ale jak? — dodał półgłosem.

I znowu zanurzył się w myślach. Twarz mu zdziczała, oczy namiętnie zabłyśły.

Naraz porwał się gwałtownie i zawołał:

— Środek niezawodny! Zakrucki spadnie mi z karku! Ależ czy ten środek godziwy?

Cha, cha! Żagwin myśli o godziwości środków!!

I zaśmiał się jak szatan wcielony.

— A przecież — dodał z dziwnym pomieszaniem — kiedykolwiek używałem,

kiedy przed żadnym hanie

bnym fortem nie zadrżał — ten jeden zawsze wstrętem mnie przejmował!

— I dla czego? — mówił dalej — Co za głupstwo! Ten człowiek mi przeszkadza do szczęścia, więc na bok z tym człowiekiem! Cóż, ztąd że z człowiekiem uderzam na

ideję! Ideja jaka! szlachecka! Czy ją znam, czym jej co winien! Nic! A sobie?
Wszystko. Głupi szkrupuł!
I długo jeszcze szamotał się w sieci dziwnych myśli i uczuć, aż w końcu sen uciszył wzburzone łono...
Na drugi dzień w południe udał się Żagwin do Laury. Postanowił jej otwarcie wyznać to, co się kryło w jego piersi! Konsultacja prawna miała się zmienić w oświadczenie miłości! Jakiż był skutek tych stanowczych odwiedzin, które decydowały o całym życiu jego ? Czy na twarzy powracającego Żagwina ujrzymy nielitościwą zajadłość i zwyczajny śmiech szyderstwa?... Wybiegł rozpromieniony, szczęśliwy, z blaskiem uczucia w oczach. Biegł ku domowi — a znajomi nie poznawali go po drodze, wrzuszali ramionami, tak się zmienił, tak wyjaśniał cały ten ponury człowiek!
Jeszcze tego samego dnia powtórzył wizytę Żagwin, a kieszenie jego obciążało złoto. Żagwin rzucił całą swą istotę, plód twardej walki życia — i cały swój majątek, owoc krwawych zabiegów, trudów i przewrotności na jedną kartę! Tą kartą było serce, które przez połowę żywota znał z imienia tylko! Wieczór tego samego dnia, Żagwin okutany w płaszcz ciemny wysunął się z domu. Ktoby był śledził postać jego w cieniach nocy, byłby dostrzegł, jak majaczyła ulicami ku Halickiemu przedmieściu i niknęła gdzieś pod znanym nam dworkiem...

I każdej nocy w dniach następnych powtarzała się ta zagadkowa przechadzka...X.

MADEJ NA NOWEM STANOWISKU.

Wrócimy teraz z kolei naszego opowiadania do Madeja, którego poznaliśmy zaraz w pierwszym rozdziale, a który od czasu wyjazdu Tadeusza znalazł się tak niespodziewanie na nowem stanowisku. Wkrótce po Tadeuszu odwiedził Lwów sam Łakrucki i uzupełnił instrukcję nowego klucznika dworku na Halickiem przedmieściu.

Pan Dederkało od czasu owej niefortunnej przygody w szeheli, nie domagał się ciągle.

Nie tyle poniesiony w ówczas szwank na zdrowiu, co późny wiek i skutki trudów

wojaczki powaliły starego konfederata na łożo. Wstawał wprawdzie pan Dederkało

często, nie chcąc kapitulować przed niemocą, ale zaledwie zawlókł się do

kościółka . . Karmelitów i nazad, lub zaledwie przeszedł się chwiejnym krokiem

po izbach i podwórzu dworu, a już stare kości nie dopisywały i wygrzewać je

trzeba było pod pierzyną.

Tak chyrlając ciągle zachował pan Dederkało już tylko tytuł rezydenta, a

właściwy nadzór nad całym dworkiem odstąpić musiał Madejowi. Dziad odpustowy

wyrwany nagle z swego dotychczasowego trybu życia, dość długo nie mógł się

oswoić z nowem swoim powołaniem. Za ciasno

mu było w czterech ścianach alkierza, za duszno w obrębie murów miejskich.

Siedząc nieraz z założonemi rękami patrzył markotno na zawieszoną lirę i tęsknił

w duszy za gwarem odpustów, za włóczęgą po wsiach i miasteczkach, za życiem

tułaczem, dziadowskiem, ale swobodnem.

Aby rozerwać chwile nudów, grywał nieraz na swej lirze i śpiewał dawne nuty

dziadowskie a najczęściej pieśń pana Karpińskiego, która ogromnie się podobała

także panu Dederkale. Stary konfederat żyjąc beczynnem w swej niemocy, często

kazał ją sobie śpiewać dziadowi, słuchał uważnie, potrząsał siwą głową, wzdychał

i szarpał wąsem na znak wewnętrznego wzruszenia.

Innemi razy znowu kazał Madejowi opowiadać, co mu ślina na język przyniesie, a

Madej też nie był od tego i prawił bywało szeroko i długo o swoich dziadowskich

przygodach, o przyprawach z Niemcami za śpiewanie pieśni im niemiłych, o cudach

i łaskach wszystkich sławnych obrazów w całym kraju, o odpustach i o chatach i

dworach, a gdy i ten temat się wyczerpał, wtedy uciekał się do całego

niewyczerpanego zapasu klechd i baśni najrozmaitszych lub do uciesznych bajek, z

których nieraz całą pierś śmiał się pan Dederkało.

W zamian zato Dederkało, kiedy był przy lepszym zdrowiu i lepszym humorze,

opowiadał dziadowi przygody z swej wojaczki, gawędził o bitwach z Moskalami, o

panach Puławskich, a najwięcej o księdzu Marku. Dziad
słuchał z wyteżoną uwagą,
wypytywał skwapliwie, ciągnął za konfederata — a gdy się
tak nasłuchał do woli,
my-
ślał nieraz o tem, jak to, gdy się kiedyś wyrwie z miasta,
będzie miał co
opowiadać po chatach i temi ciekawemi historjami wypłacać
się za strawę i za
nocleg gościnny. Jak już bowiem powiedzieliśmy, Madej nie
pożegnał się w duchu z
swym dawniejszym zawodem, z którym zrosł się duszą i
ciałem, gotów był każdej
chwili poświęcić spokój i wygodę, aby chwycić znowu za
kostur i lirę i puścić
się w świat szeroki, a nieraz gdy przypadł jaki sławny odpust
w Milatynie albo w
Sokalu, albo na którejś Kalwarji, dziad nasz staczał formalne
walki z pokusą,
aby się nie wymknąć z domu i nie puścić znanemi drogami.
Zdawało mu się bowiem, że odpust bez niego nie ma
zupełnego waloru, że nie
stawając w rzędzie swych kolegów u schodów cerkwi lub
kościółka, przeniewierzy
się niejako swemu obowiązkowi. Nieraz myślał i łomał sobie
głowę nad tem, co tam
mówią ludzie po odpustach, że Madeja nie ma, co prawda o
tem inne dziady i jak
się cieszą z tego, że im ubył tak niebezpieczny kolega i
współzawodnik.
Zmienił się też dziadowina w nowym bycie. Na twarzy
wyglądał gorzej niż

przedtem, widać że jakoś ruch i chleb żebraczy służyły lepiej
zdrowiu niż wygoda
i maszczona kasza w miejskim dworze, że czerstwość oblicza,
wędzonego wiatrami i
pieczonego skwarem słońca, ulatywała jakoś w zaciszu
czterech ścian ciepłych,
przy ogniu kominka. I strój Madeja zmienił się całkiem, stare
łatane łachy wraz
z bezdennymi torbami poszły w ką, a natomiast ubierał się
Madej według własnego
wyboru i smaku w długą po
kostki sukmane niebieska, na wzór miejskich dziadów
kościelnych.

Z dziadami tymi przez uczucie koleżeństwa w dobrej żył
komitywie, komunikując
się z nimi w gawędzie codzien z rana, jednak lekceważył ich
w duchu i uważał za
partaczy rzemiosła, którego mistrzem się sądził. Bywało też
wielce się gorszył
brakiem tradycyjnych przymiotów i zdolności dziadowskiego
cechu we Lwowie — a
poznawszy tak
cały świat dziadowski ze wszystkich krucht, babieńców
kościelnych i bram
cmentarnych, nieraz uczuwał w sobie silną pokusę, zasiąść
pomiędzy nimi i
wypalić po swojemu apostrofę do miłosiernych dobrodziej,
aby fachowem
zachowaniem się i kwiecistością dziadowskich formułek
zapędzić w ką lwowskich
niedołęgów.

Z dawna czując pociąg do muzyki, służywszy nieraz w
młodych latach za grajka w

karczynie rodzinnej swej wioski, umyślił Madej przypomnieć
sobie ten talent,
który dotąd wyłącznie poświęcał swej lirze i kupił sobie
jeszcze z dziadowskich
zapasów skrzypki. Na tych skrzypkach wygrywał sobie z
lubością, to wyciągając na
nich rzewne tony, to tnąc kuranty od ucha — a muzyka i bajki
uczyniły go
pożądanym gościem w domkach przedmiejskich i
prawdziwym ulubieńcem dzieci z
całego Halickiego przedmieścia, które niebawem w najlepsze
poprzyjaźniły się z
starym Madejem.
Ale niebawem obowiązki Madeja poczęły wymagać większej
uwagi i więcej zabierały
czasu. Pan Zakrucki, który wyjechał był ze Lwowa, wrócił
niebawem napowrót i
osiadł.

na dłuższy czas we dworze Promnickiego, czyniąc tylko
częste wycieczki do
niedalekich od stolicy dworów szlacheckich. W samotnym i
opuszczonym dawniej
dworku powstało jakieś nowe, tajemnicze życie, jakiś ruch
ukryty i zagadkowy.
Znamy już instrukcję, jaką dał Madejowi Tadeusz. Instrukcji
tej dopełnił jeszcze
sam Zakrucki, a Madej z tem trwożliwszą przestrzegał jej
pilnością, ileże
wszystko to osłaniało się przed jego okiem mgłą jakiejś
dziwnej tajemnicy.
Bywało pan Zakrucki w nocy wyjeżdża i w nocy wraca, a
przywozi z sobą jakichś

nieznanych ludzi, zamyka się z nimi i mówi długo, a
Madejowi każe pilnować domu.
Nieraz świt już zabłyśnie na niebie, a narada trwa jeszcze.
Innym razem znowu
późną nocą zajeżdżają jakieś fury przed bramę dworku i
słyszą głośne pukanie, a
Madej bieży i pyta według nakazu o cedułkę, budzi pana
Dederkałę lub gdy jest
Zakrucki, to i jego samego, a gdy otrzyma nakaz wpuszczenia
nocnych gości,
otwiera bramę i wpuszcza fury na podwórze. I wówczas z tych
fur dużych
wyładowują nieznani ludzie jakieś ogromne ciężkie paki,
jakieś beczułki i
skrzynie, i przez całą resztę nocy składają przywiezione te
tajemnicze
transporta częścią do lochu, częścią do lamusu dworskiego.
Ostatnimi czasy powtarza się to prawie co nocy, a Madej z
zaciśniętymi ustami i z
miną prawie przelekką, jakby się bał, aby mu się nie wyrwało
mimowoli pytanie:
z kąd ci ludzie i co z sobą przywożą, czuwa aż do świtu,
pomaga w ładowaniu i
wskazuje piwniczne i lamusowe kry-
jówki, zamyka je i klucze albo panu Zakruckiemu, albo
Dederkałemu odnosi. Ale
ledwie się już ze wszystkim uporano, aż tu zaraz w noc drugą
przyjeżdżają znowu
inne fury, próżne, i zabierają znowu to co wczoraj
wypakowano, i co inni ludzie
niewiedzieć z kąd i pocią przywieźli, to znowu inni niewiedzieć
dokąd i pocią
wywożą.

Niekiedy znowu nikt do bramy się nie dobija, ale za to zaraz z
późnego wieczora
słysząc gwar wielki za ścianą. Jest to ta sama ściana, na którą
zwracał Tadeusz
uwagę dziada i na której znajduje się owe czarne kółko. Madej
wówczas według
nakazu siedzi przy ścianie i wytyża czujnie stare uszy, lub od
czasu do czasu
wychodzi na podwórze i jak pies obieże całe obejście, a
wróciwszy znowu siedzi
lub stoi jak żuraw na straży.
Tymczasem za ścianą słysząc rozmaite głosy, gwar i
rozmowy, jakby kilkunastu
ludzi radziło. Madej uchem łowi gwar niezrozumiały, a oko
ma wlepione w czarne
kółko na ścianie i rękę ma wyciągniętą, aby według nakazu
zaraz szarpnąć za
kółko, gdyby słyszał jakiś podejrzaný ruch przed bramą....
Raz, kiedy pan Dederkało podczas tej straży Madejowej
krzyknął coś przez sen w
alkierzu, Madej z największą trwogą pociągnął za kółko, o
którym nie wiedział
dotąd, jakie ma znaczenie. Ledwie szarpnął za to, jak w duchu
był mocno
przekonany, zaczarowane kółko, gdy zaraz doleciał go z poza
ściany głośny dźwięk
dzwonka i za chwile wbiegł z drugiej strony sam pan
Zakrucki, pytając co się
dzieje. Dziad nieśmiało odpowiedzieć i milczał przerażony —
a gdy się po dokładnym opatrzeniu dziedzińca i ulicy przed
dworkiem przekonano,
ze alarm był niepotrzebny, pan Zakrucki na pół w gniewie na
pół ze śmiechem

powróci? do swych nocnych gości i znowu słyhać było jak dawniej gwar za ścianą.

Na dziesięć alarmów Madeja było zawsze dziewięć fałszywych — zwłaszcza z początku, dopóki się nie oswoił z swym obowiązkiem i nie pozbył się trwogi przed odpowiedzialnością. Zkąd się brali ci ludzie, co rozmawiali za ścianą z panem Zakruckim i gdzie przepadali — długo nie wiedział Madej, aż raz zajrzał, jak ich po jednym z latarnią wyprowadzał sam pan Zakrucki tylnym wychodem i jak wszyscy przez furtkę ogrodową wymykali się szybko i wracali podzieleni różnymi drogami ku miastu....

Takie schadzki wieczorne i nocne odbyły się już po razy kilka — gdy jednego dnia

zrana Zakrucki przywołał do siebie dziada i zapytał:

— Cóż, dziadu, pilnujesz chaty ?

— Jak oka w głowie, jak duszy własnej! jasny panie!

— To dobrze, tylko nie strasz się stary i trzymaj język za zębami!

Madej zrobił ruch uroczystego zapewnienia.

— Nie będziesz tego żałował. Ale pamiętaj! Dziś i jutro trzeba baczość

podwoić! Podczas gdy tam za ścianą będzie rozmowa, ty czuwaj dobrze!

Napomniawszy tak Zakrucki pożegnał Madeja uśmiechem.

Miał do swego nowego

klucznika zupełne zaufanie. Z początku, gdy przyjechawszy do Lwowa zastał pana

Deder-

kale złożonego niemocą, a zastępcę jego znalazł w jakimś
starym włóczykiju ze
świata, nie rad był bardzo z tak dziwnego i lekkomyślnego
prawie wyboru
Tadeusza, ale gdy wziął starego na konfessatę, gdy mu się
bliżej przypatrzył,
powziął o nim lepsze wyobrażenie i polubił go nawet.
Zaufawszy tedy tak
Madejowi, nie czuł potrzeby zaopatrzenia pustego domu w
inną służbę i oprócz
wyrostka do usługi, Madeja i Dederkały nie było przy nim
nikogo więcej.
Madej, wysłuchawszy napomnienia Zakruckiego,
pokrzątawszy się jeszcze czas jakiś
po izbach dworku, poszedł swoim zwyczajem na mszę
poranną do katedry, do której
miał szczególną predylekcję, a to z powodu że przedsiemek
tego kościoła był
jednym z głównych zbiorowisk dziadów lwowskich, a Madej
jak wiemy, kochał
formalnie dawny swój zawód.
Ale w kościele zdarzył się Madejowi dziwny i zagadkowy
przypadek....
Kiedy msza się już skończyła i nabożni poczęli wychodzić z
kościoła, Madej stał
u wchodu i przypatrywał się wychodzącym. Nagle jakby coś
szczególnie zajęło jego
uwagę, wysunął się naprzód, wyteżył wzrok i z pomkniętą
naprzód nogą jakby
skamieniał w miejscu....
W tłumie osób opuszczających świątynię, znalazła się snać
jedna, której widok

dziwne na Madeju sprawił wrażenie.... Wrażenie to musiało być gwałtowne, uderzające, bo Madeja oczy stanęły w słup z zdziwienia, usta rozwarły się, a cała postać jego drżała na miejscu....

Tak stał chwilę mała, aż nagle, jakby się ocknął z odrętwienia, porwał się szybko z miejsca i wybiegł z kościoła. Stanąwszy na placu, począł rozglądać się na wszystkie strony z gorączkowym zajęciem, jakby chciwie szukał kogoś...

Szukana osoba musiała mu gdzieś zniknąć z oczu, bo podbiegał z rozmaitych stron na plac i ulicę, wyteżał oko, dopędzał idące gromadki, zaglądał w twarze i jakby jeszcze nie znalazł, biegł dalej....

W końcu Madej sam musiał uznać płonność swego poszukiwania, bo wrócił zamyślony i z spuszczoną głową.

— W imię Ojca i Syna i Ducha! — przeżegnał się exdziad trzy razy z ruska i splunął z zdumieniem.

— A toć mi się przywidują niesłychane, niewidziane rzeczy! — szepnął dalej do siebie. — A gdzieżby to być mogło! Tfu! Urok na stare oczy i kwita!...

I znowu przeżegnał się i splunął stary Madej.

— Ale bo ja taki widziałem! na żywe oczy widziałem!

Wszakże to jasny dzień a

oczy nie zaszły mi blachmanem! Dziw! dziw! niesłychany!

I z największym zdumieniem na twarzy, z spuszczoną głową i przecierając oczy,

jakby się chciał przekonać o ich zdrowiu, wracał Madej do dworu.

Gdy stanął w alkierzu pana Dederkały, był blady jak ściana i prawie

nieprzytomny, dawał na zapytania odpowiedzi bez związku, wałęsał się jak Marek

po piekle i widocznie nie mógł znaleźć spokoju.

— Trzydzieści lat! Całych trzydzieści! Hm! jakby to być mogło? Tfu! to chyba

oman, dur albo czary jakie!...

I tak mającąc sam z sobą cały już dzień jakby nie swój był Madej, chociaż

służbę swą pełnił troskliwie i wieczór trzymał czujnie straż zwyczajną.

Tymczasem w sali za ścianą odbywały się tego dnia jeszcze jakieś głośniejsze

narady, a o uszy Madeja gwarniejsze jeszcze niż co dzień obijały się głosy. A

gdy już późno było w nocy, Madej naliczył więcej niż zwykle ciemnych postaci, co

się przesuwwały z dworku przez ogród, słyszał częstsze skrzypnięcie żelaznej

furtki i gęściejsze ujadania psów przedmiejskich...

Na drugi dzień z rana Madej wcześniej niż zwykle porwał się z pościeli i

wcześniej niż zwykle wysunął się na miasto. Kroki jego zdążyły wprost ku

katedrze, a przybywszy tu nie powitał się nawet z dziadami, nie rzekł do żadnego

ani słowa, ale patrzył na wchodzących. Nagle znowu aż zadrżał cały i znowu

zdrętwiał z zdumienia... Potem opamiętawszy się nieco wysunął się naprzód w głąb

kościola, oparł się o ścianę i oczy nieruchomo wtopił w punkt jeden... Na twarzy jego malowało się prawie przerażenie, oczy ani na chwilę nie drgnęły, nie zwróciły na bok spojrzenia... Tak stał przez mszę całą... Gdy już ludzie poczęli wychodzić z kościoła, on stanął na straży i czekał. Nagle rzucił się w tłum i darł się szybko na ulicę. Tu właśnie niektórzy wsiadali do powozów i odjeżdżali do domu. Między powozami była i mała kryta bryczka, do której właśnie wsiadł ktoś przed chwilą. Madej podbiegł do bryczki, wpatrzył się w nią, jakby ją okiem chciał zatrzymać, a gdy bryczka ruszyła z miejsca puścił się za nią pędem... Bryczka sporym ruchem oddaliła się z miejsca i skręciła boczną ulicą. Dziad Madej utopii w niej wzrok, aby nie stracić jej z oczu, lub nie pomieniać z inną i pędził za nią co siły. Naraz tchu zabrakło staremu, nogi słabnąć mu poczęły, i został znacznie w tyle. Bryczka skręciła na bok i zniknęła z oczu. Madej dobył sił ostatnich i podążył za nią dalej. Szczęściem dość wcześnie stanął na skrócie ulicy aby ujrzeć jeszcze kierunek bryczki. Na jednej z główniejszych ulic miasta bryczka zatrzymała się. Madej z rozpaczliwym wysileniem przyspieszył kroku, aby czempredzej stanąć przy niej. Gdy się z nią

zrównał, była już próżna. Madej rzuciwszy wzrokiem na nią
wpadł wprost do
kamienicy. Właśnie w tej chwili zamknęły się drzwi, jakby
ktoś dopiero co wszedł
do swego pomieszkania.

— Tu! — szepnął do siebie Madej i odetchnął ciężko, jakby
chciał zaczerpnąć
powietrza do strudzonej piersi.

I postawszy chwilę na odpocznienie począł rozglądać się po
kamienicy. Nad

drzwiami, które się w oczach jego przymknęły, była biała
tablica a na niej

jakieś czarne dwie litery. Madej wpatrzył się w te znaki... Nie
umiał czytać a

zdawało mu się, że z tych czarnych, zagadkowych hieroglifów
mógłby wszystkiego
się dowiedzieć...

Nie oglądnał się jednak za nikim, ktoby mu mógł pomóc w
odcyfrowaniu czarnych

znaków, ale wyszedł na ulicę. Pomieszkanie, do którego drzwi
przed chwilą

przymknięto, było frontowe i dolne. Madej przybliżył się do
szyb i począł się

wpatrywać wewnątrz. Wytężył wzrok swój,

że aż łzy pociekły mu z oczu, ale światło łamało się w
podwójnych szybach i

Madej długo nic nie widział... Gdy mu się w końcu udało
uchwycie obraz wnętrza,

ujrzał pokój piękny i bogaty, ale w pokoju nie było nikogo...

Byłby patrzył dłużej, ale usłyszał groźny głos za sobą i ktoś
silnie szarpnął go

za ramię... Madej oglądnał się i ujrzał twarz surową jakiegoś
mężczyzny... Sroga

mina nieznanego pana zmięszała Madeja. Przestraszył się sam swej własnej
zuchwałości, że śmiał zaglądać w szyby do pańskiej komnaty,
uchylił się kornie i
z pośpiechem oddalił się z miejsca. Ów pan z srogą miną
pogroził mu laską i
wszedł do kamienicy.
Madej gdy wpadł do domu, był jeszcze bledszy i bardziej
pomieszany niż wczoraj.
Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, oczy mu osłupiały i był
prawie nieprzytomny.
Nie jadł, nie mówił, jeno siedział i myślał głęboko, mrużąc
od czasu do czasu
jakieś niezrozumiałe wyrazy. Ledwie się zdobył na tyle, że
zabrał się do
spełnienia swych obowiązków bezprzytomnie i machinalnie.
Gdy wieczorem dał się słyszeć gwar za ścianą, Madej ledwie
go zauważał — a
zamiast zwykłej czujności widać było na jego twarzy
zamyślenie. Gdy po chwili
wyszedł na podwórze, spoglądając mimowoli na okiennice, co
osłaniały okna sali, z
której wychodziły owe tajemnicze szepty i gwary. W
okiennicach były otwory w
kształcie serca. Z otworów tych bił jasny promień światła na
podwórze.
Dziad podsunął się ku okiennicom i spojrział przez otwór.
Widział całą salę i
wszystkie osoby, które w niej były, a
twarz każda najwyraźniej przedstawiała się jego oczom. Kiedy
indziej byłby widok
ten zajął wyłącznie uwagę Madeja, tym razem jednak
wzbudził w nim myśl całkiem

inną.

Uderzył się z ukontentowaniem po czole i zawołał sam do siebie:

— To i tam teraz będzie tak dobrze widać!

Potem zawahał się jakby staczał walkę sam z sobą i w końcu zawołał:

— Pójdę! na chwileczkę pójdę! Toż to i chwilki nie zabawi, a tu cóż się

tymczasem stać może?

I bez czapki, jak stał na podwórzu podsunął się chyłkiem ku bramie, rozemknął ją

cichutko, zamknął znowu i wysunął się spieszenie w ciemną noc na ulicę. Biegł

szybko i nie zatrzymał się prędzej, aż stanął przed owym pomieszkaniem, do

którego okien zaglądał tak uporczywie z rana.

Okna zakryte były okiennicami, ale przez otwory okiennic można było zaglądnąć w

głęb pokojów. Madej przyłożył twarz do małego otworu i popatrzył do środka.

— Przemienienie pańskie! — zawołał nagle i aż odskoczył od okna.

Przeżegnał się, przetarł oczy i znowu począł wpatrywać się przez otwór

okiennicy. Przy promyczku światła, który wymykał się z tego otworu, widzieć

można było twarz Madeja bladą, rozrzewnioną. Usta mu drżały — a z oczu spływały

łzy... I jakby przykuty do miejsca stał nieruchomo i nie mógł oderwać wzroku od

okna...

Tymczasem zegar na wieży uderzył godzinę. Dźwięk tonu obudził Madeja, wstrząsł

się, odstąpił od okna i szepnął sam do siebie.

— Czas wracać do domu! Cóżby to pan powiedział, że dziad nie pilnuje dworu!

I iakby na pożegnanie zbliżył się raz jeszcze do okna i chciwie zapuścił wzrok w

głęb pokoju. Ale snać jakaś nieprzewyciężona siła trzymała Madeja na uwięzi, bo

zamiast tylko chwilki jednej, stał jeszcze długo, długo, i patrzył.

Dzwon zegara znowu przerwał Madejowi. Znowu się poruszył, znowu odstąpił — ale

po krótkim zawahaniu się rzekł rozrzewnionym głosem:

— Jeszcze maleńką chwilkę, jeszcze bodaj raz zerknę!

— Choć to mara może — mówił sam do siebie dalej

wpatrując się przez otwór

okiennicy — choć to może blachman zastąpił mi oczy, ale niech się dziad jeszcze

napatrzy! Tylko chwilkę jedyną, króciutką!...

Tymczasem ucichło na ulicach, tylko z daleka tętniły jeszcze głucho kroki

spóźnionych przechodniów. Madej stał ciągle na miejscu.

Naraz światło w pokoju

zgasło i z otworu okiennic zniknął jasny promyczek.

Madej otrząsł się jakby po śnie jakim i porwał się z miejsca.

Gdy się opamiętał

i pomyślał, jak długo tu stoi, mrowie go przeszło i jakby

pędzony przestraczem

począł biedz szybko ku Halickiemu przedmieściu...

Na ulicach było już ciemno i głucho — i tylko jedna czarna postać Madeja

majaczyła po pustej drodze... Kiedy już Madej zbliżał się ku dworowi, ujrzał z

daleka na po-

dwórze migotające się światła jakby latarnie. Światła te poruszały się po podwórzu a potem poczęły otaczać wieńcem dom cały... Strach jeszcze większy przejął Ma de ja, przyspieszył kroku i niebawem zobaczył się w pobliżu bramy. Brama, jak to o kilkanaście kroków spostrzegł, była otwartą. Madej rzucił się jednym skokiem ku bramie, gdy w tejże chwili potracił p jakiegoś człowieka. Była to ciemna, krępa postać, otulona w płaszcz szeroki, w naciśniętym na uszy kapeluszu. Potrąciwszy Madeja postać ta jakby spłoszona skoczyła na bok i wsunęła się pod parkan.

— Kto tu?! — zawołał Madej.
I rzucił się ku nieznanemu.

— Kto jesteś? — zapytał raz jeszcze — do kogo? Ciemna postać usunęła się w milczeniu na bok. Madej rzucił się ku nieznanemu człowiekowi i chwycił go silnie za piersi.

Nieznanomy opuścił płaszcz z ramion i silnie uderzywszy Madeja, powalił go na ziemię.

— Czego chcesz łotrze! — zawołał i zwrócił się spieszenie ku odejściu.

Madej upadłszy spojrział raz jeszcze na nieznanomego. Opuszczony płaszcz zsunął się z twarzy. Była to ta sama twarz sroga i surowa, co Madeja rano odpędziła od okien, do których tak chciwie zaglądał...

Nim Madej podnieść się zdołał, ów nieznanomy z srogą twarzą zniknął w cieniach

nocy. Madej szybko porwał się
ziemi, wpadł na podwórze i nie patrząc nawet na jakichś ludzi
z latarniami,
których prawie potrącał, wpadł do pokoju, w którym
zazwyczaj czuwał na straży, i
uchwycił za czarne kółko na ścianie.
Właśnie w chwili kiedy głos dzwonka zadrżał w przybocznej
sali, chwycił ktoś
Madeja silnie za kołnierz i wyciągnął na środek pokoju.
Madej ogłądnał się przelektły i ujrzał przed sobą żołnierzy w
białych kubrakach i
z karabinami w ręku...

XI.

OKTAWA RACŁAWICKA.

Czytelnik domyślał się już z poprzedniego rozdziału, że w
dworku Promnickiego na
halickiem przedmieściu zająć musiał jakiś niespodziewany i
ważny wypadek. Nim
jednak zaspokoimy dalszą ciekawość czytelnika, musimy tu
rzucić kilka słów o
porze, z której się ta część naszej powieści datuje.
Opowiadanie nasze rozpoczęliśmy u schyłku r. — obecnie
jesteśmy już wśród
wiosny roku następczego.
Wiosna to wiekopomna w dziejach Polski.
Upadającej ojczyźnie po raz ostatni zajaśniał promień ratunku.
Zapał narodu
rozgorzał blaskiem, co miał być zwiastunem zwycięstwa, a
niestety był tylko
wspaniała łuną pożaru, której jasność wkrótce ustąpić musiała
strasznym
ciemnościom klęsk, zagłady i zgliszczów.

Ostatni akt narodowej tragedji odgrywał się na rozszarpanej
już ziemi
polskiej... Losy narodu dopełnić się miały...
Nim się atoli dopełniły — jeszcze raz zawrzeć miała walka
bohaterska, walka
ostatnia w owej porze upadku Polski... Powstanie wybuchło
już w Krakowie a na
czele narodu idącego w śmiertelne zapasy, stanął Tadeusz
Kościuszko.
Zerwanie się do walki, jak w sercach wszystkich Polaków
rozbudziło iskrę nadziei
i zapal poświęcenia, tak i w Galicji znalazło odgłos szlachetny
i silny.
Galicja mimo przebytego już całego szeregu lat podległości
nie przestała być
polską, nie przestała się wiązać serdeczną nicią miłości z całą
ojczyzną...
Łączność Galicji z Polską nie zerwała się mimo dążących ku
temu kroków i
surowych środków rządu...
W pierwszych latach zmienionej doli tej prowincji już nie
tylko uczucie
patriotyzmu i polskości, ale i sama siła zwyczaju wiązała ją z
resztą ojczystego
organizmu. Dziwnem było z tego powodu nieraz położenie
szlachty polskiej w
Galicji, a osobliwie tej, która za czasów zupełnej
niepodległości piastowała
urzęda i wyższe godności w Polsce.
Jeszcze w kilka lat po pierwszym podziale i po oderwaniu
Galicji znajdujemy
wszędzie urzędowe nawet dowody tej łączności. Zdawało się,
jakoby dwa rządy

istniały wówczas w Galicji: jeden faktyczny, obcy, drugi
ojczysty, siłą samego
zwyczaju rozciągający się na utraconą ziemię.
Zdarzyło nam się w papierach nowych poddanych austriackich
znachodzić nakazy
władz obcych i komunikacje kancelarii warszawskiej króla
pod jedną i tą samą
datą. Ci którzy piastując dawniej godność kasztelanów, stracili
oczywiście
znaczenie swej władzy i jej nazwę nawet pod nowym rządem,
otrzymywali jeszcze z
kancelarii króla posłania lub cyrkularze.
W papierach takich niedawnych kasztelanów polskich a dziś
poddanych austrjackich
spotykamy takie listy królew-
skie tuż obok jakiegoś urzędowego nakazu z austrjackiego
namiestnictwa we
Lwowie, a w zapiskach pamiętnikowych znajdujemy obok
siebie także kopje
odpowiedzi na jedno i drugie.
I obok poddańczej relacji do gubernjum znajdujemy raport do
króla Jegomości, w
którym mu ex-poddany słowami boleści i żalu przypomina, że
dziś już niestety nie
moie brać otwartego i prawnego udziału w sprawach
ojczyzny.
Pisma takie wychodziły z kancelarii królewskiej zapewne
tylko z powodu mylnego
zachowania dawnego rejestru dostojników, z powodu
ozwyczajania się teź
kancelarii — spotkawszy się jednak tak w jednym ręku z
nakazem obcej faktycznej
władzy, wywoływały niezawodnie dziwny i przykry kontrast...

Na jedno z takich pism królewskich odpisuje pan kasztelan
bełzki, Kuropatnicki:

Miłoby mi było osobiście być skutecznym wykonywaczem
woli, myśli i ułożeń WKM. i

PMM. i choć w części mieć udział czynności w usłudze
pieczęlowości WKM.

Lecz gdy los nieszczęśliwy zakordonowania mnie
zakordonowanemu senatorowi tej

szczęśliwości nie dozwala, niech tę mam korzyść, abym i
siebie i współpraci

zakordonowanych złożył u podnózek tronu WKM. z prośbą,
abyś nam, lubo wydartym

pod inne panowanie, zawsze był Ojcem i Panem, jakośmy Cię
raz Miłościwy Królu

obrali wolnemi głosami i szczerze przywiązanem sercem za
ojca, króla i pana, i o

losie szczęścia naszego nie zapominał...

To uczucie łączności z całą ojczyzną, ze stanowiska nowych
władz jako nielojalne

ścigane, znachodziło tem żywsze i dobitniejsze objawy, im
ważniejsze i

głośniejsze wypadki polityczne poruszały wolną resztą Polski.

Echo takich

wypadków wstrząsało zazwyczaj silnie nową Galicją i nie
uchodziło uwadze

austrjackich rządów. W czasie wielkiego sejmku, kiedy Polska
czyniła wspaniałe

usiłowania, aby zakwitnąć na wskroś nowem życiem, umysły
w Galicji były tak

gorączkowo rozbudzone, a udział dla tego co się działo za
kordonem, tak silny i

wybitny, że w skutek relacji namiestnika, hr. Brygido, rząd
cofnął zamierzone

właśnie podwyższenie podatków.

W czasie, na którym właśnie stanęliśmy teraz w naszym opowiadaniu, panował także ruch patriotyczny w Galicji. Powstanie Kościuszkowskie znalazło w sercach galicyjskich Polaków głęboki odgłos. Szlachta rzuciła się do ofiar, do niesienia pomocy. Duch poświęcenia ogarnął wszystkich, starsi składali na ołtarzu wolności mienie, młodszy nieśli jej krew swą, garnąc się licznie do szeregów ojczystych. Szlachta zbierała się w kółka i wspólnie przedsięwzięła kroki do wspierania powstania, młodzież gromadami opuszczała Galicję i zbierała się w Radziwiłłowskich lasach, a we Lwowie zawiązał się osobny liczny komitet, który szeroko i gorliwie rozwinął swą czynność. W Komitecie tym główną odgrywali rolę adwokaci lwowscy, o których znakomitem podówczas stanowisku już przedtem wspominaliśmy. Na czele komitetu mającego na celu wspieranie Kościuszki stał hr.

Dzieduszycki; mecenasi Dzierzkowski, Węgliński, Strzałkowski, i hr. Leszczyński byli głównymi doradcami.

Oprócz nich wielu innych gorliwych patriotów, którzy tymczasowo przebywali we Lwowie, krzątało się około sprawy walczącego narodu. Krieger utrzymywał stosunki między lwowskim komitetem a Warszawą, generał Rymkiewicz prowadził

korespondencję z Stambułem, Wegetynowski i senator
Ogiński z Włochami i Francją,
Prozor z Litwą, Koziół z Wenecją.
Uwijał się także po Galicji Drzewiecki, który zamianowany
przez Kościuszkę
pułkownikiem wołyńskiej milicji, w Galicji zajął się
przygotowaniem do jej
organizacji. Komunikował on się z komitetem lwowskim i
zbierał składki pieniężne
od obywateli.
Rząd austriacki przybrał zrazu wobec tego ruchu całkiem
neutralne, owszem na pół
przychylnie stanowisko. Władze patrzyły przez palce na
stosunki obywateli z
powstaniem, nigdzie nie stawiono energicznych przeszkód
pomocy. Tak dalece też
ufano temu sympatycznemu na pozór stanowisku rządu, że
gdy Drzewiecki stanął we
Lwowie, komitet radził mu, aby swych zamiarów uzbrajania
Wołynia nie krył przed
rządem, ale właśnie skomunikował się z władzami.
Drzewiecki udał się też do generała komenderującego w
Galicji, Arnkura, który go
dobrze przyjął a wysłuchawszy jego zwierzeń, pochwalił jego
otwartość i
zapewnił, że dopóki czynności patryotyczne nie będą
naruszały spokoju Galicji,
rząd nic przeciw nim mieć nie będzie. Generał Arnkur był
nawet tyle łaskaw, że
nie ograniczył się na tem zape-
wnieniu, ale nawet dawał życzliwe rady Drzewieckiemu, aby
zakupione siodła i

kosy wysłał na Brody, jako przedmiot prostego handlu, a broń zbierał potajemnie, w czym nie będą mu wcale przeszkadzać władze cesarskie. Taką samą życzliwość znalazł Drzewiecki u gubernatora Galicji Kalemberga, który nadto dodał jeszcze następujące, charakterystyczne słowa: — Może Waćpan zabierzesz z sobą tutejszą na bruku wojującą młodzież, która nam tylko niepokoju przymnaża! Ale nie długo trwało takie stanowisko rządu. Zmieniło się ono rychło, a władze zaczęły występować surowo przeciw patryjotom, niosącym pomoc Kościuszce. Jakoż wkrótce tego samego Drzewieckiego, tak łaskawie przyjętego przez generała Arnkura i gubernatora Kalemberga, zaaresztowano w Brodach i złożono nań sąd wojenny pod przewodnictwem generała Sznajdauera, tego samego Sznajdauera, który później srogim wytępieniem rozbitków polskiego wojska tak smutny dał wyraz zmianie polityki swego rządu. Drzewieckiego zamknięto wraz z innymi w więzieniu lwowskim i dopiero później na pisemne dopominanie się Kościuszki wydano go za granicę państwa. Wprawdzie był potem jeszcze raz Drzewiecki we Lwowie w misji rewolucyjnej, ale już nie spieszył się przedstawiać dostojnikom rządowym, lecz przemycał się w stroju lokajskim po mieście i kraju. Tyle do sytuacji ówczesnej Galicji — a teraz czas nam Wrócić do naszej powieści

i jej osób.

Znana już jest naszym czytelnikom z jednego z poprzednich rozdziałów postać

Zakruckiego — a właśnie kilka kartek wstecz mówiliśmy o tajemniczym ruchu, który

panował w dworku Promnickiego. Zakrucki utonął całą duszą i sercem całym w

wypadkach politycznych. Powstanie Kościuszkowskie rozbudziło w starcu tym nowe

życie, podwoiło jego siły, rozgrzało zapałem umysł.

Zakrucki odmłodził nadzieją i pracą około jej spełnienia. Był on duszą

wszystkich prawie usiłowań, które zdążyły do poparcia walki zakordonowej braci.

Wtajemniczony w sprawy powstania, jeszcze kiedy one były mniej więcej tajnym

zamiarem, pospieszył zaraz na pierwszą wieść o gotujących się wypadkach z ofiarą

mienia, a dziś niósł ofiarę niezmordowanych usiłowań i trudów.

Komitet istniejący we Lwowie, nie mógł objąć agitacją od razu całego kraju,

Zakrucki więc był pośrednikiem między nim a większą częścią galicyjskiej

szlachty. Znając szlachtę tę doskonale, z każdym jej prawie członkiem

zaprzyjaźniony osobiście, od wszystkich czczony i szanowany, mógł stary

konfederat z wielką skutecznością spełniać swe polityczne zadanie.

Jakoż w pracy patriotycznej, która podówczas przypadła Galicji, był Zakrucki

wzorem poświęcenia. Zjechał na stałe mieszkanie do Lwowa i
w dworze swego
nieobecnego przyjaciela Promnickiego na halickim
przedmieściu zgromadzał
szlachtę przybywającą do stolicy, pouczał ją o ważności
chwili i zagrzewał do
ofiar. W dworze tym był zarazem główny skład broni i
przyborów wojennych, które
groma-
dzono dla wojska polskiego — a co kilka dni piwnice starego
domostwa na przemian
to wypróżniały się z nagromadzonych zapasów, to wypełniały
się nowymi.
W dniu, kiedy to Madej po raz wtóry wrócił do domu pełen
dziwnego zdumienia i
przerażenia, Zakrucki więcej był czynnym niż kiedykolwiek.
Głowę jego zaprzętać
musiały jakieś ważne plany, bo głębokie zamyślenie osiadało
mu na twarzy i tylko
połysk oczu, które się od czasu do czasu roziskrzały zapałem,
wskazywał że to
nie smutna troska, ale myśl jakiegoś stanowczego czynu
zajmywała umysł starca
konfederata.
Nie było też jeszcze w owej porze powodu do smutnych trosk
i obaw. Ruch zbrojny
był podówczas w samej pełni swego rozwoju, zapał narodu na
szczycie, nadzieja
przyszłości w rozkwicie samym. Do tego dodać jeszcze serce
polskie, tak skore do
wiary, do otuchy — a wyobrazić sobie można, jakim
szczęściem drzeć musiały
umysły patriotów polskich w pierwszych chwilach boju!..

Zakrucki przed południem pospieszył do kasyna Hechta. We Lwowie przebywało właśnie bardzo wiele szlachty, chciwej wieści o odgrywających się wypadkach a z tego powodu garnącej się do stolicy. Przybywszy zaś do stolicy, gdzież łatwiej zejść się ze znajomymi, spotkać z nowinami, jak me w kasynie pana Hechta, dokąd spiechli wszyscy już z samej nawyczki kontraktowej? Ludno tedy i dość gwarno było w domu naprzeciw ogrodu jezuickiego. W sali piętrowej, obszernej i porządnie urządzonej, było mnogo szlachty z wszystkich stron kraju. Obecni podzieleni byli na większe i mniejsze kółka, w każdym kółku toczyła się na pół głośno na pół szeptem rozmowa, a w każdej rozmowie dosłyszałeś imienia Kościuszki. W niektórych kółkach podawano sobie z rąk do rąk lub czytano głośno " Dziennik patrijotycznych polityków" i gniewano się, że tak mało w nim wiadomości. I nie dziwie się tej gorączkowej ciekawości, wszakże wczoraj dopiero przybyła wieść o bitwie Raclawickiej, przybyła w tydzień po samem zwycięztwie — a podbudzone ta wieścią wyobraźnie łaknęły nowin i szczegółów! Na licach zebranych gości promieniły się szczęście i radość. Pod napływem tych radosnych uczuć zapomniano o ostrożności i o panu Streicherze, dyrektorze

policji, który stojąc w framudze okna i rozmawiając z samym gospodarzem p.

Hechtem, od czasu do czasu wyteżał uwagę i przenikliwie spoglądał po rozmawiających.

Nowo przybywający, którzy nie wiedzieli jeszcze nic o radosnej wieści, witali ją okrzykiem wydobywającym się z przepełnionego serca, inni rzucali się znajomym w objęcia, oznajmiając niemym uściskiem uniesienia, że wiedzą już o dobrem poselstwie.

Zakrucki wszedłszy do kasyna witał wszystkich serdecznym uśmiechem, dzielił się z wszystkimi swem uniesieniem, a przytem z każdym miał krótszą lub dłuższą

rozmowę szeptem. Rozmowy te kończyły się słowami:

— Dziś wieczorem u mnie! Zgromadzimy się licznie! Nie zapomnij panie bracie!

— Stanę na apel panie cześniku! (lub panie rotmistrzu! — bo Zakrucki miał ten tytuł jeszcze z konfederacji barskiej).

I uściśnieniem jedynej lewej ręki rotmistrza utwierdzał każdy umowę.

Wkrótce też wszedł do kasyna i pan mecenas Dzierzkowski, figura okazała, pełnej

tuszy, z twarzą wyrazistą, dużą i ogolona a z nim razem i hrabia Leszczyński,

jeden z najgorliwszych członków komitetu. Rzuciła się szlachta do mecenasa,

który tak znakomite zajmował we Lwowie stanowisko i koncentrował w swym salonie

nietylko ruch towarzyski ale i polityczny, i wszyscy poczęli go dopytywać o szczegóły zwycięstwa i dalsze wieści. Tak przez jakiś czas rozmawiano w kasynie o wrażeniach chwili — ale wkrótce poczęto się wynosić, aby się przenieść na ustronniejsze i bezpieczniejsze miejsce pogadanek, do znajomych kątów przyjaciół, bo kasyno pana Hechta było zawsze trochę niewygodnem dla ożywionej dobrei wieściami szlachty, a pan dyrektor Sztrajcher jakoś kwasiał humor i wesołość.

Zrobiło się niebawem pusto w kasynie, tylko w pobocznych pokojach panował gwar jakiś głośny. Ale był to gwar wcale innego rodzaju, a patriotyczne hasła nie brzmiały jakoś w ustach rozmawiających. Zakrucki, który został jeszcze w sali, zmierzył ku gwarowi.

W ubocznym pokoju było towarzystwo odmienne od tego, któreśmy dopiero co pobieźnie naszkicowali.

Jakież to było towarzystwo? Polskie — nie polskie; szlacheckie? — nie szlacheckie; niemieckie? — nie niemieckie? Jakież tedy?... Było to towarzystwo galicyjskie.

A trzeba wiedzieć, że jak dziś jeszcze po części, tak i wówczas byli w Galicji

Polacy i Galicjanie. Jakież bo zresztą istnieć mogła Galicja bez Galicjan ? Byli

tedy i Galicjanie, naród świeżo z pod igły — ci echt-Galicjanie krwi czystej,

którzy tak pięknie rozślawili ideę swej galicyjskości,
praszczurowie naszych
Galicjan, którzy i ideę i sławę odziedziczyli po nich w
spuściźnie.
Z kogoż składało się to grono galicyjskie? Oto byli tam i
świeżo upieczeni
grafowie, szlachta nie z Niesieckiego, nie z Paprockiego, ani
Okolskiego, ale
jak to mówiono wówczas z "galicyjskiego kalendarza". A ileż
to ten pocziwy
kalendarz galicyjski ukanonizował podówczas głupców, ilu to
dzisiejszym
magnacikom przysporzył antenatów, ileż to nie pochłonał
dukacików, zarobionych
gorzko na ekonomicznych kruczkach, administratorskich
szacherkach, a bodaj czy nic
na jakiej uczciwej arendzie!
Bawiło się tedy to grono galicyjskie wesoło na osobności. Gdy
Zakrucki wszedł do
pokoju, śmiech ustał jakoś w jednej chwili. Siwy starzec z
bliznami na twarzy, z
jedną tylko ręką, zakrawał coś na grobowego gościa przy
uczcie Makbeta.
Pokrzywili się niektórzy Galicjanie, niejeden rad był szorstko
odprawić starego
— ale jakoś nie uchodziło.
— Do licha trzeba się witać grzecznie — pomyślał sobie
jeden, który był
świeżutkim szambelanem — stary żył długo, musi pamiętać
mego ojca, co był
końskim faktorem u pana starosty machnickiego !
— Tego nam tu potrzeba — pomedytował drugi, co się jakoś
gładko wywiódł z

szlachectwa a teraz aplikował do dziewięciu pałeczek i
złotego kluczyka — gdyby
nie miał takiego języka, zrobiłbym minę szlachcicowi! Anuż
wspomni coś o
nahajce, co....

I jeden i drugi powstał zaraz z krzesła i uprzejmie się
uśmiechnęli:

— A, pan rotmistrz dobrodziej! Całuję nóżie... te... tego... —
poprawił się
szybko pierwszy kląc stare przyzwyczajenie.

— Jaśnie pan... te... tego... — zakrztusił się drugi i pokrył
kaszlem frazes

antecedencyjny — ot pan rotmistrz szanowny !

Zakrucki skłonił się im grzecznie ale nie bez sarkastycznego
uśmiechu na ustach
i zbliżył się do stołu.

Ale przy stole nie siedziała tylko młodziutka szlachta nad
kielichami starego

wina — byli tam i inni, którzy jeśli nie w sercu to w swych
tradycjach rodowych

mogli byli znaleźć wstręt do galicyjskiej godności. Byli to
odrodni wnukowie

mężnych dziadów, pigmejczy cy duszy, pełzający po
śmiecisku próżnostek i

marnostek świata galicyjskiego.

Oto wstał jeden i wita się właśnie z Zakruckim. Kupił sobie
order u Preschla za

dukatów, a w Wiedniu tytułik, jakby mu nie dość było na
pocziwem imieniu i

sławie przodków swoich. Bawi się teraz w magnacie
galicyjskie i jest wielkim

dypłomata. Agituje niezmordowanie, układa adresa do rządu,
myśli ciągle o

deputacjach do Wiednia, bazgrze memorjały — a wszystko dla tego, aby rząd zniósł urbarjum, które zaprowadził. Urbarjum, regulujące stosunki poddańcze biednego chłopka do pana, jest dla niego okropną zgrozą, uciskiem, krzywdą, istnem horrendum! Urbarjum nieszczęsne stało się u niego osią dyplomatycznej i adresowej kołowacizny — biedny panek choruje na urbarjum!

— Agituję nad zniesieniem urbarjum — prawi wszędzie i wszystkim zagrzewając do pomocy. — Okropne czasy! Regulują i biorą w obronę poddaństwo dusz, buntują chłopstwo !

— No i cóż, wiesz waszmość o najświeższej nowinie radosnej? — pyta go stary Zakrucki.

— Radośna nowina! Jaka? Urbarjum znieśli! A gadajże, gadaj! rotmistrzu to moja pewnie zasługa! ., _.

— Człowieku! Bitwę wygraliśmy! bitwę!

— Go za bitwę?

— Kościuszko pobił Moskali pod Racławicami!

— Co to nam z tego zwycięstwa! Gdyby urbarjum!... — westchnął żałośnie Galicjanin.

— O Galicjanie! Galicjanie! — odrzekł Zakrucki i pierwszy raz tego dnia uśmiech usta wykrzywił mu goryczą — tam chłopcy biły, armaty brały kosami, a ty o urbarjum mówisz!

Cofnął się skrzywiony dyplomata i utopił nos w szklanicy wina.

Inny z siedzących przy stole wstał właśnie i z rozpromienioną twarzą, gołą jak

kolano, przystąpił do Zakruckiego:

— Cześniku dobrodzieju, podzielę się z tobą dobrą nowiną!

— zawołał z uśmiechem

szczęścia na ustach.

— Jak to, wiesz już?

. — Jakże nie mam wiedzieć, kiedy to mnie się tyczy.

Legitymacja wybornie mi

idzie! Gubernator zapewni? mnie dzisiaj, dopiero co przed

chwilą, że hrabiowski

tytuł lada dzień przyjdzie dla mnie z Wiednia! Bodaj to

sprawiedliwe rządy!

Zakrucki z odrazą na bok się odwrócił.

— Ale, ale łaskawy panie rotmistrzu! Mam prośbę wielką do ciebie! Znasz pana

Rzewuskiego, wstaw się tam za mną! Chciałbym być

przyjętym do wolnych mularzowi

Ale do gabinetu Salamona!

Zakrucki wzruszył ramionami i począł się cofać, ale

człowieczek wołał za nim

dalej:

— Ale tylko do gabinetu Salamona! Niższego stopnia nie przyjmę! Powiedz mu, że

lada dzień hrabią zostanę!

Stary konfederat aż splunął z indygnacji i opuścił grono galicyjskie. Wychodząc

z kasyna Hechta, spotkał się we drzwiach z jakimś

człowiekiem, który jakby

oparzony rzucił się na bok, skoro go zobaczył.

Był to Żagwin. Zakrucki spojrział nań swoim zwyczajnym, otwartym i poczciwym wzrokiem — ale Żagwin spuścił oczy i szybko minął go na schodach. Gdy Zakrucki już był na ostatnich schodach, Żagwin spojrział za nim, próbował się uśmiechnąć po swojemu, ale twarz tylko wykrzywił usiłowaniem, mruknął jakieś niezrozumiałe wyrazy znikł w kasynie. Za chwilę widzieć go można było z panem Sztrajche rem na ulicy...

Wieczór tego samego dnia po tajnej sali dworu na Halickiem przedmieściu przechadzał się samotny staizec. Był to Zakrucki. Przypatrzmy się teraz bliżej jego postaci. Stary już by? i wynędzniały, ale dość krzepko się jeszcze trzymał, a w żylastej postaci wiele było jędrnej elastyczności. Piękna jego twarz, której rysów starość nie zdołała wypaczyć, okryta była kilku głębokimi szramami. Oko niebieskie, jasne, robiłoby wrażenie prawie niemęskiej łagodności, gdyby nie siwa krzaczasta brew, która dodawała mu marsu i pewnej surowości. Czuprynę miał starym zwyczajem podgolone, a wąs krótko ostrzyżony. Ubrany był w lisią kurtę pokrytą szaraczkowem suknem, przepasaną czarnym rzemieniem. Sala, po której się Zakrucki przechadzał, była duża i prawie pusta. Kilka stołków staroświeckich, stojących po kątach, kilka ław twardych przy ścianach,

duży ciemny sekretarz, na którym stał krucyfiks, i wielki stół
stanowiły prawie
całe jej umeblowanie. Wyglądała też sala nie tylko pusto ale
posepnie. Mimo
obfitego ognia gorejącego w kominie z ciemnego marmuru i
kilku świec na stole i
sekretarzu, cień nocy dziwnie majaczył na ponurych, czarną
sztukaturą okrytych
ścianach i osłaniał duże portrety olejne, przedstawiające
postacie męskie w
zbrojach i żeńskie w zakonnych szatach.
Wszystkie te obrazy ponurego kolorytu i ponurych lub
poważnych twarzy zdawały
się pochłaniać do reszty oświetlenie sali, i jeden tylko owalny
portret,
uwieszony nad se-
kretarzem bliżej komina, świecił barwniejszym kolorytem i
złoceniem ramami.
Był to mały, piękny obraz, wybornej pędzla i uroczego
kolorytu. Przedstawiał
młodziutką kobietę, dziewczę jeszcze prawie. Twarzyczka
owalna, śliczna, miała
rysy niewysłowionej nadobności, oczy duże, czarne, zdawały
się pałać na płótnie
— a karmin wdzięcznych ustek zdawał się drżeć pod
uśmiechem.
Tuz obok tego cacka, ale już nieco w cieniu, wisiał drugi także
mniejszych
rozmiarów. Był to portret mężczyzny, mogącego mieć już
około lat czterdziestu, z
czarnym gęstym włosiem, z wysokim i szerokim czołem,
czarnym bujnym wąsem i
pewnym namiętym wyrazem twarzy.

Zakrucki przechodząc się po sali stanął na chwilę przy obu portretach, ale nie spojrzął na obraz kobiety, lecz utkwił wzrok w obrazie mężczyzny. Patrząc na ten portret oko starca zaszło jakby łąą rozrzewnienia i żalu, a z piersi mimowolnie wydobyło mu się westchnienie. Po chwili takiego spoglądania na portret mężczyzny, rzucił Zakrucki jakby pomimowoli spojrzenie na portret pięknej, młodziutkiej damy, a twarz schmurzyła mu się dziwnie, jakby portret ten zrobił na nim przykre wrażenie. I jakby nie mógł patrzeć na tę śliczną twarzyczkę, chwycił portret i przewrócił go ku ścianie. Potem siadł w poręczowym krześle przy kominie i spoglądał w ciemne szyby drzwi szklanych, które prowadziły do ogrodu, jakby kogoś wyglądał. Istotnie też niebawem dało się słyszeć skrzypienie jakby otwieranej bramy lub furtki i w ogrodzie da/y się słyszeć kroki kilku osób razem. Zakrucki porwał się z krzesła i pospieszył na powitanie. Do sali weszło kilku szlachty i poczęli się serdecznie witać z gospodarzem. Za nimi przybywali coraz inni, a wkrótce cała sala przepelniona była gośćmi. Zgromadzeni byli to obywatele wiejscy, którzy pod ową porę bawili we Lwowie. Nie wszystkich znał dobrze osobiście Zakrucki, ale tym razem przyjaźniła z nim

wszystkich myśl zebrania. Większa część gości ubrana była po polsku lub z polska przynajmniej, lecz było także wielu takich, którzy mieli na sobie strój

modniejszy, francuski.

Zakrucki powitawszy każdego z kolei, zaprosił do zajęcia krzeseł, a gdy wszyscy

usiedli, Zakrucki powiódł wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

— Jesteśmy tedy wszyscy prawie!

— Stawimy się na apel, jak przystało, panie rotmistrzu! — odezwał się jakiś

zamaszysty szlachcic w zielonej bekieszy.

— Brakuje, jeszcze tylko pan hrabia Gozdzki — dodał Zakrucki.

— Pono i ten przybywa — odezwały się głosy — bo słyhać jakiś turkot na drodze.

Istotnie zajechał ktoś przed bramę, a Zakrucki wybiegł z sali i po niejakej

chwili wprowadził gościa od ogrodu. Był to znany nam już pan graf z Jaryczowa.

Jedną ręką opierał się na lasce, drugą na swym nieodstępny towa-

rzyszu panu marszałku Hołubowiczu. Pan Gozdzki pokłonił się po bratersku

szlachcie i zaraz zabrał miejsce, nie mogąc się utrzymać na chorych nogach.

Gdy tak wszyscy już zasiedli i nieco się uciszyło w sali, ozwał się Zakrucki:

— Niech mi wolno będzie zabrać głos!

— Prosimy, cześniku! Prosimy, panie rotmistrzu.

— Panowie bracia i drodzy przyjaciele! Najpierw winienem złożyć wam

podziękowanie, żeście zaufaniem i łaska swą obdarzyli
waszego niegodnego sługę,
racząc przychylić się do jego próśby i zgromadzić się tak
licznie w jego
progach! Nie przypisuję ja atoli tego tyle łaskawym względom
ku mojej osobie,
jakkolwiek miło mi wierzyć niezachwianie w życzliwe a
niezasłużone przezemnie
afekta WaszMości panów braci moich, co sprawie tej i myśli
tej świętej, której
wszyscy służyć do śmierci pragniemy!
— Wszyscy! Wszyscy! Usque ad finem! Do trumny naszej!
— zawołali chórem
zebrani.

Zakrucki ciągnął dalej:

— Panowie bracia! Nie wszyscy, ale wielu z nas dziś tu
zgromadzonych schadzało
się stale i przez nie mały czas do tej izby i wspólnie radzili nad
środkami
popierania sprawy narodu podjętej za kordonem. Bóg
łaskawie użyczył nam otuchy w
naszej pracy, bo oto wieść radosną odbieramy o zwycięztwie
nad wrogiem pod
Raławicami!

— Niech żyje pan Kościuszko! — zawołał pan Gozdski. —
Niech żyje! — zawołało z
zapalem zgromadzenie

— Kiedy nasi bracia podnieśli oręż przeciw gwałcicielom
wolności

Rzeczypospolitej — prawil dalej Zakrucki — godziło się nam
prawym synom
ojczyzny, matki naszej umiłowanej, dać dowód, żeśmy nie ze
wszystkiem

Galicjanie, że zostali między nami rozbitkami i Polacy!
Czyniliśmy tedy, na co
słabym siłom stało. Mienie starców i krew młodzi
wysyłałiśmy i szlemy jeszcze za
kordon, aby poprzeć to, co nie wygaśnie nigdy w sercach
naszych, a co niechajby
jaknajprędzej ciałem się stało!

— Amen! — zawołali przytomni.

— Oby to słowo i Bóg wyrzekł wraz z nami w niebiosach! —
dodał wzruszonym
głosem pan Goźdzki.

— Dowód ten atoli wydaje mi się jeszcze niedostatecznym —
mruknął Zakrucki. —

Wydaje mi się koniecznym obowiązkiem patriotycznym,
abyśmy, sieroty po wolności,
dali uczuciom naszym wyraz wymowny i uroczysty! Panowie
bracia! Świącimy dziś
oktawę zwycięstwa pod Raławicami! Na uczczenie tej
radosnej chwili, ku
zamanifestowaniu naszych życzeń i uczuć, proponuję, aby
wystosować adres do pana

Tadeusza Kościuszki, jako naczelnika narodu polskiego!

— Zgoda! Zgoda panie rotmistrzu! — zawołali zgromadzeni.

— W adresie tym — zabrał głos dalej Zakrucki — wyrazimy
najpierw hołd

zwycięzcy, a potem przypomniemy się ojczyźnie,
przypomniemy walczącym braciom,

że my mimo obecnych naszych stosunków nie przestali być
Po-

Jakami i jako tacy pamięci zwycięzców siebie i nasze życzenia
polecamy!

- Z serca nam mówisz, rotmistrzu! — zawołano — O tak!
powiedzmy, czego chcemy,

powiedzmy że.... — i sala zapełniła się gwarem i okrzykami uniesionej zapalem szlachty.

— Panowie bracia! — ozwał się pan Gozdcki — pan rotmistrz Zakrucki wyraził myśl, która z nas każdy miał w głowie i sercu zaraz od pierwszego szczęku oręza polskiego! Myśli tej dziś wyraz dać mamy! Darujcież mi że wspomnę, iż właśnie w tej myśli napisałem świeżo list do pana Kościuszki, który dotąd jednak nie został wysłany. List ten jest wyrazem moich osobistych uczuć, które jednak, jak myślę, wszyscy podzielacie! Niechaj mi wolno będzie dać go odczytać, a może przyda się zamiarom, które tak żywo wszyscy pochwalamy...

— Prosimy! — zawołali obecni. Gozdcki wydobył z zanadrza pismo i wręczył je Hołubowiczowi, który uzbroiwszy czempredziej oczy w okulary, stanął przy kominie i zabrał się do czytania.

Cisza zaległa salę a Hołubowicz odchrząknawszy począł czytać donośnym głosem:
"Waleczny ojczyzny naszej Mścicielu!
Obyś uiścił nadzieje narodu, obyś rozszarpane obszernego królestwa połączył członki; sześćdziesiątletni kaleka zaseła gorące do nieba modły! Przyjm proszę tę szczupłą ofiarę, na jaką tym czasem i pogotowiu z reszty dóbr swoich zdobyć się mogłem! A gdy się najwyższy naczelniku przedrzesz i dostaniesz w ten kraj ziemskim rajem będący, Podole, który teraz wrogi nasze

zajęły, odbierzesz tam dobra moje przez Moskali zabrane.

Tych się zupełnie

wyrzekam dla Ojczyzny, władaj nimi jak własnością

publiczną: będę

najszczęśliwszym, gdy cały swój majątek wraz z resztą dni

życia mego poświęcę na

usługi ojczyzny!

Polacy w rozpaczy ostatniej powołali cię do tak wielkiego

czynu, wręczyli ci

losy całego narodu, oby waleczne, dzieła Twoje odpowiadały
temu zaufaniu!

- Bądź ufny w Bogu, który w tak dobrej sprawie

błogosławić będzie orężowi

Waszemu. Lecz stojąc pod Warszawą miej się na baczności,

tam jest stek wyrodków

i zdrajców ojczyzny! Pod mitrą i w fioletach czarne znajdziesz
dusze!

- Strzeż się podejścia i zastawionych sideł i zrad, albowiem

świat dzisiejszy

polityką je zowie. Naśladujmy Francuzów, a dojdziemy do

zamierzonego celu;

Warszawa nie jest narodem, podzielone po kraju oddziały

wszędzie się zastępując

zrobią utrudnienie nieprzyjacielowi, którego małemi

podjazdami osłabiać i

utrudzać będziecie.

"Pomnij także, iż Galicja wydarta z wnętrzości jednej matki,

że w

przechrzczonych Galicjanach polska krew jeszcze płynie.....

Uwolniona z

wieżów ręka jeszcze staropolskim mężnie władać potrafi

bułatem!

- Bądź więcej u nas, niż był Czarnecki za Jana Kazimierza !
Jesteś wystawiony
na czoło narodu, Europa zwrócone ma na Ciebie oczy,
Amerykanie ciekawi są
słyszeć o swoim współziomku, Francja pochwała Wasz zapał,
naród cały wy-
gląda swego wybawienia, a potomność dzieła tve sławić
będzie!.... ()

Hołubowicz skończył.

- Wdzięczni jesteśmy panu Gozdziem — ozwał się
Zakrucki — ze nam list swój
odczytać raczył. Proponuję, aby wyrażone w tym liście myśli
wziąć za podstawę
naszego adresu!

— Zgoda! — zawołali obecni.

— A z dokumentem tym dziś jeszcze się uporajmy. Im
prędzej tem lepiej! —
dorzucił pan Gozdzi.

Zakrucki i dwóch innych zajęli się zaraz zredagowaniem
adresu. W dwie godziny

był gotów w czystym odpisie. Podczas tego czasu
zgromadzeni prowadzili półgłośnie

rozmowę-Po wygotowaniu pisma, Zakrucki odczytał je
szlachcie. W adresie wyrażone

były wymownemi słowy uczucia solidarności galicyjskich
obywateli z narodem i

jego walką obecną, a ustęp z listu pana Gozdzkiego o Galicji
znalazł w nim

bardzo dobitna i wyraźną formę...

Zgromadzeni zgodzili się od razu na osnowę adresu i poczęli
wołać:

— Podpisujmy!

— Pan Zakrucki pierwszy! Prosimy rotmistrza jako najstarszego wiekiem!
Folgując głosom, Zakrucki podpisał pierwszy swoje nazwisko.

() List autentyczny.

Za nim poczęła podpisywać reszta zgromadzonych. Gdy już wszyscy podpisali, była już dość spóźniona godzina. Szlachta poczęła się wynosić, a Zakrucki żegnając ich, prosił każdego z osobna, aby wszystkim znajomym obywatelom ogłosił rzecz całą i umożliwił im tym sposobem zapisania swych nazwisk w poczet wiernych synów ojczyzny.

Niebawem wypróżniła się całkiem sala i Zakrucki został sam. Wziął spisany adres do ręki i jeszcze raz go odczytywał. Zajęty tem czytaniem, czy też zamyślony pod wrażeniem dokonanego aktu, nie słyszał stary konfederat, że po podwórzu rozległ się skrzyp gwałtownie wypartej bramy, i że wkrótce po tym odgłosie zamajaczyło światło w ogrodzie i pod szybami szklanych drzwi sali... Ocknął się dopiero, gdy drzwi od sali z trzaskiem się rozwarły i w progu przy świetle latarni ukazały się białe postacie z długimi flintami. Na ich czele był jakiś niemiecki urzędnik w uniformie... Zakrucki porwał się zdumiony z krzesła, a ujrawszy nieproszonych gości osłupiał prawie...

Przypomniał sobie jednak natychmiast adres trzymany w ręku... Ustępy tego adresu były zanadto stanowcze, aby nie miały uchodzić za zbrodnię polityczną w oczach rządu... Wszyscy podpisani uledzby mogli utracie wolności i mienia.

Zakrucki bez namysłu posunął się z papierem ku ogniu, palącemu się na kominku.

Ale w tej samej chwili jegomość w cywilnym uniformie chwycił go jedną ręką silnie za ramię, drugą szarpnął za papier... Zakrucki wolną ręką usiłował

wyrzeć papier. Udało mu się udrzeć sporą część papieru. Zwinął ja w jednej chwili i rzucił w gorejący płomień...

W tejże chwili ujrzał się otoczony do koła żołnierzami, a lufy karabinów

zabłyły mu w oczach. Urzędnik, który resztę papieru zatrzymał w dłoni, podbiegł

szybko wraz z oficerem ku kominkowi, aby wydobyć resztę...

Było to już za późno,

papier wrzucony już spłonął i iskrzył się garścią pyłu.

Urzędnik rozwinął część papieru, która mu została w dłoni i począł ją czytać...

Osnowa cała adresu nie została uszkodzoną... Ale część na której były podpisy, z

wyjątkiem jednego imienia, była oddartą. To imię stało tuż pod datą i nie było

wcale naruszone. Imię to wypisane było czytelnie i opiewało: Michał Zakrucki

rotmistrz... Reszty tytułu już nie było.

Urzędnik złożył starannie papier i schował go do kieszeni.

— I dla nas jeszcze coś zostało ! Mein Herr Rebell! — rzekł z uśmiechem.

W kilka minut eskorta odprowadziła Zakruckiego do miasta.

Część zaś żołnierzy z

oficerem została jeszcze do północy w dworku i

przeszukiwała wszystkie sprzęty i

kąty...

Tej samej jeszcze nocy otwały się przed Zakruckim bramy

więzienia...

XII.

KOMEDJANCI.

Porzucamy na chwilę znajome nam już osoby powieści, a

wprowadzamy czytelnika w

nowe koło. Wchodzimy w świat czyli raczej w światek trochę

odmienny od tego,

który już poznaliśmy, w światek ludzi, którym tytuł tego

rozdziału dał nazwę

komedjantów, a którym nazwa ta w owym czasie ustępujących

dopiero przesądów

ciężyła więcej niż słowem samem...

Było to w pierwszych miesiącach roku . W obszernym

drugopiętrowym pokoju w

jednym z domów na dykasterjalnej ulicy zebrało się małe

grono osób. Pokój był

skromnie umeblowany, ale zarzucony za to mnóstwem pak,

skrzyń i tłumoków. Paki

te i skrzynie dziwnymi napełnione były przedmiotami. Jedna

już otwarta

obejmowała ogromna ilość książek i najrozmaitszych

papierów, z drugiej wyglądały

dziwne przybory, bronie, hełmy i pancerze, z trzeciej

połyskiwały szczy, galony

i jaskrawej barwy materje.

Widocznie mamy przed sobą skład teatralnej biblijoteki i garderoby, ową błyskotliwą puszkę Pandory, z której światek Melpomeny czerpie strój i formy widome dla efektów swej ułudy.

Około obszernego stoła pokrytego stosami książek, seksternów i zadrukowanych kartek rozsiadło się cafe grono mężczyzn.

Jeden z nich jest to mężczyzna liczący około lat czterdzieści.

Twarz jego gładko

ogolona pełna jest ujmującego i szlachetnego wyrazu. Nad okiem dużem, wyrazistym

i jasnym wznosi się otwarte wysokie czoło, na które spada włos ciemny, nie

pudrowany i nie fryzowany, lecz swobodnie spływający na skronie. Nos podłużny

poprawnie zarysowany harmonjuje z ściągłą, więcej chudą niż pełną twarzą, której

w wysokim stopniu wyrobione rysy pociągają k u siebie powagą i godnością.

Mężczyzna ten, choć ubrany bez pretensji i wyszukanej elegancji, ma przecież coś

w całej swej zewnętrznej postaci, co świadczy o pewnej wytworności tonu i gustu,

i należy do tych osób, których indywidualność uderza od razu niepospolitością i

od razu zniewala do szacunku.

Jestto Wojciech Bogusławski, mąż, którego imię uwiecznione historyczną sławą,

znane jest dziś każdemu.

W chwili, kiedy Bogusławskiego wprowadzamy w naszą powieść, był on w pełni

mężkiego wieku i właśnie w połowie swego zawodu, pełnego
trudów i przeszkód
najrozmaitszych, zawodu połączonego z nieustannem
tułactwem, z igraszką złych i
dobrych losów.

Znaczną już część życia, pełnego ofiar i poświęceń miał wtedy
Bogusławski za
sobą, choć drugie tyle trudu i pracy czekało go jeszcze na
przyszłość w obranym
zawodzie, nim miał swobodniej spocząć na owocach swej
niezłomnej wy-
trwałości i cieszyć się stalszym przybytkiem tej sztuki
ojczystej, którą tak
umiłował całą duszą, którą jak drugi Eneasza wyratował z
gruzów narodowej
klęski...

Właśnie kończył siedemnasty rok swego artystycznego
zawodu, kiedy go zastajemy
we Lwowie. Wygnany wraz z sztuka swą z Warszawy,
wydanej na pastwę wrogom,
przybył do Lwowa, szukając nowego przytułku dla siebie i dla
sceny narodowej.

Przybył sam jeden, ale on sam jeden z swym zapalem i potęgą
swego talentu był
całym legionem, on, aktor, autor, tłumacz i dyrektor zarazem,
co według słów
jednego z późniejszych poetów

Krzywdzące myśl ojczystą mniemanie umorzył —
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.

Jakoż mimo najprzykrzejszych trudności, stawianych mu
zaraz u wstępu,

Bogusławski w krótkim czasie stanął silniejszą stopą we Lwowie i zgromadził około siebie bardzo świetne grono artystów. Jednym z pierwszych a właściwie najpierwszych między nimi jest mężczyzna, który tuż niedaleko siedzi przy Bogusławskim. Jestto Kazimierz Owsiański, jeniałny artysta, stojący w swym czasie na równi z niemieckim Schroderem, porównywany ze sławnym Garrikiem i Talma. Jestto mężczyzna, starszy prawie o całą dziesiątkę lat od Bogusławskiego, średniego, smukłego wzrostu. Twarz jego podłużna, ożywiona wesołem i wyrazistym okiem niebieskimi dziwną była ta ruchliwą grą wyrazu, po której w Owsiańskim od razu poznać było można aktora z długą praktyką teatralną. Na twarzy tej widzieć można było, że każdy prawie jej muskuł przebył osobną swą szkołę, a dziś jest posłusznym niewolnikiem każdej myśli i każdego uczucia. Ubrany był starannie, surdut miał modny i świeży, żaboty i koronki na piersi śnieżnej białości, a włosy troskliwie były ufryzowane i upudrowane. Owsiański był wraz z swym dyrektorem, Bogusławskim, ciekawym dowodem, jak w owych czasach przejścia i szybkiego przejmowania zwyczajów zachodu, nawskróś nawet szlachecka natura umiała się nagiąć do nowego, wrzekomo całkiem przeciwnego

sobie zawodu, jak umiała wżyć się w powołanie, które nie tak dawno jeszcze od czasu naszego opowiadania było wyłącznym udziałem cudzoziemskich spekulantów, żaków i paziów, lub co najwięcej rozrywką amatorską lekkomyślniejszych dworzan. Tak Bogusławski jak i Owiński z szlacheckiego stanu się wywodząc, uprawiali się zrazu starym zwyczajem do korda i obaj służyli wojskowo. Pierwszy był porucznikiem w gwardji litewskiej, drugi bijał się z Moskalami w szeregach konfederacji barskiej — a obaj obrawszy sobie później zawód przy nowo wznoszącej scenie, która wcale nie była na owe czasy polem dla kariery szlacheckiej, całą duszą zrośli się z tym zawodem i wkrótce do mistrzostwa się w niej posunęli. Owiński zachował nawet w nowym swym zawodzie cały swój dawniejszy charakter szlachecki. Był jowialny i rozmowny, lubił pogadanki, umiał mnóstwo fraszek starszlacheckich figlików i żarcików w dawnym stylu. Przytem nabrał jednak wiele prawdziwie artystycznego poloru i przyswoił sobie wiele wiadomości. Pod tym względem było życie szkołą dla niego. Będąc, po skończonym zawodzie wojskowym, dworzaniem u prymasa królestwa Polskiego, arcybiskupa Podoskiego, odbywał z nim podróże zagraniczne, zwiedził

Niemcy i Francję, nauczył się języków obu tych krajów, a co przede wszystkim posłużyło mu, a może nawet dało podniecie do przyszłego zawodu, poznał na zagranicznych scenach najślynniejszych swego czasu artystów dramatycznych, jak n. p. Schrodera w Hamburgu, Bruckmanna w Wiedniu, Lekain'a w Paryżu.

Po śmierci prymasa wstąpił Owskiński w roku do teatru królewskiego w Warszawie i odtąd pozostał wierny nowemu powołaniu. Osiągnął też w niem wysoki stopień, zasłynawszy jako najznakomitszy aktor polski. Owskiński próbował się w najrozmaitszych działach ról dramatycznych, a we wszystkich talent jego święcił tryumfy niesłychane. Był mistrzem zarówno w Hamlecie jak w lekkiej komedji Destouche'a lub w jakiej farsie włoskiej. Dalej około stołu siedzieli inni aktorowie, Baranowski, Każyński, Nowicki, Rutkowski.

Bogusławski trzymał w ręku spory zeszyt manuskryptu, na którego wierzchniej karcie stał napis: "Spazmy modne". Był to jego własny, najnowszy utwór. Widać, że odczytywał komedję tę swym towarzyszom, bo spoglądał po ich zasłuchanych minach, jakby badał wrażenie sprawione odczytem.

— Jakżeż sądzicie o tej pracy? — zapytał Bogusławski po chwili milczenia.

— Bardzo wesoła i zabawna — odpowiedział Owskiński — a choć się białogłowom może

nie podoba, publika z pewnością śmiać się będzie do syta. Ale
któż odegra główną
rolę?

— W tem moja zagadka! — odparł Bogusławski z
uśmiechem. — Dojdźcież dla kogo
rola ta pisana?

— Mole Pierożyńska ? — odezwały się głosy — ale to rola za
lekka dla niej!

— Otoż nie zgadliście i nie zgadniecie nigdy! Słuchajcież dla
kogo: dla panny
Maleckiej!

— Co, dla panny Maleckiej ? — zaśmiał się Owskiński — ależ
to gąska na scenie,
choć sobie hoża i ładna po za nią. Dyrektorze, chyba
żartujesz! Ta dziewczynka
nie ma za grosz talentu, popsuje ci sztukę!

— I ja tak myślałem zawsze, ale od kilku tygodni zmieniłem
zdanie. Z niej
będzie kiedyś doskonała artystka, a osobliwie w rolach takich
spazmatyczek!

— Bo każda białogłowa umie to doskonale!

— Ale panna Malecka najlepiej. Wystaw sobie, Kazimierzu,
straciłem już wszelką
nadzieję, aby z tej miluchnej dziewczynki była choćby jaka
taka aktorka. Ale oto
właśnie przed kilku tygodniami wszedłem raz
niespodziewanie do jej pomieszkania.

Zastaję tam jej narzeczonego, przeprasającego ją na
klęczkach, a ona filutka

tak nieporównanie po mistrzowsku udaje konwulsyjne drżenie
serca, że kamień by
się wzruszył...

— A to chyba nie udawała ? — wtrącił z uśmiechem Owskiński.

— Gdzie tam! Jak tylko usłyszała kogoś wchodzącego, porwała się szybko i w zupełnem zdrowiu, a ujrzawszy mnie spiekła raka i nie mogła się wstrzymać od uśmiechu. Ta scena podała mi plan do całej komedji, a główną jej rolę przeznaczam dla filutki Maleckiej...

— Cha! cha! — zaśmiał się Owskiński — dyrektor umiesz wybornie odkrywać talenta!

— Rzecz to wprawdzie śmieszna — mówił dalej Bogusławski — ale ma także swoją poważną stronę. Może ona służyć za naukę każdemu dyrektorowi teatru. Nigdy sam siebie początkujący artysta słusznie nie oceni i nigdy nie odgadnie w sobie prawdziwej właściwości swego talentu.

— Tak, coś jak nasz poczciwy Swierzawski, co zawsze chciał grywać role patetyczne!

— A tymczasem tylko w komice był wybornym! Otoż dla tego właśnie uważać należy na początkujących, podchwytywać ich w codziennem życiu i tak z nienacka wyraźnie podkradać im tajemnicę ich właściwych zdolności. Prawie zapewnić mogę, że to nigdy nie myli! Będziecie widzieli, że Malecka wybornie będzie grała rolę spazmatyczki!

— Prorokował rabin pińczowski: de futuris rebus non datur scientia! — zaśmiał się Owskiński, w którym odezwała się stara żyłka facecjonisty.

— Tobie zawsze dykteryjka na ustach — odparł z uśmiechem łagodnym Bogusławski —

ale posłuchaj, co ci jeszcze powiem. Byłem niedawno temu dwa razy u mecenasa

Dzierzkowskiego, raz gdy mi Zollamt moich teatralnych gratów

wydać nie chciał, a potem kiedy miałem tę przeprawę z Bulla.

Otóż zastałem tam

aplikanta młodziutkiego, któremu na twarzy i całej postaci napisano, że może być

wybornym komikiem. Zapoznał się ze mną, a nawet już kilka razy do mnie

przybiegał. Młodzieniec tai się z tem, ale widać to z całego jego zapału do

sceny, że pragnie gorąco zostać aktorem.

— Jeżeli nie chce się zgubić, niechaj tego nie czyni! — zawołał Owskiński szybko i namiętnie prawie.

— Dla czego? — zapytał Bogusławski patrząc z niepokojem na artystę.

— Bo zawód aktora, to piekło, to klątwa u nas! Męcz się dla nich krwawo, serce

wyczerp do dna, duszę rozepnij na tortury, zrób się echem bólów i śmiechu

ludzkiego, baw ich, rozczulaj, śmieję się kiedyś smutku pełen, psuj płaczem

rzadką chwilę własnego wesela, pożeraj sam siebie w przybranej namiętności,

zszarp się zapałem, zużyj trudem, sponiewieraj duszę i ciało

— a oni za to na

równi cię postawią z Szwabkiem, co psy i małpy produkuje, a gdy bezsilny już

ducha wyzioniesz, jak psa po za murami święconej ziemi
pogrzebią!

Owskiński mówiąc to uniósł się, twarz jego zawsze tak
swobodna i jowialna po za
sceną, przybrała wyraz prawie straszny, a słowa napiętnowane
były namiętnością,
pełną najgłębszej goryczy.

— Coż to nie pamiętasz?! — wołał dalej. — Dawnoż temu,
kiedy Skurczyńskiej nie
chciano pogrzebać na cmentarzu? Ileż to próśb i zabiegów a
nawet wstawiań się

sa-

mego króla potrzeba było, nim zwłokom komedjantki
udzielono kilka stóp święconej
ziemi?

— Prawda, pamiętam — odpowiedział Bogusławski
łagodnym ale wzruszonym głosem,
bo skarga Owskiego wygłoszona była z przerażającą siłą —
ale wierz mi, drogi
Kazimierzu, naszym kościom święconego grobu nie odmówią.
Nam pierwszym i nam
ostatnim przypadł jeszcze los zapoznania, ale za to przypadła
nam także większa
zasługa! Już dziś praca nasza i zawód nasz znajdują u ludzi
bez przesądów
uznanie, już dziś może skarga jest niesłuszną! Czyż nie
widzisz, z jakim
współczuciem przyjęto nas we Lwowie, jak cała ludność od
najwyższych do
najniższych klas serdecznie nam sprzyja! Nie to jest zresztą
miara szczytności
zawodu, jak go ludzie pojmują, ale to jak go my pojmujemy.
Powiedz stary, czy ty

dla chleba tylko, dla zysku tylko obrałeś sobie ten ciężki zawód? Jeżeli tylko dla zysku, ubogi jesteś dotąd, czemuż go nie porzuciłeś ? — Bo nie potrafię! — westchnął uspokojony nieco Owskiński. — A widzisz bracie! Nie możesz! I ja także nie mogę. Czyż to ja nie nacierpiałem się przez tych lat siedmnaście spędzonych na ciągłym tułactwie bez kąta i ogniska, czym nie opłakał tyle razy mego zawodu, czy nie zdarzało mi się nieraz, zamienić go na inny, wygodny, a nie mogłem! Nie możemy, bo ukochaliśmy sztukę, bo zrosiliśmy się z nią duszą i ciałem! Owskiński nic nie odpowiedział, ale z łzą w oku rzucił się Bogusławskiemu w objęcia. Reszta aktorów z rozrzewnieniem patrzyła na obu mistrzów. W tej chwili otwarły się drzwi i weszła do pokoju nowa osoba. Był to młodzieńcy jeszcze mężczyzna. Mógł mieć lat dwadzieścia dopiero. Był miernego wzrostu, twarz miał okrągłą, pełną, nasek trochę zadarty i kędzierzawe włosy. Oczy jego śmiały się wesołą pustotą, około ust igrał uśmiech jowjalny i humorystyczny. Wszedł szybko i rezolutnie do pokoju, lecz gdy ujrzał w nim całe towarzystwo, trochę się zmieształ i zakłopotał. — A pan Żółkowski! — zawołał Bogusławski — prosimy, prosimy ! Młody człowiek skłonił się grzecznie na wszystkie strony i powitał z uszanowaniem Bogusławskiego.

— Jakże się masz panie Alojzy ? — zapytał Bogusławski —
Ale muszę cię pierwej
przedstawić moim towarzyszom i przyjaciółom. Panowie,
rekomenduję wam pana
Żółkowskiego, tamtego roku jeszcze żołnierza z armji pana
Kościuszki, dziś
aplikanta w biurze pana mecenasa Dzierzkowskiego!

— Cieszę się serdecznie — ozwał się Owskiński, spoglądając
ciekawie na młodego
człowieka.

— Jakże tam na zamianie waćpan wyszedłeś? Jak tam po
szabli przy kodeksie?

— Wszystko jedno, panie dobrodzieju — odparł Żółkowski z
zwykłym jowialnym
uśmiechem. — Jedna to i ta sama komenda!

— A to jak?

— I tu i tam komenderują: " Prawo w tył" skoro sprawa źle
idzie!

— Bene piperatum! — zaśmiał się Owskiński.

— A z kąd to waćpan wracasz i z jakimi nowinami ? bo masz
ich zawsze
podostatkiem.

— Od świętego Jura.

— Od kogo, czy może od pani kasztelanowej?

— Tak jest, od pani kasztelanowej Kamińskiej z obiadu. Coż
to panowie nie
wiecie, że dziś piątek, dzień postny? Otoż pani kasztelanowa,
widząc że Niemcy
staropolskie zwyczaje psują i od postu odwodzą, daje co
piątku postne obiady u
siebie, na które każdemu przyjść wolno.

— Więc pani kasztelanowa taka żarliwa skrupulatka co do
postu?

— Pani kasztelanowa całe życie z postem — odparł z uśmiechem Żółkowski — bo ma olej w głowie!

— W Hiszpanji jeszcze większy skrupuł panuje, bo tam w poście świec łożowych nie palą! — zaśmiał się Owskiński, w którym wesołość młodego gościa podrażniła nałóg jowialisty.

— Byłeś waćpan wczoraj w teatrze na Axurze ? — zapytał Bogusławski.

— Aby się otwarcie przyznać, panie dyrektorze — odparł Żółkowski — teatralna zasłona była dla mnie z a słona, bo ceny były podwyższone.

Zgromadzeni parsknęli śmiechem.

— Za to zajmowałem się wczoraj rybołostwem. Chodziłem na summy, ale nic nie złapałem, bo wszystkie sadzawki zamknięte!

— Widzisz Kazimierzu — rzekł Bogusławski do Owskińskiego — coby to dla ciebie był za wesoły towarzysz ?

— Istotnie kawaler dobrze ma w głowie! — zauważał z uśmiechem Owskiński.

— Broń Boże! — odciął Żółkowski — dziś aby mieć dobrze w głowie, nie chodzi się na naukę, ale na wino do Wartanowicza!

— Właśnie wybieram się do waszego mecenasa — ozwał się Bogusławski — mam mu podziękować za pomoc w mojej sprawie. Układ z Bullą już ukończyłem. Ale przedtem co miałem kłopotu z Bullą i niemieckimi konsyljarzami! Przychodzą kiedyś do mnie

i chcą mi imponować, ja impozycji nie lubię i ostro do Niemców, a moi panowie konsyljarze wnet zmiękli i zgrzecznieli! Kazimierzu, tyś jeszcze jednego u mnie nawet zastał...

— A zastałem i na jego widok przypomniałem sobie dawny wierszyk, opisujący starego Niemca:

Loki na buńczuk baszy tureckiego,
Czoło jaszczur do noża porucznika jego,
Oczy dla starej mniszki dać na okulary,
Z nosa Węgrzyni zrobić dwie głośne fujary!
Owsiński z tak komicznym naciskiem wygłosił ten wierszyk,
że wszyscy obecni
głośnym zanieśli się śmiechem.

— Chwała Bogu! — odezwał się Bogusławski — Owsiński się rozweselił, a niedawno na los rozpaczał! A czemużeś to wtenczas, kiedy za ciebie ktoś z parteru chciał płacić długi, gdyś grał Beverleya, nie przyjął propozycji? Beverleya długi byłyby pokryły potrzeby skromnego Owsińskiego. Ta chwila powinna ci być pamiętną! Widzę cię ciągle i słyszę, jak z rozpaczą w oku, z twarzą śmiertelnie bladą wygłaszasz te wyrazy roli: "Nadeszła już ostatnia moja godzina!
Wydałem wyrok przeciw sobie samemu... a tym wyrokiem jest śmierć!... " Włosy stały widzom na głowie, a wtem ktoś zawoła z parteru: "Puśćcie go moi panowie!

Ja za niego długi zapłacę! Połowę pieniędzy mam przy sobie,
drugą połowę w domu
wyliczę!" A ten tryumf, Kazimierzu, czy nie wart sam jeden
całego dziesiątka lat
biedy i poniewierki aktorskiej ?...
Uśmiechnął się Owskiński; wspomnienie tryumfu rozpogodziło
jeszcze bardziej twarz
jego.
Wpadł w dawny szlachecki nałóg, począł sypać jak z rękawa
figliki, żarciki i
fraszki, przeplatając je deklamacją wierszów komicznych i
podnosząc ich efekt
wyborną mimiką.
Młody aplikant, Żółkowski, nabrał przy Owskińskim jeszcze
żywszego humoru, począł
mu dopomagać w żartach, szedł z nim o lepsze w conceptach,
i niewyczerpanym swym
dowcipem bawił wspólnie z Owskińskim towarzystwo.
Owskiński nagle zamilkł, wstał cicho i wysunął się na palcach
do przedpokoju. Po
chwili wszedł znowu ale w postaci, którą grzmiącym
śmiechem powitali
zgromadzeni. Owskiński przepasał sobie serwetę, owinał głowę
w białą chustkę,
jakby w szlafmycę, zawinał rękawy od koszuli, i począł
naśladować niemieckiego
oberzystę.
Była to sztuczka humorystyczna, z którą występował nieraz w
towarzystwach.
Największy hipochondryk musiał się pobratać z bożkiem
Momusem, gdy widział w tem
przebraniu Owskińskiego. Wszyscy obecni trzymali się za boki
od śmiechu,

Żółkowski aż posiniał i zakrztusił się — a Owskiński
tymczasem z porywającą
komicznością krzątał się po pokoju, szwargocząc z niemiecka.
Jeszcze grzmiał śmiech szalony w pokoju, kiedy naraz drzwi
się otwały i wszedł
do izby wysoki, barczysty mężczyzna, jasnoblondyn, sztywny
i prosty, z
flegmatycznym spokojem na twarzy. Ujrawszy Owskińskiego
zaśmiał się serdecznie,
ale po chwili twarz jego znowu ścięła się powagą i
flegmatycznym spokojem.
Był to Jorsten, kasjer niemieckiego dyrektora Bulli, który
teraz spełniał tę
funkcję i przy Bogusławskim. Szwed z urodzenia, niegdyś
majtek okrętowy,
zachował wszystkie cechy swego marynarskiego charakteru i
dziwnie wyglądał
między wesołym ludkiem aktorów, z którymi połączyły go
losy.
Jorsten zbliżył się odmierzonym krokiem do Bogusławskiego,
podał mu rachunek i
rzekł z flegmą:
— Herr Director, es ist Cassarest!
Bogusławski przejrzał papier i wesoła mina wnet na twarzy
jego ustąpiła
zakłopotaniu. Zauważali to obecni, i zaraz ucichło w pokoju.
Owskiński zrzucił z
siebie serwetę i począł się przypatrywać olbrzymiemu
Szwedowi. Tymczasem inni
poczęli wychodzić, a Żółkowski także chwycił za kapelusz,
pożegnał się z
gospodarzem i poskoczył na ulicę, aby tą samą drogą, którą
wyszedł, także i

wrócić do biura bez wiedzy surowego pryncypała, to jest przez okno.

Szwed kasjer spełniwszy swój obowiązek, nagiął także trochę grubego karku i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju. Zostali tylko Bogusławski i Owsieński.

— Źle koleżko! nie ma pieniędzy! — rzekł Bogusławski z smutnym uśmiechem.

— Jakto, już nie ma? a przecież, w ostatnim czasie dość dobre mieliśmy dochody?

— Mój drogi! Dowiedziona to prawda, że antreprenerskie zbiory są owemi w czasie dżdzu bańkami na wodzie, których im więcej gwałtowna zlewa nawalność, tem prędzej jedna o drugą się rozbija! Owsieński pokiwał głową w milczeniu.

— Na wydatki bieżące starczyłoby jeszcze, ale cięży na mnie inny obowiązek, którego się koniecznie pozbyć muszę, bo mi już przykrym się staje — mówił dalej Bogusławski.

— Cóż takiego? — zapytał Owsieński.

— Wiesz że pan graf Rzewuski pożyczył mi znaczną sumę. Chciałbym ją oddać jak najprędzej.

— Jak to pan graf niecierpliwi się?

— Broń Boże! On zapomniał może. Ale ja się niecierpliwie i nie zapominam!

— Z jakiegoż powodu?

— Łaska pańska podobnego rodzaju, jest śmiertelnym ciosem dla godności artysty!

Nie chcę i nie dopuszczę, aby to co tylko pożyczką wziąłem,
miało się stać
jałmużną! My biedni artyści, już i tak na śliskim gruncie wśród
społeczeństwa

postawieni, powinniśmy czuwać nad czystością własnego
stanowiska! Powiadam ci,

kolego, że stokroć bardziej trapię się tym długiem, niż
pożyczką od

najstraszniejszego lichwiarza.

— Z dwojga złego wybiera się mniej gorsze....

— I ja też tak wybrać zamyślam. Wolę stracić, niż uczynić
uszczerbek

delikatności uczuć, które skarbem największym jest dla
każdego, a cóż dopiero

dla ludzi na publicznym stanowisku!

Owskiński zasepił czoło, ścisnął dłoń dyrektora i w
skwaszonym humorze wyszedł z

pokoju.

Bogusławski ubrał się także i wyszedł z domu, a kroki jego
zmierzały na

Krakowskie, i zatrzymały się przed pomieszkaniem znanego
nam już żyda Naftala.

Pan Naftal był już uprzedzonym o interesie Bogusławskiego —
a cała sprawa już

poprzednio została była ułożoną. Chodziło tylko o spisanie i
wyliczenie

pożyczonej sumy.

Grzecznie podskoczył Naftal od stoła, przy którym coś liczył
czy zapisywał, gdy

ujrzał pana Bogusławskiego.

— Panie Naftal — rzekł dyrektor — nasz interes?

— Już gotów — odparł żyd — tylko jedna jeszcze bagatelka.

Pan dyrektor napisze

mi oblig.

— Mam go z sobą.

— Jaby m prosił, aby pan dyrektor napisał inny, tak według mego zdania. To

bagatela, ale niech wszystko będzie w porządku. Ja tu mam inny oblig, niech pan podług niego i swój napisze.

I poszukawszy chwilę w stoliku między kwitami i papierami wyciągnął jakiś rewers

na formularz. Był to rewers pana Zakruckiego.

Naftal położył go na stoliku, zakrył papierem podpis

Zakruckiego i zażądał, aby

Bogusławski według tego formularza napisał oblig.

Bogusławski usiadł i rzuciwszy

wzrok na leżący przed sobą rewers, westchnął.

— Czy mam pisać co do słowa ?

— Co do słowa, panie dyrektorze, ja nie skąpię dukatów, niech pan słów nie

skąpi.

— Ależ opisujesz mnie tu w warunki i formułki jak Belzebub w swym cyrografie

Twardowskiego!

— Co to panu dyrektorowi szkodzi! A przecież Twardowski wykręcił się

Belzebubowi! To bagatela!

— Twój cyrograf za to jeszcze sroższy, panie Naftal!

Belzebubowi chodziło tylko

o duszę — a tobie o pieniądze! — zaśmiał się Bogusławski i odpisał według

formularza oblig.

Naftal przejrzał go uważnie, przeczytał dwa razy, a potem schował i wyliczył

pieniądze.

XIII.

TYSIĄC BUTELEK SZAMPANA!

We Lwowie było w roku wesoło, bardzo wesoło...

Kiedy na polach raclawickich i szczekocińskich odbywały się ostatnie zapasy

upadającego narodu z przemocą, we Lwowie hulano i szalano — zapewne z

patryotyzmu....

Kiedy pobojuwisko pod Maciejowicami oblało się

najszlachetniejszą krwią narodu,

we Lwowie bawiono się jeszcze ochoczo — zapewne dla podtrzymania ducha...

Kiedy wolność Polski utonęła w krwi okropną rzezią Pragi przelanej, kiedy legła

pod mogiłą gruzów, pod stosem trupów ostatnich

wojowników i niewinnych ofiar

najsroźszego w dziejach okrucieństwa — we Lwowie jeszcze się bawiono — zapewne z

rozpaczy...

I nie inaczej, jak tylko jakimś szalem rozpaczliwym, jakimś zdziczeniem uczuć,

jakiemś zwarjowaniem serc i umysłów można sobie

wytłumaczyć tę stypę, jaka się w

niektórych miejscach i w niektórych kołach odbywała na grobie ojczyzny...

Nie możnaby tego nazwać podłą obojętnością, bo młodzież ta, co hulała dziś

szalenie, zwodziła wczoraj jeszcze z całym zapalem

śmiertelny taniec z wrogami;

nie mo-

żnaby tego nazwać wyzuciem się z uczuć dla losu ojczyzny,

bo wielu z tych, co

dziś rzucili się w odmęt zabaw, wczoraj jeszcze odczuwało
całym sercem wszystkie
perypecje ostatniej walki....
Była to wesołość obłąkania, tego samego obłąkania, które na
twarzach swych ofiar
zmienia nagle kurcz bóleści w spazmatyczny śmiech jakiejś
dzikiej radości...
Śmiech taki straszniejszy, niż najpotworniejsze piętno
cierpienia i rozpaczy...
Takim śmiechem zanosilo się już nieraz społeczeństwo
polskie w chwilach świeżo
przebytej, strasznej klęski.
Jestto niezawodnie także demoralizacja, ale demoralizacja
osobnego rodzaju.
Jestto demoralizacja z własnej klęski poniesionej w sprawie,
która miała prawo
do tryumfu — demoralizacja z obcego zwycięstwa,
pogwałcającego prawdę,
zadającego kłam sprawiedliwości Bożej...
Po akcji zapalu — nastąpiła reakcja zwątpienia. Ogłuszające
wrażenie ostatecznej
klęski, musiało w parze z demoralizującym poczuciem
niemocy wywołać dziwną
rezygnację. Aby osłodzić sobie tę rezygnację, aby łatwiej
pogodzić się z
hańbiącymi warunkami życia, rzucono się do zabaw, tak jak
lud włoski podczas
moru rzucał się w odmęt rozkoszy i rozpasania...
Tak by sobie można tłumaczyć ten namiętny szal zabaw zaraz
w pierwszych chwilach
okropnej klęski. Jestto jednak jeszcze jaśniejsza strona
powodów. Niestety nie

brakło i na innych pobudkach, do których nawet powyższy komentarz nie dał się zastosować. Pobudkami takimi była niesłychana, aż do podłości posunięta płochość i wyrzucie się z wszelkiej narodowej i moralnej nawet godności. Na wesołość ówczesna Lwowa składały się może przeważnie te smutne pobudki. Słynnym był Lwów w owym czasie z swej namiętności do uciech i rozkoszy, z wyuzdanej swawoli, z odrażającej demoralizacji prawie wszystkich klas swego towarzystwa. Zarody tej moralnej choroby spoczywały już w samym organizmie lwowskiego społeczeństwa. Społeczeństwo to przez cały czas ostatnich konwulsyjnych ruchów Polski było mętne, koczownicze, pomieszane. Lwów sam do wielkiego hotelu, do przepelnionej oberży był podobnym. Zresztą po zaborze Galicji przepelniał się Lwów funkcjonarjuszami nowego rządu, a między tymi funkcjonarjuszami, a zwłaszcza w ich drugo i trzeciorzędnej klasie, znajdowało się bardzo wielu, którzy nie zważając zbyt ściśle na zasady moralności, najgorszy wywierali wpływ na ludność. Demoralizacja niższych urzędników austriackich, Niemców świeżo do kraju przybyłych, była ogromną — niektórzy z nich posuwali się do publicznej, gorszącej ohydy. Dowiadujemy się o tem z pamfletów pisanych w pierwszych latach

po zaborze Galicji przez turystów i samychże urzędników
niemieckich, a więc z
źródeł pod tym względem z pewnością wiarygodnych.
Autorowie ci bowiem obrzucali
wszystko błotem najnikczemniejszej potwarzy, co było tylko
polskie, a przecież
nie mogli pominąć demoralizacji, którą stoczona była pewna
część biurokracji
austriackiej. Dość tu wspomnieć tylko o owym ohydny
handlu własnymi żonami, o
których pisze autor osławionych listów o Galicji.
Lwów tedy był w czasie naszego opowiadania siedliskiem
wszelkiej swawoli i
zepsucia. Pamiętniki współczesne zostawiły nam o tem wiele
smutnych szczegółów.
Ale co najsmutniejsza, to niezawodnie to, że temu zepsuciu, tej
rozigranej
swawoli służyć musiał nieraz za płaszczyk — patryjotyzm !
Tak jest! Lwów hulał z patryjotyzmu!
Za najświetniejszą kometa wlecze się mglisty ogon, nad
najczystszy płomieniem
kłębi się brudny dym. Patryjotyzm, jak każde inne wzniosłe
uczucie, dla jednych
jest treścią duszy, dla drugich maską. W czasie każdego
wielkiego ruchu
narodowego stoi obok prawdziwego bohatera Falstaff, obok
apostoła szalbierz,
obok patryjoty oszust, obok walecznego żołnierza maroder....
W takich to razach patryjotyzm służyć musi za pokrywkę
najlekkomyślniejszej
swawoli. Wtedy to wstyd dziewiczy idzie na ołtarz
"patryjotyzmu", wtedy to żony

łomią przysięgę małżeńską i oddają się rozpuście "z
patriotyizmu".....

Taki to też był patriotyzm w popsutych klasach towarzystwa
lwowskiego, tacy to i
jego wyznawcy!

Jeden z pamiętnikarzy współczesnych wyraża się też naiwnie,
że lwowskie damy

"romansowały z patriotyzmu". Szkoda, że wielka ich część
romansowała nie podług

Bernardin'a, nie podług Rousseau'a, ale podług Faublas'a i
Grecourt'a. Wszyscy ci

pisarze byli wówczas w modzie, jedni i drudzy mieli
zapalonych miłośników — ale

ci dwaj ostatni podobno liczyli ich więcej!...

Lwów był ludniejszym wówczas niż kiedykolwiek. Zdawało
się, że wszystkie

provincje dały sobie rendez-vous w galicyjskiej stolicy. A z
każdej prowincji ci

przedewszystkiem spieszyli pod cienie skrzydeł dwugłowego
orła, którym

niewygodnie było pod szumem białych piór orła innego, co
skrwawionem skrzydłem

unosił się po nad pobojuwiskami.... Byli wprawdzie i
wygnańcy, ale byli i

zbiegi.

Sub umbra alarum neutralnego ptaka, można się było bawić
swobodnie. Korzystano z

tej wygody. Świat niewieści rzucił się w odmęt szalonej
swawoli. Damy przyjmowały

i odprawiały kochanków jak lokajów. Mężowie szukali
odwetu i znachodzili go z

wielką łatwością. Rozpusta doszła do tego stopnia, że miłość
w wyższych i

najwyższych kołach towarzystwa, stała się artykułem
targowym, zatrudnieniem,
któremu mężczyźni zawdzięczali utrzymanie i jaką taką
fortunę na starość. Dość
było być młodym i przystojnym chłopcem, aby znaleźć
szczęście we Lwowie...

Jeden z uczestników tego wesołego życia lwowskiego
opowiada sam o sobie z
nadobną otwartością, że przybywszy do Lwowa bez niczego,
dorobił się grą i
miłością w przeciągu trzech tygodni własnej karety z parą
pięknych koni,
ślicznego wierzchowego rumaka, konia pod masztalerza,
kamerdynera, stangreta, i
domu na najprzyzwoitszej stopie!

Codzień bawiono się po swojemu w domach lub publicznie.
W zapusty codzień był "b
i r g e l b a l" (Bürgerball), codzień piknik, w kontrakty
codzień reduta. W

domach prywatnych hulano swoją drogą — a hulanki te już
nie były wybry-
kiem serdecznej ochoty, ale bachanaljami, orgjami rozpusty.

Być Laidą, było dla
każdej lekkomyślniejszej kobiety paragrafem mody. Nie mieć
jak tylko jednego
kochanka, to było upośledzenie — nie mieć żadnego, to
sromota!

Bez pamięci na to co się stało, bez względu na to co się dzieje,
bez troski o
jutro, rzucono się w odmęt zabaw i rozkoszy. Zepsucie klas
wyższych udzieliło
się warstwom niższym i najniższym. W co opływała hrabina,
tego niebawem nie

mogła sobie odmówić szewcowa. Jakoż wkrótce i żona
rzemieślnika nie mogła się na
"birgelbalu" lub w Veteranische Höhle albo na romansowej
przechadzce po wałach
pokazać bez cyczybea.
W zapusty bawiono się głośno — w wielki post po cichu.
Właściwie zmieniano tylko
lokal i orkiestrę. Zamiast posadzki salonowej kamienne płyty
kościelne, zamiast
skrzypek organy i śpiewy chóru. W wielki tydzień zamykały
się na pozór prywatne
domy, ustawały zabawy, ale zato zepsucie przenosiło się
gdzieindziej. Taka była
ohyda moralna jednej części towarzystwa, ie świątyń nawet
nie uszanowała w swej
swawoli. Schadzano się w kościele, aby się znaleźć po za
kościółem. Panie
wychodząc z progów kościelnych, zapraszały na postne
wieczorki. Posługując się
głośną i osławioną wówczas formułką lwowską — zapraszały
na grzanki...
Ale rzućmy zasłonę na ten drożny szal zepsucia! Był on
cechą ówczesnego modnego
społeczeństwa, wychowanego pod rządami Stanisława
Augusta. Aby rzucić choć jeden
promień światła na te cienie lwowskiego życia, wspo-
mnieć musimy także o zabiegach, dążących do tamowania
powszechnej rozpusty.
Kilka matron poważnych, z dawnego rodu niewiast polskich,
posiłekowanych lepszą
częścią lwowskiego towarzystwa, usiłowało przywieść do
upamiętania rozhułaną
rzeszę.

Bawiące wówczas we Lwowie domy wysokiego stanowiska, jak np. pani Kossakowska, kasztelanowa kamińska; pani miecznikowa Humniecka, pani wojewodzina bełzka i wiele innych zawarły sojusz z sobą i z arcybiskupem Kickim celem cnotliwego wpływu na obyczaje, i czyniły w swym szlachetnym celu niezmordowane usiłowania. Ale usiłowania te były najzupełniej daremne i płonnością swą przyczyniały się tylko do tem jaskrawszej charakterystyki czasów. Jedno słabe światelko nie rozświeca nocy, przeciwnie, tem czarniejszym robi jej kontrast.

Smutną dygresją rozpoczęliśmy ten rozdział. Dla pewnej, a osobliwie dla pięknej części czytających tę powieść, będzie ona nie miłą — tak jak nie miłą była dla samego autora. Mimo to z dygressji tej ani się uniewinniać ani za nią przeproszać nie możemy. Spełniliśmy obowiązek, jaki na nas włożyła charakterystyka czasów, w których odbywają się opisywane przez nas wypadki. Przeszłość winna, nie jej kopista — a przeszłość nie przeprasza....

A teraz wracamy do dalszego opowiadania. Było to w południe, w jasny wiosenny dzień. Około ogrodu jezuickiego panuje ruch ogromny. Przed kasynem Hechta zgromadziła się cała ćma gawiedzi i przypatruje się widowisku. Widowiskiem tem są przyjeżdżające bez końca

pojazdy i ekwipaże. Ekwipaże te zajeżdżają przed kasyno
Hechta, a wysiadają z
nich panowie i panie. Na ekwipażach, panach i służących lśni
przepych i złoto.
Przepyszne ciężkie kocze, lśniące od ozdób i srebrnych
kutasów i antab bastardy,
piękne i zgrabne jak cacka soliterki zajęty cały plac wolny
przed kasynem. Przy
nich parskają dzielne konie, tarantowate albo anglizowane, i
kręci się służba w
suto galonowanych liberjach.
Lokaje z francuska ubrani, w pończochach i upudrowanych
perukach, paziowie w
strojach hiszpańskich, laufry w czarnych kaszkietach z kitami
z piór strusich,
pajuki w deljach z srebrnymi pętlcami i w szpiczastych
czapkach, z cudacka
wystrojeni hajducy z kosą z tyłu i z pejsami po skroniach, w
okrągłych
kapeluszach z szerokiemi kresami, w obcisłych czekczerach i
czarnych ciżemkach,
i wiele innych rodzajów galonowej hałustry kręcą się i biegają,
torując wolną
drogę przez tłum ciekawych, wysadzając z powozów
strojnych panów i strojniejsze
jeszcze damy, i nawołując na forysiów i nawzajem na siebie.
Panowie i panie wysiadłszy z powozów spieszą do kamienicy
Hechta, dążąc schodami
na pierwsze piętro — cały kwiat towarzystwa lwowskiego
snać wyznaczył tu sobie
schadzkę. Między znanemi członkami arystokracji widać
jakichś nieznajomych ludzi

z ogorzałemi twarzami, z minami żołnierskimi, w całych lub półuniformach polskiej barwy.

Cóż to za zgromadzenie, czy uroczystość, czy festyn odbywać się ma w kasynie

Hechta?...

Cały Lwów wie o tem, cały Lwów mówi o tem. Głośny to wypadek i zajmujący — i poruszył też umysły i ciekawość wszystkich. Wśród tłumu i w pojedynczych

gromadkach widzów słyhać szepty i głośne rozmowy, a z szeptów i rozmów tych

wybija wszędzie imię: książę Poniński.

— Ma się tłumaczyć! Ciekawość, jak też to wypadnie?

— Jak też się skończy sąd na Ponińskiego?! Takie zewsząd słyhać w tłumie

zapytania.

Na boku od zgiełku przy ogromnym kasztanie stoi osobne grono widzów, złożone z kilku średniej ubogiej szlachty i jakiegoś starego wásacza bez ręki.

— Co tu sądzić? Po co grać komedje? — woła wásacz strojąc do marsa czoło —

winien i kwita!

— Więc myślicie panie Tomaszu, że była zdrada? Bo mówią, że nie... — pyta go

najbliższy sąsiad.

— Jużciż ja tam byłem i ręka tam mi została, to wiem najlepiej! Oj gdyby nie

on, nie tak by było z nami!

— Bylibyśmy zwyciężyli pod Maciejowicami! — zakonkludował inny szlachcic.

— Jak amen w pacierzu, mospanie — zawołał wążacz —
trzymaliśmy się jak lwy i
gdyby Poniński był spełnił rozkaz i nadszedł w pomoc i stanął
pod Tyrzynem,

byłoby inaczej z Moskalami!

— A może już nie mógł?

— Jak to nie mógł, co nie mógł? Nie mógł, bo w karty grał! A
czemuż dopiero w
dziesięć godzin po rozkazie stanął pod Tyrzynem! Oj te pany,
szelmy te pany!

Powiadam wam, panowie, zdrada i zdrada wszędzie, bo gdyby
nie zdrada, czyby i dziesięciu Suwarowów było pokonało pana
Kościuszkę?

— Nigdy, nigdy! — zawołało cafe grono — ho! ho! tylko
zdradą zginęliśmy!

— Bo też to i ta Warszawa winna — odezwał się ktoś z tyłu
— kiedy zaczęła

wieszać zdrajców, niech że by była już wywieszała do nogi!

— Jest racja, mospanie, jest racja! A oni tam teraz sądzą i
tłumaczą się! Tfu!

— splunął wążacz — a co tu tłumaczyć! Na hak!!

— Hm... — ośmielił się ktoś powątpiewać — anuż niewinny
?...

Siwy wążacz zmarszczył czoło, popatrzył groźnie na
powątpiewającego, a potem

schwyciwszy grubą laskę, którą się podpierał, począł nią
szybko kreślić zygzaki

po błocie i ostrem jej okuciem znaczyć linje i kąty, wołając:

— Tu mospanie Okrzeja, tu Wieprz, tu Tyrzyn! Tu mospanie
Fersen, tu

Maciejowice, a tu jenerał Denisow! Tędy mospanie idzie
Kościuszko, owędy

Sierakowski, Kniaziewicz tamtędy... Tu my, tam oni, tu Okrzeja, a tu Bobrownik, a tam Maciejowice, tu Poniński... I wygłosiwszy to szybko z namiętym pospiechem i jednym tchem, podniósł laskę do góry, uderzył ostrem okuciem w sam środek zygzaków, zawiercił niem w ziemi i zawołał z naciskiem:

— A tu bitwa!

— I jestże tu zdrada, czy nie ma! Jest, czy nie ma ? Ha? — zapytał surowo i groźnie spojrzął na obecnych.

— Oczywiście, jasna! — pospieszył przytwierdzić najbliższy sąsiad choć biedak jak tabaka w rogu nie rozumiał nic a nic z tych zygzaków porysowanych na ziemi przez wążacza.

— A no! Więc po co tłumaczyć do kroćset gromów! Zdrada i kwita!

Te i tym podobne rozmowy toczyły się w tłumie. Mało było głosów za księciem — większość dyszała przeciw niemu oburzeniem. Sąd ludu straszny jest swą surowością. Gdyby obwiniony księżę nie w sali Hechta ale przed tym stawał trybunałem, kto wie, jakby był wypadł wyrok, kto wie, jakaby nastąpiła kara !...

Wiemy już tedy po części, jaki był powód dzisiejszego zgromadzenia w sali Hechta.

Podśluchane wiadomości dość będzie uzupełnić kilku szczegółami.

Księżę Adam Poniński, generał wojska polskiego, przybył wraz z innymi oficerami

do Lwowa w roku . Przybył pod zarzutem zdrady, który to wyrok rzuciła nań ówczesna opinia narodu z powodu jego zachowania się taktycznego przed maciejowicką klęską. Jakkolwiek zarzut ten z straszną stanowczością był mu czyniony, faktem jest, że gdy na rozkaz rządu narodowego aresztowano księcia i pod sąd Wojenny oddano, sąd ten na mocy dokumentów i ordynansów samego Naczelnika uwolnił go od zarzutu zdrady. Fatalna sprawa księcia generała dotąd nie została rozjaśnioną o tyle, aby czyniony mu zarzut mógł mieć wszystkie warunki istotnego dowodu. Istnieją przeciwnie powody

do utrzymywania, że książę ten nie był tyle ofiarą własnego występku, co raczej ofiarą strasznej klątwy, którą dlań była świeża jeszcze pamięć ojca. Niektórzy najnowsi historycy powstania Kościuszkowskiego usiłują dowieść na podstawie urzędowych i pamiętnikowych źródeł, że wielce lekkomyślny ten zresztą książę był niewinnym.

Ale zaciekanie się w tę sprawę nie należy do naszego przedmiotu.

Otoż gdy książę generał przybył do Lwowa, poczuł dotkliwie, że podejrzenia już go tu uprzedziły. Publiczność lwowska przyjęła go nienawistnie — a wyższe

towarzystwo z odtrącającą obojętnością. Domy zamknęły się przed nim, młodzież stroniła od niego.

Tak trwało czas jakiś, aż przewodzcy lwowskiego towarzystwa Michał Wielhorski i Kazimierz Rzewuski, nie wiadomo czy na prośby Ponińskiego, czyli też z własnego popędu, podnieśli projekt, aby obwiniony wytłumaczył się z czynionych mu zarzutów przed sądem, złożonym z bawiących we Lwowie Kościuszkowskich oficerów.

Księżę jenerał przystał na to z wszelką gotowością i zażądał nawet, aby sąd ten odbył się publicznie.

Wyznaczono tedy dzień sądu i miejsce, gdzie się ma odbyć.

Miejscem tem była ogromna sala Hechta. I tu jest właśnie powód owego zgiełku przed kasynem Hechla i owego nadzwyczajnego zjazdu wszystkich znakomitości lwowskich.

Przypatrzwszy się temu widowisku z ulicy, przypatrzmy mu się i z pobliza.

Ogromna sala Hechta była przepelnioną. Ścisk był niezmierny. Nietylko sama sala ale podwórze i korytarze pierwszego piętra jak nabite były głowami widzów. W sali samej znajdowali się arbitrowie — a galerję wyznaczono dla dam. Piękny świat bowiem był także ciekaw tak niezwykłego widowiska. Galerje sali Hechta mieściły tedy w sobie całą florę lwowską. Widzieć tu można było wszystkie

znakomite piękności i wszystkie głośne salonowe lwice. Na
pięknych i mniej
pięknych licach widać było ciekawość i chęć podbojów — a
stroje jaśniały całym
blaskiem modnego przepychu i salonowej elegancji.
W sali stał długi stół zielonem suknem okryty. Na stole. leżały
rozmaite papiery
a w około zasiadło blisko dwudziestu sędziów. Byli to sami
wyżsi oficerowie
polscy. Przed stołem stało pyszne krzesło poręczowe,
przeznaczone dla
obwinionego.
W sali panował gwar głośny. Sąd jeszcze się nie rozpoczął, a
zgromadzona
publiczność skracala sobie czas oczekiwania rozmową.
Mężczyźni zainteresowani
sprawą żywo ją roztrząsali i komentowali, wpadając niekiedy
w sprzeczki i żwawe
dysputy, na galerjach dam rozlegały się także szepty i wesołe
chichotania. Z
góry na dół i z dołu do góry, tj. od mężczyzn do pięknych dam
i odwrotnie latały
spojrzenia, migi, uśmiechy. Przyglądając się tej na pół niemej
korespondencji
można było odgadnąć tajemnicę nie jednych relacyj
sercowych lub przynajmniej
sympatycznych, bo mimo licznego zgromadzenia swoboda
była wielka, a adresa ogni-

stych spojrzeń i wymownych uśmiechów były niekiedy bardzo
wyraźne...

Nagle ukazał się na swoim miejscu książę jenerał i zaraz
głośny i rozerwany

szmer zlał się w jeden chór uwag o jego osobie. Prezydent sądu zadzwonił i cisza zaległa sale.

— Książę jenerał ma głos! — zawołali arbitrowie.

Jenerał skłonił się pięknej galerji i sędziom i zabrał głos w swej obronie.

Wśród głębokiego milczenia począł książę wywodzić sprawę swoją. Mówił długo i dobitnie. Przedstawiał obszernie cały stan rzeczy, tłumaczył cały plan ostatnich operacyj wojennych, wykładał swoją sytuację przed Maciejowicką bitwą i cytował rozmaite rozkazy, polecenia z głównej kwatery, ordynanse i kontr-ordynanse. Gdy wreszcie skończył polecając honor swój wojskowy sądowi — poczęli sędziowie rozważać jego wywody i porównywać przedłożone dokumenta.

Po dość długiej naradzie ozwał się znowu dzwonek i zawezwano publiczność do spokoju. Prezydujący arbiter zabrał głos w celu ogłoszenia wyroku.

Wyrok ten był uniewinniający.

Decyzja sądu głosiła, że jenerał Poniński sprawił się we wszystkim według rozkazów Naczelnika, i w niczem nie był winien, że owszem zachował całkiem nieposzlakowany honor wojskowy.

Ledwie przebrzmiały słowa wyroku, gdy w sali wszczął się hałas nie do opisania.

Pierwszy wyraz wrażenia zabrzmiał na galerjach. Piękne królowe lwowskiego świata

noczely dawać brawa i mnóstwo małych rączek poruszyło się do klaskania.

Mężczyźni pospieszyli za przykładem swych bogiń i wśród hucznych oklasków

rozległ się w sali okrzyk:

— Winszujemy! Winszujemy!

Tak się sąd skończył.

Teraz nastąpiło ogólne zadowolenie między zgromadzoną publiką — a zadowolenie to

urościło w wielką wesołość, gdy zrehabilitowany tym sposobem generał kazał wnieść

kosze szampana!

Stół sędziowski w sali i wszystkie stoły w przyległych pokojach kasyna okryły

się niezliczonemi butelkami szampana. Rzucono się do kielichów i poczęła się

pijatyka olbrzymia...

W potokach szampana utopiono wszystkie te wspomnienia świeżej i krwawej klęski,

które wzbudzić musiał sam akt sądu...

Utopiono w nich pamięć na narodowe nieszczęścia, na nędzę ojczyzny, na świeżo

donitowane młotem moskiewskim kajdany!...

Tysiąc butelek szampana wypito!

Jakżeż mogło być inaczej! Galicyjski sąd musiał zapisać sprawę!

W obfitych strugach drogiego płynu utonęła w tej chwili ta cześć obywatelska i

godność patriotyczna, której wyrazem miał być akt sądu!...

Nie było to wówczas po raz pierwszy — nie było niestety i po raz ostatni!

Strzelały korki, szumiały kielichy szlachetną pianą, grzmiały wiwaty i zdrowia,

aż szyby brzęczały w kasynie pana Hechta.
Tysiąc butelek szampana wypito!
A na ulicy, na dole, pod kasztanem stał jeszcze siwy wąsacz
bez ręki, i kopał
laską ziemię i spoglądał w okno kasyna...
Dumał może w tej chwili o Maciejowicach, o swej wiernej
prawej dłoni, co wraz z
szablą została na skrwawionem polu, i biedził się może, co
jeść będzie i gdzie
starą głowę skłoni...
Porysowane przezeń zygzaki na ziemi poplątały się w istny
labirynt, a tak samo
plątały się myśli biednego żołnierza...
Głupi stary! Czego się trapisz? Wieczór niedaleko, spotka cię
patrol
wałęsającego się po ciemnych ulicach, odwiedzie cię na
odwach i prześpisz się
smacznie na gościnnej pryczy austriackiej!...
Tysiąc butelek szampana wypito...

XIV.

GRY, WINO I KOBIETY.

Opisaliśmy w zeszłym rozdziele sąd odbyty w kasynie Hechta.
Przedstawiliśmy go
czytelnikom ze strony obywatelskiej i publicznej. Obecnie
wrócić nam wypada
znowu do tego zgromadzenia, aby poprowadzić dalej wątek
naszej powieści.
Między niezliczonym tłumem, który wypełnia! ogromną sale,
spotykamy znajomą nam
już osobę.
W pobliżu wychodu, otoczony do koła cisnącymi się naprzód
wiedzami, stał młody

mężczyzna z wzrokiem zwróconym ciekawie na zielony stół
arbitrów. Strój jego był
dość zaniedbany i raczej do obozu niż do świętego
zgromadzenia stosowny.

Istotnie też był to strój obozowy i żołnierski. Młody człowiek
miał na sobie

szarą burkę, spiętą u ramienia srebrną kłamrą, pod burką
niebieską kurtkę z

pasem rzemiennym, a wysokie jego sztylpy odbijały dziwnie
od jedwabnych

pończoszek i zgrabnych trzewików na nogach stołecznej
młodzieży.

W tak z żołnierska ustrojonym młodzianie poznajemy
Tadeusza Warskiego.

Od czasu kiedy go po raz ostatni widzieliśmy, Tadeusz nie
tyle zmienił się, co

dojrzał i zmężniał. Poznać można było po nim od razu, że
właśnie co przebył

kampanję.

Zyskała też wielce na tem zmężnieniu cała postać Tadeusza.

Kiedy po raz pierwszy przedstawiliśmy go czytelnikowi, był
to młodzieniec

zaledwie dorosły, z pewnym chłopięcym jeszcze wyrazem —
dziś widzimy w nim

mężczyznę w całej pełni rozwoju i fizycznej okazałości.

Dawniejszy młodziutki

oficer z brygady generał-majora Kościuszki, jakkolwiek już
żołnierz, był jeszcze

widocznie uczniem wojennego rzemiosła, teraz zaś
przedstawia się jako skończony

towarzysz, który odbył już swój ostateczny popis wśród
szczęku broni i huk

strzałów działowych.

Twarz Tadeusza, nie utraciwszy nic z swego wyrazu zdrowia i młodszej świeżości, nabrała cechy wybitniejszej i uderzała większą energią rysów. Poznać to można było od razu po marsie i pewnej szorstkiej, ale ujmującej powadze, ie twarz to ogorzała wśród marszów, pod gołym niebem, na placówce, lub pod płótnem wojennego obozu. Zdawało się, że na tej twarzy pozostał jeszcze ślad sadzy z armatniego dymu — i to jej dodawało pewnego pięknego, imponującego uroku.

Wzrok jego, do niedawna jeszcze zanadto uśmiechnięty, zanadto nieśmiały, zda się urósł w sokoła. Wykształciła go szkoła boju — śledząc szlaków nieprzyjacielskich po dalekiem błoniu nabrał orlej bystrości, zaglądając w oczy wroga i lufy dział jego nabrał siły i niczem nie ustraszonej śmiałości. Zgołą cała postać Tadeusza miała w sobie tyle siły, hartu i prawdziwie męskiego wdzięku, że mogłaby była posłużyć za typ żołnierza, powracającego właśnie z walki.

Jak już powiedzieliśmy, Tadeusz stanął sobie skromnie w pobliżu wychodu z sali i patrzył ciekawem okiem na widowisko, które było dla niego zupełnie nowem. Wybrał sobie umyślnie miejsce najgęstszego zgiełku, aby nie być uważanym przez obecnych, od których tak dalece różnił się i postacią i strojem.

Zamiar Tadeusza

nie udał się jednak — spoglądali nań z pewną ciekawością
stołeczni eleganci, a z
drugiego końca sali, gdzie całą gromadką zajęli miejsce
oficerowie
Kościuszkowscy, dolatywały go koleżeńskie spojrzenia
nieznajomych lub powitania
znajomych towarzyszy.
Ale oprócz kolegów i niedawnych towarzyszków broni jeszcze
ktoś inny spostrzegł
Tadeusza od razu i z wielkiem zajęciem mu się przypatrywał.
Spoczywało w tej
chwili na naszym bohaterze spojrzenie, którego pozazdrościła
by mu z pewnością
cała młodzież elegancka, która przepełniała salę Hechta.
Na galerji siedziała strojna, urocza dama i przypatrywała się
uważnie
Tadeuszowi. Była to pani Laura. Piękna kobieta wychyliła się
całą swą wdzięczną
postacią po nad poręczę galerji i z pochyloną na dół
twarzyczką patrzyła przez
oprawne w złoto szkiełka na młodego żołnierza. Spojrzenie to
było tak
przeciągłe, tak uporczywe, że połowa salonowych lwów
stołecznych, zgromadzonych
na sądzie, uczuła się tem mocno dotkniętą i obrażoną.
Do ślicznej pani Laury zwracały się w tej chwili całe tuziny
ócz oszklonych i
nieoszklonych, zdążyły ku niej całe seciny spojrzeń to
tęsknych, to namiętnych —
a ona na żadne z nich nie zwracała uwagi, na żadne z nich nie
odpowiedziała ani
swym zwykłym powabnym spojrzeniem, ani swym
czarownym uśmiechem, za którym tak

uganiali bohaterowie lwowskich salonów!...
Książę Alfa stłukł ze złości swą kosztowną, kamieniami
sadzoną lornetkę, hrabia
Beta potargał drogie koronki u żabotów z nieukontentowania,
a stary emigrant
markiz Gama z złorzeczeniem na ustach i gniewem w
zakochanem sercu opuścił salę,
tak go zaniepokoiło, iż ktoś zmonopolizował uwagę i urocze
spojrzenia ślicznej
kobiety! Szczęściem czy też niestety, nie zważała pani Laura
na te wyrazy
nieukontentowania ! Twarzyczka jej zawsze jeszcze była
pochylona w stronę
Tadeusza — a choć lornetka spuszczała się nieraz na dół wraz
z omdlałą dłonią,
spojrzenia stale tkwiły na Warskim.
I nie dziw też, że Tadeusz zwrócił na siebie tak wyłącznie
uwagę pani Laury!
Oprócz tytułu dawniejszej, tak zabawnie zawiązanej
znajomości, miała piękna
kobieta jeszcze inne do tego powody...
Postać Tadeusza zanadto odbijała od innych figur
zgromadzenia, aby nie zwrócić
na siebie od razu uwagi. Laura z upodobaniem śledziła tę
różnicę.
Ogorzała twarz Tadeusza, uderzająca dzielnym wyrazem siły i
męskiego marsu,
przewyższała wszystkie zalotne lica lwowskich salonowców,
które przy niej
jeszcze bardziej
bladły i powszedniały, postać jego górowała nad nikłemi i
sznurowanemi figurami

najbardziej nawet reputowanych Lovelace'ów — a strój jego,
choć zaniedbany, nie
modny i niewykwintny, ale doskonale licujący z całą
niezwykłą postacią, iuz samą
swoją oryginalnością, jeżeli nie malowniczym pozorem,
odbijał od modnych
aksamitnych fraków d, Ia Pompadour, lub modniejszych
czarnych z świecącemi
guzami, od tych długich szpecących figurę westek
haftowanych złotem, od
racymorowych spodenek i białych pończoszek!
Wśród takiego towarzystwa modnego, jakim było ówczesne
lwowskie, wśród
towarzystwa które i w zewnętrznych swych formach
okazywało wyczerpanie się,
przesyt i miękkość, młody nasz przyjaciel musiał być
zjawiskiem, które pociągało
wyrazem pełnego życia i swobodnej siły, musiał odbijać
korzystnie od reszty
eleganckiej młodzieży i niemłodzieży, z której każdy świetny
był i lekki jak
francuski komplement — ale zarazem jak francuski
komplement czczy i
nienaturalny.
Ciągłe przyglądanie się pani Laury Tadeuszowi sprawiło, ie
zniecierpliwiona
uwaga jej adoratorów zwróciła się teraz na młodego
żołnierza... Ci, którzy
daremnie czekali spojrzenia czarnych oczu, zwrócili teraz
wzrok i lornetki na
Tadeusza... Poczuli się ciekawie przypatrywać Tadeuszowi, a
jeden i drugi
poruszony zazdrością silił się na sarkastyczne uwagi.

Tadeusz spostrzegł niebawem, że zwrócił na siebie uwagę.
Zdziwił się tem i
zmięszał, myśląc, że pierwszą tego przyczyną był strój jego
niezwykły. Cofnął
się jeszcze bardziej
w tyj, lecz widząc że kilku z salonowej młodzieży nie zwraca
z niego oczów,
zniecierpliwił się i surowo spojrzął elegantom w oczy. Kilku z
nich spuściło
natychmiast oczy na dół, inni z znaczącym uśmiechem
spoglądnęli na galerję.
Tadeusz mimowoli poszedł za ich spojrzeniem i zwrócił
wzrok ku damom. Spojrzął i
uśmiechnął się z zdziwieniem. Lornetka pięknej pani Laury
skierowaną była ku
niemu.

Laura spostrzegłszy, że ją Tadeusz ujrzał i poznał, opuściła
szkło na dół i
przesłała mu uprzejme i figlarne spojrzenie swych czarnych
oczów. Tadeusz
skłonił się grzecznie, a piękna jego znajoma poczęła
nawzajem kiwać doń poufale
główką, śmiejąc się i skinienia dając dłonią. Tadeusz widząc,
że Laura oczów od
niego nie odwraca, uważał to poniekąd za obowiązek
galanterji, nie spuszczać z
niej także spojrzenia...
Wzrok jego przylgnął tedy do oczów Laury, a czarne te oczy,
wesołe swawolną
pustotą a płonące zarazem jakimś demonicznym, namiętym
ogniem — owinęły go
siecią swych promieni... W spojrzeniu Laury malowało się
tyle uprzejmej

życzliwości, tyle poufałego uczucia, że Tadeusz aż mięsząc się począł, przypominając sobie, że stoi między licznym zgromadzeniem, pod oczyma mnóstwa widzów...

Powszechny ruch w sali oswobodził go z tego kłopotu. Było to już właśnie po ogłoszeniu wyroku. Grzmot oklasków i chór braw i powinszowań zaległ salę. Gwar ten odwrócił uwagę Laury, a Tadeusz rozporządzał już sobą. Nie było zresztą i czasu spoglądać na piękną znajomą, bo zgromadzeni, którzy dotąd stali spokojnie na swoich miejscach, poczęli teraz ruszać się i posuwać w rozmaite strony, a Tadeusz potrącany i posuwany ze wszystkich stron chcąc nie chcąc musiał iść za falą natłoku...

Chwilę trwał gwar i krzyk nie do opisanego, aż nagle z rozmaitych stron sali równocześnie dały się słyszeć tubalne wołania:

— Panowie! Do kielicha!

— Szampan czeka! — krzyczano po bokach.

, — Wypijmy zdrowie sędziów i księcia jenerała!

Natychmiast uciszył się gwar, a na tak ponętne zaproszenie mnóstwo ozwało się głosów:

— Wypijmy! Wiwat księżu jenerała!!

Zaraz też gdzieś jakby z tajemniczych kryjówek wysypał się cały rój galonowanych sługusów, którzy rzucili się na rozmaite strony między zgromadzonych i poczęli prosić wszystkich do pobocznych sal i pokojów.

Podczas gdy dalej stojący cisnęli się naprzód, poczęły już przy zielonym stole arbitrow i w pobocznych pokojach strzelać korki nie przerwaną, gęstą kanonadą.

Tymczasem i na galerji dam powstał ruch i cała piękna publiczność poczęła się wynosić, widząc się zmuszoną odstąpić na jakiś czas berło nad męzkim światem szampanowi...

Tadeusz nie spieszył się do kielichów, lecz wydobywszy się z-zgiełku wysunął się na korytarz, aby opuścić kasyno. Właśnie kiedy do drzwi się zbliżał, stanął przed nim jakiś Wyrostek w gustowną liberję ubrany i z niskim ukłonem zagadnął pytająco:

— Jaśnie wielmożny pan Tadeusz Warski?...

Tadeusz skinął głową patrząc ciekawie na pytającego.

— Pani hrabina Łotocka prosi...

— - Hrabina Łotocka ?... — powtórzył Tadeusz nieznane sobie nazwisko.

— Jaśnie pan raczy pójść za mną — skłonił się z wzorową elegancją sługus i otworzył drzwi przed Tadeuszem.

Tadeusz wyszedł i znalazł się na korytarzu wśród mnóstwa dam strojnych,

wychodzących z kasyna. Ustupując się damom z drogi rozglądnał się do koła i

ujrzał schodzącą właśnie ze schodów galerji Laureę.

Domyślając się kto go woła, nie pytał już teraz Tadeusz dalej posłańca ale

podążył na spotkanie Laury. Piękna kobieta ujrzawszy go przyspieszyła kroku i z

twarzą powabnie uśmiechniętą szła naprzeciw Warskiego. Kiedy ten właśnie układał w głowie jakiś frazes kurtoazji i powitania, Laura zbliżyła się doń i podając mu drobną rączkę zawołała z zwykłym swoim wdzięcznym uśmiechem:

— A! witam, witam! panie oficerze! Nieprawdaż, jaką mam dobrą pamięć!

Tadeusz uścisnął i ucałował podaną rączkę.

— Przepraszam, żem tak obcesowo zawezwała, abyś się stawił na powitanie dawnej znajomej... — trzepała dalej pani Laura nie spuszczać oka z Tadeusza.

— Gdyby nie tajemnica nazwiska — odpowiedział Tadeusz — którą pani przy naszym pierwszym spotkaniu mimo mej prośby zachowałaś, byłbym się pierwszy ośmielił przypomnieć towarzyszcze podróży...

— Otóż teraz tajemnica przestała być tajemnicą... Może to źle dla mnie, bo wy tak lubicie zagadki...

— Bo hołdujemy kobietom...

— Ej, ej! panie oficerze — pogroziła Laura drobnym paluszką — zaczynasz być satyrycznym... Czy i mnie pan masz za zagadkę?...

— O tyle przynajmniej, o ile nią jest szczęśliwy los, który mi pozwolił spotkać się z panią...

— Dziękuję, panie oficerze... Ale zagadki bywają ciekawe i nieciekawe... O tem dasz mi sposobność przekonać się jutro... Będę czekała...

Przyszła kolej na Tadeusza podziękować za to zaproszenie.

— Czy długo pan zabawisz we Lwowie?...

— Dłużej niż kiedykolwiek...

— Biorę cię tedy w opiekę panie Tadeuszu... A będzie ci potrzebną, bardzo potrzebną! Bawimy się tu wesoło, miłym nam będziesz gościem... Trzeba tylko zapomnieć o Moskalach, o wojnie, i spocząć na wawrzynach...

— Na smutnych — dodał z przykrem uczuciem Tadeusz.

— My w nie wpleciemy róże, smutny bohaterze!... — zaśmiała się pustym śmiechem

Laura.

A wykręciwszy się zgrabnie na stopach dodała:

— Do widzenia!...

I skinąwszy rączką na pożegnanie zwróciła się ku schodom.

Tadeusz chciał pospieszyć za nią, aby ją odprowadzić do powozu, gdy w tem ciężka

jakaś dłoń spadła mu na ramię i ozwał mu się tuż nad uchem głos gruby i donośny:

— Mam cię ptaku! Post arma w piękne oczy zaglądać poczynasz!

— Jak się masz Józefie! — powitał Tadeusz spojrzawszy na mówiącego.

Był to także były oficer z armji polskiej, na wojnie rębacz zawołany, ale w

czasie pokoju zawołańszy jeszcze gracz i hulaka... Była to jedna z tych licznych

lekkomyślnych natur żołnierskich — dobrych do korda, ale bez zbytnich skrupułów

w zasadach i bez wszelkiego głębszego charakteru.

— A ty dokąd Józefie? — zapytał Tadeusz kolegi.

— Do kasyna.

— Ależ tam po wszystkiemu!

— Jak to po wszystkiemu?

— Sąd się skończył — teraz już tylko piją.

— A to w sam czas! Pal djabli sąd! Ale szampan i karty !....
— Dobrej zabawy !
— Jakto, nie idziesz ?
— Nie.
— A szampan ?
— Nie piję.
— A karty?
— Nie gram!
— To popatrzeć...
— Nie ciekawym...
— Mruk wasan jesteś... Inszym byłeś w obozie...
— Tam co innego !
— Jakto co innego! Koledzy ciż sami! Chodźże, nie marudź...
Chodź! chodź!...
Dalibóg, jeśli ci o to chodzi, to iak cię kocham chłopcze, ani
grać ani pić nie
będę, bylebym z tobą pogadał!
Ex-rębacz istotnie kochał Tadeusza, a obaj będąc w jednym
szwadronie, niejedną
sobie wyświadczyli usługę w obozie i boju. Tadeusz wyrębał
pod Szczekocinami
kolegę z pomiędzy kozaków — on zaś w bitwie
maciejowickiej rozplątał łeb
sałdatowi, który przywalonemu ubitym koniem Tadeuszowi
gotował się wypalić w
same piersi z karabinu.
Nie mógł się tedy obronić Tadeusz, gdy go Józef na siłę
ciągnął nazad do Hechta,
i ujęty silnem ramieniem kolegi, chcąc niechcąc wracał ku
drzwiom.
— Smutny jesteś — prawil mu tenże przez drogę — wziął
nam bies wolność, no to i

mnie ją wziął tak jak i tobie!... Wiem, wiem, stryjasek czy wujasek, czy ktoś tam z twoich w kozie, no to cóż, muru łbem nie przetłuczesz... Chodź, rozweselimy się! Tak, sam nie wiedząc kiedy, znalazł się Tadeusz znowu W kasynowych salach. Było to już pod wieczór. Główna sala i poboczne pokoje były rześkie oświetlone. Tadeusz zdumiał się, widząc, jak się nagle cała widownia i jej aktorowie zmienili. Z sali sądowej zrobiło się miejsce gry i hulanki. Na dużym stole arbitrów stały rzędami niezliczonemi butelki szampanu, po kątach stały ogromne kosze z tym samym ko-

sztownym płynem, a w rękach gości wznosiły się szumiące kielichy...

Hałas i wrzask w sali były nie do opisanego — a wszyscy, z maluczkim wyjątkiem, pełni byli serdeczności, wesela i — wina.... W sali i w pobocznych pokojach porozstawiane były stoliki, a na każdym stoliku były kostki i karty, około których cisnęły się całe gromady graczy.... Szulerstwo bowiem było także jednym z pięknych przymiotów modnego towarzystwa w ówczesnym Lwowie.....Grano wszędzie i zawsze, grano w najszańsze gry i po najbajeczniejszych cenach... Namiętność szulerska dochodziła niekiedy do strasznego szaha... Ci ludzie,

którzy w owych okropnych czasach byli sami igrzyskiem losu,
rzucali całe swe
mienie, wszystkie warunki bytu na traf ślepego przypadku....
Azardowano się z bezczelną lekkomyślnością. Honor
obywateli, miłość żon, ziemia
uświęcona grobami dziadów, łzy sierót, krwawy trud
kmiotków — wszystko to szło
na pastwę zielonego stolika. Mnóstwo fortun starych upadało
— mnóstwo nowych
wzrastało....

Jako małą próbkę rozmiarów tej namiętności do gier
ibazardownych, wspomniemy tu
tylko, że sam gospodarz dzisiejszego festynu, książę generał
Poniński, w
przeciągu krótkiego swego pobytu we Lwowie miał ,
dukatów wygranych.

Chował je w osobnym kufrze i mawiał, że dopóty grać nie
przestanie, dopóki nie
będzie miał okrągłej sumki stutysięcy dukatów. Omylił się
jednak w nadziejach!

Im dłużej grał, tem coraz więcej brakło mu do owej
ostatecznej cyfry!

Tadeusz znalazłszy się w sali, został odurzony tym widokiem i
hałasem! Brzęk

złota, głośnie wywoływanie stawek, przekleństwa i cała
cygańsko - kosmopolityczna

terminologja krzyczących szulerów, wiwaty, dzwonienie
kielichów i wybuchy

wesołości zmieszały się razem w tak chaotyczny wir hałasów,
ze oprzeć mu się nie
mogły najsilniejsze nawet nerwy.

— Brawo! — zawołał towarzysz Tadeusza — bawią się
chłopcy! To lubię!

I uczuwszy się w swoim żywiole, rzucił się z serdeczną ochotą naprzód, nie

wypuszczając jednak z swej dłoni ramienia ociągającego się młodego kolegi.

W jedną; chwili zdobył cały kosz szampana i trzymając go w lewej dłoni,

potrząsał nim z tryumfem. Przytem wprawnym okiem rzucił po zielonych stolikach i

zawołał:

— Doskonale! Gra wysoka! Jest wszystko, czego zapragniesz? Go umiesz grac

Tadku?

— Masz do wyboru! — krzyczał dalej birbant — tu grają wszystko: Makao, trenta,

passa - dieci, lansquenet, farao, biribis, basseŕte, oka!... Masz, co chcesz!

Można wybierać !

Odurzony Tadeusz nie mógł się wyrwać nieszczęsnemu przyjacielowi, nie mógł nawet

jeszcze odpowiedzieć, gdy go już obkoczyło kilku byłych oficerów. Wszyscy to

byli koledzy Tadeusza — a każdy z podwójną witał go dziś serdecznością.

Tadeusz był bardzo lubionym przez swych kolegów, a obozowe życie zjednało mu

bardzo dużo przyjaciół między

towarzyszami. W sali Hechta spotkał kilku z tych

współtowarzyszy — a ci już ani

mu dali pomyśleć o odwrocie. Wepchano mu gwałtem prawie kielich do ręki,

zmuszono do spełniania wnoszonych toastów.

Z początku wzbraniał się i wypraszał Tadeusz, ale w miarę im częściej ulegał koleżeńskiemu przymusowi, tem słabszym stawał się opór. W końcu pod wpływem kilku kielichów szampana uczuł się Tadeusz zupełnie zmienionym. Zagrała w nim krew wzburzona, odleciał go wstręt od hulanki. Lekkomyślnym szalem zrównał się teraz z swoimi towarzyszami. W takiej chwili zaproponował barczysty Józef swym grubym, szorstkim głosem:
— Panowie koledzy! Może się poumizgamy do mamy fortuny!
— Brawo! Do zielonego stolika, do mamy fortuny! — odpowiedział mu cały chór głosów.
— Patrzcie! — zawołał Józef — tam jeszcze stół do połowy próżny! Hrabia Dzięcki trzyma bank! Może być gra wyśmienita! Rzucili się na zawezwanie Józefa na pół pijani ex - oficerowie a za nimi pospieszył i Tadeusz. Nie grał jeszcze nigdy w swoim życiu — zielony stolik uśmiechnął mu się ciekawa, powabną nowością. Przy stoliku, do którego zbliżyli się Tadeusz i jego znajomi, było tylko kilka osób. Bank trzymał siwy hrabia, chudy i jak pergamin zżółkły na twarzy, ale z oczyma połyskującymi namiętnie. Koło niego leżała ogromna kupa złota a ręce żywo rzucały kartami. Miedzy stawiającymi był także jakiś młody człowiek w uniformie austriackiego

rotmistrza od dragonów. Był to wysoki, smukły mężczyzna o jasnych włosach i niebieskich oczach. Twarz jego nazwaćby można piękną i ujmującą, gdyby w tej chwili nie była tak nerwowo wyteżoną i nie drgała namiętnym poruszeniem. Młody rotmistrz zda się utonął całą swą istotą w grze a twarz jego gorączkowo pałająca dziwnie odbijała od zimnej, nieruchomej twarzy hrabiego. Rotmistrz przegrywał szalenie. Karta szydziła z jego usiłowań — hrabia z uśmiechem zagartywał złoto i srebro. Za przybyciem Tadeusza i jego towarzyszy gra się znacznie ożywiła. Tadeusz wziął w niej żywy udział — szampan zrobił zeń w jednej chwili lekkomyślnego gracza. Karta sprzyjała mu nadzwyczajnie — a nie bardzo spora kieska dukatów naszego bohatera urosła niebawem w czwórmasób. Zachęcony tem stawiał dalej szalenie i pomnażał co chwila wygrane pieniądze. Wkrótce stał się właścicielem bardzo wielkiej sumy wygranej. Towarzysze jego mniej protegowani przez szczęście czynili zazdrosne uwagi nad jego powodzeniem. Jeden tylko Józef radował się tem szczerze, porwał nawet Tadeusza w ramiona i zawołał:

— A bodajże cię chłopaczku! A widzisz, jak to nie trza opierać się kolegom!

Tobie tylko grać i grać całe życie. Fortuna to kobieta a tyś gładki chłopak, jak cię kocham!

Kiedy tak barczysty birbant wieszował powodzenia naszemu nowicjuszowi, rotmistrz austriacki znalazł się w fatalnej sytuacji. Leżące przed nim złoto zmniejszało się co chwila — aż w końcu zniknęło całkiem w chudych dłoniach hrabiego. Rotmistrz porwał się z krzesła lecz napowrót rzucił się nań jakby omdlały. Czoło jego zbladło i okryło się dużymi kroplami potu, oczy iskrzyły się strasznie... — Kawalerze von Stahlen! Co stawisz na nową talję?... — zapytał hrabia rotmistrza patrząc z sarkastycznym uśmiechem na opróżniony z złota róg stolika. Rotmistrz drgnął cały ale milczał. — Moi panowie, ciągnę! Więc nic nie stawisz, panie rotmistrzu? Młody von Stahlen odbywał widocznie walkę. Usta mu drżały kurczowo, kilka razy zrobił ruch nagły, jakby usiłował powstać i oderwać się od zielonego stolika, ale za każdym razem usiada! znowu na krześle... Widać było, że był przykuty do tego fatalnego stołu... Nie długo jednak szamotał się tak ze sobą. Stanowczym ruchem sięgnął ręką w kieszeń piersiową. Hrabia zmieszał karty. Von Stahlen dobył kilka dużych rulonów i rzucił je na stół. Snać dużo kosztowała go ta decyzja, bo zbladł jak kreda a pot jeszcze gęściej okrył mu skronie. — Jakto? Wszystko to stawisz? — zapytał hrabia.

— Wszystko — odparł bezdźwięcznym głosem po polsku młody rotmistrz.

— Ile lam?

— Dwieście dukatów!

Hrabia wyrzucił kartę.

— Trzymasz?

— Trzymam.

Hrabia rozdał karty reszcie. Potem położył swoją i odkrył.

Rotmistrz przegrał.... Fatalne to odkrycie jakby gromem go raziło.... Padł wtył

na poręcze krzesła bezsilny, spojrzenie jego było złamane...

Tadeusz, który już znacznie się wytrzeźwił, uważał stan młodego rotmistrza.

Straszny jego widok wywiódł go jeszcze bardziej z upojenia.

Patrzył z

współczuciem na nieszczęśliwego gracza.

Rotmistrz von Stahlen ocknął się nagle z strętwienia, i

zaczerpnąwszy powietrza

rzucił się naprzód.

— Jeszcze! — zawołał dziwnym głosem, który przeraził prawie wszystkich.

— Ile? — zapytał hrabia.

— Tyle co pierwej. Dwieście!

Hrabia w odpowiedź spoglądnął na próżne już teraz miejsce, gdzie dawniej leżała

stawka rotmistrza, i złożył kurty na stole.

— Proszę! — przypomniał rotmistrz. Hrabia Dzwonowski odrzekł z flegmą:

— Stawka?

— Stoi!

— Nie widzę jej...

— Mój panie!.... — zgrzytnął rotmistrz i porwał się z krzesła.

— Gramy w gotówkę — odparł z flegmą hrabia. Rotmistrz kurczowo ścisnął dłonie, i zatoczył się, jakby mu ściemniało w oczach. Cała jego postać wyglądała w tej chwili jak posąg rozpaczy i gniewu....

Tadeusz spojrział nań z przerażeniem. W sercu jego odezwała się wrodzona szlachetność.

— Ja ręczę! — zawołał zwracając się ku hrabiemu.

— Ręczyć... hm... lepiej wy ręczyć...

— Więc wy ręczę! — zawołał Tadeusz i położył kilka rulonów na stół.

Rotmistrz popatrzył się z zdziwieniem na Tadeusza — zawahał się — lecz nagle dał znak hrabiemu, że się zgadza.

Hrabia wziął nową talję i z flegmą pomięszał, rotmistrz stał przez ten cały czas nieruchomo i w dziwnym osłupieniu. Oddech zapał w sobie, a rozplomienione oczy aż wystąpiły z swej osady.

Padły karty...

Hrabia tym razem przegrał....

Rotmistrz von Stahlen odetchnął głęboko. Otarł drżącą dłonią czoło potem oblane i spoczął znużony na krześle.

— Wygrałem... — szepnął świeższym już i dźwięczniejszym głosem.

Potem wygraną sumę zagarnął chciwie i schował do kieszeni. Stawkę zaś odsunął

Tadeuszowi — i jakby wysilony gwałtownym wzburzeniem, nie ruszał się z krzesła...

Tadeusz tymczasem zabierał się do wyjścia. Hulanka nocna zmęczyła go. W głowie i uszach szumiał mu teraz nieznośnie hałas, w którym do niedawna brał udział.

Skłonił się zlekka i zimno hrabiemu, pożegnał towarzyszy i spiesznie opuścił salę. Był już na dole i mijał już drzewa ogrodu jezuickiego, które fantastycznie majaczyły w półświetle księżycowem, gdy naraz szybki chód usłyszał za sobą. Ktoś uchwycił go za ramię i ścisnął je silnie. Tadeusz obrócił się i ujrzął przed sobą rotmistrza von Stahlen.

— Panie! Dziękuję ci! — zawołał rotmistrz drżącym jeszcze od wzburzenia głosem, i ścisnął dłoń Tadeusza.

— Drobną usługą, o której mówić nie warto... — odparł Tadeusz.

— Panie! Nie mów tego.... Na tę ostatnią kartę rzucony był mój honor, moje życie i szczęście mego ojca... Nie tylko pańskie dukaty leżały na niej; leżała tam ciężka, ostatnia stawka — kula ołowiana...

Tadeusz milcząc spoglądał na rotmistrza.

— Masz prawo wiedzieć wszystko — mówił dalej von Stahlen — ostatnie rulony, które stawilem i przegrałem, nie były moje.... Były to pieniądze pułkowe, których jutro rano zażądano by odemnie... Gdybym ich był nie odzyskał za twoją, panie, pomocą, samobójczą ręką byłbym ukarał własną lekkomyślność....

Tadeusz z współczuciem uścisnął dłoń rotmistrza.

— Procentem do twojej pożyczki nie będzie tylko wdzięczność, jest nim moje życie... Tyś je wygrał, do ciebie należy... Masz prawo strzelić mi w łeb, kiedy ci się podobać będzie!... Herman

von Stahlen jest twoją własnością... Rotmistrz mówił to wszystko w gwałtownym, gorączkowym wzburzeniu.

— Jak się nazywasz, panie ? Tadeusz wygłosił swoje nazwisko.

Rotmistrz sięgnął do kieszeni swego białego płaszcza, i wydobyl zeń piękny, bogato ozdobny pistolet....

— Panie Warski! Weź ten pistolet odemnie. Pochodzi on z polskich rąk. Darował mi go niegdyś brat mej matki, która była Polką.... Niech ci on będzie pamiątką dzisiejszego wieczora. Ten pistolet jest nabity.... Kula, która w nim siedzi, miała dziś w nocy ugrząść w mojej czaszce. Nie wydobywaj tej kuli... To zastaw mego życia, które do ciebie należy....

Tadeusz nie mógł odmówić. Schował pistolet i szedł dalej z rotmistrzem.

Von Stahlen milczał przez drogę, wzruszenia wieczorne widocznie go znużyły. Przy wałach rotmistrz ścisnął raz jeszcze dłoń Tadeusza i podążył w inną stronę. — —

— —
Na drugi dzień Tadeusz ubrany starannie, udał się z wizytą do pani hrabiny Łotockiej. Wizyta trwała bardzo długo. Piękna Laura spać cały czas południowy

poświęciła wyłącznie swemu gościowi, bo kilka innych osób,
które pragnęły tego
dnia widzieć się z hrabiną, dostały odprawę...
Między niemi znajdował się i Żagwin.
Trzy razy wpadał on do kamienicy, w której mieszkała Laura,
i trzy razy
powracał. Za trzecim razem dzwonek
urwał się w jego żylastej dłoni, a na czole osiadła mu groźna
chmura...
Gdy mu lokaj oświadczył, że pani nie ma w domu, odkrzyknął
mu prawie z
wściekłością:
— Kłamiesz! — i zacisnąwszy kapelusz na czoło, odwrócił się
z mrukiem gwałtownie
tłumionego gniewu...

XV.

SZATAN I ANIOŁ.

Minęło kilka tygodni od scen opisanych. We Lwowie i w jego
kołach wesołych nic
się nie zmieniło — ten sam szal lekkomyślny, tażsama
swawola dawały hasło
towarzyskiemu życiu.
W większych i mniejszych salonach szły dalej swoim trybem
zabawy i hulanki.
Zabawom tym przybył nowy towarzysz. Piękna pani Laura
wprowadziła w modny świat
lwowski nieznanego tam dotąd młodziana, który z całą
zapamiętałością młodej
głowy i młodej krwi rzucił się w odmęt salonowej wesołości.
Młody ten prozelita był najznacniejsza, protegowaną gwiazdą
w plejadzie

wielbicieli Laury, i pod jej to osobliwszą opieką rozpoczynał
szczęśliwie swą
karjerę...

Był to Tadeusz.

Młody nasz bohater zmienił się w przeciągu swego krótkiego
pobytu we Lwowie do
niepoznania.

Z oficera kościuszkowskiego, w którym przed kilku
tygodniami jeszcze
podziwialiśmy pewną surową nawet powagę i hartowny mars
żołnierza, powracającego
świeżo

z boju, stał się elegancki, wyświeżony i lekkomyślny
towarzysz salonowego życia.

Z nieśmiałego na gładkiej posadzce młodzieńca, zmuszonego
niedawno tylko

koleżeńskim gwałtem do chwilowego udziału w hucznym
bankiecie, który go w duszy

tak mocno gorszył, zrobił się szalony zwolennik pustego,
swawolnego życia, który

z całym zaślepieniem młodej i żywej natury rzucił się w wir
zabaw i rozkoszy.

Z wstydliwego kochanka, któremu tylko tęskne i tajone
marzenia były niegdyś

powiernikiem miłości, któremu wyłudzone przez Laureę
wspomnienie o córce

Zakruckiego wyciskało rumieńce na lica, a w duszy
wywoływało wyrzuty

lekkomyślności, stał się otwarty i głośny wielbiciel
najlekkomyślniejszej z

bohaterek lwowskich salonów, kochanek właśnie tej samej
pani Laury....

Ostatni szczegół nowego charakteru Tadeusza podaje nam
klucz do całej zagadki
jego metamorfozy,..
Tadeusz uwiśł w powabnej sieci, którą go osnuła piękna
kokietka... Za tem nowem
uczuciem poszła w ślad cała opisana powyżej zmiana....
Mamyż tłumaczyć obszernie, jak się to stało?... Zdaje nam się,
że całą historję
tryumfu pięknej pani Laury nad Tadeuszem ograniczyć
możemy na kilku krótkich
uwagach. Walka podobna, jaką stoczyła chciwa podboju
Laura z Tadeuszem, zawsze
trwać może tylko bardzo krótko. Siły bywają tu bowiem nie
równe.
Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne słowa, które
wyrzekła niegdyś Laura
do swego młodego towarzysza po-
dróży, kiedy to z pewnem szyderstwem powątpiewała o jego
uczuciach, z których
niebaczny młodzian mimowolnie przed nią się wyśpowiadał.
Ona, doświadczona
znawczyni serc męzkich, adeptka romansowych tajemnic
warszawskiego świata,
przebiegła mistrzyni całej sztuki zalotności, którą własne
koleje i ton czasów
nauczyły zapewne skeptycyzmu i szyderstwa, słuchała
wówczas z uśmiejchem
mimowolnych zwierzeń Tadeusza o stosunkach z młodą córką
Zakruckiego, jak się
słucha naiwnych zdań dziecka, wiosennych marzeń
pacholęcia, które oprócz
własnego wewnętrznego, nie zna jeszcze innego świata....

Wtedy to drocząc się z swym młodym towarzyszem,
powątpiewając z taką pustotą o
wierności jego uczuć, rzekła mu te słowa:
— Jeżeli się raz jeszcze spotkamy w życiu, zobaczysz, że
słusznie nie
wierzyła...
Tadeusz podjął wówczas z całą pewnością zakochanego
młodzieńca rękawicę — lecz
dziś, gdyby był sobie przypomniał tę rozmowę i jej znaczenie,
musiałby był
zadrzeć przed tą kobietą i przed samym sobą....
Ale Tadeusz nie zdawał już sobie sprawy z metamorfozy
swych uczuć, przy obecnym
bowiem sposobie jego życia, brakowało mu do tego
trzeźwości. Piękna pani Laura
widziała go niewolnikiem u stóp swoich....
Dziwić by to mogło, dla czego Laura, nawykła do
nieustannych hołdów całej
mężkiej połowy wielkiego świata, królowa tylu wielbicieli,
której podczas pobytu
we Lwowie nadarzała się już nieraz sposobność uwieńczenia
ro-
mansowych tryumfów najkorzystniejszym stosunkiem
małżeńskim, która ręką swą
uszcześliwić mogła nie jedną znakomitość lwowskiego
towarzystwa — dla czego ta
Laura tyle wagi przykładła do pozyskania serca Tadeuszu...
Byłaż to prosta nawyczka kokieterji lub może miłość
prawdziwa ?...
I jedno i drugie kierowało w tym względzie Laurą.
Znamy już tę kobietę po części z jej stosunku do Żagwina.
Znajomość zabrana z

nią przy tej sposobności nie w najjaśniejszym świetle
przedstawiła nam jej
charakter. Wiemy, że w celu polepszenia swych materialnych
stosunków, bez czego
jako obca zupełnie we Lwowie nie mogłaby była stanąć
pewniejszą stopą na gruncie
salonowego towarzystwa, weszła w dziwny stosunek do
Żagwina, nie wahała się
nawet upozorować swej intrygi uczuciem.
Dziś kiedy niepospolite jej wdzięki, podniesione złotem
rabulisty, otoczone
przepychem wystawy i pozornego bogactwa, uścieliły jej
drogę do tryumfów i
zjednały tylu wielbicieli, gotowych kosztem ręki i imienia
dobić się stałych
względów pięknej wietrznicy — czemuż nie korzystała z tak
pomyślnej sytuacji a
poprzestała raczej na młodym człowieku bez imienia, bez
majątku i pozycji?...

Powiedzieliśmy już, że na ten krok złożyły się tak nawyczka
kokieterji jak i
miłość. Ale i zalotność i miłość nabierały u tej kobiety cech
całkiem odrębnych
i niezwykłych...

Nie była to ta zwykła zalotność kobieca, która wypływając
bądź to z
lekkomyślności, bądź z dziecinnego nie-
jako upodobania, nie przekracza granic bezmyślnej nawyczki
lub pustej igraszki —
była to dziwna, prawdziwie demoniczna namiętność. Laura
liczyła to do swych
rozkoszy, wdzierać się między serca już pouczone miłością,
rozrywać siłą swych

zalotnych wdzięków związane już wzajemnem uczuciem
dusze. Gdziekolwiek tylko
widziała szczęście miłości, spieszyła je zburzyć lub zakłócić.
Nie zalety
mężczyzny, którego zhołdować usiłowała, ale cierpienia
innego kobiecego serca,
które przy tej sposobności zakrwawić i rozgoryczyć się miało,
było dla niej
miarą większego lub mniejszego tryumfu...
Uważano, że zalotność jej nie wybierała sobie nigdy za
przedmiot ludzi
swobodnych i wolnego serca — lecz przeciwnie z prawdziwie
szatańską konsekwencją
wikłała w sieci swego niezrównanego uroku mężczyzn, do
których wiązały się
serdeczne marzenia a częstokroć szczęście całego życia
innych kobiet...
Rozkochanych narzeczonych, młodych mężów, upojonych
miłością swych żon, ścigała
z niezmordowaną, namiętą wytrwałością...
Jeszcze kiedy była w Warszawie stała się tym sposobem
przyczyną wielu
najtragiczniejszych katastrof, które wdzięki jej okryły prawie
straszłą sławą.
Ta zalotność posunięta do namiętności, z okrutnym celem i
piekielną konsekwencją
robiły z tej pięknej kobiety szatana...
Usidlenie Tadeusza nie było więc kaprysem prostej zalotności.
Nie było ono także
tryumfem istotnej miłości.
Z tego, co dotąd powiedzieliśmy o Laurze, czytelnik mógł się
już po części
domyśleć, jak się kobieta ta zapa-

trywała na miłość. Pod tym względem była Laura wychowanką swych czasów i warszawskiego towarzystwa, w którym zepsucie tych czasów znalazło najsmutniejszy swój wyraz.

W kołach, w których Laura była boginią, epikureizm był hasłem życia... Miłość była wówczas nazwą dla prostej rozkoszy... Nigdy może nie wybujały do tak wysokiego stopnia sielankowa słodycz słówek, sentymentalna tęskność tonu, wykwinna galanterja i kurtoazja romansowych formułek, jak w owym wieku Nowej Heloizy — ale nigdy taka wytworna i delikatna aż do ckliwości forma nie była obłudniejszem kłamstwem, nigdy pod taką szwalerją nie kryła się wyuzdańsza swawola, nigdy taki kwiecisty i trubadurowy przybór stosunków z światem niewieścim nie był maską cyniczniejszej rozpusty, jak wówczas...

Laura nie różniła się w niczem od innych pokrewnych sobie zalotnie swego czasu — ale przewyższała je namiętnością. Jeżeli w takim znaczeniu pojęta miłość godną jest jeszcze nazwy miłości, w takim razie powiedziećbyśmy musieli, że Laura kochała Tadeusza.

Taki by! stosunek Laury do Tadeusza.

A Tadeusz, jakże on pojmował swe uczucie dla Laury?... Nie zastanawiał się nad niem. Był to szal namiętny, który w wirze swym pochłonał całą jego istotę —

upojenie, które nie dozwalało mu ani na chwilę wniknąć
trzeźwiejszą myślą w ten
odmęt tak nowego i niezwykłego życia. Pod wodzą swej
pięknej mistrzyni i
opiekunki, otwarły się dla naszego

młodego bohatera po raz pierwszy w życiu bramy
czarodziejskiego świata — świata,
który pełny swobody, rozkoszy i wesela, zdawał się zamykać
w sobie wszystko, o
czem tylko marzyć mogła młoda dusza...
Laura była mu doskonałą przewodniczką na tej powabnej
drodze... Wprowadziła go
od razu w huczny świat salonów — a Tadeusz przylgnął do
tego świata i rozlubował
się w jego nieprzerwanych zabawach i uciechach. Nie było też
odtąd żadnego balu,
żadnego pikniku, żadnej maszkarady, aby na niej nie był
Tadeusz i aby nie brał
szalonego udziału w hulance, do której nieodstępne prawie
towarzystwo Laury
jeszcze bardziej go podniecało...
Wróce to ognisko wesołego szału, namiętności do zabaw i
rozkoszy, jakim było
ówczesne towarzystwo lwowskie, pochłoneńo w sobie
Tadeusza. W upojenie takie
wszystkie młode natury popadają z największą łatwością; a
choć są silne,
opamiętują się późno, gdy są słabsze, już za późno — a gdy
całkiem płytkie i
lekkomyślne, nigdy!...
Do którego z tych trzech rodzajów przyjdzie nam zaliczyć
Tadeusza, obaczymy w

dalszym ciągu tej powieści, tu jeszcze tylko kilka szczegółów
rzucić musimy co
do zmiany, której tak rychło uległo jego usposobienie.
Jak wiemy Tadeusz, wychowany przez Zakruckiego, kochał
go prawdziwie synowską
miłością. Zakrucki jęczał obecnie w więzieniu — czyli więc
pamięć na kochanego
starca nie mogła powstrzymać Tadeusza od rzucenia się w wir
tego karnawału
życia?...

Gdyby nie zalotność Laury, gdyby nie demoniczny wpływ jej
na miody i pełen
wiosennej swobody umysł, Tadeusz nie znalazłby nigdy w
samym sobie podniety do
lwowskich bachanaljów. Podniętą tą były dlań czarne,
namiętne oczy Laury,
magnetyczny powab jej wdzięków, któremi jakby
nieprzełamany czarem trzymała go
w tej atmosferze, którą sama była otoczona.
Gdyby nie ta fatalna przemoc pięknej kobiety, nie potrzeba
było dla szlachetnego
serca Tadeusza nawet pamięci na swego opiekuna, ale samego
wspomnienia
nieszczęsnej walki, z której właśnie co powrócił — aby nie
stawić stopy na
balowej posadzce tego karnawału, który był okropną stypą nad
zwłokami ojczyzny.
Tadeusz, jak wiemy, kochał Zosię pierwszem, dziewiczem
uczuciem swej duszy...
Czy uczucie to zgasło wśród tego szalonego życia, czy
uleciało całkiem z piersi,
która przestała być dlań godną i czystą świątynią?...

Gdyby Tadeusz był lepszym znawcą własnego serca, gdyby czar pięknej czarodziejki, która go trzymała na uwięzi, nie był tak gwałtownie uderzył całej jego istoty, byłby może odgadł, że owa niewytłumaczona niby tęsknota, owe dziwne nieokreślone wyrzuty, owe uczucia znużenia i przesyty, które nim chwilowo i przelotnie owładały, nie były niczem innym, jak tylko stłumionym protestem serca, które upojone było tylko, a nie zadowolone nowym pokarmem... Oprócz tych mimowolnych uczuć tęsknoty i niezadowolenia, które nachodziły czasami Tadeusza, a które w takich razach bywają rękojmią przyszłego nawrotu, jeżeli ich zu-

pełnie nie stłumi namiętność i nie zagłuszy gwar świata, miało obecne życie Tadeusza jeszcze inną jaśniejsze stronę. Był nią stosunek przyjaźni z młodym rotmistrzem v. Stahlen. Znamy historję tej znajomości. Tadeusz uczyniwszy rotmistrzowi przysługę, której znaczeniu tak małą przypisywał wagę — nie byłby niezawodnie korzystał z podanej tym sposobem okazji do bliższych osobistych stosunków. Już sam przeciwny obóz, do którego należał rotmistrz, sam biały jego mundur byłby przegrodą nie do usunięcia. Ale sposób, w jaki rotmistrz von Stahlen wyraził wdzięczność swą

Tadeuszowi, a następnie bliższe poznanie charakteru tego człowieka, utorowało drogę do ściślejszych stosunków. Młody von Stahlen, zaraz po owej scenie w kasynie Hechta, wyszukał Tadeusza w jego pomieszkaniu i tu zaraz przedstawił mu się w sposób, który musiał wzbudzać prawdziwą sympatję. Von Stahlen posiadał charakter niezwykle i szlachetny — ale główną charakteru tego cechą był pewien bolesny rozstrój uczuć i przekonań, który wywołać w nim musiało jego wyjątkowe położenie, a który dodawało usposobieniu jego wiele gorczy....

Czystą polszczyzną, którą mówił, przedstawił się Stahlen Tadeuszowi jeszcze owego wieczoru jako Polak — później wyznał sam, że matka jego była Polką. Ojciec jego natomiast był Niemcem i to w całym tem znaczeniu, jakie się w owych czasach wiązało w Galicji do tej nazwy....

Matka Stahlena była córką polskiego szlachcica, marszałka na dworze pana Wojny, posła Rzeczypospolitej w Wiedniu. Tam poznał ją ojciec Stahlena i po usunięciu wielu przeszkód, które stawiały mu niechęć i uprzedzenie szlachcica polskiego, pojął ją za żonę. Z małżeństwa tego miał syna, właśnie znanego nam Hermana, dzisiejszego rotmistrza.

Dzieci takich małżeństw idą zwykle za narodowością matki....

Młody Herman

wychował się w polskiej atmosferze.... Już kołysanka jego
była polską, a później
pierwsze wrażenia modlitwy, pierwsze słodczyce
pieszczotliwych słów
macierzyńskich, przelewały się w jego serce mową polską..
Przytem ojciec jego
matki i jej siostry, między którymi najczęściej przebywał,
przyczyniły się do
jego polskiego wychowania...
Ztąd poszło, że ku wielkiemu niezadowoleniu ojca, mały
Hermanek do trzynastego
roku życia umiał i mówił tylko po polsku. Od tego jednak
czasu przeszedł pod
wychowanie ojca, który pragnął mieć w nim Niemca. Gdy
naddo i matka jego w tym
czasie zeszła ze świata, wychowanie to, pozostawione
samemu ojcu, było już
wyłącznie niemieckie.
Ale wpływ matki, wywarty na młodocianym umyśle Hermana,
nie dał się zatrzeć. Von
Stahlen był dziś jeszcze więcej Polakiem niż Niemcem. Po
pierwszym rozbiórce
Polski i po zajęciu Galicji przez Austrię, ojciec Stahlena, który
służył
rządowi, posłanym został do nowej prowincji w stopniu
wysokiego urzędnika.
Tymczasem ożenił się po raz drugi. Herman przybywszy z
ojcem do Galicji, znalazł
się jakby w ojczyźnie. Znał on Polskę tylko z opowiadań swej
Watki, a dziś kraj,
który po raz pierwszy oglądał, wydał
mu się dobrym znajomym, światem opromienionym pamięcią
ukochanej matki,

wspomnieniem opowiadań słyszanych z jej ust w dniach dzieciństwa....

Ale jakkolwiek drogą była Hermanowi ta druga narodowość, odziedziczona po matce,

jakkolwiek wiązały się z nią wspomnienia ukochanej nieboszczki, niemniej przeto

była ona źródłem owego rozstroju w jego charakterze, powodem goryczy i wielu

cierpień. Ojciec Hermana był niemieckim biurokrata w całym znaczeniu tego słowa.

Dla kraju, do którego przybył jako jeden z reprezentantów nowej władzy,

przyniósł z sobą tylko zasadniczą niechęć, tylko surową bezwzględność, tylko

wrogą wzgardę....

Wkrótce też dopracował się stary von Slahlen nienawistnej sławy czyli niesławy u

Polaków. Zasłynął jako jeden z najzawziętszych przeciwników narodowości

polskiej, jako jeden z najbezwzględniejszych zwolenników surowego,

exterminacyjnego systemu, który tak dotkliwie czuli nieraz nowi poddani nowego

rzędu....

Nic dziwnego tedy, że młody Herman w przykrem znalazł się położeniu. Między

sympatją do kraju, wiążącą się z najdroższymi wspomnieniami dni dziecinnych a

przykrem znaczeniem, jakiego imię jego w kraju tym nabrało — powstał kontrast

boleśny... Serce polskie stanęło w opozycji do niemieckiego pochodzenia, miłość

zmarłej matki weszła w kolizję z miłością żyjącego ojca.
Charakter młodego
Niemca - Polaka wpadł w dziwny rozstrój i przybrał
goryczy....

Kontrast ten tem boleśniejszym musiał być dla Hermana,
mimowolna opozycja
uczucia przeciw ojcu musiała tem więcej dręczyć jego umysł,
ile że ojciec kochał
go nad wyraz wszelki. Ta miłość ojcowska była wśród takich
stosunków nieraz
prawdziwą męką dla Hermana.
Tyle co do osoby młodego rotmistrza. Znajomość jego z
Tadeuszem zbliżała się
coraz bardziej do przyjaźni. Tadeusz już z wrodzonego
pociągu duszy łatwy był do
współczucia i przyjaźni — Herman szukał tego współczucia i
tej przyjaźni
spragnionem sercem. Przywiązał się wkrótce do Tadeusza i
stosunek obu młodych
towarzyszy dojrzywał coraz piękniej, gdy naraz pułk, w
którym służył Herman,
otrzymał nakaz wyruszenia. Po kilkutygodniowej zaledwie
znajomości musiał młody
rotmistrz pożegnać Tadeusza.
Skreśliwszy tak zmianę w usposobieniu Tadeusza i nowy
sposób jego życia,
opuścimy go na chwilę a zwrócimy uwagę czytelnika na inne
osoby. Zagładniemy
teraz do dworku Promnickiego na Halickim przedmieściu.
Opuściliśmy go wraz z Zakruckim, prowadzonym pod
wojskową eskortą do więzienia.

Zobaczmyż, co się tam działo dalej po opisanej katastrofie.
Zacniemy od obu
starych rezydentów dworku, od dziada i konfederata. Na obu
przygoda owego
wieczora wręcz przeciwne wywarła skutki. Pan Dederkało,
przerażony aresztowaniem
Zakruckiego, prawie jakby cudem nabrał sił i ozdrowiał.
Wstrząsające wrażenie,
jakie na nim sprawił cały wypadek, było mu lękałem. Opuścił
łóże, i choć blady i
wynędzniały, uczuł w sobie dawne czerstwe siły.
Dziad Madej przeciwnie nie oparł się moralnym skutkom
swych dziwnych przygód.
Owe tajemnicze odkrycie, które Łąk dziwne na nim sprawiło
wrażenie, a w dodatku
scena, którą zastał w domu powróciwszy z nocnej wycieczki,
zachwiały nim
moralnie i fizycznie. Nie mógł przetrwać przestachu i
zdumienia - — głowa jego
rozgorzała gwałtowną gorączkąPodczas całej rewizji, którą
odbywał oficer we
dworze, Madej trzymał się jeszcze na nogach, a nawet
miarkując, że szukano
najbardziej za papierami, rzucił się do jakiegoś klęcznika
starego, stojącego w
jednej z opuszczonych izdebek, i wydobywszy ztamtąd jakiś
zwitek żółkłego
papieru, co prędzej ukrył go w swojej torbie dziadowskiej.
Papier wszelki,
choćby czysty a cóż dopiero zapisany, miał dla Macieja
zawsze jakieś złowrogie
znaczenie. Widział w nim jakiś kabalistyczny instrument, z
którego Bóg wie co za

nieszczęście niespodziewanym gromem spaść może na
niepiśmiennego człowieka !...

Gdy tedy widział oficera przeglądającego uważnie każdy
najdrobniejszy papier,
skorzystał z niestrzeżonej chwili i ukrył ów zwitek leżący w
klęczniku...

Kiedy żołnierze odeszli i cisza znów zaległa dwór samotny,
Madej padł w gorączce
na posłanie a na drugi dzień obudził się bez przytomności....

Chorował przez

kilka miesięcy ciężko. Jak dawniej on Dederkałę, tak teraz
Dederkało jego

pilnował troskliwie, choć sam był strapiony i zgryziony i
całymi dniami ciężko

wzdychał i na losy narzekał. W samotnym dworze mieszkać
nikt im nie wzbra-

niał, a choć pan Zakrucki był w więzieniu, dosyłano im ze wsi
żywność jak

dawniej.

Tadeusz, gdy powrócił z wojny, odwiedził zaraz dworek,
gdzie nawet jakiś czas

mieszkał — ale niebawem ku wielkiemu zasmuceniu Madeja i
Dederkały przeprowadził

się do miasta i już odtąd nigdy ich nie odwiedzał, i tylko
nieraz opowiadał

konfederat dziadowi, jak wracając od Karmelitów widział
Tadeusza w kusym modnym

stroju, jadącego w pysznej karecie z jakąś panią piękną i
młodą.

Pewnego dnia po takim spotkaniu, Dederkało wróciwszy z
nieszpor do domu, usiadł

chmurny na stołku i motał w milczeniu siwy wąs na palec.

Madej, który już był nieco pozdrawiał i przechadzał się po alkierzu, zapytał

Dederkałę:

— Cośeście pomarkotnieli, panie Krzysztofie... Czy, broń Chryste, co niedobrego?
?...

— Jest - bo czego być markotnym — odpowiedział pan Dederkało. — Dziś znowu spotkałem pana Tadeusza, a nawet na człeka nie spojrział! Jechał znowu wycackany jak fircyk z tą jakąś lafiryndą. Ukłoniłem mu się, ale nawet nie popatrzył na mnie! Toż to ja z jego ojcem wałęsałem się lat kilka po świecie, a jego samego na własnych prawie rękach wychowałem, a teraz ot co! I stary splunął z indygnacją.

— At, może wam się lak tylko przywidziało — odezwał się Madej — to nie musiał być nasz panicz! Gdyby on to był w mieście, gdzieżby tu do nas nie zaglądnął, taka miłosierna dusza!

— Mnie się nic nie przywiduje — odparł Dederkało — mam stare oczy ale dobre!

— Wam się nic nie przywiduje... — powtórzył półgłosem Madej i zamyślił się czegoś na chwilę.

— Proszę też was panie Krzysztofie — rzekł znowu po chwili — mam się was o coś zapytać...

— coż to naprzykład?

— Powiedzcie mi, panie Krzysztofie — pytał dziad Madej nieśmiało i ciekawie

spozierał na Dederkałę — czy to może być, aby jeden człowiek do drugiego był tak podobny, żeby ich nawet rozróżnić nie było można...

— Hm... bywają czasem ludzie bardzo podobni z twarzy...

— Ale czy mogą być tak podobni, jak dwie krople wody, tak, że ani rusz

rozpoznać ich w żaden sposób? — pytał Madej dalej.

— Takich ja nigdy nie widziałem... — odparł Dederkało — ale czemuż ty o to pytasz ?...

— Bo to widzicie, panie Krzysztofie — mówił Madej nieśmiało — mnie się taka dziwna historją przywidziała, ale to laka dziwna, że do tego czasu jeszcze mi się w głowie przewraca...

— At, to może to w gorączce było, kiedyś był chory...

— Ale nie, to jeszcze przed chorobą było... Przez dwa dni przed tem

nieszczęściem, które naszego pana trafiło, że go Niemcy do turmy wzięli,

widziałem w kościele farnym bardzo bogatą panią... Ledwom ją ujrzał, zaraz mnie

mrowie aż przeszło! Bo czy uwierzycie panie Krzysztofie, ta bo-

gata pani — cud cudów, oman prawdziwy! — podobnusięńka była, aż dziw...

— Do kogo?

— Nie śmiejcie się ze mnie, panie Dederkało, była podobnusięńka do mojej kobiety...

— Jak to do twojej żony? — zapytał z uśmiechem zdziwienia Dederkało.

— Kubek w kubek ona, mógłbym być przysiędz, że ona!...

— Albo ty masz żonę?

— Miałem żonę, ale już trzydzieści lat całych jak jej nie widziałem...

Trzydzieści lat, jak uciekłem z mego siola i ją zostawiłem, i od tego czasu jej nie widziałem. Myślałem, że pewno gdzieś biedna pomarła już dawno, a tu ja ją widzę jakby hrabinę jaką we farze!...

— Ot pleciesz stary! — odezwał się Dederkało — alboż to ona była!

— Ba, posłuchajcie dalej! — prawił Madej — ja pobiegłem za tą panią aż do kamienicy i patrzyłem przez okno, i widziałem ją, jak siedziała na dużym krześle w pańskiej komnacie. I oto, jak mnie tu widzicie żywego, tak ja widział na moje własne oczy, że to moja żona!... Jak to być może? To chyba jaka nieczysta sztuka djabelska...

— A czemużeś się nie wypytał, nie doszedł prawdy? — zgadnął rozciekawiony Dederkało.

— Tego samego wieczora jeszcze ją przez szyby widziałem, kiedy to nieszczęście spadło na nas, a potem jak wiecie, gorączka ciężka mnie zmogła. Ale dziś zaraz pójdę znowu wypatrywać i pytać, bo już jako tako łazić po świecie mogę...

Dederkało pokiwał głową, zamyślił się, potem popatrzył z niedowierzaniem na Madeja, jakoby jego zmysłom nie ufał, i urwał rozmowę. Madej także umilkł i siedział w zamyśleniu.

Zaraz pod wieczór wymknął się Madej niecierpliwie z domu i wysunął się na miasto. Biegł spiesznie, o ile mu na to osłabienie pozwalało, na znaną już sobie ulicę, stanął przed owemi oknami i rzucił spojrzenie wewnątrz...

Po chwili odstąpił od okna i począł oglądać kamienicę, jakby chciał się przekonać, czyli się nie omylił. Były to te same okna i ta sama kamienica... Ale w izbie, w której przedtem pokazało mu się owe widziadło, były już zupełnie inne sprzęty niż przedtem i inne w niej siedziały osoby... Owej pani nie było...

Z przykrem uczuciem znwodu stał Madej chwilę przed kamienicą i chciał już odchodzić, gdy ktoś ze służby wyszedł z sieni. Madej zebrał się na potrzebną odwagę i zapytał o panią, która w pokojach tych przed tem mieszkała. Dowiedział się, że już od miesiąca w kamienicy tej nie mieszka, i że nie wiadomo dokąd się wyprowadziła.

Z spuszczoneą głową i w smutnem zamyśleniu wrócił Madej do domu. Opowiedział

Dederkale o skutku swojej wyprawy, a ten daremnie usiłował mu wyperswadować, że

się mylił tylko, i że zapewne sen gorączkowy bierze za prawdę. Każdego

następnego dnia wyprawiał się Madej na miasto, ale zawsze bez skutku.

Nie długo trwało to jednostajne, samotne życie obu rezydentów. Do cichego dworu

przybył niespodzianie goścnowy...

Pewnego dnia, kiedy pan Dederkało wyszedł na ganek
pogrzać się trochę na
pierwszych cieplejszych promieniach wiosennego słońca —
zajechał jakiś powóz na
dziedziniec. Dederkało porwał się z miejsca, wyteżył wzrok i
biegnąc naprzeciw
począł wołać z całej piersi:

— Panienska! panienska !

W powozie podróznym siedziały dwie panie, jedna już w
poważnym wieku matrony,
druga w rozkwicie pierwszej młodości. Była to Zosia, córka
Zakruckiego, i jej
ciotka.

Stary Dederkało prawie na klęczkach i ze Izami witał Zosię —
ona też nie bez
rozzewnienia i pociechy spoglądała na starego przyjaciela
swego ojca... Ale
ukontentowanie to było tylko chwilowe, a po wyschłej twarzy
konfederata i po
nadobnych licach Zosi spłynęła niebawem łza smutku...
Wszakże Zakrucki nie był przytomny tej scenie!... Dla niego
nie świeciło piękne
słońce wiosny, chłód i cienie murów więziennych otaczały go
w tej chwili, nie
mógł rozradować się w objęciu powracającej córki, nie mógł
przytulić do piersi
ukochanego dziecięcia, tej ostatniej gwiazdki na wieczornem
niebie swego
życia...

Zosia wiedziała już o losie swego ojca...

Widok rozczulonego pana Krzysztofa rozbudził w niej
gwałtownie boleść, którą w

części udało się już było ukoić troskliwej ciotce... Pierś jej
zanosła się
głośnem łkaniem
i omdlałą zanosiono ją do pokojów... Biedne dziewczę już od
roku rwało się z
Warszawy do ukochanego ojca... Ale wybuch wojny i
połączone z nią
niebezpieczeństwa były powodem, ie ciotka Zosi wstrzymała
tę podróż, w której
wychowaniczy towarzyszyć miała. Zmuszona wolą swej ciotki,
Zosia zostać musiała w
Warszawie, zkąd dopiero tuż przed samem wkroczeniem
Moskali wyjechała do dóbr
swej opiekunki, aby ztamąd po nowej i poniewolnej a tęsknej
zwłóce spieszyć
wreście do ojca...
Skrzydłami tęsknoty wyprzedzała leniwy tok podróży,
wybiegała naprzód myślą, aby
nią już z góry powitać ojca i popieścić się przy jego piersi po
długiem
niewidzeniu!... Jakżeż srogim był zawód, gdy nikt nie wyszedł
witać jej u
progów, gdy w wiejskim dworku zastała pustki i tyle okropną
dla niej wiadomość,
że ojciec w więzieniu...
Po ukojeniu pierwszego wybuchu boleści, musiała ciotka na
żądanie Zosi
natychmiast udać się z nią do Lwowa. Taka była historia
niespodziewanych gości.
Korzystając z tych odwiedzin, poznajmy się bliżej z Zosia.
Mogła mieć najwięcej lat ośmnaście. Twarzyczka jej choć
blada i smutkiem owiana,

pełna była nadobności i cichego, anielskiego uroku. W twarzy tej przebijało się tyle słodczy, tyle jasnego wyrazu uczucia, że zdało się, iż cała światłość pięknej, promiennej duszy rozlała się po tem białem czole, że świeciła z tych szafirowych jak błękit Boży oczów....
Ubrana była w ten sam strój, w jakim opuściła Warszawę. Miała na sobie sukienkę z szarego płótna z czarnym fartuszkim i takiż kaftanik z długimi rękawkami, a na białych rączkach żelazne esklaważki — godło niewoli... Zpod szyi spływały długie, bujne warkocze...
Strój ten miał już teraz tylko smutne, historyczne znaczenie. Przed zdobyciem Warszawy przyoblekały się weń kobiety, które szły sypać szańce około zagrożonego miasta. Wiadomo, że w sypaniu szanćów brała wówczas udział cała ludność warszawska. Garnęły się do tej pracy wszystkie klasy, od najwyższych do najniższych. Niejako dla symboliki patryjotyzmu, który zrównać miał wszystkie klasy i połączyć je w jedno wielkie ognisko miłości ojczyzny, szły sypać ziemię najznakomitsze damy obok ubogich wyrobnic i rzemieślniczek, poważne matrony obok młodych dziewic.
Dla wielu elegantek warszawskich stało się niebawem to zajęcie igraszką mody — toż przyoblekały się w szary strój robotnic jedynie dla nowości. Dla takich pań

patryjotyzm o tyle jest obowiązującym, o ile jest artykułem
mody... Alu Zosia
pojmowała to zajęcie z całą szczerością swego serca, dla
którego nic nie było
pozorem, a wszystko treścią uczucia i zapału... Ledwie brzask
dzienny zajaśniał,
spieszyła Zosia z swoją towarzyszką na szanice warszawskie i
drobnymi, białymi
rączkami sypała ziemię. Czyniła to z naiwną gorliwością, z
pełną, dziecięcą
wiarą, jakby istotnie tych kilka garści ziemi, które trudem sił
swoich
wszystkich dorzucała do wału, przyczynić się miało do
ratunku stolicy...
Współtowarzyszki Zosi, i te, które jedynie moda i pusta chęć
rozrywki wiodła
między tłum robotników i robotnic na szanicach, i te, które
zajęcie swe pojmowały
szła-
chętniej, bo jako zachętę i przykład dla reszty ludności —
uśmiechały się nieraz
na widok naiwnej gorliwości, z jaką Zosia posuwała się aż do
fizycznych wysień.
Pierwsze uśmiechały się szyderczo i złośliwie — drugie z
pewnem upodobaniem,
jakby na widok naiwnego dziecka — ale jeden i drugi uśmiech
przynieść mógł tylko
zaszczyt młodej, nadobnej pracowniczce...
Ta naiwna szczerść uczucia, ta wiara pełna ewangelicznej
prostoty najlepiej
charakteryzowały Zosię. Wśród chwastów i zielsk
warszawskiego modnego życia

wyrosła ona jak wonny fiolet, wypielegnowany przeczystą
rosą i jasnym promieniem
słońca...

Zosia zaledwie przyszła nieco do siebie po wznowionym
wybuchu żalu i bólu —
zaraz ze łzami naglić poczęła ciotkę, aby udała się z nią do
więzień lwowskich,
do ojca. Dederkało służył za przewodnika, i tak wszyscy
razem udali się do
więzienia... Ale nie tak łatwo można się było wówczas
widzieć z politycznym
więźniem. Potrzeba było do tego różnych zezwoleń,
uwiadomień, formalności. Nie
pomogły ani łzy, ani błagania — mury więzienia nie otwarły
się przed stesknionem
dziewczęciem. Zosia musiała odejść bez pewnej nadziei
nawet, że będzie się mogła
wkrótce widzieć z ojcem. Może jutro, może pojutrze, może w
tym tygodniu — takie
były szorstkie odpowiedzi na jej proźby. Jutro! pojutrze! —
jakże to daleko!
Kiedy zalana łzami, opierając się na ramionach ciotki i pana
Krzysztofa wracała
Zosia do domu, minęła ich jakaś modna, błyszcząca kolasa. W
kolasie siedział
młody czło-
wiek obok pięknej i strojnej damy, zapatrzony w jej oczach,
zашuchany w jej
słówkach.
Zosia poznała w nim Tadeusza. Przystanęła nagle i wydała
lekki stłumiony
wykrzyk... Uczucie pociechy wystąpiło jej na twarzyczkę
zapłakaną — rzuciła na

powóz wzrok radosnego zdziwienia.... Ale Tadeusz nie uważał przechodzących — nie widział on nikogo dokoła, tylko swoją piękną towarzyszkę, Laureę. Za to Laura rzuciła okiem na Zosię, a po wyrazie jej twarzy widać było, że ją poznała.

Szybko jednak odwróciła od niej spojrzenie, utopiła je w oczach Tadeusza i nachyliła się ku niemu bliżej, jakby chciała w tej chwili całą uwagę jego zwrócić tylko na siebie...

Spojrzenie to, które zwrócone na Zosię było prawie szydercze, zaświeciło teraz

namiętnym połyskiem i zdawało się mówić do Tadeusza:

— Tyś mój, mój wyłącznie!... Nie wydrą mi ciebie inne oczy, choćby to były

szafirowe oczy anioła! Tyś mój na zawsze!....

XVI.

ZŁOWROGI GOŚĆ.

Podczas gdy piękna Laura przy boku swego wybranego i zdobytego towarzysza lekką stopą jak skrzydłem motyla przesuwa się po różach wesołego życia, i upojona swym namiętnym szałem, olśniona całą tęczą powodzeń i tryumfów, dnie liczy na coraz nowe powaby i rozkosze — obaczmy co się dzieje z człowiekiem, któremu po raz pierwszy w życiu odezwało się serce, aby się stad ofiarą jej igraszki i rachuby...

Dawno już nie mówiliśmy o Żagwinie. Powracamy obecnie do tego człowieka, aby

poznać koleje, jakie przechodził od czasu zawiązania tak
ściślych stosunków z
panią Laurą.

Wiemy już, jak nowa i ważna epoka rozpoczęła się w życiu
Żagwina od jego
poznania się z uroczą zalotnicą. Znamy już jego charakter i
wiemy, co
przygotowało tę epokę. Ta słaba iskierka uczucia, która krasila
mu ciemny żywot,
oświecając go niejako promyczkiem sentymentalnego
marzenia, rozgorzała teraz
płomieniem. Żagwin namiętne uczuciem pokochał swą
piękną klientkę... Kobieta ta
stała przed nim jako urocze wcielenie
wszystkich tajonych marzeń, jako powabne rozwiązanie tej
zagadki jego serca, nad
którą się tylekroć sam zastanawiał. Zdawało mu się, że po
burzy życia rozsiania
mu ona cichy, pogodny błękit, pod którym wypocznie stargana
nienawiścią i walką
dusza!...

Kiedy myślą kołysał się rozkosznie w tych marzeniach,
zdaniem jego tak bliskich
rzeczywistości, wołał sam do siebie radośnie:

— Karmiony nienawiścią, pojony żółcią przez całe życie, ja
nędzny, wzgardzony
szubrawiec, mam prawo do tego szczęścia! Spełniłem do dna
kielich goryczy, nie
mam-że prawa do pułkara rozkoszy? Pieniałem się z losem,
pieniałem się z niebem i
światem — Otoż wygrałem w końcu sprawę! Ten dług mi się
należał, i musi być
spłacony...

Biedny Żagwin, jakże się mylił! Jakże się mylił przewrotny
pieniacz, podnosząc
swe prawa przed kratkami losu !...
Proces jego był przegrany — a anioł tej miłości, do której
rwało się dziś jego
serce, dawno już wyrok ogłosił! Jemu się już nic nie
należało... Rachunek już
był skończony. Skończył go on sam zemstą i odwetem.. On
światu gorycz odpłacił
goryczą, jad jadem... Namiętą zemstą sam sobie wymierzył
sprawiedliwość, więc
nie dla niego już nagroda cierpiących!...
On, co całym swym żywotem zadawał kłam sercu, żądał od
serca nagrody! On co był
zawsze wyznawcą nienawiści, spocząć chciał pod białym
skrzydłem miłości!...

Ale Żagwin nie ważył tak na szali swego żywota... W
przewrotności swej, w
nienawiści, w cynizmie swym nie czuł się nigdy istotnie
szczęśliwym i dla tego
myślał, że cynizm i nienawiść ta nie grzechem były lecz
zasługą. A zresztą, czyż
szczęście, za którym tęsknił, nie uśmiechało mu się już z
pobliza, czy nie
witało go z pięknych oczów Laury ?...
Tak mu się przynajmniej zdawało. Żagwin był pewny miłości
Laury. On, wielki
nowicjusz uczucia, widział uczucie to w każdym spojrzeniu, w
każdym słówku
zalotnej kobiety. Ale nie dość na tem. On mówił wyraźnie z
Laurą — a ona

odpowiedziała mu w sposób, który zdawał się być
najpewniejszą rękojmią jej
wzajemności... Kiedy niby zapłoniona, zakłopotana,
półsłówkami odpowiedziała na
wyznanie jego uczuć, z jakimże uniesieniem rzucił u jej stóp
cały swój majątek,
rozsypując przed nią swe złoto, to krwawe złoto, zebrane
chciwą dłonią
rabulisty, zapracowane trudem przewrotności!
Od owego dnia, który Żagwin uważał za niezawodną
zapowiedź swego szczęścia, całe
jego usposobienie się zmieniło. Kto widział dawniej jego
twarz ponurą, groźną,
czasem tylko śmiechem szyderstwa i cynizmu wykrzywioną,
dziwić się musiał,
spotykając teraz na niej często wyraz wesela i młodocianej
swobody... Żagwin
odmłodził. Bywały przelotne chwile, w których zacięta jego
energja stawała się
naturalną sprężystością, twardy, złośliwy upór wydawał się
być tylko
wytrwałością człowieka, który świadomy i pewny jest
dobrego celu, a
dawniejsza skrzętność, podobna podjazdowej walce, pełnej
ustawicznych zasadzek,
przybierała cechę prawie spokojnej pracy.... Czasem stawał się
rozmownym, a
nieraz, choć bardzo rzadko, wymykała mu się z ust nawet
jakaś filantropijna
uwaga.
Ale były to tylko chwilowe przebłyski. Zmiana nie była
gruntowna, bo i nie mogła

być od razu. Czarnego piętna, które na charakterze takich
ludzi wyciska całe
życie, nie zetrze kilka dni nowego, szlachetniejszego uczucia!
W Żagwinie
poczęły się tylko nieraz zaokrąglać te ostre, kończaste formy,
którymi, jak jeź
psom, nadstawiał się ludziom. Nie uważał on swej pracy za
skończoną, a wiemy już
jak pracę tę pojmował. Dopiero ostateczne uwieńczenie starań
miało przeszłość
jego odciąć od nowego życia...
Jeżeli kiedy istota Żagwina wyjaśniała nieco przed światem, to
tylko
przybliżykiem tej przyszłości, do której dążył. Podobny był do
wędrowca, który
kroczy w ciemnościach ku migającemu z dala światłu jakiegoś
domowego ogniska...
Droga jego ciemną jest i postać jego czarna, chyba że jaki
promyczek z owego
ogniska oświeci ją przelotnie... Żagwin mimo tych
chwilowych, kontrastujących
znamion jakiegoś dziwnego przeobrażającego wpływu,
pozostał Żagwinem. Nadzieja
jego i te uczucia, które zapanowały teraz jego piersią,
pozostały tajemnicą dla
świata. Hasłem całego jego życia była skrytość i chytre
zasadzanie się. Uważał
świat cały za swego wroga, jak wroga go nienawidził i jak
przed wrogiem krył się
przed nim z każdą nadzieją i z każdym uczuciem.
Pracował dalej niezmordowanie jak przedtem, pieniał się z
dawną zaciekłością,

gryzł się z ludźmi i brudził się jak za najlepszych czasów...

Cały swój plan,

oparty na namiętnej uczuci, dążący do wymarzonego
szczęścia w życiu, uważał za

wielki szalbierczy figiel, który spłata ludziom i światu, za
oszustwo, które

jest dopiero w trakcie, którego więc niczem zdradzać nie
należy...

Do tak wysokiego stopnia znarowiły tego człowieka ciężkie
koleje losu, że choć

dziś sam jak wilk czyhał na ludzi i ich szczęście, zawsze był
tego przekonania,

że ci ludzie wilczą paszczą zieją ku niemu, wilczym ślepiem
śledzą jego plan

każdy, życzenie i uczucie każde!... Nie rozumiał, jak można
przyjść do jakiego

szczęścia na ziemi, jeżeli go się nie ukradnie światu! Co
więcej, według gustu

Żagwina potrzebnem było nieodzownie do przyszłej rozkoszy
powodzenia, do

należytej pełni tryumfu, aby cała jego sprawa miała wszelkie
cechy chytrego

oszustwa! Bez tego szczęście, jakim miało być poślubienie
Laury, nie miałyby

dlań dostatecznego uroku!

Im bliższym mniemał być celu, tem częściej odzywała się
tajemna radość z

niespodzianki, jaką cichaczem wyprawi ludziom!

Nieraz rozmyślając wieczorną dobą nad swemi planami,
zrywał się, uderzał w

dłonie i wołał sam do siebie:

— Jak się ten świat zdziwi, jak się zdziwi! Cha! cha! Ludzie
w głowę zajdą !

Żagwin szuja, Żagwin oszust, ożeni się nagle z cudną kobietą,
z hrabiną! Tego
psa Żagwina, tego wyrzutka, kocha najśliczniejsza we Lwowie
dama, dla
niego płoną najczarowniejsze oczy, dla niego kwitnie
najsłodszy uśmiech!

I zacisnęła ręce z szatańską radością.

— Żagwin pan! Żagwin obsypał złotem swoją narzeczoną !

Dwadzieścia tysięcy

dukatów wyścielił pod jej cudne nóżki!... Piękna pani się stroi,
z księżniami o

lepsze idzie, a to wszystko Żagwina pieniądze! Ale na tem nie
koniec!

Wyprocesuję dobra dla Laury, ogromne dobra, a gdy stanę z
nią przed ołtarzem,

toż to się świat zdziwi! Cha, cha, cha!

I śmiał się do rozpuku i przed oczyma stawał mu wróg jego,
świat, jak patrząc na

nadobną Laurę u jego boku, szeroko roztworzył gębę i
wyszczrzył oczy z

wielkiego zdziwienia, a on mu, jak niegdyś w szkole jeszcze,
przesyła szyderstwo

palcami przy nosie!...

Skoro już Żagwin nabył pretensje prawne pani Laury do
owych dóbr obszernych

galicyjskich — rzucił się zaraz z całą swą energią do
prowadzenia sprawy. Wiemy

już od jakich machinacyj kroki swe rozpoczął. Uważał
Zakruckiego za

niebezpiecznego przeciwnika w podjętym procesie, jak to
zaraz na naradzie z

Laurą oświadczył. Dziś Zakrucki, którego proces ten
najmocniej obchodził,

znajdował się w więzieniu, a Żagwin mógł swobodnie i po
swojemu poforytować
sprawę.

Proces szedł wprawdzie zrazu oporem, ale przy talencie i
chytrym sprycie Żagwina
rzecz zmieniła się wkrótce. Żagwin wysiłał się cały, aby
wypieniać jaknajrychlej
dobra Laury. Z procesem tym wiązało się wszystko, co mu
miało

przynieść szczęście na świecie: jego złoto i jego uczucia.

Marzył sobie, że tak

jak niedawno złoto, tak teraz ogromne dobra złoży u nóg
swojej królowej — a

potem z rąk jej upragnione szczęście uzyska...

O osobistych swych stosunkach z piękną hrabiną miał zawsze
najpomyślniejsze

wyobrażenie. Rzecz cała zdawała się być skończoną.

Zachowanie się Laury nie

odbierało mu też tej ułudy. Bywał u niej bardzo często, a przy
każdych

odwiedzinach, czytał z jej oczu i domyślał się z jej słówek, że
ta cudna kobieta

chce być i będzie jego.... Wkrótce też stracił Żagwin w
stosunkach do Laury całą

swą ostrożność i podejrzliwość... Chytry i zaczajony w obec
innych, dla niej był

pełen dziecinnej prawie ufności. Dla niej jednej zaparł się
Żagwin swego

charakteru, kłamał swym przewrotnym zasadom....

Tak trwało dość długo. W obec świata cały ten stosunek do
Laury został

tajemnicą. Laura, korzystając ze złota rabulisty, świeciła swą
urodą i swym

przepychem w stolicy, otoczyła się wirem zabaw i uciech
wielkiego świata. Żagwin
tak pewny był tej kobiety, że ani zalotność Laury ani hołdy,
składane jej
obficie przez cały świat mężki arystokratyczny, nie
zaniepokoili go nawet na
chwile. Patrząc, jak ta kobieta trwoni jego pieniądze, jak
pyszne jej
apartamenta roją się nieraz książętami i hrabiami, uśmiechał
się i mówił:
— Dobrze! Niech się bawi! Niech świeci złotem i wdziękami,
niech zwodzi i do
szaleństwa przyprawia jasnych panów! Im więcej teraz narobi
hałasu w stolicy,
tem wię-
kszym będzie mój tryumf! Co to za niespodzianka będzie, gdy
z tą królową
wielkiego świata stanie nagle przed ołtarzem Żagwin, cham
prosty i oszust
osławiony! Popękajaze złości!...
Przy takim usposobieniu Żagwina dla Laury, nie trudną była
tej kobiecie
przybrana rola. Odgrywać ją mogła, dopóki chciała —
odgrywała ją jednak tylko,
dopóki jej tego było potrzeba. Dziś stosunki jej zmieniły się
całkiem. Pomoc
Żagwina, która za jej przyjazdem do Lwowa była nieodzowną,
stawała się dziś
zbyteczną. Żagwin dał jej złoty klucz do wielkiego świata — a
dziś świat ten
nietylko stał jej otworem, ale owszem czekał tylko na
skinienie jej główki, aby

dać jej stały i najświetniejszy przytułek....Żagwin stawał się
coraz
wstrętniejszym dla Laury. Wkrótce też coraz rzadziej i coraz
zimniej go
przyjmowała. Nieraz tracił Żagwin całe tygodnie na
zabiegach, nim się zdołał
obaczyć z tą, którą za swoją na wieki uważał. Długo nie
wzbudzało to podejrzania
w Żagwinie. Ale w końcu odezwała się w nim dawna
podejrzliwość... Pierwsza myśl,
że Laura go tylko haniebnie zwiodła, była dla niego straszną.
Na tę myśl
zadrżały wszystkie struny jego duszy, całe piekło zgrzytnęło w
niej dzikim
chórem...
Odtąd podejrzania te nie dały mu spokoju. Odbierały mu całą
energję, odpędzały
sen, zatruwały życie. W dzień straszną groźbą trapiły mu
myśli, w bezsennych
nocach upiorem stawały u jego łoża, ciężką, ołowianą zmorą
przywalały piersi...
Żagwin odpychał te podejrzania od siebie,
wyłamywał się gwałtem z myśli i przypuszczeń, które go
nachodziły, czepiał się
dawnej ufności, jak konający ostatniej nadziei życia.
Ale było to daremnem. Nieufność coraz bardziej wzrastała,
coraz większem
cierpieniem ścisłała twardą pierś piniacza. I tak się miały
rzeczy, gdy Laura
naraz połączyła się najściślej w węzłem namiętności z
Tadeuszem. Teraz z oczu
Żagwina powinna była spaść ostatnia łuska. Cały świat
wiedział i mówił o

romansie Laury z Tadeuszem, Żagwin sam mógł się o nim
najmocniej przekonać, ile
razy tylko na ulicy widział ją z młodym wielbicielem. Drzwi
Laury były dlań
teraz prawie zawsze zamknięte.
Jak szpieg trzymał on straż u tych drzwi, i przekonywał się, że
tylko dla niego
jej nie było. Nieraz odprawiony suchą odpowiedzią służby, że
pani wyjechała,
czekał przez kilka godzin na dole i widział wychodzącego
Tadeusza. Nieraz mu
towarzyszyła sama pani. Wtedy arsenikowym wzrokiem
przeszywał parę, a w piersi
jego odzywała się straszna namiętność...
Długo nie mógł się zdobyć Żagwin na spokojniejsze
rozważenie sprawy, od której
już teraz całe życie jego było zawisłem. Każda myśl o Laurze
i o jej codziennym
gościu i nieodstępnym towarzyszku, Warskim, kończyła się
wybuchem namiętności lub
gwałtownym odepchnięciem podejrzeń, które tak uporczywie
się nasuwały. Ale razu
pewnego, odprawiony zwyczajnym sposobem z pod drzwi
pięknej zalotnicy, zamknął
się w swym pokoju i wymusił tyle
spokoju na sobie, że począł z adwokacką bystrością roztrząsać
sytuację, w jakiej
się znajdował w obec Laury.
Przywołał najpierw na myśl wszystkie te słowa i wynurzenia
Laury, na których
opierał swe pewne już nadzieje. Ale choć słowa te i
wynurzenia wiele i nic

zarazem nie mówiły, przecież zdało mu się, że i przy
najostroźniejszej rozwadze
uważać je było można za zachętę, nawet za wyraźną rękojmię
wzajemności. Jeżeli
więc zachowanie się Laury tak mocno się teraz zmieniło,
jeżeli po dawniejszem
współczuciu nastąpiła dziś obojętność a nawet wstręt do jego
osoby — czyż nie
było to dawniejsze postępowanie tej kobiety zdradą, fałszem,
okropnem kłamstwem!
Żagwin wstrząsł się na tę myśl przykrą. On, co życie całe
przeżył fałszem,
którego działanie całe było zdradą, po raz pierwszy uczuł
dotkliwie szkaradę
tych środków!
Porwał się namiętnie z zadumy, i zawołał sam do siebie
rozsrożonym głosem;
— Tak, to zdrada była, oszustwo, haniebne oszustwo! Jej
złota się chciało, nie
mego serca i imienia! Szalony, nie widziałem tego! Ja i Laura!
Ona się mną
brzydzi, ona kocha innego!
I ten inny, w całym blasku swej urody i młodości stanął mu
przed oczyma... Żagwin
zgrzytnął zębami i jak szalony począł biegać po pokoju. Krok
jego wstrzymał się
instynktowo przed dużem zwierciadłem. Zobaczył w niem
swoją postać, i pierwszy
raz dokładnie przypatrywać jej się począł...
Z zwierciadła patrzył na niego człowiek podstarzały, z piersią
bandyty, z
barkami karjatydy, z twarzą łotrowską... Człowiek brzydki,
wstrętny....

Włosy pomierzwione zwieszały się w nieładzie na garbate
czoło, pomarszczone
wiekiem, schmurzone nieczystą pracą myśli... Oczy małe,
świdrowate, jak ostrzami
sztyletów świeciły z pod ciemnych brwi, nie jaśniał w nich
uśmiech młodości,
wdzięk swobody, ale chytry, namiętny odbłysek nieszlachetnej,
brutalnej duszy....

— Potworze, strachu obrzydły! — zawołał sam na siebie
Żagwin, spoglądając do
zwierciadła. — Tyś chciał stanąć obok tej kobiety! Czyż ta
kobieta pręgierzem
jest lub szubienicą, żeś chciał brylować przy niej!
I wybuchł sam głośnym, szyderczym śmiechem. Ale nie było
to dawne zimne
szyderstwo. W śmiechu tym była gorycz i namiętność i ból!
Żagwin zapóźno
szydził! Śmiech ten wykrzywił mu twarz szkaradnie i zrobił z
niej
fantasmagoryczną maskę. Maską ta patrzyła nań z zwierciadła
i zdawała się mu
przedrzeźniać, szydzić zeń okropnie!... Żagwin pięścią uderzył
w zwierciadło — a
szkło z przeraźliwym zgrzytem rozsypało się po ziemi...
I znowu biegał jak szalony po pokoju, aż nagle chwycił za
kapelusz i wybiegł na
ulicę.

— Pewności najpierw, pewności! Nie chcę się dłużej łudzić!
— mrucał do siebie
przez drogę i biegł wprost do pomieszkania Laury.
Gdy zszamotany i zmęczony stanął u drzwi, począł
zacerpywać powietrza, jakby

chciał wytchnąć. Potem schwycił gwałtownie za rękojęść dzwonka, lecz powstrzymał rękę w zapędzie i z lekka, łagodnie tylko zadzwonił. Drzwi się otwały ale w

przedpokoju zastąpił Żagwinowi drogę lokaj w bogatej liberji.

— Hrabina w domu? — szepnął Żagwin. Sługus wzruszył ramionami i mruknął:

— Nie ma, wyjechała!

— Kłamstwo! Hrabina jest w domu! Lokaj ziewnął najspokojniej w świecie.

— Przekonam się drabie! Puść mnie! — syknął Żagwin stłumionym głosem i postąpił naprzód.

— Nie można! — zaprotestował sługa i rozkrzyżował się przy drzwiach do pokojów.

— Zobaczymy! — szepnął Żagwin i oczy roziskrzyły mu się dziko.

W jednej chwili chwycił silnie jedną ręką lokaja za gardło i ścisnął je tak

mocno, że biedny zacharczał tylko z cicha. Potem drugą ręką, jakby kleszczem

żelaznym ujął go w pól i jak piórko wyrzucił za drzwi...

Teraz Żagwin zamknął drzwi na klucz, jakby się chciał ubezpieczyć od dalszej

przeszkody lokaja i posunął się naprzód.

Stąpił cichym, przyczajonym krokiem po pokojach... Pokoje były puste... Ale w

ostatnim, w budoarze, słyhać było głos jakiś.

Żagwin stłumił w sobie oddech i ostrożnie podsunął się naprzód... Od budoaru

drzwi były zlekka odchylone. Żagwin zatrzymał się, stanął z boku i rzucił

wzrokiem do środka..

W budoarze, który promienie słońca, odbite od czerwonych
adamaszkowych kotar,
różowem wypełniały światłem, na aksamitnej sofie siedziała
Laura... U nóg jej
klęczał na bogatym tureckim kobiercu Tadeusz...
Laura, spoglądając figlarnie zadąsanym wzrokiem na
klęczącego, wciągała i
ściągała na przemian z swych drobnych rąk rękawiczki...
Wybierała się snąć na
jakąś zabawę, miała bowiem na sobie strój wykwintny i
ekscentrycznie modny.
Mówimy ekscentrycznie modny, bo nawet w owych czasach
tylko najodważniejsze z
dam salonowych pokazywały się w takim stroju. Dla Laury
strój ten był ulubiony,
bo nadarzał jej sposobność olśniewania całym zasobem swych
wdzięków.
Miała na sobie suknię z jedwabno-azurowej materji błękitnego
koloru. Suknia ta
przejrzysta i lekka wcale nie była zazdrosną... Nie sięgając
prawie do gorsa
odbijała swym bławatem od śnieżnej bieli obnażonych
zupełnie piersi, utoczonych,
w kształty cyteryjskiego powabu. Jakby dla zachowania w
zupełności tych greckich
reminiscencyj, suknia ta dzieliła się z prawego boku w
draperję... Podpięta była
girlandą wyżej kolana i odsłaniała prześliczną nóżkę... Stopy
elegantki były na
pół bose i tkwiły w rodzaju sandałków czy trepek, od których
wiły się białe
wstążeczki po cielistej pończoszcze. Na palcach u nóg świeciły
pierścienie złote,

drogiemi kamieniami sadzone...

Taki był strój pięknej zalotnicy... Co tylko wymyślić zdołał
bezwstyd mody,

wszystko się tu łączyło, aby z Laury zrobić model hetery...

U nóg Aspazji klęczał Alcybiades.

Klęczał i patrząc w czarne jej oczy usiłował małą dłoń ująć do
pocałunku...

— Gniewam się... Nie pojedę... — mówiła Laura uderzając
Tadeusza z lekka
rękawiczką po twarzy...

Tadeusz chciał powtórnie uchwycić białą rączkę.

— Przepróż'... bo zostanę w domu, albo pojedę, a wiesz
gdzie?... Tam gdzie

będzie hrabia Robert, a wiesz, że w hrabi Robercie masz
rywala, niebezpiecznego
rywala..

— Okrutna, przepraszam!... — mówił Tadeusz nachylając się
z uśmiechem ku
pięknej kobiecie.

— Co, uśmiesz się, nie wierzysz!... Na prawdę ja uważam,
że pan Tadeusz
lekceważy sobie groźbę... Tadeusz nie zazdrośny...

— Tadeusz cię kocha!...

— Kocha, ale więcej niż w własną, w moją ufa miłość... —
odrzekła Laura i

pałającym okiem spojrzała w twarz Tadeusza.

— Kocham cię do namiętności, do szaleństwa!...

— Dziecko! Czy ty wiesz jeszcze, co to namiętność?... Nie
wspominaj tego słowa!

Ja cię spalę jednym promieniem tej namiętności, tym jednym,
który w oczach moich

płonie... Ty nie wiesz, co to namiętność kobiety — namiętność
bez dna, bez

granic, bez wytchnienia! Ty mi niesiesz tylko miłość młodą, ja
cię namiętnością
kocham!

— Pani ty moja!

— Paziu ty mój drogi! Masz królowę, której królestwo jest
płomienne! Temi
płomieniami oddychać musi pierś twoja jak powietrzem, jeżeli
chcesz być wiernym
twojej pani... Masz srogą panie, okrutną panie... Ta pani chce
być władczynią
nawet ostatniego tętna twego serca... Ta pani, mogła być
tysiąc razy królową
najświetniejszych wazalów, a wybrała ciebie, paziu, dziecie!...
Tadeusz ucałował z uniesieniem jej pierś bijącą.
Laura objęła rękami głowę jego i tuląc ją do siebie okryła
namiętnie
pocałunkami...

W tej chwili ktoś z głuchym stukiem rozwarł drzwi...

— Brawo paziu, brawo królowo! — zawołał głos jakiś
ochryply i drżący.

Głos ten padł szkaradnym zgrzytem w harmonijny szept
kochanków...

Tadeusz i Laura porwali się z miejsca i z przerażeniem prawie
spojrzeli przed
siebie...

W progu do budoaru stał Żagwin...

Strasznie wyglądał on w tej chwili. Na twarzy bladej nabiegły
mu żyły sinemi

pręgami, jak od wściekłego gniewu — a usta zmuszały się do
szyderskiego śmiechu,
drżąc i zwijając się jak gad raniony...

Z wzrokiem, który chciał zabić, z wzburzonymi włosami, z
rękami zaciśniętymi w

pięści — stanął przed zdumioną i przerażoną zarazem parą...
Laura zadrżała na pierwszy widok Żagwina i chwyciła za
ramię Tadeusza, jakby
wzywała jego obrony. Tadeusz nie pojmował wcale tej
sceny...

Ale niebawem odzyskała Laura spokój i odwagę. Wysunęła
się naprzód i
spoglądając, dumnym i karcącym spojrzeniem na
nieproszonego gościa zapytała:

— Jak pan tu wszedłeś?

— Tak jak ten pazik... — zaśmiał się Żagwin, wskazując na
Tadeusza.

Tadeusz z oburzeniem postąpił naprzód i groźnie spoglądnął
na dziwnego
człowieka.

— Służba musiała panu powiedzieć, że nie przyjmuję...

— Nawet pieniędzy?... — zadrwił cynicznie Żagwin —
służba mi tego nie mówiła i
nie miała czasu...

Laura w najwyższym zmieszaniu przygryzła wargi.

— Po co się tu pan wcisnąłeś? — pytała dalej z wymuszonym
spokojem i z groźnym
naciskiem. — Po pieniądze? Ja panu żadnych pieniędzy nie
winnam. W interesie? Ja
interes z panem skończyłam... Wygotowałam skrypt sprzedaży
moich pretensyj, oto
go masz!

I wydobywszy z biórka papier podała go Żagwinowi. Żagwin
stał niemy, nieruchomy,
i nie wyciągnął ręki po papier.

— Bierz pan i opuść mój dom natychmiast!...

I nie czekając odpowiedzi rzuciła mu papier pod nogi.
Żagwina twarz posiniała.

Ruszał wargami, jakby daremnie usiłował słowo wydobyć z siebie. Potem nachylił się, pod-

jął papier, zdusił go w garści i zrobił ruch, jakby cisnąć go chciał w oczy Laurze.

Tadeusz chwycił Żagwina za ramię i zawołał:

— Bezczelny!... Żagwin jednym wstrząśnięciem muszkularnego ramienia uwolnił swą rękę. Nie spoglądając nawet na Tadeusza postąpił ku Laurze i z szyderskim

spokojem, pod którym wrzała wściekłość prawdziwa, zawołał:

— Piękna pani! Ja twoich pretensyj nie kupowałem! Ja twój uśmiech kupiłem,

twoje wdzięki! Ty nic innego nie masz do zbycia! Jak ty się tanio sprzedawałaś,

kobieto, ie dotąd nie masz milionów! Bądź droższą, piękna

Lauro, bądź droższą,

póki czas jeszcze!

Laura zadzwoniła na służbę. Tadeusz w najwyższym gniewie pochwycił Żagwina za

ramię i krzyknął:

— Bezwstydnny nikczemniku, uchodź!

I tak silnie go odtrącił, że Żagwin kilka kroków w tył się zatoczył.

— Młokosie! — zgrzytnął do Tadeusza — poczekaj chwilę, i z tobą pomówię! Ale

daj mi skończyć! Ty nie wiesz chłopcze, co ty za skarb posiadasz w tej kobiecie!

To jeniałna.... przyjaciółka! Wiesz ty, że ona oszukała największego oszusta,

mnie! Żagwin świat cały oszukał, a ona Żagwina!...

— Zwolna, zwolna, wróbelku! — ciągnął dalej, mierząc swem jadowitem spojrzeniem nieposiadającego się w gniewie Tadeusza — jesteśmy w porządnem towarzystwie! To bardzo porządna królowa, a ty paż bardzo porządny! Pannie Tadeuszu Warski, ty się wybornie bawić możesz z twoją iedyną... Ona taka uczynna, taka miłosierna, że nawet mąż iei się wyrzekł dla publicznego dobra! Ona taka wesola, że jęk konającego jedynego dziecka nie trafił do tych piersi, choć ot nagie są, jak widzisz, młodziku!.... Tadeusz patrzył ze zgrozą na Żagwina.

— Nie wierzysz? — mówił tenże dalej z szatańskim szyderstwem — Nie róbże jej krzywdy! Ty się gorszysz, ty co białe te piersi wolisz, niż biały włos starca, który cię wychował !

— Łotrze! Nie mieszaj tej siwej głowy w tve plugawe słowa!

— zawołał drżąc z gniewu i oburzenia Tadeusz.

— Bodaj ci się ona trupa czaszką mieszała w tve rozkosze, pite z tego gościnnego kielicha słodyczy! — zawołał Żagwin wskazując na Laurę. — Coż, ty nie wierzysz może, ie ona wrzuciła do więzienia starca, aby pozyskać ciebie młodego ?...

Laura, na której dzwonienie nikt nie przybywał, rzuciła się ku pokojom. Żagwin stanął we drzwiach, jakby się wmurował w ich otwór swemi szerokimi piersiami, i mówił dalej:

— Tylko cierpliwie! Jeszcze chwilka tylko! Ty panie Warski udajesz, że niby nie wiesz! Aby sobie ciebie, gaszka gładkiego, kupić, potrzebowała pani Laura pieniędzy, aby dostać pieniędzy, trzeba było pozyskać Żagwina, aby Żagwina tem łatwiej pozyskać, trzeba było zgodzić się, aby Zakrucki spoczął sobie na starość w więzieniu...

— To prawda! wszystko prawda! Nie rób takiej miny, panie Warski! Ta kobieta chciała wydrzeć majątek najlepszemu przyjacielowi Zakruckiego. Ten przyjaciel jest jej mężem, co tyle dla niej znaczy, co rękawiczka... Mnie ten proces sprzedała, ja więc za jej zgodą zadenuncjowałem tego starca, ja!
Tadeusz z przerażeniem patrzył na Żagwina.
Laura, która siedziała jak na torturach, zawołała na Tadeusza drżącym od gniewu głosem:

— Panie Tadeuszu! Usuń mi z oczu tę gadzinę, on szalony, pijany!...

— Nie, piękna pani — odparł Żagwin kłaniając się grzecznie — ja właśnie co wytrzeźwiałem! Panie Tadeuszu, raczej usuń ty sobie z oczu siwą głowę Zakruckiego, który z twojej przyczyny jeśli nie zgnije w niemieckim lochu, to umrze żebrakiem u płotu... Usuń ty sobie z oczu jego córkę, która z twojej

przyczyny wodzić go będzie, jak drugiego Belizara, chyba że wypędzona z rodzinnej wioski, pójdzie może z potrzeby za przykładem tej... pani Laury!

— Ja ci opowiem historyjkę, panie Warski! — ciągnął dalej syczącym głosem — Był jeden młody człowiek, który bardzo kochał swego opiekuna i swoją ojczyznę. O bardzo! tak namiętnie, jak ciebie pani Laura! Otoż raz zapotrzebował ten ukochany opiekun dla tej ukochanej ojczyzny czego? pieniędzy, bez których tak ojczyzna jak i pani Laura się nie obejdzie! Wysłał w tym interesie owego tak kochającego młodzieńca. Młodzieniec sprawił się dobrze, pożyczył pieniądze i dał, gdzie należało. Ale oto opiekuna zapakowano do kozy, a ów żyd, dobrodziej ojczyzny, co pieniędzy pożyczył, zaskarżył. I oto, gdy uwięzionemu udzielono pozew pokazało się, że ów kochający młodzieniec użył sobie zaufania kochanego opiekuna i pożyczył pięć razy tyle, aby i ojczyzna i on mogli się tem podzielić. Ojczyzna, stara, mniej wzięła niż młodzieniec, bo młody ma większe wydatki. Kochana ojczyzna, kochany opiekun, oboje teraz w kozie, a kochający młodzieniec hula sobie po Lwowie... Tadeusz jak lew rzucił się z miejsca. Żagwin założył ręce na piersi i mówił dalej, zmuszając się do spokoju: — Zajęła cię historja! Nomina sunt odiosa! Ale ja ci i imiona powiem... Ten

kochany opiekun, to pan Zakrucki, ten kochający młodzieniec,
to pan Tadeusz

Warski, żydek Naftal się zowie, a jego obrońca prawny —
Żagwin do usług...

I sięgnąwszy do kieszeni surduta wydobyl z niej jakiś papier.

— Oto w tym małym świstku kryje się grom na siwą głowę
starca, z tego świstku

szczerzy się nędza, wyglądają łachmany... To sądowy dekret
zatradowania

ostatniej wioski Zakruckiego... Wyrobiłem go dla mego
klienta, dziś właśnie

doręczono mi ten dyplom na śmierć pod płotem !... Chcesz
może tego papieru,

zawiniesz weń może karmelki dla pięknej Laury?...

Tadeusz drżał jak liść...

— A teraz już nie chcę dalej wam przeszkadzać! Kończcie,
jakeście zaczęli!...

Zegnam cię, piękna pani, nie na zawsze jednak, do widzenia,
do miłego ! Adieu

rycerzu! Dobrej zabawy!...

I Żagwin jak szalony wybiegł z budoaru...

XVII.

SHYLOCKOWE SPRAWY.

Wrócimy teraz na chwilę do Bogusławskiego, z którym
niedawno zapoznaliśmy

czytelnika. Koleje naszego dyrektora-artysty różne były i
zmiennie we Lwowie. Oto

kilka chwil z jego pobytu w galicyjskiej stolicy.

O wiosennej porze spieszyły całe gromady Lwowian za
miasto... Panowie i panie,

studenci i rzemieślnicy, wiedzeni ciekawością opuszczali
każdego pogodniejszego
dnia mury miasta, aby oglądać nadzwyczajne, nowe, nigdy
jeszcze nie widziane
widowisko...

Miejszem tych widowisk był ogród Jabłonowskich. Pod
olbrzymimi lipami, o
których mawiano, że sadzone były jeszcze za Jana III, kiedy
wracając z wyprawy
wiedeńskiej, przez Lwów przejeżdżał, gromadziła się licznie
publiczność i z
najwyższem zajęciem przypatrywała się widowisku.
Widowiskiem tem była budowa amfiteatru. Bogusławski
budował letni gmach
teatralny w ulubionym ogrodzie, a ginach ten zajął do
najwyższego stopnia uwagę
całej prawie ludności Lwowa. Już sama budowa niezwykłego
teatru budziła
ciekawość powszechną, a coż dopiero przepowiednia tego, co
gmach ten wypełnić
miało swą treścią, ożywić
duchem! W nowym amfiteatrze miała poznać publiczność
nowy utwór polski,
narodowy, który nie dawno, bo przed wybuchem powstania,
tak niezmiernie
entuzjazmował całą Warszawę...
W nowym amfiteatrze mieli Lwowianie ujrzeć po raz
pierwszy "Krakowiaków i
Górali"... Rozpowiadano sobie o tem, podawano z ust do ust
jako najmiłą
wiadomość, radowano się z góry widowiskiem. Władze
austriackie po niejakiach

korowodach i po wymazaniu kilku ustępów przedłożyły sztukę tę rewizorjum generalnej cenzury w Wiedniu, a gubernator Kalenberg przyrzekł Bogusławskiemu, że nie dozna przeszkód w odegraniu tego narodowego utworu...

Nim atoli przyszło do skutku to upragnione widowisko, przypatrywano się z ciekawością budowie samego gmachu. Nowy amfiteatr zasługiwał też na takie zajęcie Lwowian. W jednym z ośmiu ogromnych czworoboków ogrodu Jabłonowskich splantowano ziemię na trzy, coraz wyższe siedzenia, z których jak niegdyś w Rzymie, miała oglądać publiczność dramatyczne widowiska. Na wykopanych tym sposobem podwyższeniach urządzono parter, nieco wyżej tak zwaną galerję dam, a najwyżej raj dla biednych amatorów sztuki, paradyż. Amfiteatr był ogromnych rozmiarów. Ściany jego drewniane pomalowane były według starożytnych reminiscencyj. Wewnątrz przedstawiały te malowidła posągi i płaskorzeźby, a zewnątrz połamaniem kolumnami i upadłemi kapitelami naśladowały ruiny starożytnego gmachu. Nowy amfiteatr nie był pokryty. Jak lud ateński miała publiczność lwowska pod jasnym błękitem nieba przyglądać się idealnym krainom i wypadkom sztuki... Tymczasem przypatrywała się wzrastającemu gmachowi. Ile na przyszłość mieli artyści mieć widzów, tyle ich, a nawet daleko więcej mieli budownicy. Wielkie

gromady ciekawych przypatrywały się budowie. Ale ciekawość ta doszła do najwyższego stopnia, gdy między wzniesione już ściany amfiteatru miano wpuszczać proscenium. Proscenium to budowało się z osobna i dopiero po ukończeniu miało stanąć na swoim miejscu. Wyobrażało ono rozwaliny starożytnej świątyni, dźwiganej przez szesnaście kolumn, a ocienionej koronami drzew zielonych.

Gdy proscenium już całkiem było gotowe, oznaczono dzień jego ustawienia.

Architekt, pan Maraino, zagnany gwałtownym dopytywaniem się Lwowian, ogłosił

dzień i godzinę publicznie. Gdy nadszedł upragniony termin, niemal Lwów cały

wysypał się na murawę ogrodu Jabłonowskich. Coż to dopiero za widowisko było dla

zgromadzonej publiczności, gdy to proscenium o szesnastu kolumnach, uchwycone

dwunastu olbrzymimi linami, dźwigane przez sześć kół ogromnych poczęło się

wznosić ku obłokom, aby ztamtąd jak z Olimpu spuścić się między ściany

amfiteatru!

Nigdy Lwów nie miał ciekawszego widowiska! Zgromadzone tłumy okrzykami

towarzyszyły tej robocie, wznosiły grzmiące wiwaty na cześć architektury Maraino i

Bogusławskiego! Na drugi dzień cały Lwów rozprawiał o wrażeniach widowisk?.

Odtąd zaś uwaga i ciekawość publiczności prze-

niosła się z gmachu na samą sztukę. Wyglądano niecierpli wie
dnia, w którym
ujrzeć miano upragnionych Krakowiaków i Górali' — a im
leniwszem okazywało się
wiedeńskie rewizorium jeneralnej cenzury, tem niecierpliwszą
stawała się
publiczność.

W końcu nadeszło pozwolenie na odegranie Krakowiaków. Z
całego prawie kraju
zjeżdżały się rodziny do Lwowa na ten festyn, którym miała
być pierwsza
reprezentacja. Staczano formalne walki o bilety. Z jakimże
dopiero zapalem
powitano upragniony utwór, jaka burza oklasków i okrzyków
zatrzęsła całym
gmachem, gdy ujrzano narodowe stroje na scenie i usłyszano
ochocze piosnki
polskiego ludu! I smak, znudzony sztywnym, wiecznie na
szczudłach krocącym
pseudoklasycyzmem, i uczucie narodowe tłumione niemiecką
atmosferą, w którą
stolica osłonić się musiała — znalazły w tym utworze nowy,
żywy źródło wrażeń,
które krzepiły i unosiły!...

Nazajutrz po przedstawieniu rozległo się po Lwowie echo
nowej sztuki. Piosnki
przechodziły od razu w usta ludności, nucono je sobie po
ulicach, śpiewano po
domach, a w kilka dni już każdy ulicznik powtarzał sobie
zwrotkę:

Gdzie się w niewoli żyje,
Tara nie ma wzajemności —

Pies na powrozie wyje,
Każdy pragnie wolności!...

Tryumf, jaki odnieśli Krakowiaczy i Górale musiał być słodką nagrodą dla Bogusławskiego. Była to jedna z rzadkich chwil prawdziwego szczęścia dla artysty, którego życie prawie całe było jedną ciężką, tułacza pielgrzymką, jedną walką z losem i przykreimi stosunkami kraju. Czystem słowem polskim, żywym uczuciem narodowym, krzepiącą nutą ojczystej pieśni, nakarmił on dusze i serca ludności galicyjskiej stolicy, tej biednej ludności, która w polskim swem życiu ograniczona na zacisze domowych kątów, łaknęła żywszych, narodowych wrażeń....

Ale podejrzliwa cenzura nie dozwalała Bogusławskiemu, jak zamyślał, wystąpić z drugim jakim, podobnież na wskroś narodowym utworem. Myśl i uczucie polskie ukrywać się musiały w owych czasach pod zasłoną alegorji... Czytano wówczas we Lwowie i w całej zresztą Polsce z uniesiesieniem. Historje zawojowania miasta Peru w Ameryce. W niszczonych okrutną ręką hiszpańskich zdobywców świątyniach, w mordowanych wodzach podbitego plemienia, upatrywano podobieństwo do smutnych losów własnej ojczyzny.... Była to najpatrijotyczniejsza książka w tych czasach; polskie serce czytało w niej boleśne dzieje własnego narodu...

Bogusławski na podstawie tej historii amerykańskiego plemienia napisał melodramat: "Izkahar, król Guaxary". Melodramat ten odegranym został w nowym amfiteatrze z bezprzykładnym prawie przedtem i potem w historii sceny lwowskiej przepychem wystawy. Oprócz całego towarzystwa dramatycznego i wielkiej liczby młodzieży szkolnej, która przebierała się chętnie za figurantów, występowało na scenie kilkuset żołnierzy austriackich, ubranych w stroje hiszpańskie, w szyku bojowym. Arsenale lwowskie dostarczyły najrozmaitszych zbroi i kilkunastu dział, z których część ustawioną była na scenie, a druga część grzmiała podczas odgrywanej bitwy po za sceną. Dekoracje i maszynerje były niezmiernie efektowne. Ale stokroć większym efektem niż dekoracje i maszynerje przysłużył się artystom i widzom dziwny przypadek. Z powodu długich przygotowań, potrzebnych do odegrania tak wystawnego melodramatu, przedstawienie spóźniło się i przewlekło przez całą noc aż do brzasku dnia... I oto w ostatnim akcie ujrzała publiczność prawdziwy wschód słońca, które okazało się właśnie nad proscenium, ozłacając promieniami swemi drzewa rosnące w pobliżu.... "Izkahar" zaczął się sztucznym wschodem słońca, a zakończył prawdziwym, wspaniałym... Uradowana publiczność

wracała do Lwowa przy jasnym brzasku wiosennego poranku....

Były to szczęśliwe chwile dla Bogusławskiego. Ale niestety chwile te już do

wspomnień tylko należały!.. Wkrótce zmienił się stan rzeczy. Publiczność

ochłódła z owego zapału do sceny polskiej, a na tym samym parterze amfiteatru,

który tak niedawno kłębił się morzem głów, dziś zaledwie pięciu samotników

przyglądało się odgrywanej sztuce!... Narzucony układ z sceną niemiecką, narażał

Bogusławskiego na nowe, coraz dotkliwsze straty; niektórzy artyści, zatrwożeni

już zaraz początkiem niepowodzenia, opuścili go i wyjechali ze Lwowa, a biedny

dyrektor znalazł się znowu w smutnej sytuacji, nie nowej wprawdzie dla niego,

ale tem przykrzejszej, ileż następowała nagle po najpiękniejszych chwilach

powodzenia...

Zapewne nad temi zmiennymi kolejami rozmyślał

Bogusławski, kiedy siedząc przy

swem biurku oparł głowę na ramieniu i oddał się smutnemu dumaniu. Tak go

zastajemy w jego pomieszkaniu, w którym już raz widzieliśmy dyrektora wśród

wesołego grona swych przyjaciół i towarzyszy....

Po chwili takiego dumania Bogusławski westchnął,

uśmiechnął się z goryczą i

szepnął sam do siebie:

— Sztuka i życie! O jakże dziwnie płaczą się na świecie te dwie drogi! Czemuż

tak rzadko pogodzić się dadzą! Kiedy sztuka umiła mi życie, czemuż życie zatruwa mi sztukę?... Sztuka każe sobie poświęcić życie, życie każe się wyrzec sztuki...

I zajęty takimi myślami wstał z krzesła i począł się przechadzać po pokoju.

Wśród tej przechadzki wzrok jego padł na duży stół z papierami. Na samym wierzchu tych papierów leżał zeszyt a na białej jego karcie stał napis: "

Hamlet". Był to przekład polski pióra Bogusławskiego.

Ukończył go niedawno, a

obecnie zajęty był przygotowaniami, aby tragedję tę poraz pierwszy przedstawić

we Lwowie. Miało to być pierwsze przedstawienie Hamleta w Polsce.

Bogusławski wszystkie wolne chwile poświęcał rozmyślaniam nad odpowiedniemi

odegraniem tego dzieła. Była to myśl jego ulubiona, a im bliższą stawała się

swego wykonania, tem bardziej go zajmowała. Zobaczywszy na stole przekład, wziął

go Bogusławski do rąk i począł przeglądać. Umyślił skorzystać z wolniejszej

chwili i przeczytać go raz jeszcze z piórem w ręku. Usiadł tedy przy biurku i

czytał

z początku cicho później głośno, jakby chciał ocenić uchem, czyli proza, którą w

przekładzie zastąpił wiersz oryginału, jest dość dźwięczną i silną.

W ciągu czytania przejmował się coraz bardziej utworem, a recytacja stała się

deklamacją... Zapomniał teraz o tem życiu, na którego przykrości skarżył się niedawno — sztuka zakryła je zasłoną swej poezji... Ale nie trwało to długo.

Zwykle, codzienne życie spieszyło przypomnieć się artyście.... Bogusławski czytał właśnie czwartą scenę pierwszego aktu, w której duch pojawia się Hamletowi.

— Patrz! patrz, królewicu, oto idzie ku nam! — czytał — Wielki Boie i wy zastępy nieba! ratujcie nas! Jakimkolwiek ty jesteś, dobrym czy złym duchem... czy ciebie niebieskie czy piekielne otacza powietrze, w złym albo dobrym pojawiasz

się na świat zamiarze, ta postać, którą sobie przybrałeś....

— Kłaniam panu dyrektorowi! — odrzekł zapytany duch żydowskim akcentem.

Duch przybrał sobie tym razem postać małego rumianego żydka, który stał przy drzwiach i kłaniał się niziutko.

Bogusławski spoglądnął na witającego i głośny śmiech wyrwał mu się z piersi.

Odłożył na bok manuskrypt i rzekł:

— To ty duchu! Coż mi powiesz Dawidku! Bodaj cię, przerwałeś mi niespodzianie, musiałeś gdzieś z pod ziemi wyrosnąć!

— Nie, ja drzwiami przyszedłem, panie dyrektor — odpowiedział Dawidek — ja

przepraszam bardzo, ale ja mam pilne, bardzo pilne interesa... Dawidek był to jeneralny faktor teatralny, służebny duch dykcji i aktorów —

przywiązany nietylko interesem ale nawet pewną sympatją do teatru, którego

mniemał być ważnym członkiem... Dawidek nigdy nie mówił
inaczej o towarzystwie

dramatycznym, tylko my, a teatr nazywał zawsze naszym.

— Coż tam — zapytał Bogusławski — moje co złego dla
naszego teatru?

— Uchowaj Boże, nie — odparł Dawidek — w naszym
teatrze już i tak dosyć źle, bez
obrazy pana dyrektora. No, ale nam będzie lepiej, tak pod
zimę, jak my zagramy
piękne bardzo komedje, to będzie u nas znowu pełno! Ale ja
mam inny interes do
samej osoby pana dyrektora...

— Do mojej osoby... Masz ją tu, tylko spraw się prędko!...

— Ja pana dyrektora przyszedł przestrzedz, panu dyrektorowi
coś złego chcą
zrobić...

— Kto? za co?

— Nu ja nie wiem... Ale ja się bardzo przeląkł. Ach! co tu
było rano, kiedy pana
dyrektora nie było!

— Mówie do licha, co się stało?

— Bogu dzięki nic jeszcze. Ale moje się coś stać! Ja tu był
rano u pana
dyrektora, ale pana nie zastałem W domu. Ja miałem interes o
to płótno, co mamy
kupić na nowe morze, więc myślę sobie, zaczekam pod
drzwiami. Wtem nagle
nadlatuje jakiś młody pan, jakiś szalony gwał-
townik, i tak strasznie puka do drzwi, że mało ich nie
wyłamał! Ja mu mówie, że
pana nie ma, on na to krzyczy, że nieprawda, że pan się
schował przed nim! A

taki był straszny, ach! oczy mu się tak świeciły, że od samych oczu małom nie zemdlał...

Bogusławski na pół z uśmiechem, na pół z zdziwieniem słuchał opowiadania.

— Jakto, pan się śmieje! — zawołał Dawidek. — To coś będzie straszego, tu się nie ma co śmiać. Kiedy ten gwałtownik już wybiegł, to ja za nim cichaczem poszedłem,

sto kroków w tyle. On pobiegł do teatru i tam szukał pana i krzyczał jak szalony, i mówił że pana z pod samego piekła dostanie, jeżeli się pan chowa przed nim!...

— Głupi jesteś Dawidku, uroiło ci się! Dobrze, dobrze, dowiem ja się, kto się tak ze mną widzieć życzy. Coż mi więcej powiesz?...

— Nu więcej, to więcej, że tu był także Naftal z rana... On także gwałtem chciał się widzieć z panem dyrektorem...

Bogusławski zaglądnął do swych notatek i mruknął:

— Termin wypłaty!...

— On się bardzo mocno dopytywał o pana dyrektora i czekał długo... ale jak się na schodach pokazał ten szalony pan, tak on jak przed dzikim zwierzem uciekł przed nim na drugie piętro...

— Dziwne mi historję opowiadasz Dawidku — ozwał się z uśmiechem Bogusławski patrząc na twarz żydka, która wśród opowiadania nabrała wyrazu trwogi.

Wtem nagle szybki krok dał się słyszeć w przedpokoju.

— To on, pewnie on, ten szalony pan! — zawołał z przestraczem Dawidek i rzucił się w drugi kąt pokoju.

Ale zamiast owego groźnego gwałtownika wszedł do pokoju Naftal.

Znamy już tego słynnego lwowskiego Shylocka. Postać jego zawsze przykre sprawiała wrażenie, ale w tej chwili była jeszcze dziesięćkroć wstrętniejsza niż

zazwyczaj. Był blady i zmęczony, ale małe przenikliwe oczy świeciły się jakby w

gorączkowym rozdrażnieniu. ()

Wszedłszy do pokoju rozglądał się dokoła ostrożnie, a ujrawszy Dawidka zwrócił

się z znaczącym spojrzeniem do Bogusławskiego i rzekł półgłosem:

— Ja mam ważny interes do pana dyrektora!

Ale Dawidek nie czekając na zawezwanie, ukłonił się nisko Bogusławskiemu i

wysunął się za drzwi. Naftal ujrawszy się sam na sam z dyrektorem odezwał się:

— Przecież raz pana dyrektora zastałem... — Szukałeś mnie niedawno daremnie.

— Byłem tu dwa razy.

— A teraz mnie zastałeś daremnie... — uśmiechnął się Bogusławski.

Naftal uśmiechnął się także i odpowiedział:

— Niech pan będzie spokojnym, ja nie w tym interesie przyszedłem do pana. Czy

możemy być pewni, że nam nikt nie przeszkodzi? — dodał oglądając się na drzwi.-----

() Wplecione w naszą powieść zajścia między Bogusławskim a lwowskim lichwiarzem

są autentyczne. Zdarzenie to opowiada Bogusławski w
Dziejach teatru.

— Nie spodziewam się nikogo — odparł Bogusławski. Żyd
mimo tej odpowiedzi zasunął
drzwi ze środka. Potem spojrzął swemi małemi oczkami
badawczo na Bogusławskiego
i począł:

— Panie dyrektorze! Pan jesteś honorowy i sumienny
człowiek, pan mi nie odmówisz
pomocy?

— Alei panie Naftal — odparł z zdziwieniem Bogusławski —
ja nie wiem o co
chodzi, tłumacz się wyraźniej!

— Posłuchaj pan. Przed kilku laty jeden pan pożyczy u mnie
trzydzieści tysięcy
dukatów. Pożyczyłem bez obawy, bo ufałem mu bardzo.
Tymczasem minął długi czas,
a dług nie został mi zapłacony. Coż mi pozostawało innego,
jak zaskarżyć?

Uczyniłem to, i oto przekonałem się, że nikomu w świecie
ufać nie można. Panie
łaskawy! mnie chcą oszukać, zrabować, okraść! Pan mi jeden
dopomódz możesz!

Naftal mówił to wszystko tonem dotkniętego poczciwca, z
miną niewinnej ofiary —
ale małe jego, chytre oczka zdradzały dość wyraźnie obłudę
słów...

— Nie rozumiem cię człowiecze! Przecież mnie nie masz za
prawnika?

— Zaskarżyłem dłużnika, a oto on wyparł się, jakoby
pożyczył u mnie taką sumę i
przyznał tylko, że winien trzy tysiące dukatów, utrzymując, iż
przez dopisanie

jedynki sfalszowałem wydany mi przez trzecią osobę oblig...

— Ależ, kochany panie Naftal, co to mnie obchodzi? —
przerwał Bogusławski.

— Pan pamiętasz, jak u mnie pożyczales dla siebie pieniądze?

— zapytał Naftal w
odpowiedź.

— Pamiętam i nie zapomnę! — westchnął z uśmiechem
Bogusławski.

— Pan w moim pomieszkaniu pisałeś oblig?

— Tak jest.

— Pan go pisałeś według formularza, który panu
przedłożyłem.

— Tak, ale coż ztąd wypływa ?

— Tym formularzem był właśnie ów kwit, o którym mój
dłużnik mówi, że go
sfalszował.

— A zatem ?

— A zatem pan widziałeś, że ten oblig wystawiony był na
tysięcy dukatów...

Bogusławski chciał przerwać, ale Naftal mówił szybko dalej:

— A zatem pan widziałeś, że na tym kwicie podpisany był
pan Zakrucki... Pan to

wszystko widziałeś i zaświadczysz o tem przed sądem...

Słowa te wymówił Naftal na pół proszącym na pół
stanowczym głosem i spojrział

bystro na dyrektora.

Bogusławski cofnął się na krok w tył i patrząc z zdumieniem
na żyda, rzekł:

— Panie Naftal mylisz się! Ja nic nie widziałem! Żyd
gwałtownie rzucił się na
miejscu.

— Jak to pan nie widziałeś! Pan przepisywałeś oblig a nie
widziałeś go! Pan

żartujesz!

— Przepisywałem oblig, ale sumy jego nie pamiętam, bo mnie nie obchodziła. Co się tyczy nazwiska, tyś go umyślnie przykrył osobnym papierem... Żyd rzucił na Bogusławskiego jadowite spojrzenie.

— Pan tylko żartuje! Pan tylko żartuje! — zawołał — pan widziałeś!

— Kłamiesz! — zawołał zniecierpliwiony dyrektor. Żyd cofnął się w tył przestraszony.

— Niech się pan nie gniewa! — rzekł drżącym głosem — niech pan pozwoli mówić z sobą spokojnie... Panie, ja byłem dziś o tę sprawę w sądzie...

— Coż mnie to obchodzi?

— Ja przed sądem powołałem się na pana! Powiedziałem, żeś pan oblig widział i że poświadczysz w moim procesie...

Bogusławskiemu żyły krwią nabiegły na czole...

— Bezczelny szalbierzu, kto cię do tego upoważnił? — krzyknął z oburzeniem.

— Czy pan myślisz, że ja na prawdę sfalszowałem oblig? — zapytał Naftal dziwnym głosem.

— Gdyby ci to zarzucono, nie miałbym powodu nie wierzyć.

— Dobrze! — zawołał żyd — jeżeli nie sfalszowałem, to muszę wytrwać, aby nie stracić moich pieniędzy; jeżeli sfalszowałem, to muszę wytrwać, aby nie pójść do kryminału... Dla tego zostawmy to na boku! Jeżeli pan zaprzeczysz przed sądem memu zeznaniu, i ja i moje pieniądze pójdziemy do licha !

— Ratuj się jak możesz, ale nie tykaj mojej osoby.

— Ja się chcę ratować, ale za pańską pomocą. Łaskawy panie, pan mi jesteś winien dwieście dukatów...

— Tak jest.

— Dobrze! pan mi teraz nic nie winien!
Bogusławski schmurzył groźnie czoło.

— Pan mi nic już nie winien! Nic! Ja jeszcze panu winien! Ja panu winienem sto dukatów! Wypłacę je zaraz gotówka!

— Łotrze! — zawołał w największym oburzeniu Bogusławski — ruszaj!! Żyd pobladł okropnie i rzucił się ku drzwiom. Ale naraz stanął, i spokojny już choć blady zwrócił się do Bogusławskiego.

— Wyjdę zaraz — rzekł patrząc zjadliwie na dyrektora — ale przedtem muszę panu przypomnąć, ie dziś termin...

— Wiem o tem...

— Jutro pan będziesz zawezwanym przez sąd w sprawie, o której pan nic wiedzieć nie chcesz! Ja się jutro po Wszystkiem zgłoszę...

— Coż ty grozisz mi, szalbierzu! — zawołał Bogusławski wskazując na drzwi.

W tej chwili usłyszał gwałtowne pukanie. Ktoś dobywał się z przedpokoju do drzwi i trzął niemi silnie. Żyd odskoczył przerażony. Zbladł i trząść się począł jak liść osikowy.

— Panie! To on! to on! — zawołał załamując ręce — on jest warjat! on mnie

zabije, jak mnie tu zastanie! Ratuj mnie pan, nie opuszczaj!

— Kto?!

— On mnie szukał w domu, ja się przed nim kryć muszę!
Gwałtu, on mnie zabije!
Wyrzekłszy to rzucił się Naflal ku drzwiom drugiego pokoju.
Z drugiego pokoju
wyjść można było drugim bokiem na schody.
— Niech pan nie otwiera, aż mnie nie będzie! Zmiłuj się pan!
I wołając tak znikł w drugim pokoju a ztamtąd wysunął się
szybko na schody.
Podczas gdy Bogusławski z gniewem i zdziwieniem ścigał
oczyma uciekającego
żyda, pukanie stawało się coraz gwałtowniejsze.
Bogusławski pospieszył otworzyć.
Ledwie odsunął rygiel, drzwi rozwarły się nagle i szeroko, a
do pokoju wleciał
jakiś człowiek blady, wzburzony, zadyszany.
Był to Warski.
Rzucił iskrzące spojrzenie na Bogusławskiego i zbliżył się do
niego z namiętą
żywością. Bogusławski spojrzał na nieznanomego z
zdziwieniem ale spokojnie.
— Pan jesteś Bogusławski? — zapytał Tadeusz głosem
zmienionym od rozdrażnienia.
— Kto pan jesteś?... — odparł spokojnie Bogusławski, i
karcącym wzrokiem
zmierzył Tadeusza.
— Gdy się pan dowiesz — odparł żywo Tadeusz — nie
będziesz mi patrzył tak
spokojnie w oczy! Jestem Tadeusz Warski...
— Pierwszy raz słyszę imię tego straszego rycerza —
odpowiedział dyrektor — i
proszę go, aby mówił grzeczniej i spokojniej, czego żąda!...
— Pan dobrym jesteście aktorem, panie Bogusławski! —
zawołał Tadeusz — ale ja nie

mówię do aktora! Pan byłeś oficerem.. Ja mówię do oficera,
jeżeli nie zapomniał
jeszcze o honorze... Panie, ja jestem ten, który w imieniu
Zakruckiego
wystawiłem ów oblig Naftalowi...

— Czy to wszystko, co ma usprawiedliwić pańskie ubliżające
najście?

— Czy potrzeba mi czego więcej aby jak należy rozprawić się
z człowiekiem,
który...

— Panie! Miarkuj się!...

— Który podał rękę do niegodnego czynu!

— Milcz pan! proszę, jeżeli nie chcesz, abym skorzystał z
praw gospodarza!

— Pan mi grozisz! Pan, który dopomagasz fałszerzowi, który
świadcstwem swem
sprowadzasz nędzę na starca, hańbę na mnie!
Tadeusz mówił to w najwyższem wzburzeniu, głos mu drżał,
oczy namiętnie się
iskrzyły.

— Na Boga! Nie doprowadzaj mnie do własnego stanu! —
zawołał Bogusławski — mów
pan, czego żądasz odemnie!

— Pan świadczyłeś w sądzie za zeznaniem Naftala!

— To kłamstwo!

— Więc pan chcesz świadczyć! Naftal odwołał się do pana!

— Gdyby się był odwołał do ciebie samego młodzieńcze, czy
zniósłbyś z tego
powodu zarzuty, które mnie czynisz ?!

— Gdyby na mnie się powołał, mówiłbym prawdę!

— Ktoż ci dał prawo myśleć inaczej o mnie?

— Dobrze, panie! Więc pamiętaj, że idzie tu o spokój
ostatnich dni życia

starca, który obecnie jęczy w więzieniu, o los jego rodziny,
pamiętaj, że to
kwestją życia lub śmierci człowieka, który stoi przed tobą!...

— Ty mi, mój młody panie, nauki nie dawaj! Ja jej nie
potrzebuję!

— Więc powiesz przed sądem, że to fałszerstwo ohydne!

— Powiem, co mi sumienie powiedzieć każe!...

— Pan wymijasz moje zapytania!

— Takie pytania są obelgą! Dostyc tego!

— Dostyc tego! — zawołał namiętnie Tadeusz — tak! dostyc
tego! Ale pamiętaj, że

za słowa twoje odpowiesz mi wszystkim, co masz tylko,
człowiecze! Odpowiesz mi

za nie twoją czią, twoją głową! Na Boga, pamiętaj o tem, bo
ja ci to strasznie

przypomnę!

I wyrzekłszy te słowa głosem prawie niezrozumiałym od
namiętnego uniesienia

Tadeusz wybiegł z pokoju...

Bogusławski znużony i rozdrażniony rzucił się na krzesło.

XVIII.

KTO KOCHA OJCZYZNĘ, NIECH IDZIE NA
WOŁOSZCZYZNĘ.

Opuścimy teraz Bogusławskiego, a zwrócimy naszą uwagę na
Tadeusza...

Tadeusz mocno się zmienił od czasu owego zajścia z

Żagwinem u Laury. Twarz jego

zbladła i wychudła a wyraz młodzieńczej swobody, który
przedtem tak krasił jego

lica, ustąpił przed posępną chmurą troski i cierpienia...

Opisane w przedostatnim rozdziale sceny sprawiły na nim
ogromne wrażenie...

Kiedy Żagwin jak upiór zniknął już z budoaru, on stał przez chwilę jeszcze

nieporuszony, skamieniały, aż nagle wybiegł, nie pożegnawszy się nawet z Laurą.

Żagwin szyderstwem swem okropnym jak rozpalonym żelazem rozranił mu duszę, a

słowami swymi rozbudził wszystko, co uśpione rozkoszą i pieśzcotami Laury

zamilkło już było w sercu...

Tadeusz zbudził się z wesołego snu... Wszedł w siebie i sadił swe postępowanie.

Myśl, że Laura istotnie stała się Winną intrygi, której ofiarą padł Zakrucki, i

że on sam poniekąd tej intrygi był współwinowajcą, usiadła mu ciężką, duszącą

zmorą na piersiach.

Ale nie to jedno tylko rozpięto cały umysł Tadeusza na tortury. Żagwin uczynił mu

zarzut okropny, zarzut haniebnego podłości... Tadeusz czuł się niewinnym, ale to

nie zdołało ukoić jego rozpacz... Przypominał sobie wszystkie szczegóły

pożyczki, którą, jak to sobie zapewne czytelnik przypomni, zaciągnął u Naftala

dla Zakruckiego, a myśl, że może lekkomyślną nieostrożnością stał się przyczyną

klęski, która miała ugodzić w uwięzionego starca, przygotowała go o szaleństwo

!...

Mógł wprawdzie Tadeusz uczuć się wyższym nad haniebnym zarzutem Żagwina, ale nie

mógł być pewnym, czy Zakrucki także przeświadczonym jest o jego niewinności. I

teraz dopiero z goryczą uznał, że Zakrucki mógłby w
teraźniejszym jego życiu
znaleść dostateczny powód do tak okropnego podejrzenia! Nie
podobna, aby starego
rotmistrza nawet w więzieniu nie doszły wieści o jego życiu
lekkomyślnem i
swawolnem...

Tadeusz ani razu nie odwiedził Zakruckiego w więzieniu, ani
razu nie dał mu
dowodu dawnego współczucia i przywiązania. Raz tylko, i to
bezpośrednio po

powrocie, usiłował widzieć się z Zakruckim, ale nie uzyskał
pozwolenia. Później,

gdy już utonął w wirze szalonego życia, nie czynił nawet
dalszych zabiegów.. Ta

obojętność Tadeusza mogła wyglądać w oczach Zakruckiego
tylko na niewdzięczność,

ale mogła też uchodzić za dowód złego sumienia, które
odbierało winowajcy odwagę

spojrzenia śmiało w oczy pokrzywdzonemu...

Była to straszna myśl dla Tadeusza — umysł jego upadał pod
jej brzemieniem...

Tadeusz zaledwie zdobył się w pierwszych chwilach na to,
aby zasięgnąć

wiadomości o skardze Naftala. Przekonał się, że Żagwin nie
kłamał. Naftal

wytoczył pozew o trzynaście tysięcy dukatów. Zakrucki,
któremu skargę

przedłożono w więzieniu, wystąpił przeciw niej z
zaprzeczeniem. Pozwolono mu

porozumieć się z jednym z adwokatów lwowskich.

Obrońca prawny, który po oglądnięciu złożonego w sądzie
obligu był jak

najmocniejszego przekonania, że oblig ten był sfalszowanym,
wystąpił z zarzutem
fałszerstwa. Na skrypcie liczba była wypisaną cyframi, a
wyglądała tak, jakby
pierwotnie oznaczała była tylko trzy tysiące, a dopiero przez
dodanie jedyńki
powiększoną została na trzynaście tysięcy. Siady tego
sfalszowania były dość
widoczne, a obrońca po otrzymanem zapewnieniu
Zakruckiego, że nigdy takiej sumy
nie pożyczał, wytoczył Naftalowi proces o fałszerstwo...
Wiadomości te, zebrane przez Tadeusza, trochę go uspokoiły.
Ale niebawem nowe
przypuszczenia trapić go poczęły.
Dowiedział się Tadeusz, iż Zakrucki był przekonany, że oblig
sfalszowano. Ale
Zakrucki skryptu osobiście nie wystawiał, powierzył to
Tadeuszowi. Mógł go więc
pofalszować albo Naftal — albo Tadeusz... Na kim ciążyło
podejrzenie ?...
Tadeusz chciał się zobaczyć z Zakruckim, ale brakło mu do
tego odwagi. Za to
porozumiał się z obrońcą prawnym,
który go zaraz na drugi dzień po owem zajściu z Żagwinem
zawezwał do siebie...
Tu się dowiedział Tadeusz, że Naftal opierał dowody
autentyczności skryptu także
na spodziewanem świadectwie Bogusławskiego. Za instrukcją
adwokata przedsięwziął
Tadeusz u sądów wszystkie kroki, jakie poczynić wypadało.
Złożył zeznanie, że
tylko trzy tysiące wypożyczył i na takąż tylko sumę oblig
wystawił, wypisując tę

sumę przez pośpiech i nieświadomość tylko cyframi. Zeznanie to zaprzysiągł, a następnie stawał przed kratkami w obec Naftala. Na tem udział jego się skończył.

Sąd nie potrzebował już dalszych zeznań z jego strony, miał tylko przesłuchać

Bogusławskiego, którego świadectwo miało poniekąd rozstrzygnąć sprawę.

Tego samego dnia, kiedy Tadeusz z tak namiętnymi wyrzutami wpadł do

Bogusławskiego, doszła go była wieść, że Bogusławski złożył już świadectwo na

korzyść Naftala. Gdyby się Tadeusz nie był uprzedził tą mylną wieścią i nie dał

się unieść gwałtownemu wzburzeniu, byłby może wracał do domu uspokojony

odpowiedzią Bogusławskiego, tak zaś wywołał scenę, która nie mogła przynieść mu

otuchy.

Tadeusz powróciwszy do domu znajdował się długo w stanie febrycznym. Gdy wreszcie

udało mu się nieco uspokoić, począł myśleć dalej o swoim stanie. Szybko powziął

decyzję. Umyślił opuścić Lwów, kraj — i szukać uspokojenia gdzieś daleko od

drogich osób, w obec których widział się dziś okryty hańbą podejrzenia...

Przedtem jednak postanowił całym swoim mieniem zasłonić Zakruckiego od

kieski, jeżeliby proces wziął obrót niekorzystny. Jak już dawniej nadmieniliśmy,

pozostała Tadeuszowi po ojcu mała wioska, którą zarządzał Zakrucki. Tadeusz był

już pełnoletnim i mógł dysponować swym majątkiem. Udał się tedy do adwokata, któremu powierzona została obrona Zakruckiego, i tu spisał akt prawny, mocą którego zrzekł się całej swej własności na rzecz Zakruckiego. Wioska Tadeusza

była bardzo małą, dorównywała zaledwie dobremu folwarkowi, wartość jej jednakże, dzięki gospodarczym zabiegom Zakruckiego, była dość znaczną, aby pokryć prawie całą dofałszowaną część długu.

Zrobiwszy krok ten, Tadeusz uczuł ulgę. Mógł być przynajmniej pewnym, że ów opłakany los niedostatku, który tak okropnymi słowami odmalował Żagwin, nie zagrozi Zakruckiemu i jego córce. Następnie napisał Tadeusz list do Zakruckiego.

Pisał mu, że czuje całą niegodziwość swej lekkomyślności, że nie może wznieść czoła od wstydu, że w chwili, kiedy dobrodziej jego i opiekun, druh

najukochańszy jego ojca, ugodzony ciosem publicznej i osobistej klęski znajdował się w więzieniu, że w chwili, która mu jako niedobitkowi zwyciężonej sprawy powinna była smutkiem i grozą przejmywać duszę, dał się upoić życiem szalonym, rozpustnym, i zapomniał o obowiązkach, które mu najdroższymi być powinny.

Pisał dalej, że oskarżając się sam otwarcie o tak niegodne postępowanie, największą zań ponosi karę w niepewności, czyli nie upadł tak nisko w opinii

Zakruckiego,
iżby aż odpierać potrzebował podejrzenie udziału w haniebnej
sprawie Naftala.
Pewność, że przed Zakruckim nawet obrony nie potrzebuje,
byłaby dlań końcem
prawdziwej męki, wiadomość, że stała się mu ona już
potrzebną — wyrokiem
śmierci. Atoli ani w pierwszym ani w drugim razie duma i
niewinność bronić mu
się nie pozwalają. W końcu nadmienił Tadeusz, że rola, jaką w
procesie odegrał,
będzie Zakruckiemu znaną z aktów sądowych, i przyłączył
prośbę, pełną
najszybciej uczucia, aby przez litość samą nie
odmówiono przyjęcia
ofiary, którą zrobił w celu odwrócenia możliwej klęski...
List był długi i oddawał wiernie stan Tadeusza. Znalazły w
nim wyraz wszystkie
uczucia skruszonej a zarazem ciężko dotkniętej duszy...
Napisawszy list ten, pomyślał Tadeusz o sposobie, w jaki
najprędzej otrzymałby
go mógł Zakrucki. Domyślał się, że rezydent dworku
Promnickiego, Dederkało,
utrzymywać musi pewne stosunki z więźniem. Po długiej tedy
przerwie postanowił
odwiedzić znowu opuszczony dworek i jego starych
mieszkańców. Krok ten był mu
bardzo trudnym — a trudność ta wydała mu się najlepszym
wyrokiem potępienia,
wydanym na ostatnie czasy jego życia... Zdawało mu się, że z
pochylonem czołem
winowajcy stanąć będzie musiał przed panem Dederkałą, że
nawet przed dziadem

Małemu nie będzie mógł śmiało podnieść oczu!
Było to już pod wieczór, kiedy Tadeusz wybrał się na halickie przedmieście.
Dawno już nie szedł tą drogą. Wprawdzie na przechadzkach swych z Laurą przelatywał nieraz w powozie tą ulicą, ale jakież innym był wtedy, jak obce mu były te wspomnienia, które teraz tem bardziej go wzruszały, im bliżej był dworku!... Tyle się zmieniło od czasu, kiedy po raz ostatni zmierzał do tego szarego niskiego domostwa, i w kraju, i w duszy jego... Zdawało mu się, że z zmian tych wyszedł nędznym wietrznikiem, że wraca nikczemnym włóczęgą do progów dworku, nie pewny, czy go tam przyjmą i jak go tam przyjmą!.. Gdy już stanął przed żelazną kratą, zatrzymał się na chwilę, jakby nie miał odwagi iść dalej... Dziedziniec zastał pustym i cichym. Wszedł do sieni, a zamtąd nie widziany jeszcze przez nikogo, roztworzył z cicha drzwi do pokojów. W pierwszym pokoju siedział przy oknie Dederkało; przez duże okulary czytał jakąś poszarpaną książkę — i snąc głęboko był zajęty, bo nie uważał nawet wchodzącego Tadeusza. Tadeusz zbliżył się do niego z cicha i kładąc mu rękę na ramieniu rzekł:
— Panie Krzysztofie!
Dederkało porwał się z krzesła i ujrawszy Tadeusza opuścił książkę w zdziwieniu.

— Nie poznajesz mnie już panie Krzysztofie! Prawda, miałeś czas mnie zapomnieć!

— Pan Tadeusz! — zawołał Dederkało, ściskając serdecznie podaną rękę — jabyś miał pana zapomnąć! Przecież, przecież raz przypomniałeś nas sobie!

— A wy mieliście prawo zapomnieć o mnie!... Tak długo tu nie byłem! Tak długo!... — westchnął Tadeusz, rozglądając się po pokoju.

— Rok cały blisko! Ale to już nic, skoro tylko widzę tu pana teraz! — wołał

Dederkało z twarzą ucieszoną. —

O teraz cię nie puścimy, panie Tadeuszu! Teraz już nas sam nie opuścisz — dodał

z znaczącym uśmiechem — zostaniesz tu pewnie z nami!

— Za długom tu nie był — za późno przyszedłem, abym miał prawo dłużej tu zostać... — odparł Tadeusz.

— Mój Boże! — rzekł Dederkało patrząc z współczuciem na Tadeusza — co się panu stało? Bładyś i nędzny, jakby po ciężkiej chorobie! Pewnieś pan chorował, a my o niczem nie wiedzieli! Gzy to się godzi? A pan Zakrucki z więzienia dopytuje się o pana!

Tadeusz zadrżał mimowolnie.

— Czy widzisz się, panie Krzysztofie, z panem Zakruckim? — zapytał.

— Rzadko! bardzo rzadko! Niemcy ani rusz przypuścić nie chcą! Dwa razy tylko dotąd się z nim widziałem.

— Czy masz sposób przesłać mu list odemnie?

— Sposób się znajdzie. Jutro nie ma na straży Kroatów, a inspekcję będzie miał stary oficer węgierski, poczciwy człowiek. Jutro i my posyłamy całą ekspedycję.

— Więc oddasz mu ten list odemnie... — rzekł Tadeusz i wręczył list Dederkałowi.

— A teraz polecam ci, panie Dederkało, jeszcze raz list ten i żegnam! — dodał ściskając dłoń starego konfederata.

Dederkało z smutnem zdziwieniem spojrział na Tadeusza.

— Jaki? — rzekł — już pan odchodzisz! Czy to się godzi? Czy masz ty serce, panie Tadeuszu?

— Dziękuję ci stary przyjacielu, że dopiero teraz o tem powątpiewać

zaczynasz... i jesteś' bardzo dobry i pobłażliwy, panie Krzysztofie! Ale puść mnie, ja muszę odejść koniecznie!

— Nie puszczę. A zresztą zobaczymy, czy pan pójdiesz! Zostań pan tylko chwilkę, coś pokażę! Zobacz, a potem idź sobie niedobry człowiecze!

To mówiąc stary pociągnął za sobą siłą Tadeusza ku drzwiom, roztworzył je, i

wepchnął ociągającego się do drugiego pokoju. Była to znajoma już naszym czytelnikom sala.

Tadeusz spojrział przed siebie i cofnął się z stłumionym okrzykiem...

Przed sekretarzem Zakruckiego siedziała Zosia...

Obrócona bokiem do drzwi i stojącego w nich Tadeusza, oparła głowę na ramieniu.

Czysty, pełen słodkiego, dziewiczego powabu jej profil,
uderzył Tadeusza wyrazem
smutku i cierpienia... Kiedy Tadeusz stanął w progu, oczy jej
spuszczone ku
ziemi podniosły się właśnie ku sekretarzowi i spoczęły na
portreciku pięknej
damy, który nad nim wisiał...
Było to spojrzenie, w którym było coś więcej niż ciekawość...
Malowały się w
nim ból jakiś i smutek cichy...Świetna wdziękami,
uśmiechnięta twarz młodej,
pięknej kobiety na portrecie, zdawała się nawzajem z
złościstych

ramek patrzeć na smutną dziewczynę... Oczy jej zdawały się
ożywiać ognistym,
demonicznym blaskiem i z tryumfującym szyderstwem
spoglądać na Zosię...

Tadeusz mimowolnie towarzyszył spojrzeniu Zosi i wzrok
jego utkwiał na jasnym
portreciku... Lecz za pierwszym zaraz spojrzeniem zadrżał,
zachwiał się a z
piersi wydobyło mu się szeptem słowo:

— Laura!...

W tej chwili posłyszała Zosia szmer w pokoju, i powstawszy z
krzesła, obróciła
się ku drzwiom...

Ujrzawszy Tadeusza oblała się rumieńcem i spuściła oczy na
dół... Tadeusz stał
zmiészany, nieruchomy, i zaledwie na ukłon się zdobył...
Dederkało spozierał na nich, a oczy serdecznie mu się
śmiały...

— Pan Tadeusz.. — szepnęła Zosia cofając się w tył pokoju.

Tadeusz stał jak na żarzących węglach. Widok Zosi był tak niespodziewany, tak silne na nim sprawił wrażenie, że nie mógł zebrać ani myśli ani słów.

— Panno Zofjo — ozwał się wreszcie — pan Krzysztof tak niespodziewanie, podstępnie mnie tu wprowadził...

— Żałuję ofiarę podstępu... Panu, nie mnie przysługą prawo darować go

Krzysztofowi... — odpowiedziała Zosia drżącym nieco głosem, ale z pewną dumą i wyrzutem.

— A pani, czy gniewać się będziesz za ten podstęp?...

— Nie winnam, że pan Krzysztof uznał go potrzebnym...

Ale dziwię się panu Krzysztofowi... — odparła Zosia, a twarz jej była blada i spokojna jak dawniej.

— Panno Zofjo! — zawołał Tadeusz — nie bierz słów w tak złym znaczeniu...

Niegdyś inaczej witałem, inaczej witany!

— Niegdyś... — powtórzyła szeptem Zosia...

I skłoniwszy się, zrobiła ruch ku drzwiom przeciwnym.

— Pani! — zawołał Tadeusz posuwając się naprzód — czyż nic więcej nie masz mi do powiedzenia ?

— Nic, co by mogło zabrać panu czas zapewne zajęty... — odpowiedziała Zosia

cichym głosem, a oczy jej poniewolnie przesunęły się po portrecie Laury.

Tadeusz widział to i oczy swe odwrócił od obrazu, który zdawał się szydzić z niego.

— Nic prócz pozdrowienia ojca, przesłanego panu z więzienia... Ale to było dawno, zapóźno je oznajmiam... I Zosia, bledsza niż przedtem, z nowym ukłonem zniknęła z pokoju.

— Za późno! — zawołał Tadeusz — o! tak, za późno! I przyłożył dłoń do pałającej swej skroni. Nagle wystąpił naprzód i wyciągnął ramię, jakby chciał kogoś powstrzymać, lub o coś prosić. Wzrok jego przebiegł salę. Była pusta. Tylko stary Dederkało stał za nim i z zdziwieniem wzruszał ramionami.

Nie! sala nie była pustą... Z złożonych ramek wabiła Tadeusza okiem płomiennem i uśmiechem wdzięcznym — Laura.

Tadeusz ze wstrętem cofnął się z progu do drugiego pokoju.

— Bywaj zdrów, stary! — zawołał tu do Dederkały — bywaj zdrów panie

Krzysztofie! Kto wie, czy mnie obaczysz kiedy!

— Panie — odparł Dederkało, chwytając Tadeusza za rękę — ja tego nie rozumiem, ja nic nie rozumiem! Na Boga świętego, co tu się stało! Tadeusz nic nie mówiąc wyrwał swą rękę i pospieszył ku drzwiom.

— Ale zaczekajże, zaczekaj panie Tadeuszu! — wołał pan Kszysztof, chwytając powtórnie Tadeusza za ramię. — Chciałem panu zrobić niespodziankę i zapomniałem o najważniejszej sprawie! Ja mam list do ciebie, panie Tadeuszu, list od pana Zakruckiego!

Tadeusz zatrzymał się nagle i skwapliwie zwrócił się do Dederkały. Z gorączkowym pośpiechem uchwycił list podany i nim Dederkało opamiętać się zdołał, zniknął z pokoju....

Tadeusz zatrzymał się dopiero za bramą dworku. Tu stanął przy drzewie i z zapartym oddechem rozłamał pieczętkę. Począł czytać z pośpiechem.... List był

pisany ołówkiem a po literach poznać było można, że Zakrucki pisząc go korzystał

z krótkiej chwili zwolnionej czujności straży....

Zakrucki zaczynał od wyrażenia swej obawy i niepokoju o Tadeusza, który od czasu

uwięzienia nie przypominał się ani słówkiem. Ustęp ten owiany był uczuciem

szczerzej ży-

czliwości — ale krył w sobie także boleśne wyrzuty...

Dyktowało go serce

kochające — ale dotknięte i zawiedzione...

Po kilku dalszych ustępach, traktujących o rozmaitych osobistych sprawach

Zakruckiego, list tak się kończył: "A teraz, kochany Tadeuszu, muszę wspomnieć o

skardze Naftala, choćby dlatego, aby dać znak, że wiem o niej.

Bądź pewnym, że

spokojnie ją przyjąłem. Ja dziś już tak jestem nieczuły na wszelkie klęski, że

nawet i ta nowa grożąca mi, znajdzie mnie przygotowanym, jeśli się istotnie

fałszerstwu uda zatryumfować nad prawdą...

"Jedno jest tylko w całej tej nieszczęsnej sprawie, co mnie trapi i zasnąć nie

daje... Ale jak ci to powiedzieć, mój drogi! Straszno mi...
Przebacz mi, błagam,
Tadeuszu! Ja wiem, żeś ty w całej sprawie jak krzyszał
czysty, ja pierwaj bym
oddał głowę moją niż to przekonanie! Przebacz jednak
starcowi, jeżeli śmie
wyrazić słowa, które oburzają twe szlachetne serce. Ten starzec
tyle przeżył, tyle
doświadczył!... Trudno mi napisać, co zamierzyłem. Ale
słowa te dyktuje mi
miłość ku tobie, a miłość silniejsza nad inne względy".
"Tadeuszu, jeżeli — przebacz — jeżeli sprawa ta nieszczęsna
lak stoi, że moje
wystąpienie przeciw niej nie jest uzasadnione prawdą, jeżeliby
zarzut
fałszerstwa uczyniony żydowi, mógł cię postawić w
przykraj pozycji, donieś
mi, szepnij słówko, a cofnę wszystko, uznaj wszystko...
Cóżem napisał! Przebacz
starcowi... "

Tadeusz zachwiał się, przeczytawszy ten ustęp listu. Zbladł
jeszcze bardziej a
papier zwinął się w kurczowem ściśnieniu jego dłoni...
— Stało się! — zawołał głosem pełnym boleści — Zakrucki
przypuszcza, że się
tak haniebnaj dopuścił podłości !
I serce zabolalo go okropnie...
Chwilę stał bez przytomności, bez pamięci! Nagle się obudził
z otrętwienia i
jakby rozpaczaj pędzony, biegł dalej....
Ach! jakże ten świat, który przed kilku dniami tak mu
był jasny, tak słońca i pogody pełny, zaciemnił mu się nagle,
jakiemi czarnemi

chmurami zasunął się przed jego duszą!...
Tadeusz czuł, że wszystko utracił, co mu najdroższym było w
życiu.... Jedno
widzenie się z Zosią wystarczyło, aby rozbudzić w jego sercu
wszystkie
dawniejsze uczucia ku niej, aby zatrzeć w duszy wszystko, co
było tylko obłędem,
chwilową namiętnością... Uczuł dopiero teraz, że kocha Zosię,
że nigdy innej nie
kochał, a uczuł w chwili, kiedy stracił na zawsze prawa do tej
miłości...
W piersiach jego zawrzała szalona burza... Zdawało mu się, że
z tego stanu nie
było innego wyjścia — jak tylko śmierć.... Gała namiętność
zranionej do głębi
duszy odezwała się w zropanym młodzieńcu...
W tej chwili był gotów do najgwałtowniejszego kroku...
Ale i rozpacz miewa swe natchnienia... Takim natchnieniem
zabłysła Tadeuszowi
myśl, którą dawniej, wśród upojenia przy boku Laury, zająć
się nie miał czasu...
Przypomniały mu się wszystkie tajemnicze wieści, które od
niejakiego czasu Lwów
obiegały... Wieści te mówiły o nowych usiłowaniach walki, do
której się
gromadziły garstki wojowników polskich, bohaterów
rozpaczy i poświęcenia...
I stanęły mu przed oczyma gromadki ludzi, którzy nie chcąc,
nie mogąc przeżyć
niewoli, szli do walki bez żadnej nadziei, prócz tej może, że
znajdą śmierć nie
w kajdanach, ale z szablą w wolnej, polskiej dłoni...

Ludzie ci rzucili wszystko na świecie! Słabszym zostawili skargi bezsilne, a sobie jeden tylko, ostatni cel — walkę, której jedynym możliwym tryumfem była śmierć bohaterów...

— Ja do tych ludzi należeć będę — zawołał Tadeusz — ostatni między nimi, jedyny niegodny w ich orszaku!

Postanowienie to było dlań ukojeniem, przejęło duszę jego otuchą rezygnacji.

Spokojniejszym już wracał do domu.

A gdy stanął u drzwi swego pomieszkania, ujrzał na nich przybitą kartkę.

Na kartce tej stał napis:

KTO KOCHA OJCZYZNĘ,
NIECH IDZIE NA WOŁOSZCZYNĘ.

XIX.

NAD DNIESTREM.

Była to noc ciemna i wietrzna...

Niebo osłonięte było gęstymi, szaremi chmurami, które łamane przez wichry w najdziwaczniejsze kształty, rozdzierane w olbrzymie, szare szmaty, pędziły szybko ku wschodowi, pozwalając od czasu do czasu wychylić się na widok księżycowej tarczy...

Okolica była pusta i bezludna, a niepogodna, chmurna noc oblekła ją jeszcze w posepniejszą szatę... Od wschodniej strony sterczał czarną masą las ogromny i

głuchym szumem towarzyszył wichrom. Od tego lasu
rozpoczynała się pusta, nie
przejrzana nizina, obrosła gdzieniegdzie małymi krzakami,
skłębiona nieznacznymi
wzgórkami, i ginęła swym krańcem gdzieś w dalekiej
ciemni...

Za każdym razem, gdy z poza przedartej opony chmur
wypłynął księżyc, jak ognista
kula z śród kłębów gęstego dymu, zamajaczył na dolinie tej
jakiś jasny, siny
smug... Był to Dniestr. Zdawało się, że szerokim swym
strumieniem wypływał z
łona ciemnej chmury, co zamykała horyzont, a przebiegłszy
kilku potężnymi
skrętami nagą dolinę, owijał się około lasu i przepadał w jego
cieniach...

Na samym brzegu lasu szarzała się jakaś postać. Jakiś
mężczyzna owinięty w
płaszcz, którego połami wiatr powiewał na wszystkie strony,
stał oparty o
drzewo. Przy nim dyszał i parskał koń, trzymany za uzdę
przez nieznajomego.

Z jeźdźca i jego konia spływała całymi strugami woda. Pan i
koń przebyli snąć co
dopiero Dniestr, a Jeraz odpoczywają po wysileniach
przeprawy. Jeździec
przykładał od czasu do czasu dłoń do oczu, i tworząc sobie
tym sposobem
naturalną lunetę, wyteżał wzrok po dolinie... Koń drżał od
zimna i zwiesił głowę
ku ziemi z znużenia...

Długo spozierał jeździec po ciemnej dolinie. Ale dolina była
pusta i cicha,

tylko nieraz z wiatrem zalatywało z daleka głucho, niewyraźne
echo jakiejś

wrzawy...

Nagle tuż w pobliżu odezwał się głośny plusk wody i
parskanie konia. Oparty o
drzewo człowiek ruszył się nagle z miejsca i zwrócił wzrok ku
stronic, z której
posłyszał ten odgłos.

Plusk wody i parskanie konia zbliżały się coraz bardziej a
towarzyszył im od
czasu do czasu głos człowieczy...

Jeździec opuścił teraz swe miejsce, poskoczył do swego konia
i wspiął się szybko
na siodło. Przy wsiadaniu odezwał się chrzęst szabli — a koń
jakby na odgłos ten
nabrał nowej siły, podniósł łeb do góry i rażno wspiął się na
kopytach.

Jeździec podjechał naprzód i skierował konia ku rzece. W
tejże chwili księżyc
wydarł się z po za chmur i oświecił okolicę. Przy świetle
księżycy można było
dobrze roz-

poznać całą postać nieznajomego. Wychyliwszy się z konia
naprzód, aby tem lepiej
wyśledzić przyczynę posłyszanego szmeru, opuścił płaszcz z
ramion i odsunął z
czoła czapkę.

W samotnym tym jeźdźcu poznajemy Tadeusza.

Ubrany był po żołniersku, jakby na wojnę i do obozu. Przy
boku połyskiwała
szabla, z pod siodła wyglądały olstry z pistoletami, a
ładownica i opakowanie

konia uzupełniały rysz tunek kawalerzysty. Z odzieży Tadeusza spływała woda, on sam dyszał jeszcze jakby po przebytem dopiero wysileniu. Podjeżdżając ku rzece Tadeusz opatrzył szablę i sięgnął ręką ku olstrom. W ruchu tym posługiwał się tylko jedną, prawą ręką. Lewa wisiała nieco bezwładnie i obwiązana była białą chustką. Chustka ta miała na sobie ślady świeżej krwi i była tylko od biedy obwiązana. Poznać było można od razu, że Tadeusz sam na prędcie, o ile mu to było podobna uczynić jedną ręką, opatrzył swą ranę.

O kilkadziesiąt kroków od Tadeusza ktoś konno przepływał rzekę. Było to właśnie w miejscu, gdzie rzeka była najgłębszą a prąd jej najgwałtowniejszy. Jeździec i koń walczyli z nurtami widocznie z wytężeniem sił wszystkich. Ale wytężenia te były daremne; prąd rzeki skręcał się tu właśnie w szalonym pędzie na doł i uchwycił w swe spienione kłęby znużonego konia. Koń zatonął głębiej, jakby w znak, że go reszta sił opuszcza, lecz wyciągnąwszy szyję i łeb po wodzie, darł się jeszcze naprzód... Ale nacisk prądu stawał się coraz silniejszym i stawiając nieprzełamany opór jeźdźcowi uniósł go wraz z koniem w przeciwnym od brzegu kierunku... Jeździec wydał okrzyk na konia, pobudzając go do ostatnich wysileń, ale biedne

zwierzę już ledwie utrzymać się zdołało na wierzchu...
Tadeusz widząc unoszonego
przez nurty jeźdźca, puścił się za nim brzegiem rzeki.
Niebawem zrównał się z
nim znowu i ujrzał, że go w tej chwili wir uchwycił
gwałtownie i zawiąwszy nim
w kółko w toń swą pociągnął...
Koń parsknął raz jeszcze i z lekka zarżał — a po chwili
zniknął wraz z swym
jeźdźcem pod wodą...
Tadeusz w jednej chwili zeskoczył z konia, zerwał płaszcz z
siebie i rzucił się
do rzeki...
Z głośnym pluskiem rozdzieliły się pod nim zapienione fale i
otoczyły go swym
szumem i pryskiem... Tadeusz był dzielnym pływaczem i
jakkolwiek ranny, szybko
zbliżył się do miejsca, w którym zniknęli mu z oczu koń i
jeździec. Tadeusz
ujrzał tuż koło siebie głowę utonionego, wychylającą się wraz
z ramionami z
wody.
Jeździec nie był już w stanie utrzymać się dłużej nad falami i
tonął w przepaści
wiru, czyniąc ostatnie już, płonne wysilenia... Jedna chwilka
później, a ratunek
Tadeusza byłby już daremnym...
Tadeusz chwycił ranną swą ręką tonącego i wydobywając się
wszystkich rzucił się
z nim w stronę przeciwną prądowi, do brzegu. Długo walczył
z falami, które co
chwila porywały go znowu na środek rzeki i co chwila
pochłonięciem mu gro-

żyły, ale w końcu wydarł się im szczęśliwie i wraz z topielcem
dopłynął do
brzegu...

Kiedy się Tadeusz znalazł już na brzegu, padł jak bez duszy z
znużenia.

Uratowany jeździec porwał się tymczasem na nogi, wstrząsnął
się i rozglądnął do
koła.

— Brrr! — zawołał — kąpiel zimna! Ale cóż ty panie bracie,
mój wybawco, teraz
sam potrzebujesz ratunku?...

Tadeusz powstał z ziemi i rzekł:

— To nic, to zmęczenie tylko!

— Teraz powinienbym ci zacząć dziękować za uratowanie
życia — mówił dalej
nieznajomy — ale tym razem muszę ci zrobić zawód, młody
przyjacielu, ja mam
nieszczęście być zawsze ratowanym... Widzisz, stary jestem,
życie moje już
złamanego halerza nie warte, a ciebie byłoby szkoda...

Mówiąc to uścisnął dłoń Tadeusza.

— Zdziwisz się, że tak mówię — prawił dalej nieznajomy —
dziw się, ale wierz,
mówię prawdę. Kiedym był w konfederacji i w jednej z
ostatnich potyczek z
regałami i Moskałami, byłem tego bliski, wyśliznąć się z tej
ziemi po ostrzu
spisy kozackiej, czego sobie niewymownie życzyłem, znalazł
się zaraz pocziwy
pan brat, co mi uratował życie... Kiedym później w Ameryce,
pod Savannah,
widział jak na trzy kroki przedemną padł od kuli pan Puławski
i z srogą

desperacją rzuciłem się naprzód, aby położyć stare kości
razem z panem
Kazimierzem, znalazł się jakiś rajtar amerykański, co mnie
przeszytego kulą
uniósł z pobojuwiska... Kiedym później wrócił do swoich i
pod Maciejowicami
pragnął skończyć życie, jak przystało, pod bagnietem
moskiewskim, znowu znalazł się na nieszczęście jakiś
wybawca i nie dał żołdatowi
spełnić dzieła, za które byłbym mu w owej chwili
błogosławił...

— Jedni szukają niebezpieczeństw, aby znaleźć śmierć,
drudzy spieszą na
ratunek, aby się takie z nią spotkać... Niebezpieczeństwo
jedno i to samo, cel
może być także jednaki... — odparł Tadeusz.

— Słuszna uwaga Waszmości — ale ja już mam osobliwsze
do tego nieszczęście...

Ale oto, co najważniejsza, o to nie pytam... Waszmość jak
widzę kolega?...

— Jestem z oddziału pana brygadjera Denyski.

— A to kolega, choć się tu po raz pierwszy widzimy. Musisz
bowiem wiedzieć, że
także należę do tego oddziału, choć go jeszcze nie
widziałem... Po Maciejowicach
wzięli mnie pokłutego w plen Moskale, i byłbym ich może
żyw nie pożegnał, ale
udało się uciec... Tym razem pomyślałem już sam, że lepiej
paść od kuli, niż
gnić w moskiewskim lochu. Na Wołyniu dowiedziałem się, że
pan Denysko przedarf
się na Wołoszczyznę, i że ma przekroczyć Dniestr i stanąć
znowu między swoimi.

Copędziej tedy wyprawilem się do niego, tak ot, jak mnie
widzisz. Koń, szabla i
burka! Ale nie zastałem już oddziału na miejscu. Słyszę, że
dopiero co wyruszył,
aby się przeprawić przez Dniestr, pędzę tedy co sił stanie i
myśląc, że już nasi
w kraju, przeprawiam się sam, a resztę historii już znasz...
— W dziwnym mnie pan znalazłeś położeniu — ozwał się
Tadeusz — choć bowiem
należę do oddziału, nic nie wiem o jego losach...
— Jakto? A gdzieżeś Wasze zostawił towarzyszy?
— Przed kilku godzinami rozstałem się z nimi. Wysłany wraz
z kilku innymi na
podjazd boczny, wziąłem się na prawo od oddziału, i przed
dwoma zaledwie
godzinami przeprawilem się przez rzekę. U brzegu czekał już
na nas silny patrol
austrjacki, złożony z piechoty i z konnicy. Przywitano nas
kulami, i nie dano
dostać się na brzeg. Było nas czterech, z tych jeden utonął,
dwóch padło już na
brzegu, a mnie udało się małym kosztem przedrzeć się przez
patrol i stanąć tu
pod lasem...
— A o panu Denysce ani słychnu ?...
— Właśnie w chwili, kiedy się ucierałem z patrolem,
słyszałem strzały
karabinowe i działowe w odległości może jednej ćwierci mili.
Trwało to bardzo
krótco, zapewne to nasi się tam przeprawiali...
— Jak silny był oddział pana Denyski?
— Dwieście koni!

— To mało! A słyszałeś działa, więc Austriacy mieli i działa z sobą... Coż

Waszmość zamyślasz teraz zrobić z sobą?

— Myślę udać się wprost w stronę, zkąd strzały słyszałem...

— Więc jedźmy! — zawołał nieznajomy — Ba... jedźmy! a mój koń biedny pod wodą!

— Koń Waszmości wypłynął...

— Gdzie ? jak ? — zawołał z zdziwieniem nieznajomy.

Tadeusz wskazał na brzeg.

kilkadziesiąt kroków stał koń nieznajomego jeźdźca. Gdy go prąd wody rozdzielił

od pana,

i tym sposobem uwolnił od ciężaru, wypłynął on na wierzch, i choć uniesiony

dobry kawał naprzód, wydobył się na brzeg, a teraz wolnym krokiem zbliżał się do

rozmawiających.

Nieznajomy ucieszył się swym koniem niezmiernie. Skoczył ku niemu, i chwytając

go za grzywę począł go głaskać i klepać po szyi.

— Mamy tedy konie — ozwał się do Tadeusza — ale w takim stanie, w jakim się

znajdują, nie lepsze one pewnie od moich nóg starych.

— Ha! próbujmy — odparł Tadeusz i dosiadł swego konia.

Za jego przykładem poszedł i nieznajomy.

— Ale moje pistolety! — ozwał się naraz — zamokły na nic!

Ładownica także pełna

wody, z naboarów błoto się zrobiło! No, ale szabla jest, a to dosyć!

— Mam aż trzy pistolety — odparł Tadeusz — mogę się podzielić. Przyjm pan choć

jeden od przypadku.

I wydobywszy jeden pistolet z olstry wręczył go
nieznajomemu, sam zaś z za pasa
wyjął i opatrzył mały ozdobny pistolet.
Była to ta sarna broń, którą mu darował młody v. Stahlen.
Spoglądając na pistolet Tadeusz mimowolnie się zadumał.
Przypomniało mu się żywo
całe zajście wieczorne w kasynie Hechta, a w ślad za niem
całe życie lwowskie,
Laura, Zakrucki, Zosia...

— Co to Waś się tak zadumał? — zapytał nieznajomy —
czy ten pistolet to może
upominek z białych rączek ?

— Nie! — odparł Tadeusz ruszając z miejsca — to podarek z
rąk żołnierza. W tej
lufie siedzi kula, która dla dwóch głów już była przeznaczoną.
Raz dla tego,
który darował, drugi raz dla tego, komu był darowany...

— A tym ostatnim byłeś Wasze, mój młody panie kolego? —
zapytał nieznajomy
równając się z Tadeuszem.

Tadeusz milczał.

— Bodaj Ciebie! Nie na to kule leją, aby sobie młodzi ludzie
niemi łby
trzaskali!...

— Pan niedawno złorzeczyłeś tym, którzy ci życie
uratowali...

— Co innego, jeśli ty szukasz śmierci, to z innej przyczyny.
Panna nie kocha, w
karty się zgrało lub co innego — nie do Waści piję, bo cię nie
znam — i już nie
ma innego lekarstwa nad ołowianą pigułkę!

— Nie zawsze tak płocze bywają przyczyny...

— Bywają i mniej płocze, ale wszystkie są niegodne, skoro pochodzą z osobistych, prywatnych frasunków. Oj chłopcze! Nie takie ja przebywałem koleje — a kwitować z życia i na myśl mi nie przyszło! Byłem i ja młodszym, a serce mi nie biło leniwiej, niż tobie, kiedy w moją pierś wśliznęła się gadzina, a wygrzana ciepłem najgłębszych uczuć, jadłem swym serce przepoiła, że zczerniało i spaliło się od bólu i gorączki! A przecież nie kwitowałem z życia...

Nieznajomy, który dotąd rozmawiał tonem swobodnym, nieraz prawie w rubaszny sposób wesołym — wygłosił te słowa z naciskiem namiętności — a czarne oczy roziskrzyły mu się prawdziwym żarem.

— To był najsroższy cios w mojem życiu osobistem — dodał — a zniosłem go przecie...

— Coż więc teraz każe panu szukać śmierci? — zapytał Tadeusz.

— Co mi każe szukać śmierci? — powtórzył nieznajomy — Młodzieńcze, czy zastanowiłeś się ty kiedy nad ta okropną, straszną myślą, która tkwi w tych dwóch słowach: Przeżyć ojczyznę! Słuchaj przeżyć-ją, przeżyć!...

Słowo to wymówił nieznajomy z takim strasznym naciskiem, że Tadeusz aż zadrżał na siodle.

— O, te słowa zawsze straszną zawierały dla mnie groźbę !
— mówił dalej

podniesionym głosem nieznajomy. — Czemuż musiała się
groźba ta spełnić na mnie !

Patrz, stary już jestem, włos siwy bieli mi się na głowie, czyż
mogę ja pokazać

się uczciwie z tą siwą głową, ja, który przeżyłem ojczyznę!...

— Ależ to dla wszystkich zarówno jest boleścią!... — wtrącił
Tadeusz.

— Dla was młodych jest boleść, ale nie ma sromu! Wy już
pogrobowcy tylko! Ale

my starzy, my cośmy przeżyli ojczyznę! To okropne, to
straszne!...

Nieznajomy przerwał na chwilę, a potem mówił dalej:

— Jak my wam, nowemu pokoleniu spojrzeć możemy bez
sromu w oczy! Nas palcem

swym wytknie historja i powie: Za życia tych ludzi umarła ich
ojczyzna! A oni

tego dopuścili, a oni żyją dalej!

Tadeusz zrozumiał boleść starca.

— Szczęśliwi nasi ojcowie, których ojczyzna przeżyła —
mówił dalej nieznajomy —

szczęśliwi wy synowie nasi, jeżeli jej dożyjecie, ale nam
umierać jak najprędzej

na jej ostatnich gruzach! Dlatego też błagam Boga, aby mi dał
umrzeć jeszcze za

ojczyznę, dlatego szukałem i szukam śmierci na wszystkich
pobojowiskach! Wy

młodzi możecie pragnąć życia, bo co my stracili, wy odzyskać
macie!

Nieznajomy zamilkł — ale usta drżały mu jeszcze od silnego
wzburzenia.

Tadeusz nie przerywał tego milczenia. Słowa nieznajomego były dlań pełne uroczystej grozy. Tak jechali chwil kilka w milczeniu. Stanęli teraz właśnie na lekkim wzgórzu, które jakby falą spływało po dolinie... W tej chwili wiatr nadniósł im echo jakiejś pomieszanej wrzawy.... Obaj jeźdźcy stanęli, i wyteżyli wzrok przed siebie. Nieznajomy dźwignął się w siodle, a na twarz jego padło światło księżycowe. Tadeusz, choć zajęty odgłosem wrzawy, spoglądał ciekawie na postać swego towarzysza. Był to mężczyzna mający około lat sześćdziesięciu. Mimo tego wieku jednak trzymał się jaro i krzepko, a po sprężystości i sile całej postaci poznać było można, że zachował jeszcze czerstwość męskiego wieku. Po licach spływał mu długi, gęsty wąs, biały jak mleko. Po śniadej jednak cerze i po czarnych oczach wnosić było można, że wąs ten, nim go wiek pobieleł, musiał być ciemnej barwy. Rysy twarzy, których wybitności nie zatarły jeszcze wcale podszle lata, zdradzały w parze z ognistem, żywym okiem usposobienie porywcze, namiętne. Nieznajomy ubrany był w krótką kurtkę, przepasana skórzanym pasem z stalową klamrą i w ciemną burkę — a na głowie miał kołpak z kordonkiem i z nízka kitą. — Czy słyszysz ? — zapytał Tadeusza.

— Słyszę pomieszana wrzawę — odparł Tadeusz — ale trudno domyślać się z niej, z kąd pochodzi.

— Jeżeli pan Denysko miał tylko dwieście ludzi, trudno, aby to była wrzawa z jego obozu...

— Podjedźmy bliżej...

Nieznajomy podniósł się jeszcze wyżej w strzemionach, i wskazując palcem naprzód rzekł:

— Widzisz wasze, tam błyszczą zdala ognie... Widocznie jest tam obóz jakiś !

Ruszajmy naprzód a obaczymy...

I obaj jeźdźcy pocwałowali naprzód. Właśnie w tym czasie niebo zasunęło się jeszcze gęstszymi chmurami i po całej dolinie rozległa się gruba ciemność.

— Przekłęcie — mruknął nieznajomy — kierujmy się prosto ku ogniom, ale w pogotowiu na wszystko... Być może bardzo łatwo, że to Austriacy!

I obaj towarzysze spięli konie ostrogami. Ognie na polu połyskiwały coraz wyraźniej, a rozgłos wrzawy stawał się coraz bliższym.

— Mój panie kolego — ozwał się znowu nieznajomy — mówimy z sobą tak długo, a nie znamy się jeszcze! Jakże się nazywasz?

— Tadeusz Warski!

Nieznajomy szybko zwrócił się ku Warskiemu, i wstrzymał konia.

— Jak ? — zawołał ze zdziwieniem — Warski! Tadeusz potwierdził.

— Warski, syn Jana, który jeden z pierwszych stanął w szeregi konfederacji

barskiej, a jeden z ostatnich z boju powrócił!

— Był to mój ojciec.

— Tadeuszu! — zawołał z wyraźnym rozrzewnieniem nieznajomy — czy żyje twój ojciec?

— Umarł...

— Umarł... Szczęśliwy Jan... — szepnął nieznajomy, i pochylił głowę.

W tej chwili tuż w pobliżu ozwał się tentent koni i chrzęst szabel.

Obaj nasi towarzysze zatrzymali konie, i spoglądnęli ku nadjeżdżającemu. Jeźdźców było kilkunastu, białe ich płaszcze rozpoznać było można zdaleka. Konie ich pędziły w pełnym biegu, a niebawem na kilkadziesiąt kroków zbliżyły się do obu rozbitków.

— Halt! — odezwał się głośnym okrzykiem jeździec pędzący na czele oddziału.

— Austriacy! — zawołał Tadeusz.

— Naprzód! co konie wyskoczą! — zawołał nieznajomy — albo ich wyminiemy albo się przerąbiemy!

Na te słowa Tadeusz i jego nieznajomy towarzysz zmusili ostrogami konie swe

znużone do ostatnich wysileń

Z szablami na temblakach i z pistoletami w dłoniach rzucili się naprzód.

Oddział jeźdźców, a był to patrol dragonów, dał ognia i zastąpił drogę pędzącym.

Tadeuszowi kula zerwała czapkę, nieznajomemu gwizdnęła koło ucha.

— Naprzód! — zawołał nieznajomy, i wypalił na patrol swój pistolet.

Oczy roziskrzyły mu się zapalem, twarz okryła się żywym rumieńcem, i z podniesioną szablą rzucił się na dragonów. Tuż obok niego pędził Tadeusz....

Od strzału, który wymierzył nieznajomy, padł z konia dowódzca patrolu. Cały oddział wstrzymał się nieco w pędzie, a szyk jego się pomięszał. W tej chwili

Tadeusz i nieznajomy rzucili się z szaloną odwagą na dragonów. Obaj zniknęli wśród białych płaszczy...

Chwilę słyhać było tylko żwawy szczęk szabel i strzały...

Gwałtownym atakiem jakby klinem rozbici dragoni owinęli się białym kłębkim około obu

nacierających... Nagle szczęk ustał, i z pomiędzy patrolu dwie ciemne postacie

wysunęły się na pole w najszybszym pędzie... Byli to nasi rozbitki... Udało im

się przełamać szyk jazdy i wyrebać się na czyste pole....

Zostawiając po za sobą pomięszanych dragonów, pomykali się naprzód wśród cieniów

nocy. Tadeusz wyszedł cało z potyczki, ale po białych włosach nieznajomego spływała krew obfitą strugą...

Tymczasem patrol dragonów zwrócił konie, i puścił się za oboma jeźdźcami.

Tadeusz i nieznajomy pobudzali swe konie do ostatnich wysilen — ale były to już

usiłowania daremne... Znużone konie odmawiały posłuchu,
bieg ich wolniał coraz
bardziej — a dragoni wśród gęstych strzałów pistoletowych
docierali coraz
bliżej...

W tejże samej chwili jakaś ciemna wyjąca masa zastąpiła
drogę obu jeźdźcom. Była
to gromada chłopów, uzbrojona w kosy, widły i cepy....
Konie naszych towarzyszy były już za słabe, aby przełamać
ten nowy zastęp...

Wstrzymani przez chłopów, dopędzeni przez dragonów, obaj
jeźdźcy ujrzeli się
dokoła w szczelnem otoczeniu....

Nie minęła chwila, a obu rozbitków rozbrojono i powiązano...

Pod eskortą
dragonów i całej zgrai chłopów prowadzono Tadeusza i jego
towarzysza naprzód...

jakich sto kroków płonęły obozowe ognie, i wrzał krzyk
kilkuset głosów. Do
tego miejsca prowadzono jeńców.

Po drodze mijano mały wzgórek, na którym czerniał cały rząd
zeschłych nagich
wierz. Przechodząc około tych wierz, Tadeusz wydał nagle
okrzyk zgrozy...

— Co to?! — zawołał nieznajomy, którego twarz cała oblana
była krwią.

Tadeusz wskazał na wierzby.

Na wierzbach tych wisały ludzkie ciała... Kilkunastu
wisielców, poruszanych
wichrem, chwiało się w powietrzu przy przerażającym
skrzypie suchych gałęzi...

— Siedmnastu! — jęknął Tadeusz — to moi biedni
towarzysze !

I odwrócił z oburzeniem i zgrozą twarz od trupów.

— Kapitan Melfort! — zawołał nieznajomy, spoglądając na jednego z powieszonych

— i on tu! To okropne!...

I zatrzymawszy się nieco, spojrzął na strasznie wykrzywiona twarz kapitana.

Jeden z dragonów popchnął pięścią nieznajomego, i zawołał z czeska:

— Marsz! To wasi koledzy rebellanci! Nie gap się tak jeden z drugim! I wy tu z

nimi wnet będziecie!...

Nieznajomy ścisnął skrepowaną dłoń namiętnie, a z ust wydobyło mu się

przekleństwo...

Za kilka chwil stanęli nasi jeńcy przy ogniach obozowych.

Ogromna przestrzeń

służyła tu za biwak żołnierzom i chłopstwu... Patrole

wojskowe i gromadki

chłopów przychodziły i odchodziły — odbywając ciągłą straż po okolicy. Dragoni

stanąwszy na miejscu oddali jeńców oficerowi, raportując bliższe szczegóły ich

schwywania, z których wypływało, że obaj powstańcy

przydybani przez patrol z

bronią w rękę na terytorjum, zabili kaprala i ranili trzech żołnierzy.

Po wysłuchaniu raportu oficer odesłał obu jeńców do sztabu, gdzie się odbywał

sąd wojenny nad schwytanymi. Sztab ten znajdował się o kilkaset kroków, w jednej

z kilku nędznych chałup włościańskich, które tam stały na ustroniu.

Nim obaj jeńcy staną przed doraźnym sądem, rzucimy tu kilka szczegółów, które posłużą za wyjaśnienie zajęć opisanych w tym rozdziale. Dwa lata właśnie minęło od upadku powstania Kościuszkowskiego. Zaledwie minęło pierwsze ogłuszające wrażenie strasznej klęski, zaledwie w sercach prawych patriotów umilkły pierwsze burze rozpaczy — poczęto na nowo myśleć o ratunku wolności i ojczyzny... Myślano o zebraniu sił wojennych, o nowej walce z wrogami. Rok wydał pierwsze owoce tej skrytej pracy patriotycznej. Jenerał Dąbrowski począł formować legje we Włoszech — a równocześnie zbierał na Wołoszczyźnie ochotników jenerał Denysko, brygadjer wołyński z ostatniego powstania. Z obu stron rozsypały się odezwy po kraju. Przygotowania czynione na Wołoszczyźnie rozpoczęły się pierwej. Prawie bezpośrednio po upadku powstania Kościuszki, poczęto tam formować zbrojne oddziały. Po całym kraju rozbiegły się zawezwania do udziału. Najczęściej były one krótko sformułowane, bo mieściły się w tych dwóch wierszach:

Kto kocha ojczyznę,
Niech idzie na Wołoszczyznę.

Kartki z temi wierszami przyklepiano na drzwiach, i rozrzucano po domach.

Zgromadzenie wołoskie nazywano zgromadzeniem terrorystów. Istotnie złożone ono było z ludzi najgorętszych, gotowych do najzapamiętańszych w zwyczajnej opinii kroków. Poseł francuski Aubert du Bayet jeszcze bardziej podniecał tę porywczą gotowość, i namowami swemi przyspieszył przekroczenie granicy austriackiej.

Klub patryotyczny lwowski, o którym mieliśmy już sposobność wspominać w ciągu tej powieści, zajęty był mocno wyprawą wołoskich oddziałów. Po rozważeniu szkód i korzyści takiej wyprawy, koła patryotyczne lwowskie zgodziły się na to, aby powstrzymać wtargnięcie zgromadzonych na Wołoszczyźnie Polaków. Za pośrednictwem szefa Drzewieckiego chciano użyć w tym celu generała Kniaziewicza, i rozpoczęto układy.

Ale kroki te nie zdołały już powstrzymać Denyski. Rząd austriacki poczynił tymczasem przygotowania na granicy od Czerniowiec.

Wysłano generała Schneidauera w celu wyparcia Polaków. Schneidauer miał tylko dwa tysiące żołnierzy, lecz siły swe pomnożył chłopstwem, spędzonym w ogromnej liczbie na granicę...

Jenerał Denysko nie zważając na to, wobec wojska i pospolitego ruszenia chłopów Dniestr przepłynął.

Był to krok szalonej odwagi. Jazdy polskiej było dwieście tylko — Austrjacy, licząc tylko wojsko regularne, mieli dziesięć razy tyle.

Skutek wyprawy nie mógł być tedy wątpliwym.
Denysko cofnąć się musiał z terytorjum austriackiego, a
siedmnastu partyzantów
polskich, schwytanych przy przeprawie przez Dniestr, generał
Schneidauer kazał
powiesić....

Tych to nieszczęśliwych ciała widzieli po drodze obaj nasi
jeńcy. Nie było
najmniejszej wątpliwości, że i ich czekał los podobny...
Jakoż postawieni przed sąd doraźny w tej chwili usłyszeli
sвій wyrok. Generał

Schneidauer wysłuchawszy raportu zawyrokował krótko:
— Powiesić!...

Wykonanie wyroku powierzono oddziałowi dragonów — a
całą egzekucję nadzorować
miał osobno przeznaczony do tego oficer... Wyrok miał być
spełniony

bezzwłocznie. Kilku dragonów z latarniami i kilkunastu z
dobytemi szablami
otoczyło Tadeusza i jego nieznanego towarzysza.

Tak stali czas jakiś przed chałupą, w której się sztab mieścił,
czekając na

oficera, który dziwnie zwlekał swoje przybycie.

Tadeusz milczał, pochyliwszy głowę ku ziemi. Było to
milczenie człowieka, który

ma przed sobą jeszcze tylko kilka chwil życia do zamknięcia
całego ziemskiego
rachunku...

Przed jego oczyma stała śmierć nagła, przedwczesna, śmierć
w najohydniejszej
swej postaci...

Tadeusz śmierci się nie bał... Twarz jego nie zbladła nigdy
przed nią, ilekroć

wyglądała doń z lufy karabinu, z grotu żelaza, lub z paszczy działa...

Ale śmierć, jasna pani pobożowiska — a śmierć, ohydna oprawczyni kata — to olbrzymia różnica...

O takiej śmierci Tadeusz nie myślał nigdy... Nie bał się jej, ale czuł wstręt do niej... Ten wstręt utrudniał mu rezygnację...

Towarzysz jego nie ulegał snać takim wrażeniom wyroku. Stał spokojnie i patrzył w czarne niebo — a oczy jego były swobodne, prawie wesołe...

— Sprawa skończona! — rzekł zwracając się do Tadeusza. — Kto ma wisieć nie utonie!

I z lekkim uśmiechem wstrzasł na sobie mokrą jeszcze odzież. Tadeusz nie podniósł głowy.

— Biedny, młody mój bracie — ozwał się teraz rzewnym głosem nieznajomy — przebacz ten żart płochy... Tadeuszu, synu mój, nie taka śmierć należała się tobie!

— Nie takiej się też spodziewałem... — odpowiedział Tadeusz.

— I ja nie takiej pragnąłem... Śmierć to haniebna, brzydka — ale śmierć za sprawę! I ja wolałbym umierać w polu od kuli, od szabli, pod kopytami ot tego konia dragońskiego ! Ale w poświęceniu, któremu się śmierć za kres stawi, nie ma wyboru! Śmierć taka nie żołnierska, nie szlachecka — ale polska! Tadeuszu niech żyje nasza!

— Niech żyje! — powtórzył Tadeusz pewnym już i
dźwięcznym głosem.
W tej chwili zrobił się ruch między dragonami. Oficer
przeznaczony do
nadzorowania egzekucji stanął przed frontem. Był to młody
jeszcze człowiek. Śnać
przykrą mu była misja, bo twarz jego była smutna i blada.
Podjechał ku jeńcom, i
spojrzał na ich twarze oświetlone latarniami.
Widok ich dziwne na nim sprawił wrażenie... Zadrżał cały,
zachwiał się w siodle,
a z piersi wyrwał mu się pomimowolnie stłumiony wykrzyk!...
Skazani spojrzeli nań ciekawie, jakby im nie uszedł ten znak
przerażenia, ale
oficer zasunął hełm szybko na czoło, i podniósł kołnierz od
płaszczka.
Potem wydobył szable, i tonem suchym, zrezygnowanym,
zakomenderował:
— Marsz!
Dragoni ruszyli z miejsca, i głuchy tentent koni rozległ się po
ciemnej
dolinie...
Kiedy cała ekspedycja stanęła już w pobliżu naturalnego
rusztowania z drzew,
oficer kazał się wstrzymać dragonom. Potem wywołał z nich
jednego po imieniu.
Był to stary kapral z siwemi, dużemi wąsami. Oficer zsiadł z
konia, i rzekł do
kaprała:
— Sztak! zsiadź i trzymaj tu koło mnie mego i swego konia!
Sztak spełnił rozkaz.
— Sztak! — mówił dalej oficer — pamiętaj, ty nic nie
widzisz i nic nie

słyszysz! Tyś ślepy i głuchy! Robisz, co ja ci każę!
Kapral wyprężył się jak struna, i skinął głową.
Oficer zwrócił się do oddziału dragonów i kazał wystąpić obu
jeńcom. Jeńcy
ruszyli z miejsca, a tuż za nimi wystąpili z szeregu wachmistrz
i dwaj
żołnierze.

— Zostać! — zawołał oficer — mam się zapytać skazanych o
ich ostatnią wolę!

Straż cofnęła się do szeregu...

— Sztak — odezwał się oficer znowu — rozwiązać im ręce!
Kapral milcząco spełnił polecenie, i cofnął się do koni. Oficer
przystąpił do
jeńców i spojrzał w oczy Tadeuszowi.

— Stahlen! — zawołał Tadeusz z najwyższym zdumieniem.

— Tak jest, panie Tadeuszu — odpowiedział po polsku oficer
— to ja jestem! Te
konie, które trzyma kapral, dla was są przeznaczone.

— Jesteś szlachetnym, jak zawsze — odparł Tadeusz — ale
nie myśl, abym przyjął
usługę, którą byś musiał własną okupić osobą...

— Szalony!... — zawołał Stahlen — Spiesz się! O mnie bądź
spokojnym!...

Tadeusz jeszcze się zawahał.

— Na miłość Boga, uchodź! — szepnął rotmistrz.

W tej chwili nieznajomy szarpnął Tadeusza za ramię, i rzucił
się na dragona

trzymającego konie. Jednym silnym uderzeniem powalił
żołnierza na ziemię, i

skoczył na konia. Tadeusz instynktowo poszedł za jego
przykładem. Wszystko to
było dziełem jednej chwili...

Kiedy Tadeusz wspinał się na konia, wypadł mu z za pasa mały pistolet, darowany mu niegdyś przez Stahlena. Żołnierze rozbijając jeńca nie dostrzegli tej broni.

Stahlen spostrzegł pistolet na ziemi, i spiesznie go podjął. Uwolnieni jeńcy ruszyli szalonym pędem z miejsca. W tej chwili oddział dragonów, stojący w tyle, ruszył się do ścigania.

— Stać! — zawołał rotmistrz, i zaszedł drogę żołnierzom. Dragoni z zdziwieniem spojrzeli na niego.

— Ja ich puściłem — zawołał — mnie aresztujcie! I cofnąwszy się kilka kroków w tył odciągnął kurek od pistoletu.

— Nabity — szepnął drżącym głosem — może tą sama kulą, którą wówczas na kartę rzuciłem!

— Wybornie się składa — dodał zaglądając do lufy — zakład mój wykupiony!...

I przyłożywszy pistolet do czoła wypalił...

Padł strzał, a młody rotmistrz z zgruchotaną czaszką potoczył się przed frontem żołnierzy...

Strzału tego nie musiał słyszeć Tadeusz — zniknął on wraz z swoim towarzyszem w ciemnej dali...

XX.

DWIE SCENY.

Jesteśmy w obszernej, ale ciemnej i wilgotnej izbie. Jestto pokój z łukowem sklepieniem i z dużymi oknami, opatrzonemi w kraty, przez które zanadto mało

napływa światła, aby rozjaśnić cień opylonych szarych ścian.
Cały pokój zastawiony jest pułkami i szafami najrozmaitszego
rodzaju, a na
każdej pułce i w każdej szafie piętrzą się stosy opylonych
papierów i grubych
ksiąg, które już samym swym kształtem zdradzają swe
urzędowe przeznaczenie.
Między dwoma oknami wisi wielki olejny portret cesarza
Franciszka w stroju
koronacyjnym — a na przeciwnej ścianie umieszczone są dwa
inne mniejsze i ciemne
obrazy, wyobrażające cesarzową Marię Teresę i jej syna
cesarza Józefa.
Duże, czarno malowane biuro i kilka stołków skórą obitych
uzupełniają
umeblowanie tego pokoju, który całym swym widokiem
dziwnie ponure i
niesympatyczne sprawia wrażenie. Jakaś ciężka, dławiąca
atmosfera wisi nad temi
czarnymi sprzętami i wieje z tych zbutwiałych i żółkłych
papierów.
W izbie tej, w której od razu domyśleć się było można
biurokratycznej
kancelarji, znajdowały się dwie osoby.
Jedna z nich siedziała przy dużym biurze. Był to mężczyzna w
podeszłym już
wieku. Był wysoki i chudy, a kolana jego nóg długich zgięte w
siedzeniu
sterczały ostro ku górze. Twarz miał ściągła i gładko ogoloną,
cerę wymokła i
żółtawą, nos ostro i delikatnie skrojony, usta blade i wąskie a
oczy wielkie,
wypukłe, lecz dużymi zwisłymi powiekami pokryte.

Cała postać tego człowieka była w wysokim stopniu charakterystyczna. Nie miał on na głowie peruki ani pudrowanej fryzury, lecz był krótko ostrzyżony, co jeszcze bardziej uwydatniało jego wysokie, w ostre kąty wybiegające czoło. Pod czołem świeciły z pod powiek żywym blaskiem bystre i przenikliwe oczy, których każde prawie spojrzenie wybiegało na zewnątrz w parze z złośliwym, sardonicznym uśmiechem...

Drugą osobą był starzec w szarem odzieniu polskiego kroju, z wynędzniałym, bladym licem i zasepionym czołem. W starcu tym poznajemy Zakruckiego. Ślady dwuletniego więzienia wybiły się wyraźnie na całej jego postaci. Lica jego skurczyły się i zapadły, a długa siwa broda dodawała im jeszcze więcej zgrzybiałości, barki mu się pochyliły — i tylko oczy, pełne blasku i niezłamanego życia znamionowały silnego ducha, którego nie zdołały zgnieść cierpienia.

Zakrucki stał o kilka kroków od drzwi, a ów mężczyzna siedzący przy biurku spoglądał nań bystro i uśmiechał się dyplomatycznie.

— Niech pan siada... — ozwał się do Zakruckiego i wskazał ręką na krzesło.

— Dziękuję, panie konsyljarzu — odparł Zakrucki z lekkim skinieniem głowy — w mojej kaźni mam dość czasu na to, a moja wizyta nie będzie zapewne długą...

— Pan się spieszysz, panie Zakrucki — odpowiedział konsyljarz i po cienkich, bladych ustach przemknął mu się uśmiech ironiczny — a jabym chętnie z panem pomówił...

Konsyljarz mówił po polsku, ale łamanym językiem i niemieckim akcentem.

— Zapewne jako z aresztantem... — odpowiedział Zakrucki z goryczą — jako aresztant jestem na rozkazy... Ale ileż wy mnie razy badać będziecie, czego się u mnie dowiedzieć zamysławacie, kiedy wam jeszcze dwa całe lata na to nie wystarczyły!...

Konsyljarz znowu się uśmiechnął.

— Ja pana nie przywołałem jako areszlanta — rzekł na to — ja pana badać nie myślę... Chciałem z panem pomówić jako z gościem...

— Tak, jako z gościem, po którego posyła się bagnety, aby mu rzucać w oczy naigrawanie i szyderstwo!...

— Więc pan nie lubisz rozmawiać ze mną... Ich muss es wirklich bedauern!...

Unikasz dysputy, bo obawiasz się klęski... Nie miło być zwyciężonym...

— Nie zwyciężonym być nie lubię, ale oburzonym. Bezsilne oburzenie więźnia i tobie, panie, nie powinno być mile...

— Aber entrüsten sie sich nur, Herr Zakrucki! Ja się wcale gniewać nie będę...

Patrz pan na mnie tylko jak na politycznego przeciwnika...

-- Nie podejmuję walki, gdzie broń nie równa...

— Twoja w tem wina, panie Zakrucki. Ja walczę rozumem, ty szlachecką fantazją i przesądem...

— Nie, mój panie konsyljarzu — odparł żywo Zakrucki — ja siłą wiary i przekonania, ty szyderstwem i zaślepieniem...

— To mi się podoba... Jetzt gerathen Sie in Harnisch!. Panie Zakrucki, pan już dwa lata pozbawiony jesteś wolności?...

— Pan o tem najlepiej pamiętać powinienes...

— Ile razy przez ten czas widzieliśmy się z sobą?...

— Miałem tyle przykrych chwil w życiu, że przestałem je liczyć...

Konsyljarz uśmiechnął się tylko.

— Powiedz że mi pan, czy nie sprawdziły się wszystkie moje słowa?

— Powiedz mi pan, czy skłamały moje...

— Powiedziałeś mi przed dwoma laty, że zwyciężycie !

— I zwyciężymy!

— Jak to, czy pan Kościuszko znowu powstanie urządzi ?

— Panie Stahlen — odparł Zakrucki — pan mnie nigdy nie pojdziesz... Pan nie

wiesz, co to jest wiara i jak daleko po za rzeczywiste wypadki sięgają jej

promienie, pan nie wiesz, co to ufność w ideę, i jak jej złamać nie zdoła nawet

najboleśniejsza klęska chwili... Panie Stahlen! My raz

zwyciężyli — bośmy przetrwali klęskę, my zwyciężymy znowu, bo idea nie na samem

ostrzu szabli się opiera i nie z nią razem wypada z dłoni...

— Proszę was, jaka wy macie ideę ? — zapytał z ironicznym uśmiechem v. Stahlen.

— Czy pan umiesz uczuć, co to jest ojczyzna?

— Czy pan umiesz oznaczyć słowami, co to jest ta wasza ojczyzna?...

— Jaką ty ziemię czujesz pod nogami twemi, cudzoziemcze !

— Moją, nie polską... Gdzież dzisiaj ta ziemia polska? Co ją robiło polską ?

Nazwa chyba...

— Naród!

— Jaki naród? Kto ten naród stanowi? Wy szlachta — a oprócz was nikt. Szlachta jest małą częścią całej ludności, a ludność ta dopiero teraz zdołała za pomocą mocarstw ościennych wyrwać się ze szponów szlacheckich i nie chce pewnie za nic w świecie tej waszej ojczyzny!

— Nie obawiamy się tego. Wolności nie braknie nigdy zwolenników i wyznawców!

— Wy szlachcice polscy ciągle macie na ustach słowo wolność. Ta wolność wasza nazywała się tak jak *lucus a non lucendo*... Nigdzie nie było większej tyranji jak u was w Polsce, *in der weiland Republik*... Jużciż tej rozpustnej buty i tego rozpasania się magnatów nie nazwiesz pan wolnością. Wolność nigdy nie była na waszym sztandarze! Król wasz był niewolnikiem magnatów, magnaci panami drobnej szlachty, szlachta katem nieludzkim biednego

ludu. A lud ten, który jęczał pod waszem jarzmem i pod waszym batem, lud ten do was nie należy, on w n a s swych zbawców uwielbia.

— Lud ten bił się za wolność pod Kościuszką!

— Cha, cha... — zaśmiał się von Stahlen — zanadto rozsądnym jesteś, panie Zakrucki, aby to brać na serjo i Taki mizerny wyjątek nie obala reguły! Mein Gott! Ten lud miałby się bić za wolność, za waszą! Ależ on tej wolności nie rozumie, boście go jej nie nauczyli, a jeżeli rozumie, to pewnie jej przy was szukać nie będzie...

— Komukolwiek lud ten dziś służy, w gruncie pozostanie on polskim! Przyjdzie czas, że się i on obudzi!

— Nie wymawiaj tego w złą godzinę! Ja wam tego w własnym waszym interesie nie życzę. Jeżeli się on obudzi, to pewnie tak jak we Francji. Macie bardzo świeży i bardzo niemiły przykład !

— Ale czy lud francuski przestał być mimo to francuskim ? Niech się społeczeństwo nawet pochłania w katastrofach, myśl narodowości nawet w krwi bratobójczej nie utonie!

— Nie używaj pan porównania z Francuzami, choć ci je sam nastreczyłem. Wy nie macie społeczeństwa skończonego, wy nigdy nie byli ani państwem, ani narodem. Wy też upadku waszego nie przetrwacie!

— Przetrywamy ciebie i stu twoich następców!

— Jakim sposobem? Aby państwo jakieś przetrwało zupełną klęskę polityczną, musi być narodem, musi mieć żywą ideję ojczyzny. Wy nie byli narodem a lud wasz nie miał

ojczyzny. Czem wy dalej stać możecie? Materialnych podstaw nie macie, bo gdzież wasz byt, wasze złoto, wasz przemysł — wyście żebracy pod tym względem.

Duchowych podstaw braknie wam jeszcze bardziej, prócz wstecznej, ciemnej idei szlacheckiej, nie macie ani oświaty, ani żadnego cywilizacyjnego znaczenia.

Przeciw wam siła fakir, potęga przemocy na każdym polu, praca, oświata, porządek

— przeciw wam my, a za nami główna warstwa waszego narodu, lud! Po waszej

stronie co? lekkomyślność, ciemnota, die ganze polnische Wirthschaft! Dla was

nie ma już innego ratunku, jak tylko dobrowolnie przyjąć to, co wam niesiemy:

nasza cywilizację...

— Waszą narodowość, wasz język? Nieprawdaż?...

— Sie verstehen mich vollkommen Herr von Zakrucki!

Zyskacie wiele na zamianie.

Zamiana ta i bez waszej woli przyjdzie do skutku... Wasz żywioł otoczony jest

dokoła i prędzej lub później przestanie być polskim...

— Za wiele się spodziewasz panie Stahlen! Kto nas zniemczy ? Wy ? albo może

wasze kolonje józefińskie ? A ja ci powiadam, mój panie, że wy sami utoniecie w

naszym żywiole, wy, którzy jesteście apostołami niemieckiej cywilizacji w naszym

kraju...

— Ha, coż pomogą moje argumenta w obec pana — odpowiedział z swym zwykłym

uśmiechem Stahlen — który jesteś starcem.... Starcy jak
brzytwy chwytają się
dawnych iluzji, choć im się z rąk wymykają. Sie wollen ihre
letzten Tage süß
durchschwärmen... Ale posłuchaj pan! Kto dźwiga dziś
jeszcze sztandar polski?
Szlachta! Kto jest ta
szlachta ? O, my ją znamy dobrze, bardzo dobrze, lepiej niż
wy. My z tej
szlachty za głupi tytuł arystokratyczny, za złotą blaszkę, lub
klucz
szambelański mamy niewolników. Czem ta szlachta
manifestowała swą narodowość?
karabelą! My tę karabelę nosić zakazali i nie ma już polskiej
szlachty — tylko
galicyjska, a galicyjskość, to pedagogium niemieckie, dalibóg,
bardzo skuteczne!
Czy ma ta szlachta godność narodową? O wierz mi, że nie, ja
cię gotów przekonać
dokumentami... Ja ci wyliczę nawet imiona...
— Musi być mało tych podłych, kiedy ich pan wyliczyć
możesz! Ale zastęp prawych
jest nieprzeliczony...
— Który to zastęp, czy ten co wiecznie pisze adresa do tronu,
oskarżając go o
znieważanie polskiej narodowości? Ten zastęp prawych
domaga się uroczystemi
frazesami swych praw świętych, a jako najgłówniejsze z tych
praw wymienia
poddanie chłopów! Rząd się ulitował w imię ludzkości nad
chłopami i poskromił
trochę barbarzyńską samowolę szlachty, a szlachta krzyczy, że
rząd pogwałcił jej

święte prawo... Czy takie zasady nadadzą wam żywotności,
czy nie będzie to
zasługą dla cywilizacji, a kiedy już pan tak słowo to lubisz, dla
wolności,

jeżeli ten polski alias szlachecki żywioł wytepiemy! Wy nie
macie jutra, meine

Herren! Dziś jeszcze pan i garstka podobnych panu
podtrzymują złamaną chorągiew,
ale jutro, kto ją podtrzymawać będzie?

— Twój wnukowie! — odparł z naciskiem Zakrucki — za
kilkadziesiąt lat, twój
wnuk mnie na tym miejscu zastąpi...

— Ja wiem tylko tyle, że mój syn was wieszka — zaśmiał się z
cynicznymi

szyderstwem Stahlen. — Mam dla ciebie znowu nowinę,
panie Zakrucki! Właśnie dziś

rano przyjechał ordynans od generała Schneidauera... Czy pan
wiesz, po co

generał Schneidauer wyruszył był nad Dniestr? Pan musisz o
tem wiedzieć... Es

war ja auch eine letzte Hoffnung...

— Wiem, mój panie — odparł Zakrucki i postąpił krok
naprzód. — Wiem więcej od

ciebie! Powiem ci, żeś słowami twymi splamił grób własnego
dziecka!...

— Co to ma znaczyć? — zapytał Stahlen i porwał się z
krzesła.

— Powiedziałeś pan, że twój syn wieszka... Ja mam
dokładniejsze wiadomości o
twoim synie! Opowiem ci to, bo nauczyłeś mnie być
okrutnym!

— Nie rozumiem pana — szepnął Stahlen blednąc od
niepokojem.

— Między tymi, którzy nad Dniestrem paść mieli ofiarą wojennego sądu, znajdowali się mój przyjaciel i mój wychowanek... Egzekucją ich nadzorować miał młody oficer... Ten oficer ułatwił obom ucieczkę a sam się zastrzelił... Nazywał się Herman von Stahlen! Stahlen zachwiał się. Twarz jego okryła się trupią bladością... Chciał coś przemówić, ale usta odmówiły mu usług... Oczy jego spojrzeniem rozpaczy i boleści utkwily na Zatauckim...

— Mój syn! Mój syn! — zawołał naraz głosem przerażającym do głębi, z którego odezwało się całe piekło ojcowskiej boleści, i padł zemdłony na posadzkę....

Zakrucki pospieszył na ratunek.

— Ty kłamiesz! Ty kłamiesz, stary upiorze! — wołał Stahlen odpychając go od siebie. — Mój syn! Mój Herman, najdroższe dziecko!! I blady starzec wiał się na ziemi i szarpał swe włosy w okropnej boleści....

Zakrucki złorzeczył sobie, że w uniesieniu stał się strasznym posłem Hioba.

Chciał podnieść z ziemi Stahlena, ale ten odepchnawszy go, porwał się sam na nogi.

Usiłując przytłumić ból srogi, zawołał:

— Precz mi z oczu! Nie pastw się mojem cierpieniem !
— Nie nauczyłem się tego od ciebie, nieszczęsny starcze! — odparł Zakrucki.

Stahlen zadzwonił, a gdy straż nadbiegła, dał jej znak, by odprowadziła więźnia....

Sam zaś opierając głowę o mur, zaniósł się urywanem,
konwulsyjnym łkaniem....
Zakrucki powróciwszy do kaźni, wyrzucił sobie, że tak
bezwzględnie udzielił
Stahlenowi wieści o smutnym zgonie jego syna. Zakrucki
wiadomość o całym zajściu
otrzymał właśnie przed kilku godzinami. Drogą tajną, za
pośrednictwem jednego z
nadzorców, doszła go cała ekspedycja z domu, a w niej
znajdował się list,
zawierający opis wy-
padku. List ten nie był pisany przez Tadeusza lecz przez jego
towarzysza....
Towarzysz ten nieznajomy był dawnym przyjacielem
Zakruckiego, a skoro dostał się
do Lwowa, natychmiast powitał go długim i serdecznym
listem....
Siedząc samotnie w swej ponurej celi więziennej, a
ochłonawszy nieco z wrażenia,
jakie na nim sprawiło zajście z Stahlenem — począł Zakrucki
odczytywać po raz
drugi list przyjaciela. Przebiegał wiersze listu z
rozzewnieniem — żałując że
niepodobna mu widzieć się osobiście z starym druhem, z
którym niegdyś złe i
dobre losy dzielił w szeregach konfederacji barskiej.
Wiemy już, że od uwięzienia Zakruckiego upłynęło całe dwa
lata. Przez ten czas
zdrowie jego znacznie podupadło, siły się wyczerpały do
reszty i tylko silny
duch ustrzegł się przed zwątpieniem. Raz tylko jedyny widział
się Zakrucki z swą

jedynaczką. Odtąd Zosia mimo wszystkich możliwych starań nie zdołała otrzymać pozwolenia widzieć się z nieszczęśliwym ojcem. Tęsknota za córką i niepewność o jej przyszły los więcej zapewne dojmowały więźniowi, niż samo życie więzienne. Proces jego dotąd się nie rozstrzygnął, dotąd wyroku mu nie ogłoszono. Zakrucki widział przed sobą wiezienie bez kresu i z boleśną rezygnacją oswajał się z myślą, że w ciemnych tych murach przyjdzie mu zakończyć żywot... Taki był stan naszego więźnia. Właśnie gdy Zakrucki doczytał listu, którego każde słowo tak żywo go zajmowało a którego smutna treść do tylu umartwień dawnych dodawała jeszcze nowe — naraz rygiel od drzwi zaskrzypiał i pojawił się nadzorca z papierem w ręku. Pismo to przeznaczone było dla Zakruckiego i zawierało wezwanie, aby się stawił przed szlacheckimi sądami jako świadek w procesie o dobra, których był zarządcą. Czytelniczy domyśla się, że chodziło tu o pretensje, które pani Laura sprzedała Żagwinowi. Zakrucki, o ile to możebnem było dla więźnia, bronił sprawy swego nieobecnego przyjaciela jak najgorliwiej, a przesłuchiwany kilka razy, miał teraz ostatecznie wraz z stroną przeciwną stanąć przed kratkami. Zawezwanie to przybyło właśnie w porę. Stawanie przed sądem nie było wprawdzie

zbyt przyjemną czynnością — mogło jednak zająć i rozerwać nieco więźnia, który dziś bardziej niż kiedykolwiek, czuł się smutnym i przygnębionym.

— Pan pojedziesz zaraz ze mną — rzekł dozorca doręczwszy wezwanie Zakruckiemu.

Zakrucki zebrał się spiesźnie, a eskortowany przez dozorcę i żołnierza wsiadł do

krytej bryczki, która go czekała na więziennem podwórzu i udał się do gmachu, w

którym się znajdowało forum nobilium.

W obszernej sali sądowej zastał Zakrucki sędziów, Żagwina i obrońcę. Żagwin stał

pod ścianą, opierając się dłonią na poręczu krzesła. Cała jego postać zmieniała

się do niepoznania. Twarz mu pożółkła i wyschła jak pergamin, policzki się

zapadły, a oczy utonęły w swej głębokiej osadzie, rzucając dokoła na pół dzikie

i gorączkowe spojrzenia. Ubiór jego był za-

niedbany i brudny, nawet podarty. Widać w nim było człowieka, który jakieś

straszne przeżył koleje i wyszedł z nich z starganą duszą, z znękanem ciałem....

Nie będziemy tu obszernie opisywać wszystkich przejść Żagwina od czasu

ostatniego gwałtownego zajścia w domu Laury. Ograniczamy się tylko na

szczegółach, mających związek bezpośredni z sceną, którą nam opisać przyjdzie.

Żagwin w obłędzie swej namiętności do Laury, kupił od niej jej pretensje

pieniackie, mniemając, że kupuje sobie szczęście całego życia.
Wyliczył Laurze
dwadzieścia tysięcy dukatów. Suma ta była znacznie większą
niż cały jego
majątek. Ale Żagwin dobył największych wysileń, aby ją jak
najrychlej uzupełnić.
Nietylko że wyczerpał wszystkie swe zapasy w gotówce i
kosztownościach — ale
nadto zaciągnął jeszcze z pośpiechem pożyczkę. Ogołocił się
jednym słowem ze
wszystkiego, cokolwiek posiadał — dał więcej nawet niż
ciężki trud całego życia,
bo zaliczkę przyszłej swej pracy... Ale wówczas była to dla
niego tania cena..
Kiedy później od Laury zamiast spodziewanej ręki otrzymał
proste pokwitowanie
sprzedaży pretensyj, ujrzał się strasznie oszukany. Proces
był wątpliwy, można
go było Wygrać, ale przegrać było łatwiej. Żagwin znalazł się
prawie w
niedostatku. Do tego jeszcze dodać należy, że nieszczęśliwy
rabulista w
pierwszych tygodniach po owej scenie, która zgruchotała cały
gmach jego marzeń,
znalazł się w stanie prawdziwego szaleństwa.
Targany wściekłością, trawiony jadem i gorączką nie mógł
zebrać tyle spokoju,
aby pracować dalej w swym
zawodzie. Umysł jego stał się istnem piekłem — cała istota
rozkipiała szałem
gwałtownym. Zarzucił tedy prowadzone procesa, opuszczał
zwykłe sposobności

zarobku, poodstręczał od siebie strony. Dopiero gdy prawdziwy niedostatek dał się uczuć w jego domu, gdy z matką przeprowadzić się musiał do lichego pomieszkania i poznał, że niebawem z jego nagich kątów szczerzyć się będzie nędza — ochłonał nieco z namiętnego obłądu. Teraz dopiero rzucił się do procesu, który kupił od Laury. Uczuł, że musi go wygrać koniecznie, że od jego rozwiązania zależy odzyskanie tego, co okupił całym życiem podłości, szalbierstwa i chciwości.. I jakby cudem odzyskał Żagwin dawną swoją sprężystość, podnieconą jeszcze bardziej prawdziwą gorączką, która, paląc go chwilki spokoju mu nie dawała.... Zabiegom jego, na które się wysiliła cała jego zdolność rabulistyczna, udało się istotnie bieg procesu przyspieszyć, i cały spór na swoją przechylić stronę. Jeszcze przed zerwaniem stosunków z Laurą, uczynił był w tym celu pierwsze, przebiegle wykombinowane kroki, a teraz z gwałtowną natarczywością dążył do zakończenia sprawy. Nieobecność człowieka, o którego majątek chodziło i uwięzienie Zakruckiego, który jako jego przyjaciel i zastępca głównie powołanym był do obrony, ułatwiły Żagwinowi w wysokim stopniu zadanie. I oto właśnie zastajemy go przed sądem, czekającego na stanowczy wyrok. Ważność

chwili wybiła się osobnem piętnem na całej postaci Żagwina.
Drżał z
niecierpliwości,
z przyspieszonym tchem wyczekiwał zaczęcia rozprawy, a
rozognione oczy biegały
ustawicznie po sali, lub topiły swe spojrzenia w plikach
papierów, rozłożonych
na sądowym
stole.

Kiedy Zakrucki wszedł do sali, Żagwin poruszył się żywo z
miejsca i rzucił nań
spojrzenie groźne, namiętne, a po spiekłych ustach prześliznął
mu się uśmiech
jadowity. Odezwał się dzwonek prezesa i rozprawa się
rozpoczęła. Żagwin zabrał
głos i przebiegł po krótkce cały proces — a w każdym jego
ruchu znać było
febryczne rozdrażnienie. Po nim przemówił Zakrucki z
spokojem ale i z należą
energją, i usiłował rozbroić zarzuty Żagwina, dowodząc, że
starościna Łotocka
wydziedziczyła za życia jeszcze swą bratanicę, i że cały
majątek zapisała jej
mężowi. Testament nieboszczka spisała, lecz nie można go
było odszukać. W końcu
Zakrucki ofiarował ponowny dowód przez świadków, i żądał
w tym celu odroczenia
wyroku.
Na to słowo "odroczenie wyroku" skoczył Żagwin jak
oparzony.
— Fałszem jest — zawołał — jakoby starościna
wydziedziczyła swą córkę!

Przypuściwszy zresztą nawet, że fałsz ten jest prawdą, to jest:
że nieboszczka
chciała wydziedziczyć swą bratanicę, któż udowodni, że to
przed śmiercią
uczyniła, kto udowodni, że uczyniła to na rzecz jej męża?
Przypuściwszy nawet
dalej, że uczyniła swym spadkobiercą męża, co oczywistym
jest fałszem, gdyż
testament taki nie istnieje wcale — to i w takim razie nie
można odmówić prawa
dziedzictwa żonie. Mężem pokrzywdzonej był pan
Józef Promnicki... Pan Józef Promnicki wyemigrował, a nie
wróciwszy do kraju w
oznaczonym prawnie terminie, postradał prawo do swej
własności, którą windykuję
na rzecz istotnej właścicielki...
— Pan Józef Promnicki nie podpada rygorowi urzędowych
rozporządzeń — odparł
Zakrucki — w mojem bowiem ręku znajdują się dowody, że
rząd prolongował mu
pozwolenie pobytu za granicą...
Istotnie Zakrucki bez wiedzy swego przyjaciela postarał się o
uchylenie go z pod
rygoru surowego prawa emigracyjnego, wydanego przez rząd
austriacki po zajęciu
Galicii. Żagwin rzucił jadowite spojrzenie na Zakruckiego i
odpowiedział:
— A więc pan Józef Promnicki umarł! Trzy razy edyktalnie
go wzywano z okazji
właśnie tego procesu, a mimo to nie stawiał się. Prawnie
przyjmuję i twierdzę, że
rzeczony Promnicki umarł...

Zakrucki chciał odpowiedzieć, ale Żagwin nie dając mu
przyjść do słowa, prawil
szybko dalej:

— Cokolwiekbądź naprowadza strona przeciwna na swoją
obronę, wszystko to jest
właśnie obroną naszą! Jeżeli żyje Promnicki, nie ma prawa do
spadku, jeżeli
umarł, choćby je był miał, już je utracił. Z wszystkich
przypuszczeń podanych
przezemnie zaraz z początku tej rozprawy każda przemawia za
mną — sąd może w
nich wybierać do woli.... Proponuję atoli, aby przyjąć za fakt
prawnie
stwierdzony, że Józef Promnicki umarł...

. — Nie umarł! — zagrzmiął w tej chwili jakiś głos obcy od
drzwi sali.

Wszystkich oczy zwróciły się w stronę, z której głos
pochodził.

Do sali weszło całe grono niespodziewanych gości.

Wprowadził ich jeden z
urzędników feralnych, który zaraz pospieszył do stołu sędziów
i coś im z cicha
tłumaczyć począł.

Zakrucki z najwyższem zdziwieniem spojrział na grono, które
tak niespodziewanie
wejściem swem przerwało rozprawę... Istotnie był też wszelki
powód do
zdziwienia.

Na czele przybyłych wszedł mężczyzna po polsku ubrany z
dużym siwym wąsem i
obwiązaną głową. Był to nasz nieznajomy z nad Dniestru. Za
nim postępował

Tadeusz, a za Tadeuszem posuwał się zwolna z wystraszoną twarzą dziad Madej, ciągniony na siłę przez Dederkałę.

Nieznajomy zbliżył się szybkim krokiem do stołu sędziów.

— Promnicki! — zawołał nagle Znkrucki i porwał się z krzesła.

— Tak jest, jestem Józef Promnicki, który tu in contumaciam własności swej ma

być pozbawiony! Panie mecenasie — dodał zwracając się do Żagwina z uśmiechem —

mogę ci zaręczyć, że nie umarłem... Żagwin zbladł i zachwiał się na swem miejscu.

Lecz pomieszanie to chwilę tylko trwało... Nagle wyprostował się i ozwał z

uśmiechem szyderczym:

— Bardzo mnie cieszy, żeś pan nie umarł... Jesteś dla mnie i dla sądu

Piotrowinem bardzo pożądanym! Sprawa się wyjaśnia. Dobrze by było, gdybyś pan

był umarł, ale

lepiej jeszcze, że pan żyjesz. A więc pan Józef Promnicki mąż pani Laury z

Łotockich Promnickiej żyje! Czy ten żyjący pan Promnicki ma jaki tytuł z

pokrewieństwa do spadku po staroście Łotockiej? Nie.

Prawo to ma jego żona.

Czy pan Promnicki ma inny tytuł do spadkobierstwa, np. tytuł ostatniej woli

nieboszczki? Nie. Ostatniej woli nie ma. Pan Promnicki tedy nie ma najmniejszego

prawa do dóbr Śp. starościny, a sąd raczy orzec to bez

niepotrzebnej zwłoki swym

sprawiedliwym wyrokiem!

— Mam prawo... — zaczął Promnicki.
— Masz pan testament? — przerwał szybko Żagwin. — Nie!
Nie ma testamentu — a
więc nie ma żadnego innego tytułu!
W tej chwili wysunął się naprzód pan Krzysztof Dederkało,
ciągnąc za sobą dziada
Madeja, który drżąc ze strachu wśród pokornych ukłonów
chciał się cofnąć ku
drzwiom. Trzymając silnie dziad. a za ramię, pan Dederkało
wyprostował się,
odchrząknął i tubalnym głosem według zarwanej trochę
praktyki trybunalskiej
zawołał:
— Protestuje się, jakoby nie było żadnego prawa! Protestuje
się, jakoby nie
było testamentu. Testament jest!! Żagwin rzucił wściekle
spojrzenie na Dederkałę,
i rzekł:
— Wtargnęły do sali sądowej jakieś niepowołane indywidua,
które tok
sprawiedliwości gwałtem i burdą przerwać zamyślają! Proszę
o bezzwłoczne ich
wydalenie!
— Protestuje się nie powołane indywidua! Protestuje się
wydalenie! — huknął pan
Krzysztof jeszcze głośniejszym głosem — Wysoki trybunale, ja Krzysztof
Dederkało
przyprowaǳiłem tego.
tu oto obecnego świadka, który ma w swoim ręku testament
śp. JW. starościny
Łotockiej! I wskazawszy na Madeja zawołał:
— Madeju mów!

Madej skłonił się do samej ziemi, a wyciągnąwszy jakiś
zżółkły papier z zanadrza
podał go sędziom.

— Ten papier, najjaśniejsi, miłosierni panowie, znalazłem w
klęczniku starym...

— rzekł nieśmiało.

— W tym samym klęczniku, na którym modliła się Śp. JW.
starościna jeszcze dzień
przed swoją śmiercią! — dodał Dederkało., Żagwin pobladł i
oniemiał. Nagle
skoczył z miejsca i syknął:

— Gotuje się tu jakaś szalbiercza komedja, która dąży do
mylenia trybunału!

Proszę powtórnie o wydalenie tych obu indywiduów!

A potem przystąpiwszy szybko do Madeja, chwycił go
gwałtownie za ramię, utopił
weń swój wzrok przenikliwy i zawołał:

— Kto jesteś włóczęgo i kto cię namówił do oszustwa?

Zagadniony tak nagle Madej
skurczył się z trwogi we

dwoje i odpowiedział pomieszonym głosem:

— Madej jestem, jaśnie panie!...

— Hultaj jesteś i szalbierz! Zkąd pochodzisz, czem się
trudnisz ?

Madej przestraszony nie zdołał nic odpowiedzieć.

Tymczasem sędziowie przeglądnęli złożony przez Madeja
dokument i uznali w nim
formalny testament, podpisany przez świadków, z których
jeden był jeszcze przy
życiu.

— Zaprzestań pan — ozwał się jeden z sędziów — sąd sam
człowieka tego wybada.

I dał znak rozjątrzonemu Żagwinowi, aby udał się na swoje miejsce.

— Jak się nazywasz ? — zapytał sędziego Madeja.

— Madej, jaśnie panie senatorze! — odpowiedział Madej garbiąc się do najniższego ukłonu...

— A twoje imię i miejsce pochodzenia ?

— Ja biedny dziad jestem, którego z łaski przyjęli miłosierni dobrodzieje...

Madejem mnie nazywają ludzie, bo pod tem imieniem zebrałem po odpustach...

— Więc to nie jest twoje prawdziwe nazwisko?

— Zwracam uwagę — odezwał się Żagwin — i sprawdzam, że stanął przed sądem nie zasługujący na wiarę włóczęga i żebrak, który nawet, jak się pokazuje, fałszywe przybrał nazwisko.

— Twoje nazwisko ? — powtórzył zapytanie sędziego. Dziad rzucił się teraz w najwyższej trwodze na kolana i zawołał błagalnym głosem:

— Miejcie litość nademną, jaśnie państwo! Ja nie złego nie zrobiłem! Ja biedny, nędzny człowiek uciekłem przed plagami z mojej wsi i zebrząc po chatach Madejem się nazwałem. Ja się nazywam prawdziwie... Zachary Żagwin! W tej chwili głuchy stuk odezwał się w sali...

To Żagwin zataczając się obalił stół, o który byłoparty.

Twarz jego okryła się trupią bledością, włosy mu się najeżyły na głowie, a oczy wydarły się na wierzch...

— Mój ojciec!... — szepnął złamanym głosem.

Natura jego, tak silna i wytrwała dotąd, nie mogła się oprzeć
tyłu silnym
wzruszeniom..

W oczach zrobiło mu się ciemno, nogi mu odmówiły posług, i
padł jak bez duszy na
ziemię...

Zrobił się ruch w sali. Wszyscy pospieszyli na ratunek
zemdłonemu... Musiano go
wynieść — a rozprawa została odroczonej...

Kiedy Zakrucki wyszedł pod eskortą żołnierza na korytarz,
przypadł doń Promnicki
i rzucił mu się w objęcia...

Powitanie obu dawnych przyjaciół i towarzyszków broni było
pełne serdecznego
uniesienia...

I Tadeusz zbliżył się do Zakruckiego i prawie z płaczem
uściskał mu kolana...

Zakrucki przyciskał go do swej piersi z rozrzewnieniem i
całował jego głowę.

— Tadeuszu, czy czujesz jeszcze żal do mnie — zapytał
Zakrucki — przepraszam
cię za mój list, przebacz mi synu drogi!

— Ojczy! ty mnie przebacz! — zawołał Tadeusz i całował
dłoń starca.

— Puśćmy w niepamięć tę sprawę, która ci tyle przykrości
sprawić musiała —

rzekł Zakrucki — proces z Naftalem skończył się pomyślnie...

— Dowiedziałem się o tem dziś właśnie... Fałszerstwo
zostało uznanem — odrzekł
Tadeusz.

— Do ostatniej chwili ważyła się szala — mówił dalej
Zakrucki — dopiero

zeznanie dyrektora teatru Bogusławskiego przechyliło ją na stronę słuszności.

Bogusławskiemu winniśmy wdzięczność, on nas uchronił przed sidłami szalbierza.

W tej chwili nadzorca dał znak Zakruckiemu, że dłużej czekać nie może, a więzień

oderwał się od drogich osób i ruszył do ciemnej swej celi.

Ale zaledwie znalazł się w głuchych ścianach swej karni — gdy znowu odwołano go do przełożonego więzienia.

— Dzisiejszy dzień bardzo bogaty w wypadki! — rzekł sam do siebie Zakrucki —

jakżeż po nim wyglądać będą długie, ciche godziny samotności...

I biedny więzień westchnął.

Gdy stanął w kancelarji, urzędnik przywitał go temi słowy:

— Panie Zakrucki! Miło mi zwiastować panu dobrą nowinę! Pan jesteś wolnym!

— Wolnym! — powtórzył z radosnemi zdumieniem Zakrucki i spojrzał prawie niedowierzająco na urzędnika.

— Tak, jesteś pan wolnym, a zawdzięczasz to jedynie panu prezydentowi — von Stahlen!...

— I duchowi jego szlachetnego syna! — dodał Zakrucki z cicha...

XXI.

ZEMSTA LICHWIARZA.

Wszyscy, z wyjątkiem najmłodszego pokolenia, pamiętamy stary teatr lwowski, po którym dziś już ani śladu nie ma. W czasie naszego opowiadania teatr ten od

niedawna dopiero służył za przybytek Melpomeny. Przed
kilku jeszcze laty był on
świątynią. Jak wiadomo, teatr ten urządzonym został w
kościelie św. Krzyża,
należącym dawniej do . Franciszkanów.
Wprowadzimy czytelnika do wnętrza tego gmachu.
Nowe jego przeznaczenie nie zatarło jeszcze zupełnie śladów
dawnego. Sala
teatralna przypominała każdym swym łukiem i gzymsem
kościół. Sama przestrzeń
dawniejszej świątyni, długa a wązka, pozostała ta sama i tylko
rzędy krzesel
parterowych zastąpiły ławki kościelne. Do poważnych ścian
przyczepiły się
barwnymi klatkami loże — a na gzymsach oparł się nowy
plafond, który odciął cały
górný strop kościoła i zasłonił jego sklepienia. Utworzony tym
sposobem strych,
oświetlony przedziwnie oknami gotyckimi, służył dziś za
salę do malowania
dekoracji, nad którymi pracował słynny malarz Smuglewicz.
Dziwnie wyglądała ta sala tak obcesowo i dorywczo ku
nowemu celowi
przekształcona!
Było to już pod wieczór — a gmach cały był pusty Światło
skąpo przedzierało się
z dworu — a po całej sali rozlegał się ponury brzask, w
którego cieniach kościół
zdawał się otrząsać z siebie swój strój nowy a przyoblekać się
w dawną poważną
szatę... Niknęły loże wśród cieni kościelnych słupów, krzesła
przybierały postać

dawnych ław kościelnych, a scena, która zajmowała miejsce,
gdzie niegdyś
znajdował się wielki ołtarz, sprawiała wrażenie, jakby ołtarz
ten stał jeszcze i
tylko tak grubym osłaniał się cieniem...
Z całego gmachu wiała jakaś surowa powaga a po szarych
wysokich ścianach niktby
był nie odgadł, że odbijały się o nie przed chwilą wesołe echa
teatralnych
igraszek, skoczny takt baletowej muzyki... Światowe dźwięki
głuchły na tych
ścianach, tak jak odpadały od nich nowe ozdoby i emblemata,
które nie zdołały
zetrzeć dawnego piętna... Dziwną była postać tego teatru przez
fantastyczny
kontrast świeżej jego przeszłości z teraźniejszością, a
osobliwie w owych
czasach, kiedy i wspomnienie dawnego kościoła było bliższe i
jego
przekształcenie mniej dostateczne. Poźniej teatr w
pofranciszkańskim kościele
uległ gruntowniejszym zmianom i stracił tę początkową
dziwną cechę...
Gdyby kto w tej wieczornej chwili znalazł się w tych murach
pustych, szarym
brzaskiem osutych, byłby może pod wrażeniem ich powagi,
ukłękł naprzeciw
miejsca, gdzie wznosił się ołtarz główny i byłby modlił się
może przed —
deskami, na których niedawno odbywały się wesołe żarty
komedji, lub swawolnym
płąsem suwały się lekko stopy tancerek, ku którym brzmiał
śmiech rozbawionych

widzów i zwracały się ich okrzyki i brawa...
Z tego wrażenia atoli można się było rychło otrząść, gdyż
naram wśród ciszy
gmachu ozwały się wesołe głosy i śmiechy... Słysząc było, jak
za ścianą dawnego
kościółka po kamiennej posadzce tętniły kroki i gubiły się
gdzieś obok wielkiego
ołtarza, z kąd dolatywało echo śmiechów i wesołej rozmowy.
To aktorowie i aktorki
spieszyli na próbę i przerwali swą rozmowę ciszę kościoła -
teatru. Tuż obok
sceny, czyli dawniejszego wielkiego ołtarza, znajdował się
mały, sklepiony
pokój. Był to niegdyś skarbiec kościoła, który służył dziś za
garderobę. W
garderobie tej zastajemy całe grono kobiet i mężczyzn.
Dwoje większych rozmiarów okien gotyckich oświetlało
dostatecznie ten pokój,
które ściany zachowały jeszcze dawną szarą barwę a tu i
owdzie także dawne do
połowy tylko zatarte napisy łacińskie. Tuż obok tych napisów
wisiały zwierciadła
a do tych zwierciadeł zaglądały postrojone damy, otoczone
gronem mężczyzn, z
którymi wesołą i żartobliwą prowadziły rozmowę. Miano
odbywać próbę z komedijki.
"Miłość i tajemnica" — a aktorowie i aktorki to recytowali
swe role, to nucili
półgłosem przypadające na nich śpiewki, to znowu przerywali
sobie nawzajem
pustym śmiechem i wesołymi żartami.
Jedna z młodych aktorek stanęła sobie na środku garderoby, a
zaglądając do swego

zwitku i nućąc, powtarzała
sobie piosnkę, która wieczór śpiewać miała przed
publicznością.

— Szukam w miłości — różnaitości — romansy liczne —
zajścia komiczne.. Panie
Mierzyński, jeśli pan tak nie będziesz umiał roli jak zeszłego
przedstawienia,
cała grę mi popsujesz!

— Piesza podróż jest wesoła — i bardzo mało kosztuje —
Nie ugrzęzną w błocie
koła — ani się resor popsuje... Niech no Waćpanna tylko nie
patrzy tak na ową
skrajną lożę po lewej — a nie wypadniesz pewnie z roli...

— A do kogo to pani zagląda ? Trzeba poskarżyć dyrektorowi
! Tak to, tak,
zamiast do amanta na scenie wzdycha się do loży! O
Angelino! — ten głos, to echo
— jest tu pociechą — moją jedyną...

— Gdzie sufler? Gdzie jest pan Fularkiewicz! Panie
Fularkiewicz!

— Tu jestem! — ozwał się głos nieco ochrypły z kąta pokoju.

— Panie Fularkiewicz, co z Waćpana za sufler, drzymiesz w
budce, a pozawczoraj
zamiast drugiego aktu sufłowałeś mi pierwszy.

— Panie Fularkiewicz, ja panu czuprynę oskubię, zamiast
pomagać, mylisz mnie
tylko bardziej!

I wszyscy otoczyli do koła suflera, krzycząc nań i obrzucając
skargami. Pan

Fularkiewicz, człowieczek mały, chudy, szpakowaty, z bladą
piegowatą twarzą i

zgarbionemi barkami, machnął ręką i zawołał swym
bezdźwięcznym, rozbitym głosem:

— At pretensje niesprawiedliwe, moje państwo! Nikt się roli nie uczy, a potem sufler winien! Ja sobie mało płuc nie zerwę, a jeszcze krzyczycie, że źle... A

czy to dawno temu, jak za pana Każyńskiego cały monolog wydeklamowałem, za co mi publiczność brawo data?

— A pozawczoraj, czyż pan nie zbałamucił Owskińskiego?

— Wczoraj, hm, wczoraj, to co innego było! Ale żebym to ja z was kogo do mojej budy wsadził, ciekawym, czyby żywcem jeszcze z niej się wydostał!

— Oho, a to dla czego ?

— Z was moi państwo żadne nie miałyby odwagi posiedzieć tam i minutki! Coż to czy nie wiecie, co to dawniej było w tym teatrze?

— Kościoł... No i to cię tak zbija z kontenansu! Gdyby to była dawniej winiarnia, byłbyś śmielszym!

— A co było tam gdzie teraz scena? — zapytał dalej sufler puszczając mimo uszu aluzję — wielki ołtarz! A pod wielkimi ołtarzami bywały zawsze grobowce!

— Cha, cha, cha — co też ty pleciesz, panie Fularkiewicz!

— A ja wam powiadam, że tam do dziś dnia są jeszcze groby! Ja tam już sam nigdy nie będę siedział; na przyszły wieczór wezmę z sobą lampiarza. Pozawczoraj, kiedy to mówicie państwo, że Owskińskiego zbałamucił, to mało nie zginąłem ze strachu. Wypadła mi była w międzyakcie książka i musiałem leżeć na dół ze świecą!

aby jej poszukać. Brrr! Jak tam strasznie pod tą sceną. Loch ogromny, ciemny, wilgotny, i trupie powietrze dokoła... Kiedy szukałem książki, patrzę, aż tam w drugim końcu coś się czarnieje!...

— I coż to było? — zapytało rozciekawione grono.

— Co było i Trumna, duża trumna!,...

— Ot przywidziało ci się! Gdybyś się pan nie leczył ciągle winem na chrypkę, nie byłbyś widział tej trumny!

— Nie przywidziało mi się, a tego wieczora nawet chrypki nie miałem... Ale była to trumna, na to przysięgnę, bom doskonale rozeznał....

— A w trumnie co było?

— Idź waćpanna zagładnij, kiedyś ciekawa. Ja wiem przynajmniej, że trumna w grobie nie bywa nigdy bez nieboszczyka....

— Strzeżże się Waćpan! — zawołała jedna z aktorek do swego kolegi — jak będziesz grał ducha w Hamlecie! Anuż cię tam na spodzie jaki nieboszczyk zatrzyma...

— Byleby tylko waćpanny kiedy nie schwycił! Nieboszczykowi może się nudzi w lochu, i zechce postarać się o towarzyszkę....

— Tylko go nie wyzywajcie, bośmy zaledwie na kilka kroków od niego!

Aktorki mimowolnie zadrżały i cofnęły się na drugi koniec garderoby, gdy wtem wszedł sam dyrektor.

— Panie dyrektorze! Pan Fularkiewicz straszne rzeczy nam tu opowiada!

— Jako ? Czy może znowu widział z swej budki jakiego nieboszczyka?

— Więc dyrektor wie o tem! Mówże dyrektorze, czy to może być prawdą? — zapytała jedna z aktorek.

— Fularkiewicz opowiadał mi to zaraz tego samego wieczora — odpowiedział

Bogusławski — ot zwyczajnie strach ma wielkie oczy, a Fularkiewicza strach zebrał w lochu. A waćpanna na prawdę się boisz? Ten nieboszczyk wie, że pani tylko żywych lubisz....

— Pan dyrektor żartuje, a to naprawdę okropne są rzeczy! A my na grobach i trumnach tańcować musimy!...

— Ja nic nie wiem, tylko tyle, że gramy w dawnym kościele. Kiedy byłem niedawno u pani hrabiny M., i zapytałem tę nabożną matronę, czemu nigdy nie bywa teraz w teatrze, podczas gdy do amfiteatru w ogrodzie Jabłonowskich bez przerwy uczęszczała, odebrałem taką odpowiedź: Daruj waćpan, nigdy nie zdołam przenieść na sobie, abym się miała śmiać i światowością bawić w tem miejscu, gdzie niedawno słuchając mszy świętej, na kolanach Stwórcę wielbiła !

— Coż dopiero my, co tu grać, śpiewać i tańczyć musimy ! — zawołała aktorka.

— Otoż widzisz waćpanna, zaraz z tego nauka! Nie trzeba rzucać ze sceny oczkami po łóżach i po paniczach, a natomiast trzeba poważnie swój zawód pojmować, to

się nie sprofanuje ani murów kościoła ani grobowca
nieboszczyków... —
odpowiedział z uśmiechem Bogusławski. — Pamiętaj pani, że
gdy zamiast sztuki
myśli światowe zaprzątną ci główkę, kto wie, czy ci jaki
nieboszczyk nie każe z
sobą w lochu odprawiać rekolekcij!... Ale dajmy
pokój tym obawom. Moi państwo, do próby. Jak sobie
powarzą głowy ponuremi
myślami, Miłość i tajemnica nie dobrze na tem wyjdzie!
I skinąwszy ręką na całe grono, udał się Bogusławski przez
ciasny przechód i
kulisy na scenę, a za nim ruszyli aktorowie i aktorki. Sufler
Fularkiewicz o
tyle przewyciężył swą trwożę, że wsunął nogi do budki, ale
za to głowę wystawił
wysoko w górę i oburącz trzymał się desek sceny, jakby się
istotnie obawiał, aby
go upiór jaki nie pociągnął za sobą w ciemności grobowe....
Rozpoczęła się próba — lecz zaledwie uporano się z połową
pierwszego aktu, gdy w
garderobie odezwał się głośnie echem chód ludzi.
— Czy jest pan dyrektor Bogusławski? — zapytał ktoś obcy z
po za kulis.
— Jestem — odparł dyrektor i wyszedł ze sceny.
W garderobie zastał wcale nie spodziewanych i nie miłych
gości. Był tam urzędnik
z woźnym i dwoma policjantami.
— Czy panowie do mnie? — zapytał Bogusławski
spozierając z zdziwieniem na
policjantów.
— Do pana i po pana — odpowiedział urzędnik.
— A to w jakiej sprawie?

— W sprawie długu Naftala, który wyrobił areszt na pańską własność i na pańska osobę... Pan będziesz łaskaw być obecnym przy opieczętowaniu pańskiej garderoby i składu dekoracji....

— Jakto, toż ja garderoby i dekoracji potrzebuję codziennie....

— Będziesz się pan musiał obejść bez nich... Zafantowanych przezemnie na rzecz wierzyciela przedmiotów używać panu nie wolno.... Proszę za nami....

Bogusławski prawie oniemiał. Nie był on nigdy przygotowanym na podobne kroki.

Wprawdzie obawiał się codziennie egzekucji długu, nie przypuszczał wszakże aby jej tak surową nadano formę.

— Zdaje mi się mój panie — odezwał się po chwili — ze wystarczał prosty nakaz zapłaty... Dopiero, gdyby nakazowi temu nie stało się zadość, mogłyby nastąpić tak bezwzględne środki...

— Nie ja, ale pan sam jesteś temu winien. Pan to poddałeś się w swym skrypcie, wystawionym wierzycielowi, takim surowym warunkom....

— Niestety! Przypominam sobie! — szepnął zafrasowany dyrektor. — Opisałem się Belzebubowi — teraz Belzebub staje przedemną z cyrografem! Gdzież jest wierzyciel, Naftal?

— Znajduje się teraz właśnie w pańskim pomieszkaniu, gdzie zajęty zatradowaniem pańskich ruchomości.

Nie było innego sposobu, jak tylko poddać się smutnemu losowi. Bogusławski

odesłał do domu swych aktorów, którym tym razem stanęli na
drodze zawodu nie
umarli ale żywi... Sam zaś towarzyszył urzędnikowi przy
opieczątowaniu garderoby
i dekoracji, a po ukończeniu tej smutnej ceremonji, która
smutkiem i
zmartwieniem prze-
jęła biednego artystę, udał się w niemiłym gronie do swego
pomieszkania.
Los, jaki teraz spotykał Bogusławskiego, był gorzkim
dopełnieniem całego pasma
niepowodzeń i zawodów. Stosunki teatru polskiego zmieniły
się od niejakiego
czasu w najsmutniejszy sposób, a publiczność galicyjska, do
niedawna tak pełna
zapału dla sceny polskiej, zaprzestała go prawie zupełnie
wspierać. Bogusławski
usiłował przewyciężyć tę oziębłość dla sztuki ojczystej — ale
mimo
niezmordowanych starań i znakomitych swych zdolności nie
zdołał rozbudzić
zajęcia publiczności lwowskiej, której podówczas udział dla
rzeczy swojskich i
celów patriotycznych o tyle był obowiązkiem, o ile dyktował
go chwilowy szal —
mody....
W teatrze bywały ciągle pustki. Wprawdzie znalazło się kilka
osób, które
pospieszyły zasiłkiem dla biednej sceny, będącej podówczas
jedynym organem
polskiej myśli, jedynym przybytkiem, w którym publicznie
brzmiało polskie

słowo... Hrabia Potocki otworzył Bogusławskiemu kredyt,
oświadczając gotowość
ręczyć za jego wypłacalność swojemi dobrami, z czego jednak
pełen dumy i
delikatnych względów artysta nigdy prawie nie korzystał, a
pani Wielhorska,
kuchmistrzynie koronna, Francuzka rodem, ofiarowała mu była
nawet swe klejnoty do
ułatwienia pożyczki. Inni składali bezimiennie datki w kasie
teatralnej, jak np.
pewien prałat dukatów, a jakiś szlachcic .
Ale wszystkie te zasiłki zamiast wesprzeć Bogusławskiego,
tylko tem przykrzej go
dotykały. Wiedział bowiem, że teatr,
jako instytucja narodowa, stać powinna publicznym udziałem
wszystkich, a nie
jałmużną kilku gorliwszych osób. Wzgląd ten połączony z
szlachetną ambicją,
kazał Bogusławskiemu w wsparciach takich widzieć tylko
upokorzenie, tylko
szyderstwo losu...
Wśród tak opłakanych stosunków nie było dziwnem, że
Bogusławski nie mógł
zapłacić owego nieszczęsnego długu Naftalowi. Znamy już
całą historję tej
sprawy. Zaraz w tydzień po owem zajściu z Naftalem i
Tadeuszem, otrzymał
Bogusławski wezwanie do sadu. Wieść o procesie rozbiegła
się po całym Lwowie i
rozbudziła do wysokiego stopnia ciekawość publiczności. To
tez gdy Bogusławski
stanął przed sądem — cała prawie sala była przepelniona
wiedzami....

Bogusławski wystąpił z godnością przed sądem. Zeznał tak, jak mu sumienie dyktowało. Oświadczył, że podpisu Zakruckiego nie widział, ponieważ w czasie używania obligu za formularz, był innym papierem zakryty i że sumy wypisanej na obligu wcale nie uważał i nie pamięta. Kiedy jeden z konsyljarzy uważał za stosowne powątpiewać o prawdzie tych zeznań i wypaliwszy sążnistą przemowę, począł Bogusławskiemu zadawać krzyżujące się pytania, aby go zmieszać i poplątać — Bogusławski wystąpił z taką godnością i tak stanowczym tonem odparł insynuacje, że natychmiast uwolniono go od dalszego badania. Publiczność, która tyle razy widziała na scenie aktora, widziała teraz w życiu człowieka — a jeżeli aktor posiadał już uznanie i sympatje, człowiek tem większy jeszcze pozyskał szacunek. Naftal przegrał proces a nadto uwikłał się w niebezpieczne podejrzenie fałszerstwa. Byłby też niezawodnie odniósł słuszną karę, gdyby nie zręczność i przebiegłość Żagwina, który jak już nam wiadomo był jego rzecznikiem. Żagwin nie zaparł ani sprytu ani talentu, z którego tak słynął we Lwowie, i uzyskał dla swego klienta uwolnienie od zarzutu oszustwa. Naftal rzucił się zaraz do wszelkich możliwych s'rodków, aby się pomścić na Bogusławskim. Nie potrzebował szukać sposobności; miał ją bowiem już w ręku.

Natychmiast wyrobił sobie u sądów prawo zatradowania całego majątku Bogusławskiego. Cios ten trafił Bogusławskiego w najkrytyczniejszej chwili — a odbierał mu zarazem wszelką możliwość egzystencji, gdyż jak już wiemy opieczętowano mu dekoracje i garderobę i zakazano ich używać.

Kiedy Bogusławski wraz z swymi nieproszonymi towarzyszami stanął w swem pomieszkaniu, zastał już tam Naftalą, który przy pomocy dwóch woźnych gospodarował w pokojach. Wszystko cokolwiek stanowiło jego własność, nie wyłączając biblioteki teatralnej, zostało opieczętowanem. Naftal powitał Bogusławskiego szyderskim, jadowitym uśmiechem. Dyrektor spojrział nań z oburzeniem.

— Panie Naftal — rzekł przymuszając się do spokoju — ja ci zaraz dziś, jutro najdalej wypłacę, ale wstrzymaj się z fantowaniem... Nie będziesz tego żałował, wynagrodzę cię za to sowicie... Uczyń mi tę grzeczność, zapłacę ci za nią.

— Ja także raz jednego pana prosiłem o grzeczność i chciałem zapłacić za nią, ale nie mogłem uprosić — odparł żyd i z rozkoszą zemsty łypnął siwemi oczyma.

— Tyś nie prosił o grzeczność ale o szalbierstwo! To rzecz inna! Ja nie chcę zwłoki za darmo, zapłacę za nią.

. — Szalbierstwo! — powtórzył Naftal i znowu się zaśmiał po swojemu — Szalbierz

prosił grzeczności daremnie, niech teraz grzeczność daremnie puka do szalbierza!

— Ależ ty nigdy swych pieniędzy nie dostaniesz, jeżeli mi teatralne rekwizyta nie zostaną zwrócone. Odbierasz mi możliwość zarobku a więc i możliwość wypłaty...

— Ja to sobie sprzedam. Ja stracę na tych komedjanckich rupieciach, ale czy ja już jedno stracił na panu! Ja przez pana stracił dziesięć tysięcy dukatów!

Bogusławski chwycił za kapelusz.

— Dobrze więc! Zapłacę ci zaraz. Za chwilę otrzymasz pieniądze, Manicheuszu!

Bogusławski umyślił poświęcić swą drażliwą ambicję i udać się z prośbą do

któregoś z znajomej sobie szlachty, byleby się wydrzeć ze szponów niegodziwego

lichwiarza. Ledwie jednak na krok posunął się ku drzwiom, gdy mu Naftal zastąpił drogę.

— A to gdzie, kto panu pozwolił? — syknął do niego jak gadzina.

— Coż to znaczy oszuście?

— Proszę bardzo nie obrażać! — zawołał Naftal — pan mnie chciałeś zrobić

oszustem, ale się nie udało! Pan nie

możesz wyjść sam na miasto! Ja panu nie pozwalam!

Wyrobiłem sobie areszt na

pańską osobę! Bogusławski stanął jak skamieniały.

— Ale ja jestem szlachetny człowiek — mówił dalej żyd z szyderskim śmiechem,

pastwiąc się nad swą ofiarą — ja panu pozwolę wyjść na miasto, ale dodam panu dwóch policjantów jako straż honorową !...

I wybuchł głośnym śmiechem.

— Czy to być może? — zapytał Bogusławski urzędnika drząc z gniewu i oburzenia.

Urzędnik milcząc skłonił głową na znak potwierdzenia.

Bogusławski padł jak zemdlony na krzesło. Straż, bez której nie wolno mu było

wychodzić do miasta, wydała mu się przy wielkiej jego drażliwości wstydem, hańbą

niemal. Widział się teraz uwięzionym, a tem samem pozbawionym możności wydobyć się z tak fatalnego położenia.

Naftal uważał to zmartwienie dyrektora i po ustach przebiegał mu uśmiech

zadowolenia.

— Już wszystko skończone — rzekł po chwili — żegnam pana. Wychodzić panu wolno, ale tylko z tymi dwoma panami.

I wskazał na policjantów, którzy rozgospodarowali się jakby do dłuższego pobytu

w przedpokoju. Potem ukłonił się raz jeszcze z szyderczą grzecznością i wyszedł

wraz z urzędnikiem i woźnymi...

Bogusławski począł się przechadzać po pokoju. Był w stanie przykrego

rozdrażnienia — serce jego przepełnione było goryczą. Po tyluletnich

wysileniach, po długiej walce i pracy

ujrzał się opuszczonym nędzarzem. Cały byt jego i jego towarzyszy, z którymi

razem pracował na polu sztuki, został zachwiany, a nie było
żadnej nadziei
ratunku. Choć już oswojony z niepowodzeniami
najrozmaitszego rodzaju — nie mógł
się oprzeć zwątpieniu...

Podczas gdy się tak przechadzał wśród najprzykrzejszej
zadumy, ktoś z
nadzwyczajnym pośpiechem i głośnym trzaskiem wpadł do
pokoju. Bogusławski ocknął
się z zamyślenia i ujrzał przed sobą faktora teatralnego,
znanego już naszym
czytelnikom Dawidka.

Dawidek był czerwony jak burak, oczy świeciły mu się
dziwnym blaskiem, pot lał
mu się z czoła a piersi mu głośno dyszały...

— Całuję nóżki wielmożnego pana dyrektora, jak się pan
dyrektor dobrodziej
miewa ! — wybełkotał szybko i z wesołym uśmiechem na
czerwonej twarzy.

— Ot widzisz jak, Dawidku — odparł Bogusławski
wskazując na świeże pieczętki i
na straż w przedpokoju.

— Nu! ja wiem o tem wszystkim! — zawołał Dawidek —
pana dyrektora
zapieczętowali, zatradowali, zaaresztowali, ja wiem wszystko!
I począł się śmiać wesoło.

— Czyś ty oszalał żydzie! — rzekł Bogusławski patrząc z
zdziwieniem na Dawidka.

— Mało co tego nie było z radości, z wielkiej radości Panie
dyrektorze, wielka
nowina się stała!

— Ale coż tobie takiego, mów! Dawidek odsapnął i zawołał:

— Wielka nowina i bardzo dobra. Pan wie, że ja mam żonę

— ale pan moie nie wie,
że moja żona miała matkę!

— Oszalał.. — mruknął dyrektor patrząc na żyda.

— Ta matka umarła i cały swój majątek zapisała mojej żonie!

— A to wiesz ci!

— A co, jak to dobrze — mówił dalej żydek — że pana
dyrektora zatrudniali!

— Ależ człowieku, radość ci rozum odebrała, kiedy to za coś
dobrego uważasz!

— A to nic dobrego, że Dawidek ma teraz pieniądze i ie
Dawidek zapłaci zaraz za
pana Naftalowi! — zawołał żyd i spojrział z tryumfem na
Bogusławskiego.

— Tak jest, proszę pana — mówił dalej — ja zaraz te
pieniądze panu pożyczę!

— Ale ja wyjeżdżam za miesiąc na zawsze ze Lwowa, a w
tym czasie oddać ci ich
nie mogę...

— Nu, co to znaczy! A gdzie pan jedzie?

— Do Warszawy.

— Ja pojedę z panem do Warszawy, pan mi tam odda
pieniądze i będzie kwita. A
co, nie wielka nowina się stała?

— Poczciwy jesteś Dawidku. Zgadzą się i dziękuję ci z
góry za tę usługę.

— Ja biegnę zaraz do Naftala i zaraz mu płace. Ja wrócę za
pół godziny i zaraz
tych dwóch policjantów wyproszę! — zawołał Dawidek i
odsapnąwszy z całej piersi
wybiegł z pokoju.

XXII.

REDUTA.

Świat modny lwowski obchodził dzień uroczysty... Wszystko,
co tylko należało do
tego świata, było tego dnia w ogromnym ruchu i zajęciu.
Przez trzy poprzednie
dnie spoczywały salony, ucichły zabawy, ustały wesołe
schadzki — a mówiono tylko
o dniu czwartym i przygotowywano się do jego uroczystości.
Dzień ten miał
uwieńczyć cały nieprzeliczony szereg uciech i zabaw
lwowskich, miał ostatnim
wybuchem szału pożegnać zeszły sezon salonowy i dopełnić
miłych wspomnień
eleganckiego świata, który bądź to przez nadejście letniej
pory, bądź z powodu
przycichnięcia burz wojennych w znacznej swej części
gotował się do opuszczenia
galicyjskiej stolicy.
Lwów, ów wielki podówczas hotel dla przejezdnych z całej
Polski, ów piec
galicyjski, za którym tak wygodnie przeczekano sobie, aż
przegrzmia pioruny i
zamilkną jęki narodu, miał się niebawem wypróżnić... Zadanie
swe właściwe,
zadanie zapiecka dla tchórzów, swobodnego kąta dla zbiegów
z pod narodowego
sztandaru, dla maroderów i tak zwanych "spokojnych ludzi",
karczmy hucznej dla
birbanckiej gawiedzi, szulerni dla magnacików, lesbijskiej
świątyni miłosnej dla pięknych i rozkosznych pań salonowych
— spełnił Lwów
wybornie, a wszyscy, którzy go w takiej odwiedzili myśli,
opuszczali go z żalem

i najmilszymi wspomnieniami...

Na neutralnym jego bruku, jakgdyby na ubitym już grobie narodowym, umiano sobie urządzić doskonałą, zaciszną a wesołą salę balową, na której przehasano słodko ostatnie dni walki i grozy okropnej... Dziś, kiedy po zdławieniu ostatniego bojowego hasła, po skruszeniu ostatniego oręża, ciężka, żelazna stopa przemocy ubiła ziemię na grobie całej reszty Polski, otwarły się granice dla bohaterów i bohaterek wesołego lwowskiego życia, i można było wracać do domu z miłą, wygodną, "neutralną" galicyjską stolicą....

Nim ją atoli opuszczono, miano się jeszcze wesoło pożegnać. Oznaczywszy termin wyjazdu, salonowe kółka ułożyły cały program pożegnawczych uciech i zabaw. Na zakończenie tych zabaw, na dopełnienie całego programu ostatnim toastem szau urządzono redutę...

I oto, dlaczego dzień był uroczysty we Lwowie!... Reduta miała być przepyszna — a salony trzy dni przygotowywały się do tej ostatniej hucznej maszkarady...

Jakoż nie zawiedziono się w oczekiwaniach, reduta była dostatecznie świetną, aby w niejednej czczej duszy męskiej, w niejednym pustym sercu kobiecym stanowić najważniejszy epizod, nawet osobną epokę całego żywota... Nie będziemy się dłużej rozwodzić nad przygotowaniem, które się złożyły na tak historyczny dzień w życiu modnego

Lwowa, nad nadziejami, których spełnienie zamykać miała w sobie sławna
maszkarada, nad romansowemi intrygami, które tej nocy
dojrzeć i najśliczniej
rozwiązać się miały. Przejdziemy wprost do samej reduty i
wprowadzimy na nią
naszych czytelników.
Sala redutowa znajdowała się tuż przy starym teatrze,
stanowiąc z nim gmach
jeden. Lwów pamięta ją jeszcze dobrze, gdyż od jej
zdemolowania zaledwie dwie
dziesiątki lat ubiegły. W ostatnich latach urządzenie jej może
było już inne,
niż za czasów naszego opowiadania, ulegała bowiem wraz z
samą salą teatralną w
ciągu lat licznym zmianom i przebudowaniom. Główny
wszakże kształt i ogólne
zarysy tej sali pozostały zawsze w pierwotnym swym stanie.
Zbudował ją właśnie w
czasie naszego opowiadania dyrektor niemieckiego teatru
Bulla. Budowę kierował
architekt Merc i nadał jej typ jonickich gmachów.
Reduta, o której mowa, odbywała się nietylko w samej sali do
tego przeznaczonej,
ale także i w sali teatralnej. W tym celu rozprzestrzeniono i
ułatwiono
komunikację, istniejącą między jedną a drugą salą i uzyskano
tym sposobem
ogromną arenę zabawy, na której było gdzie pohulać
wesołemu towarzystwu stolicy.
Zaledwie uderzyła godzina rozpoczęcia, sala całemi tłumami
masek wypełniać się

zaczęła. Na całej ulicy i pobocznych placach panował zgiełk
ciekawych widzów i
spieszących do sali gości... Przewijały się ulicami
najrozmaitsze maski, sunęły
gromadki postrojonych elegantów, pędziły niezliczone kolebki
i karety, wioząc na
salę balową prze-
pysznie maskowane damy.... Zdawało się, że Lwów przeniósł
się nad Adrjatyk, że
pragnął iść w zawody z klasyczną ojczyzną zapustnych
igrzysk....

W obu salach redutowych przedstawiał się widok oślepiający
jaskrawością barw i
świateł. Sale były pysznie udekorowane, a niezliczona ilość
pająków i
kandelabrow rozlewała po nich całe morze światła. A po tem
jaskrawem morzu
światła, rozplływały się całemi tęczami barwy przepysznych
kostiumów, żeglowały
falami powiewne postacie dam, czarujących wdziękami i
strojem, leciały stugłośnie
echa, szmery i śmiechy, szumiała wesołym rytmem muzyka
kilku kapel ogromnych...

Ale najdziwaczniejszej, najczarowniejszej cechy nadawały
temu stubarwnemu światu
damy całym swym strojem i wystąpieniem. Elegantki
lwowskie wysiliły całą swą
inwencje, wyczerpały cały zapas modnych pomysłów,
przewyższyły się same.
Przewyższyły się same nie już w blasku i dziwaczności mody,
ale i w bezwstydzie,
na jaki zdobyć się trzeba było niewieścim czołom, aby z taką
swobodą, z takim

swawolnem upodobaniem dać modzie tej wyraz swą
postacią...

W owych czasach za przykładem owych elegantek
grodzieńskich, co za przewodem
panny Lulli sromowi publicznemu towarzyszyły wyzuciem się
z wszelkich szkrupułów
niewieściego wstydu, nadawało hasło modzie to zdanie, qu'il
n'y a que le nu, qui
habille... Ztąd też owo zamiłowanie do klasycznych
reminiscencji, do strojów
arkadyjskich, do nagości greckiego świata...
To też maski damskie na reducie lwowskiej nadawały
zgromadzeniu bardzo —
mitologiczną cechę... Olśniewając obnażonemi wdziękami,
otoczone tłumem
uwielbiających mężczyzn, przesuwały się po salach wszystkie
mitologiczne boginie
i wszystkie klasyczne hetery. Całemi rojami snuły się wśród
świateł Wenery,
Dyjanny, Psyche, Aspazje — cały Olimp zeszedł na reductową
posadzkę Lwowa. Inne
panie nie sięgając po żurnal mód tak daleko w czasy
starożytności, wynalazły
sobie inny rodzaj kostiumów, które pozwalały także na wielką
— oszczędność
garderoby. Najwięcej dam lwowskich wybrało sobie kostium
a la sauvage i wedle
tego poubierały się, raczej porozbierały....
Ale nie będziemy opisywali szczegółowo fizjognomji
lwowskiej reducty. Swawolę i
namiętny szął do orgij ówczesnego lwowskiego towarzystwa
scharakteryzowaliśmy

już dostatecznie w jednym z rozdziałów poprzednich — a właśnie na tej maszkaradzie, na którą wprowadziliśmy czytelnika, wybijał się szal ten najjaskrawszem piętnem... Przejdziemy od razu do znajomych nam osób i do scen, które opisać mamy w niniejszym rozdziale. W jednym z zakątów sali oparta o kolumnę stała pani Laura. Postać jej, zawsze tak nadobna i czarująca, jeszcze świetniejszą i wdzięczniejszą wydawała się przy oświetleniu. Miała na sobie kostjum, który niczem nie odbiegał od wspomnianej mody — a o ile to podobnem było, zuchwałością swą przewyższał ją nawet. Ubrana była jako Greczynka. Śliczna jej kibić okryta była tylko lekką przejrzystą gazą... Gors i ramiona były obnażone, a suknia z długim ogonem, cieniutka, gazowa, spływając po pięknych jej formach okrywała je tylko lekką, przejrzystą mgłą, której nie dodano do pomocy nic innego, coby nie dozwalało podziwiać uroczych kształtów salonowej bogini... Był to strój, który za przypadkowem nadeptaniem długiego ogonu w zgiełku narażał nieraz na wstyd zapalone modnisie — a jednak, mimo wielkiego niebezpieczeństwa takiego wypadku, należał do najczęstszych i najulubieńszych... Laura stała sama i odosobniona. Widocznie życzyła sobie tego, bo za każdym

napływem maskowanych i niemaskowanych gości, między
którymi ujrzała znajomych,
cofała się jeszcze głębiej w kąt sali, lub ustępowała im z drogi.

Zaczepiana

mimo to ustawicznie przez maski, nieraz już otoczona przez
grono modnej

młodzieży, pozbywała się prędko towarzystwa i wracała na
swoje stanowisko. Wzrok

jej zwrócony był ku stronie wchodowej i śledził bacznie
wchodzących, jak gdyby

szukał jakiejś oczekiwanej osoby...

Ale daremnie znać było wyglądanie, gdyż znaczny już
przeciąg czasu minął od

rozpoczęcia reduty, a oczy Laury dotąd nie ujrzały
oczekiwanego gościa... Na

czole pięknej kobiety osiadła lekka chmurka, twarz jej piękna
była zadąsaną, a w

dużych czarnych oczach malowały się gniew i

niecierpliwość... W całym wyrazie

jej postaci widać było obok tej niecierpliwości, także niesmak
z zawiedzionej

nadziei i obrażona dumę...

Zapoznamy czytelnika z przyczyną tych uczuć pięknej
kobiety.

Cofniemy się w tym celu do chwili, kiedy po raz ostatni
widzieliśmy się z Laurą.

Było to podczas owej gwałtownej sceny, w której wściekłość
Żagwina padła

piorunem między nią a Tadeuszem... Piorun ten uderzył
niespodziewanie wśród

najpiękniejszej pogody, wśród atmosfery świetlanej,

rozkosznej, której kręgiem

otoczyła piękna kobieta swego kochanka. Żagwin stanął strasznym upiorem między Laura a Tadeuszem, a słowa jego padły kłębem jadowitych węzów na kwiecistą ścieżkę, po której wiodła się para zakochana...

Scena ta gwałtowna musiała wprawdzie sprawić na Laurze okropne wrażenie — jednakże przy pustym, lekkomyślnym charakterze tej kobiety przebiegła tylko jednym przykrem echem przez duszę, a echo to umilkło niebawem w sercu, w którym jedno tylko było, co mogło zastąpić prawdziwe uczucie — namiętność...

Daleko więcej, niż samo wystąpienie Żagwina, dotknęło Laurę wrażenie, jakie wystąpienie to sprawiło na Tadeuszu. Tadeusz wybiegł wówczas z pokoju bez pożegnania, bez słówka nawet, z wyrazem wstrętu i przestachu na twarzy. Zrazu nie przypisywała temu Laura wielkiej wagi, mniemała bowiem, że pierwsze to wrażenie umilknie szybko pod przeważnym uczuciem miłości. Zdawało się pięknej kobiecie, że miłość Tadeusza do niej jest tak gwałtowną, tak głęboką, iż nic jej wykorzenić nie zdoła. Laura miała swe osobne wyobrażenia i wedle nich czyniła ten wniosek. To co było namiętnością bez istotnej treści, bo tylko namiętnością, podsycaną płomieniem rozkoszy, brała za uczucie, to co było szaleństwem młodego serca, uważała za miłość...

Ale nie tylko na uczuciach Tadeusza omyliła się piękna zalotnica — omyliła się i na własnych. A omyłka ta nabrała dziwnie tragicznej sprzeczności... Przyszło się bowiem przekonać Laurze, że tam gdzie przypuszczała istotną miłość, był tylko szal upojenia, tam zaś, gdzie widziała tylko szal upojenia, kryło się zarzewie istotnej miłości — czyli mówiąc inaczej, że Tadeusz jej nie kochał, kochany przez nią.

Kiedy po owej scenie mijały dni — a Tadeusz nie pokazał się u niej, serce drzeć jej zaczęło od jakiejś nieznanej dotąd nigdy trwogi... Nowe, nie pojęte uczucie odezwało się w jej piersi... Byłaż to miłość?... Tak jest. Laura, która zawiązała stosunek swój z Tadeuszem w znaczeniu ówczesnych romansów, która w tym romansie, pojętym po swojemu, upatrywała ze swojej strony tylko szal, tylko rozrywkę, ujrzała teraz że nieznacznie, powoli, stosunek inne przybrał znaczenie, że w ciągu swej znajomości z Tadeuszem szal i namiętność płocha przeszły w uczucie.

Laura temu epizodowi swego życia dała z góry tytuł swawolny — a tymczasem dziwna fatalność serca wypełniła go głębszą treścią... Piękna grzesznica uczuła, że nie Tadeusz, ale ona sama padła ofiarą... Nie dziwmy się, że w skażonem rozpustą i płaskimi namiętnościami sercu ozwała

się miłość... Nie masz na świecie tak płóczego, tak
zbrudzonego serca, aby się w
niem wśród danych warunków nie przyjęło ziarno miłości!...
Żagwin był pomszczonym. Wprawdzie katusze, które
rozdierały pierś Żagwina,
wściekłość, którą sam siebie szarpał — nie mogły iść w
porównanie z stanem, w
którym się znajdowała Laura, wszelako było to już dotkliwą
karą dla płóchej
kobiety, że przy rozbudzeniu się głębszego uczucia ujrzała się
opuszczoną,
wzgardzoną, nieszczęśliwą.. Całe jej życie uprzednie, jedno
nie przerwane pasmo
rozkoszy, z którego czerpała pewność siebie i lekkomyślną
otuchę w przyszłość,
wydało się jej teraz tak czczem, tak próżnem — że nie było z
czego choćby jednej
wybrać pamiątki, nie było z czego wysnuć treści do dalszego
żywota...
W pierwszych dniach po owem burzliwym zajściu nie traciła
nadziei, że Tadeusz
powróci do niej i znów utonie sercem w jej oczach ognistych i
uwiśnie na zawsze
u jej ust różowych, których całus miał w nim niewolnika,
których słówka wydawały
się mu być warunkiem życia, jak powietrze... Ale minął
tydzień, a o Tadeuszu nie
było ani wieści. Poczęła więc dowiadywać się o nim i
otrzymała wiadomość, że
Tadeusz wyjechał, że udał się na wyprawę wołoską.
Jeżeli dotąd uczucie jej dla Tadeusza było wątpliwem, to teraz
mogła się

najsilniej przekonać po wrażeniu, jakie na niej sprawiła ta wiadomość, że go

pokochała namiętnie, bo pierwszą w życiu miłością...

— Odjechał!... — zawołała, a serce dziwną boleścią się ścisnęło — nie pożegnał się! On się mną brzydzi, on mnie nie kocha! On może zginie na wojnie, nie wróci!...

Ale straszniejszą niż myśl o niebezpieczeństwie w boju, była dla niej myśl o obojętności Tadeusza.

— On mnie nie kocha! Nie kocha!.. — wołała sarna do siebie z boleścią, a w sercu jej wrzała burza namiętności.

Ją tylu ludzi kochało w życiu, tylu mężczyzn byłoby wysączyło z siebie ostatnią

kroplę krwi za jeden uśmiech jej ust różowych, za jedno słówko przychylne — a

żaden z nich nie doblał się choćby iskielki współczucia; dziś ona sama zebrze

tej miłości, zebrze jej u samego wejścia w wiek, w którym miłość skazaną jest

być wieczną tęsknotą, wiecznem pragnieniem!...

I jakby nie chcąc wierzyć w to straszne przypuszczenie, biegła do zwierciadła i

tak jak niegdyś Żagwin, spoglądała na siebie, czyli ładną jest jeszcze, czyli to

podobna, aby jej Tadeusz nie kochał... Mimo istotniejszego uczucia, które się

obudzało w sercu Laury, kobieta ta pojmowała jeszcze zawsze miłość jak te

poganki, do których na reducie widzimy ją tak podobną strojem, uważała zawsze za

jedyny urok kobiety nadobność ciała, powab wdzięków,
porywających do namiętnych
rozkoszy....

Zwierciadło odbiło jej śliczną postać i zdawało się ją
pocieszać!... Ale cóż jej
pomogły czarowny ogień oka, róże na licach, i śnieżne, cudne
ramiona, co jej
pomógł uśmiech uroczy i wszystkie wdzięki pięknego ciała,
jej, biednej
Magdalenie, kiedy nie mogły siłą swą uwięzić jednego,
jedynego serca!....

Los, który najczęściej jest ślepym oprawcą, nieraz
sprawiedliwym sędzią, a
zawsze wielkim szydercą — dziwna, wyprawił igraszkę,
krzyżując drogi tych dwóch
znanych nam osób, Laury i Żagwina!... Komedja to obłądów,
ciemna, bezładna — ale
ileż to nieraz w niej sprawiedliwości!

Laura od tego czasu formalnie usunęła się od wiru salonowego
życia. Dom jej był
zamknięty dla wszystkich, stopa jej nie wychodziła nigdy
prawie po za progi
samotnych pokojów. Odbywała nowicjat cierpienia. W oczach
jej tęsknota
złagodziła żar namiętności, z ust zniknął uśmiech powabny. A
jeśli kiedy stanęła
z przyzwyczajenia przed zwierciadłem, widziała z trwogą, że
pod wpływem
cierpienia — starzeje się.... Przypomniała sobie teraz dopiero,
ie lata jej
młodości skończyły się — a skończyły jakby na okropne
szyderstwo, tem, czem się
zacząć miały — miłością...

Tak miały się rzeczy, kiedy razu jednego wyszedłszy po kilku samotnie spędzonych dniach na przechadzkę, Laura spotkała jednego z lwowskich kolegów i przyjaciół Tadeusza, właśnie owego birbanta Józefa, którego poznaliśmy na sądzie jenerała Ponińskiego w kasynie Hechta. Było to w sam dzień reduty. Laura знаła go prawie z widzenia tylko, jednakże poznając w nim przyjaciela Tadeusza, z żywym udziałem oddała mu ukłon. Ośmieliło to zapewne eks-oficera Józefa, gdyż zbliżywszy się do pięknej kobiety, rzekł jej z powtórным, grzecznym ukłonem:

— Właśnie przed chwilą witałem we Lwowie gościa, którego przybycie moje nie będzie pani obojętnem...

Laurze zabiło serce głośniej.

— Pan Warski powrócił z wyprawy wołoskiej... — ciągnął dalej Józef.

— Tadeusz.. — szepnęła Laura wzruszonym głosem.

— Tak jest, Tadeusz... — powtórzył ex-oficer Kościuszkowski. — Powrócił po mnogich awanturach, z pod szubienicy jenerała Schneidauera! Ale on to zapewne pani sam opowie... Ciekawe historie...

— Nie miałam dotąd przyjemności widzieć się z panem Warskim... — odparła pani Laura, a zbladła jej twarz okrył rumieniec, rzadki gość na licu doświadczonej zalotnicy.

— JAKO? Nie był u pani! A! niegrzeczny! — zawołał z rubasznym śmiechem Józef.

— Ale, ale, czy będziesz pani dziś na reducie. ?,

— Wątpię.

— Istotnie, cały Lwów się skarży na panią! Zaczynasz pani prowadzić życie zakonne...

Laura uwagę tę pominęła milczeniem.

— Reduta dzisiejsza obiecuje być wspaniałą! Wybieram się na nią wraz z

Tadeuszem, który jak się był po trosze wypolerował w obozie, tak teraz znowu

zdziczał między Wołochami i w obozie pana Denyski...

Trzeba nań znowu gwałtu używać!

— Czy pan myślisz, że pan Warski będzie na reducie? — zapytała Laura i uczuła

po raz pierwszy pomieszanie z powodu takiego zapytania.

— Bez wątpienia! Ja go przemocą przystawię, bo chłopczysko naprawdę zardzewiał!...

Laura zamyśliła się na chwilę, a potem spieszenie pożegnała oficera i udała się dalej.

Nie korzystała już z rozpoczętej przechadzki. Powróciła natychmiast do domu i

oddała się rozmyślaniu. Głowę jej zaprzątęła zupełnie osoba Tadeusza.

— Wrócił i do mnie nie przyszedł!... — mówiła sama do siebie — to niegodziwie,

bez miłości! Czyż mnie już wcale nie kocha, czy nawet najmniejsze wspomnienie

nie łączy go ze mną? To nieporozumienie, to Żagwin.. Pójdę na redutę — znajdę

go, obacze!

I Laura rzuciła się natychmiast do przygotowań. Obmyśliła strój z większą niż kiedykolwiek troskliwością. Strój ten był nagością więcej niż strojem, ale ta upadła kobieta nie oblekała się weń już dziś dla wszystkich ale jedynie dla Tadeusza. Jego to miała podniesionemi w ten sposób wdziękami oczarować i podbić napowrót... Kiedy mając już wsiadać do powozu rzuciła raz jeszcze spojrzenie na swą postać w zwierciadle, uśmiechnęła się z otuchą i szepnęła do siebie:

— On znowu będzie moim !...

Oto stan, który się wyrobił w duszy Laury od czasu, kiedy po raz ostatni ją oglądaliśmy.

A teraz powróćmy pod ową kolumnę w sali reductowej. Laura stała długo jeszcze samotnie w tym zakątku sali, nie biorąc udziału w szalonym wirze maszkarady.

Wzrok

jej wyteżony był ciągle na wiecznie falujące morze gości — ale daremnie...

Tadeusza nie było....

Piękna kobieta chmurne, znużone oko spuściła ku ziemi.

Wtem nagle usłyszała głos

znajomy przed sobą. Przed nią stał barczysty ex-oficer Józef.

— Pani tu sama, smutna?... — zapytał ją z swym rubasznym uśmiechem.

— Czuję się słabą, nieusposobioną do zabawy — odparła Laura. — Przestrzegam

panią, gotują się tu na panią sidła...

— Jakież? — zapytała niedbale Laura.

— Czarne domino jakieś szuka pani zawzięcie... Poznałem w
niem Tadeusza — tylko
głos zmieniać umie...

Laura ruszyła się szybko z miejsca. — Gdzie ? — zapytała.

— Przeprowadzę to domino do pani zaraz, chciałem panią
jednak przestrzedz, bo

Tadeusz zawzięcie udaje kogo innego... Mam prawo do
wdzięczności, bo z mej
przestrogi da się bardzo dowcipnie i wesoło skorzystać..

— Dziękuję i czekam na przeciwnika... — odpowiedziała
Laura pokrywając swe
zmieszanie.

Ex-rębacz zniknął wśród masek a po chwili ukazał się z
czarnem dominem u
ramienia. Na kilkanaście kroków przed Laurą zatrzymał się,
wskazał masce szukaną
damę a sam się cofnął na salę. Maską zbliżyła się szybkim
krokiem do Laury.

Był to mężczyzna wzrostu Tadeusza. Czarne jedwabne
domino służyło mu prawie do
kostek a twarz starannie okryta była czarną larwą.

Laura na krok postąpiła naprzód i wyciągnęła drobną swą
rączkę do maski.

Odgadywała w niej na pewne Tadeusza....

Maska cofnęła się nieco i utopiła bystre spojrzenie w pięknej
Greczynce.

— O nie pomoże ci maska! — zawołała Laura — i pod nią
zarumienić się musisz....

— Za tak oszczędną osłonę twych wdzięków, nieprawdaż,
moja Greczynko?... —

odparła maska zmienionym i nieco drżącym głosem, w którym
czuć było gryzące

szyderstwo.

Laura spojrzała po swych śnieżnych ramionach. — O nie korzystaj pan daremnie z swej maski... Ja cię oznałam od razu!

— Tyś mnie poznała!.. — szepnęła z szyderczym śmiechem maska.

— Tak, Tadeuszu! — Tadeuszu... — powtórzyło z cicha czarne domino.

— Tak, to ty jesteś panie Warski! Czyż taka była twoja miłość? Odbiegłeś mnie, porzuciłeś właśnie w chwili, kiedy się stałam ofiarą potwarzy łotra! Wyjechałeś bez pożegnania, wróciłeś bez powitania! Słowa te wyrzekła Laura z naciskiem uczucia i drżąca cała przysunęła się bliżej do czarnego domina.

— Tadeuszu ja cię tak kocham! Gdzież owa namiętność, którą zdawała się płonąć twa dusza., gdzież ta wierność, która miała być między nami wiecznym, nigdy nieprzerwanym ogniwem!

— Wierność w twych ustach, kobieto, to szyderstwo!

— Tadeuszu! tobie byłam wierną! O nie odgrywaj tej strasznej roli...

Jedyny mój, ukochany, pójdźmy ztąd! Ja tak czekałam na ciebie!

I wymówiwszy te słowa, z uczuciem namiętności uchwyciła maskowanego mężczyznę za rękę i oplotła ją swymi białymi, drżącymi dłońmi... Maska wzdrygnęła się na ten uścisk, jakby na dotknięcie gadu, ale ręki nie cofnęła....

— Uchodźmy z tego zgiełku... Dość już wiru w własnym sercu, które patrz, jak drga całe uczuciem. Daj mu ukoić się przy twojej piersi, niewdzięczny, kochany!...

Maska pociągnęła za sobą Laurę i ozwała się zmienionym głosem:

— Chodźmy!

I posunęła się wraz z Laurą szybkim krokiem do drugiej teatralnej sali. Laura

uczepiła się ręki mężczyzny i tuląc się doń białymi swymi ramionami, uwiła na

nim cała, jak gdyby bała się, aby jej nie odstąpił...

Po drodze zatrzymywały parę gromadki masek i grona znajomych Laurze osób — ale

oni nie zatrzymywali się ani na chwilę. Czarne domino z pospiechem szło

naprzód, a Laura z wzburzonym sercem, z przytłumionym oddechem szła obok niego,

nie zważając na zgiełk, który ją otaczał.

Maskowany mężczyzna przebiegi z nią całą salę teatralną i zatrzymał się przy

wielkiej oponie z płótna, która odgraniczała jeden jej koniec. Płótno to

okrywało scenę. Maską odsunęła brzeg tego płótna i zniknęła z Laurą po za niem.

Znaleźli się przed podwyższeniem sceny. Przez płótno przebijało się słabym

odbłyskiem światła z sali i wrzawa tłumu. Laura na nic nie zwracała uwagi.

Rozbudzone uczucie zrobiło ją senną, nieprzytomną prawie...

Na lewym boku znajdowały się drzwi od skarbcza kościelnego czyli dzisiejszej

garderoby teatralnej. Drzwi te były trochę odchyłone i biło z nich światło i okrzyki. W garderobie umieszczono jeden z bufetów, a w bufecie tym wrzał hałas na pół pijanych gości. Przy świetle bijącym przez odchyłone drzwi bufetu widać było u spodu sceny mały, ciemny otwór. Maska uchwyciła jeszcze silniej za ramię Laury i pociągnęła ją za sobą ku temu otworowi, który widocznie był wchodem do budki suflera.

— Tadeuszu, gdzież mnie prowadzisz! — zawołała nagle Laura wstrzymując się przed wejściem, z którego biło zimne, wilgotne powietrze. Czarne domino nie dało żadnej odpowiedzi, ale uchwyciwszy przez pół piękną kobietę spuściło się z nią przez otwór. Kilka małych schodków szło tu ku dołowi.

Maska z piękną swą zdobyczą zbiegła szybko po stopniach i stanęła na równej ziemi... Tu Laura stanęła i tuląc się do swego towarzysza rozglądnęła się wokoło...

Znalazła się wśród grubych, nieprzenikniętych ciemności...

Chłód i woń grobowa

rozlegały się do koła... Echo wrzawy

reduutowej zamarło tu zupełnie — i było głuche, straszne

milczenie... — Na Boga,

gdzież jestem! — zawołała z lękiem Laura. — W grobie! —

odezwał się

niezmienionym już teraz głosem jej towarzysza.

Nie był to głos Tadeusza. Był to głos całkiem obcy, a była zeń dziwna,

przerazająca groza...

Laura wykrzyknęła z przestachu i zachwiała się na nogach. Nieznajomy tymczasem wydobył stoczek woskowy i zapalił go. Słaby promień

światelka przebiegł przez cienie. W brzasku tym zarysowały się ciemne, stare

ściany, okryte wilgocią, dyszące zbutwiałym chłodem...

Laura rzuciła wzrok przerażony na swego towarzysza)

oświetlonego płomieniem

stoczka. Głos jego przekonał ją zaraz, że to nie Tadeusz.

Błada, drżąca,

wylękła, zawołała ze zgroza:

— Kto pan jesteś, co to znaczy!

— Kto jestem? — odparł nieznajomy głosem groźnym i pełnym goryczy — twój

znajomy, twój ukochany! Chciałaś, bym cię zaprowadził w miejsce, gdzieby

ostygnąć mogło twe serce wzburzone! Na mojej piersi ono nie umilknie, dość długo

grzało się ono na niej gadem! Ale niech ci twa pierś

wszeteczna umilknie przy

tych zimnych murach i ot przy tej trumnie, którą widzisz tam w kącie!

— Józef!... — zawołała Laura i z jękiem przestachu w tył się zatoczyła.

Nieznajomy zerwał maskę z swej twarzy... Był to Promnicki...

— Tak to ja jestem, twój mąż, ohydna, wiarołomna kobieto!

Jestem ten sam,

któremu niegdyś byłaś wszystkim, wszystkim na świecie, a któremu zatrulaś

serce i życie!

— Józefie litości!... — jęknęła Laura i kolana ugięły się pod nią.

— Litości!! Nie miałaś jej jako żona dla człowieka, którego skazałaś na całe piekło cierpień, nie miałaś jej jako matka dla dziecięcia, dla jedyne go twego dziecięcia, które konało, kiedyś ty dyszała szalem zabaw i rozpusty... Nie masz tej litości ani na ziemi, ani w niebiosach, któraby zmiłowała się ciebie!

Laura wydała tylko słaby jęk przest్రachu.

— Dla ciebie nie ma litości i kary zarówno! Gdybyś ty miała serce, hyeno, wspomnienie dziecięcia byłoby srogą pomstą na matce, gdybyś ty miała wstyd, wszeteczniczo, spojrzenie w oczy męża byłoby wyrokiem śmierci na żonę! Czemu ty błagasz litości, ty, co nie boisz się kary?...

Nowy, przerażający jęk uleciał z piersi Laury i głucho rozbił się o sklepienie grobowca...

— Pójdź tu i spójrz na tę trumnę i skonaj od jej widoku! To jedyna łaska dla ciebie! Proś Boga, kobieto, abyś nie wstała już żywą, kiedy się ku niej nachylisz!

I Promnicki porwał gwałtownie Laurę za rękę i pociągnął ją za sobą.

Straszna była jego postać. Od bladej jego twarzy odbijały okropnie czarne, roziskrzzone oczy — a usta drżały mu kurczowo....

Wlokąc za sobą Laurę posunął się Promnicki w głąb sklepienia.

Był to loch, który służył dawniej za grobowiec. Przy przerabianiu kościoła na

teatr, zapomniano zupełnie o tym grobowcu. Został on
nietknięty... Kilkanaście
trumien spoczywało tu w filarowych niszach...
Promnicki przebiegł ten straszny rząd trupów i zatrzymał się
przed małą
trumienką. Była ona z kruszcu i miała wieko szklane...
Pod szklannem wiekiem leżał trup dziewczynki kilkoletniej.
Ciało musiało być
balsamowane, bo oparło się dotąd zniszczeniu.... Biała
koszulka nie rozpadła się
jeszcze i okrywała zwłoki dziecka... Na główce był wianek
rozmarynu. Wianek ten
był jeszcze zupełnie zielonym i odbijał dziwnie od trupich
skroni...
Na trumnie był napis: Marysia.
Promnicki stanął przed tą trumna i głosem łkającym zawołał:
— Patrz, matko, to twoje dziecko, to Marysieńka! Co za
miejsce dla schadzki z
gachem! Niech jej zwłoki mówią do ciebie, przeklęta, niech
mówią za mnie! Co ja
ci straszniejszego powiedzieć mogę, niż te martwe, zczerniałe
usta!... Jeżeli
możesz spojrzeć na te zwłoki a nie zabiją cię i żyć będziesz
dalej, to Bóg nie
ma dla ciebie piorunu!
W tej chwili sam Promnicki zachwiał się osłabiony i oparł się
o filar, stawiając
stoczek na wieku trumny... Płomień zamajaczył dziwnie na tle
szklannem i sinem
światłem oblał zwłoki dziecka...
Laura spojrzała, rzuciła się ku trumnie i z okropnym,
straszonym jękiem, od
którego mury lochu zadrżały, padła bez zmysłów na ziemię.....

Kiedy się ocknęła z strasznej tej chwilowej śmierci,
straszniejszej nad skon
prawdziwy, ujrzała się przed drzwiami bufetu w skarbcu, a
około niej stało grono
postrojonych dam i mężczyzn z kieliszkami szampanu w
rękach, patrzących na nią z
z dumieniem i wołających lekarza.... W sali huczna muzyka
grzmiała i rozlegały
się szalone, wesołe hałasy i śmiechy.....

XXIII.

MONODRAM ŻAGWINA.

Kiedy Żagwin usłyszawszy na owej rozprawie w sądzie
foralnym prawdziwe nazwisko
dziada Madeja, nazwisko ojca swego, i pod wrażeniem tej
sceny padł jak nieżywy
na ziemię — pospieszono mu na ratunek i wyniesiono zaraz z
sali sądowej do
jednej z izb pobocznych. Po dłuższym trzeźwieniu Żagwin
przyszedł do siebie, i
duch wstąpił napowrót w jego zamarte piersi. Otworzył oczy,
ale oczy te,
wybiegając na wierzch z swej osady jakby się z niej całkiem
wydrzeć chciały,
majączyły dzikim, gorączkowym ogniem i biegały z wyrazem
obląkania dokoła...
Madej, którego pojęcie całej tej sceny ogarnąć nie zdołało, stał
chwilę jeszcze
w sali nieruchomy i wylękły, ale kiedy mu Dederkało wyjaśnił
znaczenie odkrycia,
zadrzał jak w febrze i wydał okrzyk zdumienia.
— Matko najświętsza! — zawołał wzruszony i pogrążony
zarazem — to syn mój i...

Ten srogi, straszny pan to moje dziecko rodzone!... Panie Krzysztofie, gdzież on jest, prowadźcie mnie do niego, niechże ja mu się przypatrzę! I Madej rzucił się z miejsca ku stronie, w którą wyniesiono Żagwina.

— Tam u niego będzie gdzieś i matka! — wołał Madej dalej.
— Ale jak ja się im pokażę. Ja przeciw mojej własnej krwi świadectwo składał! Panie Krzysztofie, Bóg wam tego nie daruje! Ja wiedziałem, że z tego papieru będzie nieszczęście, czemużście mi go wydarli, kiedym go w ogień chciał cisnąć!..

— Uspokój się stary — mówił Dederkało — syn twój synem, a sprawiedliwość sprawiedliwością! Jemu się nic nie stanie, to on chciał naszym panom krzywdę wyrządzić...

— A czemuż on panom krzywdę mógł wyrządzić! Oj wy panowie, uwzięliście się na chłopskie dziecko, dlatego, że je Bóg cudowny z nędzy wyprowadził i między książęty posadził! A na co wy dziada trzymali, czy z miłosierdzia? Nie, ze zdrady, aby zgubić jego krew własną! I łagodne oczy Madeja roziskrzyły się tyra razem nienawistnie, a pięść jego wychudła ścisnęła się kurczowo. Zdawało się, że dziwne zajście pomąciło mu zmysły i oplatało rozum obłąkaniem...

— Co ci się śni, stary? — uspokajał go pan Krzysztof — opamiętaj się, nie bredź! Chcesz widzieć syna, to chodź ze mną, ja ci go pokażę.

I wzięwszy Madeja pod ramię zaprowadził go Dederkało do sąsiedniego pokoju.

Zastali tam Żagwina leżącego na zydlu. Koło niego stał doktor wraz z urzędnikami

i woźnymi. Twarz Żagwina była ciemno-siną, żyły na czole wyprężyły się mu jak

powrozy, oczy wysadzone na wierzch połyskiwały gorączkowym ogniem. Dyszał ciągle

i rzucał się na zydlu, podno-

sząc co chwila ściśnioną dłoń i uderzając nią gwałtownie o ścianę....

Madej ujrzawszy go przyskoczył doń skwapliwie i odtrącił stojących dokoła:

— Idźcie precz, odstepcie go! — zawołał. — Zabić go chcecie, otruć, dlatego że

chłopskie dziecko! A czy on to wyglądał kiedy na chłopca! A gdyby nie ja,

bylibyście może o tem wiedzieli? Dajcie mu pokój, ja go otrzeźwię... Jemu już

raz tak było, kiedy go na pastwisku pańskim piorun raził! Ja go tak jak

wtenczas położę na zieloną murawę i liśćmi mu okryję oczy i piersi, a będzie mu

dobrze...

I przypadłszy potem do chorego, uchwycił nogi jego i . całując je i ściskając

wolał:

— Synu, jaśnie panie, przebacz mnie nieszczęsnemu... Ja nic temu nie winien.

Bóg wielki widzi, że ja o niczem nie wiedziałem i... Panuj ty sobie dalej, a ja

ucieknę w świat znowu i zniknę jak kamień w wodzie, i nie przeszkodzę ci w

twojem panowaniu i wstydu ci już nigdy nie zrobię! Kopnij
mnie nogą, żebraka, ja
zejdę ci z oczu na zawsze!
I Madej rozplakał się rzewnymi łzami i całował kolana
Żagwina...
Żagwin w tej chwili ocknął się jak gdyby z letargu i
spojrzawszy na Madeja wydał
okrzyk i porwał się z zydła. Z wyteżeniem sił wszystkich
stał na nogi i
zataczając się powiódł okiem do koła. Wzrok jego znowu padł
na Madeja i
zatrzymał się na jego postaci. Madej zaniósł się łkaniem i
rzucił się do nóg
synowi... Na widok ten odskoczył Żagwin gwałtownie w tył,
odtrącił lekarza,
który
go chwycił za ramię i rzucił się w szalonym pędzie ku
drzwiom...
Puszczono się za nim natychmiast, ale on nie oglądając się
nawet, szybko
przebiegł kurytarze i zniknął na ulicy. Kiedy ludzie, którzy go
trzeźwili,
wybiegli za nim na ulicę, już zniknął między domami...
Odtąd wieść zginęła o Żagwinie. Przez kilka dni nikt nie
wiedział gdzie się
podziewa. Widziano go tylko tego samego dnia, jak przebiegał
ulice jak obłąkany.
Strasznie wówczas wyglądał. Bez czapki, z rozburzonym
włosem, w potarganym
odzieniu, z twarzą siną, okropnie wykrzywioną, z oczyma
obłąkanymi leciał przez
miasto. Wszyscy uciekali przed nim z drogi, nikt go nie śmiał
zatrzymać...

Minęło dni kilka. Zdawało się, że Żagwin przepadł na zawsze. We Lwowie poczęły obiegać najdziwaczniejsze pogłoski o losie osławionego rabulisty. Opowiadano sobie z najfantastyczniejszymi dodatkami, jego nieszczęśliwą miłość, stratę majątku, proces i ową scenę w sali sądowej. Do tej historii dodawano także niemniej tragiczne zakończenie. Ci, co zawsze chcą wiedzieć więcej od innych, zapewniali, że Żagwin dostał pomieszania zmysłów i błąkał się po okolicach, aż jednego dnia o kilka mil ode Lwowa wyciągnięto jego zwłoki z rzeki, w której przypadkiem czy umyślnie się utopił. Ale nagle szóstego dnia po zniknięciu Żagwin pojawił się jakby z tamtego świata we Lwowie. Kilka osób widziało go na ulicy w różnych porach i w różnych miejscach. I znowu odmienne i jeszcze dziwniejsze od poprzednich wieści podawano sobie z ust do ust o nieszczęśliwym prawniku. Nie będziemy ich powtarzać — lecz zapoznamy sami czytelników z ostatnimi losami Żagwina.

Było to pod wieczór, kiedy ulicami Lwowa przesuwiał się jakiś dziwnej postaci człowiek. Odzież jego była poszarpana, buty kurzem okryte, on sam blady i wynędzniały. Człowiek ten szedł szybko naprzód z oczyma wlepionymi w ziemię. Przechodnie spoglądali na niego ciekawie, jedni ograniczali się na spojrzeniu,

inni przemawiali doń z zdziwieniem. On jednym i drugim odpowiadał ponurem wejrzeniem i uśmiechem przymuszonym, ale pełnym dzikiej zjadliwości i szyderstwa...

Był to Żagwin. Okropnie los pobił tego człowieka.. Po jego twarzy, wyteżonej kurczowo, widać było, że się przymuszał do spokoju, że chciał zapanować nad swoim nieszczęściem... Ale tytaniczna nawet siła woli i charakteru nie byłaby zdołała choć w części i choć na chwilkę uciszyć burzy, która w łonie Żagwina się srożyła, ugasić piekła, które z serca zrobiło sobie czeluść bezdenną....

Przez tych kilka dni, w których zniknął był bez śladu, Żagwin tułał się jak obłąkany potępieniec. Gdyby był sam siebie zapytał, co pod ten czas robił, nie mógłby dać odpowiedzi. Tyle uczuć kłębiło mu się w duszy, a każde z tych uczuć było tak gwałtownym wybuchem namiętności — że zostało mu chyba ciemne poczucie okropnego bólu, którego doznał... Gdzie przebywał, czym się żywił, tego sam nie wiedział, przypominał sobie tylko, że po kilkakroć wyrywał się przemocą z rąk ludzi i biegł dalej bez przytomności.

Kiedy po raz pierwszy obudził się z tej strasznej maligny i trzeźwiejszym okiem spoglądał około siebie, ujrzał się przy drodze w pobliżu miasta... Leżał na

ziemi, a odzież jego była zbłoconą i moką. Nogi bolały go za każdym stąpieniem,
a w piersiach czuł żar piekielny... Żagwin wstał i udał się ku miastu...

Władze umysłu wróciły mu — ale na to tylko, aby objął całą fatalność swoich losów. Dawna siła i ta żelazna wytrwałość, którą pokonał tyle przeciwności, za pomocą której w młodym wieku szydził z nieszczęścia własnego, odstąpiły go...

Uczuł się bezsilnym, nędznym jak robak zgnieciony... Błady jak trup, z zaciśnionymi sinemi ustami, które spotykając znajomych, do przerażającego krzywił uśmiechu, szedł przez miasto. Mijał pomieszkanie Laury i zatrzymał się nagle... Zrobił ruch jak gdyby wstąpić chciał do tej kobiety, a w oczach zapłonął mu dziki ogień, namiętna żądza zemsty... Ale powstrzymał się w zapędzie i ruszył dalej, zacinając jeszcze silniej spiekłe usta.. Szedł dalej, obierając za drogę ulicę, przy której mieszkał, kiedy był na szczycie swego powodzenia. Spojrzał przez okno w te pokoje obszerne i wytworne, i zastał w nich obce twarze... Odwrócił twarz spiesznie i biegł dalej, uciekając od tego miejsca, które tyle wspomnień wzbudzało W jego duszy...

Skręcił boczną ulicą i spieszył ku przedmieściu... Gdy wszedł pomiędzy małe, ubogie domki, odbił się na jego twarzy wyraz jakiś łagodniejszy... Zdawało się, że w oczach zajaśniało mu rzewne

uczucie... Żagwin w tej chwili myślał o swej matce... Kiedy jego majątkowe stosunki poniosły zupełną klęskę, Żagwin przeprowadził się z kochaną staruszką na to ubogie przedmieście. Teraz matka, ta jedyna istota, która nie dała mu przestać być — człowiekiem, stanęła mu przed oczyma, biedna, opuszczona, może w nędzy i głodzie... Żagwin chwycił się za głowę, jakby się bał, aby mu nie pękła pod ciśnieniem okropnych myśli... Szybko zdążył naprzód... Przed małym starym domkiem, przed którym zieleniło się podwórze z kilku drzewami, zatrzymał się. Tu było jego pomieszkowanie, tu zostawił starą matkę. Żagwin stanął przed furtką, a w oczach pokazały mu się nagle łzy... Pierwsze łzy i ostatnie w całym jego życiu!... Nie płakał nigdy, kiedy go chłopięciem bito niemiłosiernie, nie płakał nigdy, gdy mu w ciężkich latach młodości dokuczały nędza i głód, kiedy go deptano pogardą i hańbiącym upokorzeniem... Żagwin otarł oczy i wszedł cicho przez furtkę na podwórze... Ostrożnie podsunął się pod małe okna, ale bał się w nie spojrzeć... Dopiero po chwili tego wahania zdobył się na odwagę, i ukradkiem, chyłkiem spojrzął do pokoju. Okno było rozwarte. W małej izdebce było kilka osób. Na łóżku leżała jakaś staruszka i spała... U

jej nóg siedział Madej i spozierał na nią ustawicznie. Tuż obok śpiącej siedziała z stryjanką swa Zosia... Zosia pochyliła swą główkę nad staruszką, a w spojrzeniu jej widać było czulą troskliwość... W całym pomieszkaniu znać było ślady dobroczynnej dłoni i troskliwej opieki... Żagwin patrzył długo na tę cichą scenę, a piersi drżały mu od rozczulenia. Nagle zaskrzypiała furтка i na podwórzu pojawił się Zakrucki z Tadeuszem... Żagwin skoczył na bok i skrył się za tylną ścianę domostwa. Potem chyłkiem wybiegł z podwórza i skrył się za płot przeciwległego domu.... Tam siedział nieruchomo i patrzył ciągle na mały domek. Naraz ujrzał zajeżdżający powóz, który się zatrzymał przed podwórkiem... W małym domku zrobił się ruch i po jakimś czasie widział, jak matka jego, prowadzona przez Zosię i Madeja wyszła na ulicę i wsiadła do powozu, który się zaraz oddalił. Żagwin wyskoczył z za płotu i pomknął szybko za odjeżdżającymi. Powóz wkrótce się zatrzymał przed dużym, szarem domostwem, które dobrze było znane Żagwinowi... Był to dwór pana Promnickiego... Tu widział jak Madej, ojciec jego, z łzami wdzięczności całował ręce Zosi, która staruszkę odprowadziła do środka domu.... Żagwin usiadł za drzewem i długo, długo siedział pod dworem... Minał już brzask

wieczorny i ciemności nocy spuściły się na ziemię, a skulona postać Żagwina szarzała jeszcze długo pod drzewem. W końcu porwał się z miejsca i począł biedz ku miastu.... Szybko minął wszystkie ulice i zdążył ku Wysokiemu Zamkowi.

Noc była jak grób ciemna i cicha. Żagwin wyszedł na wzgórze Wysokiego Zamku, które podówczas były nagie i dzikie, przebiegi je, i skręcił ku laskowi, który od odwiedzin cesarza Józefa przezwano Kaiserwaldem... Strudzony szybkim chodem zwolnił Żagwin kroku. Głowę jego wypełniały myśli czarniejsze jeszcze niż noc, która go otaczała... Pod wpływem tych myśli to przyspieszał to zwalniał kroku, a czasem zatrzymywał się całkiem na chwilę.

Żagwin rozmawiał sam z sobą. Zdawało się, że istota jego podzieliła się na dwie połowy, na dwa żyjące indywidua, na dwóch ludzi, i że ludzie ci toczyli z sobą spór surowy....

Żagwin wstrzymał swe kroki i tak się odezwał do samego siebie:

— Noc ciemna, czarna!... Taka czarna jak twoje sumienie, taka głucha, jak miłosierdzie Boże dla ciebie! Czarniejszej nocy nie znajdziesz może już drugi raz w życiu, korzystaj z niej przyjacielu!...

I mówiąc tak sam do siebie zaśmiał się na cały głos swym zwykłym szyderskim tonem.

— O tak, korzystajmy z niej, nędzny, podły, stary łotrze!
Odpraw sąd nad sobą,
bo żywot twój spełniony!... Czterdzieści kilka lat żyjesz na
świecie; przez
połowę życia bili cię ludzie, przez drugą połowę biłeś ty ludzi
— aż pod koniec
twój padłeś znowu pod ławę! Cięższy młot losu niż twój upór,
po co ciebie na
świecie, kiedy tej różgi wytrzymać nie zdołasz? Zmiękła ci
skóra, nędzniku, bolą
cię
razy, płakać nie umiesz, mścić się nie możesz, a poskarżyć nie
masz się przed
kim!...

Tak mówił Żagwin sam do siebie, a słowa jego pełne dzikiej
grozy ginęły głuchem
echem w pobliskim lasu...

— Żagwinie, mój braciszku serdeczny, gdyby to łotrom
stawiali pomniki,
jakiebys' ty miał mausoleum!... Ale świat zawsze był ci
wrogiem, nie dał ci nic,
nawet szubienicy, tak że sam o niej myśleć dziś musisz!...
Odpraw sąd nad sobą
zbrodniarzu, odpraw spowiedź i daj sobie absolucję, a jeśli to
potrafisz,
dopiero będziesz księciem łotrów!...

Tu zatrzymał się na chwilę w swym pędzie, stanął u brzegu
lasu i wołał dalej:

— Zabawmy się w sąd, mój braciszku! Wystawmy sobie, że
stoi tu wielki
Zbrodzień, Żagwin nazwiskiem i czeka na karę! Bądź raz
sprawiedliwym, Żagwinie,

bądź po raz pierwszy i ostatni sprawiedliwym w twojem życiu
i osądź siebie i
wydaj wyrok!

I uroczystym głosem, z którego jednak było straszne
obląkanie, mówił:

— Stał przed sadem Zagwin, mistrz swego rzemiosła!
Człowiek ten pogwałcił
prawa ludzkie i Boże. Win i zbrodni jego wyliczać nie można,
bo rejestr
przetrwałby noc cała i nastąpiłby poranek tymczasem.
Trzymajmy się więc krótko.

Co winien człowiek, co był na świecie apostołem nienawiści ?
— Niechaj skazanym będzie na miłość do kobiety bez serca!

— Stało się, ten wyrok został już spełnionym... Skazanemu
było głupstwo katem i
włożyło mu w ostatniej chwili serce do próżnej piersi, a serce
to rzuciło na żer
chytrej hyenie! Wyrok spełniony...

— Co winien człowiek, który prawem pisanem jak nożem
rabusia rzucił się na
ludzi, i wydzierał im spokój, kradł mienie, wyciskał łzy,
krzywdził, oszukiwał,
szalbierzył, rozbijał?... Co winien człowiek, który rozdał
więcej kijów
żebraczych, niżeli sam lat liczy?...

— Niechaj dla siebie postara się o kij żebraczy i o torbę
dziadowską, a w tej
torbie niechaj nie będzie nawet małego kawałka chleba, aby
nim nakarmił głodną
swą matkę!

— Stało się, wyrok spełniony! Złoto skazanego poszło na łup
zalotnicy, a łzy i

pot, które na niem były, zostały przy nim... Pot ten i łyżę te
kroplami gorącego

ołowiu spływają dziś po skroniach skazańca!

— Cha, cha, cha... — zaśmiał się teraz Żagwin z szatańskim
szyderstwem — jak

to pięknie idzie! Co to za rozrywka pyszna, a jak tanim

kosztem! Bawmyż się

dalej, jak dzieci!

I przybrawszy znowu głos groźny i uroczysty wołał dalej:

— Co winien człowiek, który całe życie był wykonawcą
niesprawiedliwości ?

— Niech będzie sprawiedliwym dla siebie i niech sam będzie
oprawcą swoim!

— Wyrok ten spełni się niebawem. Ale to nie wszystkie
jeszcze zbrodnie

oskarżonego! Pozostały dwie bardzo

wielkie. Co winien człowiek, dla którego była jedna tylko na
świecie zbrodnia,

do której czuł wstręt, a wstręt ten pokonał w sobie i zbrodnię
tę popełnił! Co

winien człowiek, który z oszusta stał się Judaszem, który nie
wahał się być

szpiegiem, który wtrącił do więzienia starca i zamordował w
sobie ideę jedyną,

dla której jeszcze miał szacunek?...

— Niechaj straci srebrniki, za które podjął się tego czynu, i
niechaj mu

pazurami szatana rozryje mózg ten widok, jak ofiara jego
zbrodni napoi ojca jego

i nakarmi matkę!

— I to się stało... — szepnął Żagwin głosem, który tym razem
był pełny boleści.

— Wyrok spełniony!

I zamilkł na chwilę okrywając dłońmi twarz swą rozognioną...
Nagle podniósł głowę i ręce do góry i zawołał dawtnym
szyderyczym głosem:

— Dobrze! Osądzony był łotrem nad łotry, zbrojcą nad
zbrojcą! Ale co winien
świat, który z niego zrobił takiego łotra, który mu sam wcisnął
taką broń do
ręki?

— Winien, aby mu skazany cisnął w oczy wszystkie swe
zbrodnie, aby go pożegnał
najwyższem szyderstwem, i nazwał go — swym ojcem!

— Brawo! — zaśmiał się strasznym głosem Żagwin — to mi
wyrok sprawiedliwy! Ale
jeszcze jedna zbrodnia, na którą nie było jeszcze ani sądu ani
wyroku! Oskarżony

uważa ją sam za najcięższy grzech swego żywota i pyta: Co
winien człowiek, który

samo chcąc przemienił się w głupca, który popełnił takie
głupstwo, takie
olbrzymie, ohydne

głupstwo, że w obec tego głupstwa zniknął rozum jego całego
życia? Co winien ten

głupi, po trzykroć głupi człowiek ?

— Sądy nie dla głupców... Niech się głupiec powiesi!...

— Wybornie! Głupiec się powiesi i tym sposobem rozumnie
życie zakończy!...

I Żagwin wszedł do lasu i wpatrzył się w najbliższe drzewo...

Walka umilkła w piersi jego — sam sobie wyrok ogłosił..

Stanowczym krokiem podstąpił pod drzewo i uchwycił silną
ręką jedną z gałęzi...

Ale w tej chwili zachwiał się i zatoczył... Chciał się zatrzymać
o drzewo, ale

gałąź wymknęła się z rąk jego i Żagwin spadł na ziemię...

Nagły atak apopleksji zerwał nić jego życia i wyprzedził samobójstwo...

We trzy dni po tej nocy znaleziono w lasku trupa... Na martwej twarzy skamieniał wyraz okropnej walki i bólu, dłonie były silnie zaciśnięte... Tak skończył Żagwin...

XXIV.

EPILOG.

Otoż stanęliśmy u kresu naszego opowiadania...

Nie wiemy, czyli winni jesteśmy naszym czytelnikom jeszcze jakie szczegóły lub dopełnienia. Nie wiemy — bo rozstrzyga w tym względzie więcej sam czytelnik, niż autor.

Tym, którzy z zajęciem towarzyszyli nam na tej wędrówce, nie potrzeba epilogu, aby własną myślą dopełnili sobie ostatecznych drobnych szczegółów i rysów, aby z własnej poniekąd imaginacji dorzucili tych kilka promyczków i tych kilka cieni, które zabrakną do objęcia całości obrazu — tym zaś w których skreślone na tych kartach sceny i wypadki nie potrafiły wzbudzić udziału, tem mniej go potrzeba, bo dla tych obojętnem było zapewne, gdzie położymy to słowo: koniec...

Le secret d'être ennuyant, cest de tout dire!

Więc niepotrzebnym był epilog. A przecież poświęcamy mu tę kartę ostatnią.

Więcej w tem może słabości autora, więcej przyzwyczajenia — niż względu na czytelników...

Ale kiedy po dłuższej wędrówce staniemy u kresu, wzrok mimowolnie zwraca się jeszcze ku stronie, w której znika przebyta drożyna... Chcielibys'my objąć tem jednym, ostatniem spojrzeniem całą kolej podróży, pożegnać wszystkie jej ustępy i wszystkie odniesione wrażenia...

Takim kresem, takim ostatnim punktem minionego horyzontu, takim granicznym kamieniem wymarzonego świata, jest dla powieściopisarza tych kilka wierszy, któremi zamyka swa książkę. Niechaj mu więc będzie wolno zgromadzić na tem miejscu jeszcze raz wszystkie te osoby, z którymi żył przez dłuższy czas w stosunkach imaginacji...

Niech staną raz jeszcze ostatni około niego, aby wraz z odrzuconem, nieoschłem jeszcze piórem odlecieć go na zawsze i mówić za siebie i za niego...

* * *

Zacniemy od Tadeusza.

Po przygodach i cierpieniach, których tak obficie doznał od dnia, kiedy go

Żagwin wyrwał z zaczarowanego kółka pięknej Laury, odżył on dopiero teraz u

piersi Zakruckiego, w pobliżu Zosi... Wszystko co minęło, zdawało mu się snem

jakimś dziwnym, pełnym piekielnych kontrastów, bo splecionym z ułudnych powabów

i mąk prawdziwych...

Z Laura nie widział się już nigdy... Bał się widoku jej jako
przypomnienia tego
wszystkiego, co w krótkim czasie przeżył we Lwowie...
A im bardziej odżywał i im bardziej czuł się całą swą duszą
szczęśliwym przy
ukochanych osobach, tem bardziej zdrzeć musiał na myśl, że
niedawno tak bliskim
by! utraty tego szczęścia... Na każdą taką myśl silniej ścisnął
dłoń Zakruckiego
i głębiej tonął spojrzeniem w szafirowych oczach Zosi, jakby
się chciał upewnić,
czy przebaczenie ich jest prawda a nie snem tylko...
Wkrótce też w starym dworku wiejskim jego ojca zapanowało
życie i wesele... Do
cichych jego progów, które niedawno jeszcze żegnał na
zawsze zrozpaczoną myślą,
wszedł Tadeusz z aniołem u boku... W kilka miesięcy bowiem
po opowiedzianych tu
wypadkach Zosia była jego żona...
Życiem i szczęściem młodej pary ogrzewał swe znękané serce
Zakrucki. Mimo wieku
późnego i przebytych prób, wytrwał stary konfederat na
narodowym szańcu. Praca
patriotyczną, w której nie znał co to znużenie, co wypoczynek,
miłością swą i
wiecznie żywą wiarą stanął on na tej mogile, która dzieliła
dwie doby Polski.
Wzrok jego duszy janusowem spojrzeniem zwracał się ku
innej przeszłości, której
był świadkiem i uczestnikiem, i wyteżał się zarazem w
przyszłość, śledząc
jutrenki na ciemnym horyzoncie ojczystej niedoli...

Jakby w nagrodę dla tego cnotliwego męża, sprawił Bóg, iż
umarł na wolnej
ziemi...

O wiosnie roku kazał się Zakrucki na wieść o nowych
wypadkach na ziemi
polskiej przewieść do Lwowa, choć chory był i prawie zgonu
bliski... Tu doczekał
się dnia, kiedy w stolicy galicyjską wkroczyło wojsko polskie
pod
dowództwem Różnieckiego... Zakrucki dobył ostatnich sił i
kazał się Tadeuszowi
wyprowadzić na miasto... Zdawało się, że zapal zmienił go
cudownie znowu w
młodzieńca, że odgłos marszu Dąbrowskiego wlał w jego
piers ostygającą siłę i
życie napowrót... Gdy wrócił do pokoju, usiadł na krześle i z
uśmiechem
szczęścia słuchał okrzyków ludu lwowskiego i fanfar polskich
trębaczy... Z tym
uśmiechem na ustach zasnął snem wieczystym... Umarł na
wolnej tym razem ziemi...

* * *

Promnicki po owej katastrofie w grobowcu pożegnał się zaraz
nazajutrz z
Zakruckim... Opowiedział mu tylko całe zajście z Laurą i
prosił o
przeprowadzenie zwłok swej Maryni... Cały swój majątek
sprzedał, a uzyskane sumy
przesłał generałowi Dąbrowskiemu. Sam też niebawem stanął
na włoskiej ziemi,
gdzie jako legionista przebył wszystkie walki.

I jemu Bóg zgotował nagrodę za całe to życie walki i bólu.
Wrócił w sztykach narodowych do Polski i dano mu było
skończyć, jak tego
pragnął... Poległ w bitwie pod Raszynem...

* * *

Laura po owem strasznym spotkaniu z swym mężem zapadła
w ciężką chorobę.... W
okropnej gorączce targał
się jej umysł przez czas długi... Kiedy przyszła do zdrowia,
ujrzała się
straszenie zmieniona... Z twarzy jej uleciał wdzięk młodości,
który tak długo
opierał się latom, uroda jej zniknęła ze szczętem. Kiedy
pierwszy raz po
przebytej chorobie spoglądnęła w zwierciadło, wydała okrzyk
przerażający...
Spotkała tam twarz zwiędłą, żółtą, pomarszczoną i tylko oczy
płonęły dawnym
żarem, jak gdyby nie wygasła w nich jeszcze gorączka...
Los oszczędził jej widoku dwóch scen, z których jedna miała
być dla niej
oskarżeniem, druga karą... W pierwszych dniach jej słabości
niesiono po pod okna
jej pomieszkania czarną trumnę Żagwina — a później
przejeżdżał tamtędy powóz, w
którym jakby na rydwanie szczęścia, jechał Tadeusz z Zosia
do ołtarza...
Laura zaraz po ozdrowieniu wyjechała ze Lwowa. Ale
dokądże schronić się miała,
gdzież ją czekał spokojny przytułek?... Opuszczona i
nieszczęśliwa miała

przewlec się nędznie po ostatnich ścieżkach swego życia...
Nikt też nie wiedział
o jej dalszym losie.
Zniknęła bez śladu i tylko głuche wieści głosiły w kilka lat
poźniej, że zmarła
w Warszawie biedną szpitalnicą...

* * *

Madeja także nie godzi się nam zapomnieć... W trzy dni po
ostatniej scenie
skreślonej w naszej powieści wieziono przez ulicę Lwowa
ubogą, czarną trumnę.
Nikt nie szedł
za ta trumną, tylko Madej z żoną i z swymi kolegami,
dziadami kościelnymi...
Madej płakał, a staruszka która szła obok niego przedstawiała
dziwny widok...
Ubrana w suknie prawie wytworne zawodziła bolesnym
głosem na wzór płaczek
wiejskich...
Jedyne to były łzy, które odprowadziły do grobu
nieszczęśliwego Żagwina i żalem
rodzicielskim padły na grób jego...
Ludzie zatrzymywali się na ulicy ciekawie na widok
przechodzącego pogrzebu i
szeptali między sobą o nieszczęśliwym prawniku, ale nikt nie
przyłączył się do
pogrzebowej gromadki...
W kilka dni później pochował Madej i swą żonę... Biedna
staruszka nie przeżyła
ból i żalu po synie... Umarła przy czulej opiece litościwej
Zosi...

Madej pojechał z Zakruckim na wieś... Ale nie długo przy nim bawił.

Skarżył się, że mu bardzo ciężkie i markotne życie, i zapowiadał, że pójdzie w świat po dawnemu, po dziadowsku. Mimo odradzań i próśb uczynił to w niestrzeżonej chwili... Uszedł wraz z swą lirą i jak przedtem przebiegał sioła i odpusty o zebranym chlebie, śpiewając przy starej, skrzypiącej lirze...

* * *

Teraz przejść nam wypada do Bogusławskiego. Wplatając postać jego w naszą powieść, trzymaliśmy się prawie ściśle tych szczegółów, które on sam o swoim pobycie we Lwowie opowiada.

Zaznajomiwszy tym sposobem czytelnika z prywatnymi kolejami sławnego dyrektora, dorzucić musimy jeszcze kilka szczegółów, zamykających jego rolę w tem opowiadaniu.

Nie długo bawił Bogusławski we Lwowie po opisanych wypadkach. Zawiedziony w nadziejach, złamany przeciwnościami, które daremnie pokonać usiłował, opuścił Lwów w roku .

Do tylu rozmaitych przygód, których doznał w stolicy galicyjskiej, przybył jeszcze jeden, dziwny i przerażający wypadek...

Wypadek ten był właśnie tematem przedostatniego rozdziału tej powieści, w którym

opisaliśmy scenę w podziemiu byłego kościoła.
Znalezienie trumien i trupów pod sceną dawnego teatru
lwowskiego jest faktem
historycznym... Przebudowanie kościoła na teatr odbyło się
tak niedbale, że nie
zaglądano nawet do sklepienia, na którym stał wielki ołtarz,
a na którym
urządzono scenę... Tym sposobem długi czas po kościach
nieboszczyków przesuwają
się lekkie stopy tancerek i aktorek...
Odkrycie grobowców sprawiło we Lwowie niesłychane
wrażenie... Wkrótce po
opisanych przez nas wypadkach przerwano przedstawienia
teatralne i wyprowadzono
zwłoki na cmentarz lwowski...
Trumienkę, w której spoczywały zwłoki kilkuletniej
dziewczynki, z wieńcem
rozmarynu na martwej skroni, odpro-
wadzał do nowego grobu olbrzymi orszak publiczności, a
zaraz za trumną szli
Zakrucki, Tadeusz i Zosia... Promnickiego nie było już na tym
powtórny
pogrzebie dziecięcia...
I matki, Laury, nie było także... Pasowała się właśnie w tej
chwili ze
śmiercią...
Przykre były chwile ostatnie pobytu Bogusławskiego we
Lwowie. Osładzało je
wprawdzie współczucie osób szlacheckich i miłujących sztukę
— ale współczucie
takie jednostek nie jest nigdy dostateczną pociechą dla ludzi,
którzy

poświęciwszy całe życie, trud całej myśli i serca ukochanemu
zawodowi, widzą w
tym zawodzie niejako nagą, smutną pustynię, nad którą rzadko
kiedy wschodzi
słońce powodzenia i uznania... Chleb to powszedni ludzi —
którzy pracują dla
ducha swego narodu...
Przed samym odjazdem dotknął jeszcze jeden cios
Bogusławskiego... Był to cios
podwójnie dotkliwy, bo uderzał w jego zawód i jego osobę
zarazem... Owiński,
główna podpora sceny lwowskiej, genialny artysta i koryfeusz
ówczesnego teatru
polskiego, nie towarzyszył już Bogusławskiemu w dalszej
pielgrzymce. Zmarł we
Lwowie w r. .
Zwłokom jego nie odmówiono już jednak święconej ziemi, jak
to jeszcze niedawno
uczyniono w Warszawie jednej z zmarłych artystek. Gorycz,
jaką myśl na tę
wzgardę jego zawodu przepełniała serce wielkiego artysty, nie
była więc na
szczęście przeczuciem podobnegoż pośmiertnego losu...
Przeciwnie wielki aktor polski, któremu, jeśli wierzyć można
zdaniom
współczesnych, nie mieliśmy i nie mamy równego, spoczął na
cmentarzu lwowskim
między grobami dwóch arcybiskupów...
Opłakawszy zgon przyjaciela i kolegi, Bogusławski uczuł się
jeszcze bardziej
samotnym i złamanym... Ale daną mu była pociecha w tym
smutku... Kiedy

Bogusławski w jednym z ostatnich tygodni swego pobytu we Lwowie, siedząc samotnie w swym pokoju, rozmyślał o swych i swej sztuki losach, zjawił się u niego młody student lwowski. Student nieśmiało zbliżył się do dyrektora, a w ręku miał z zakłopotaniem jakiś zwitek papieru... Ośmielony przyjaźnemi słowy Bogusławskiego, wręczył inu swój manuskrypt. Był to przekład Martiniego Drzewa Dianny. Młodziutki student z rumieńcem skromności na twarzy wyznał przed dyrektorem, że marzy o zawodzie dramatycznym i pragnie poświęcić mu swe siły... Przekład Drzewa Dianny był pierwszą młodocianą jego próbą... Tym młodym studentem był — Jan Nepomucen Kamiński....

* * *

Campo Formio!... Słowo to było w czasie naszego opowiadania smutnym wyrazem zawiedzionych nadziei, hasłem boleśnego rozczarowania i zwątpienia... Ileż to od tego czasu przybyło chwil takich, wypadków takich, których się ramionami nadziei chwyтали Polacy, aby tem ciężiej uczuć swe opuszczenie i nieszczęście, aby znowu na czas jakiś zwątpić o bliskim ratunku i lepszej przyszłości... Campo Formio! Na układ, zawarty w tem miejscu przez Rzeczpospolitą francuską z

swymi wrogami, którzy zarazem byli wrogami Polski —
umarł nasz znajomy, pan
Józef Gozdzki...

W układzie tym pominięto Polskę, zawiedziono serdeczne
nadzieje wierzących...

Nie było to wówczas nawet po raz pierwszy, nie było po raz
ostatni...

Tak jest, Gozdzki umarł na Campo Formio!...

Był to może ostatni pan dawnej daty w Galicji, ostatni
szlachcic polski w złem i

dobrem znaczeniu tego słowa. Więcej w drugim niż w
pierwszem... Miał on wady i

miął wysokie zalety szlacheckiej natury... Nie potępiajmy bez
miłości

pierwszych, nie lekceważmy drugich! Bez tych wad
bylibyśmy może nie upadli, ale

bez tych zalet czy istnielibyśmy jeszcze dzisiaj, tak jak
istniejemy i istnieć

będziemy po wieki?...

Ach! okrutnym był los tych ostatnich Mohikanów pańskiej
buty i pańskiej swobody!

Co złą stroną swej natury zgrzeszyli w wolności, to dobrą
krwawo opłakali w
niewoli...

Smutne były ostatnie dni żywota Gozdzkiego... Szlachetne
jego serce krwawiło

się ciągle niedolą ojczyzny... Po rozbiore Polski wyrzekł się
wszystkich dóbr

swych ogro-

mnych, położonych za kordonem austriackim, aby nie
potrzebował składać hołdu

carycy... Kiedy jeden z generałów moskiewskich, dawniej
osobisty przyjaciel

Gozdzkiego, pisał list do niego i radził mu, aby wrócił do dóbr swoich i objął

je w posiadanie, on odpisał:

— Monarchini Waćpana zgwałciwszy prawo narodów,
stargała święte obowiązki,

niechże i zaborem niego prywatnego majątku się nasyci!

Będąc odwiecznym tego

mocarstwa nieprzyjacielem, nie mogę być wiernym jej

poddanym. Nic mnie znaglic

nie zdoła, abym się odprzysięgnął mojej ojczyzny, Polakiem
urodziłem się i

Polakiem umrę! Kto ojczyznę zabił, niech ją grzebie, ręce
moje nieskażone przed

Bogiem i narodem zostaną!...

Było w tym liście to samo uczucie, które tak się wylało było
przedtem w liście

do Złotnickiego, marszałka konfederacji targowickiej:

— Mości panie Złotnicki, marszałku konfederacji podolskiej
ale w Tulczynie lub

Petersburgu obrany... Pytam się jego marszałkowskiej Mości,
kto cię upoważnił,

abyś szlachcicowi w wolnym żyjącemu narodzie mówić
zabraniał?... Nie masz żadnej

władzy, któraby mogła zmienić moją przekonanie. Na
konfederację targowicką ja

nie tylko przysięgać nie będę, ale jej nawet za prawy nie
uważam związek. Widzę

otchłań przygotowaną na zgubę narodu. Rzucam kraj złemi
czynami zhańbiony,

pozostawiam mój majątek na łup łakomstwu lub nagrodę
zbrodni! O, gdybym śmiercią

własną drogiej ojczyzny mojej mógł okupić życie, poszedł-

bym chętnie na stos przygotowany!... Ale niestety, ta już w
waszych rękach
skona!

I skonała w ręku Targowiczan... A na jej grobie ciężko było
umierać prawym jej
synom, a żyć ciężiej jeszcze... Los ten spotkał i Gozdzkiego.
Żyjąc pod

panowaniem austriackim nie tracił nadziei i powtarzał
ciągle:

— Nie umrę, póki nie będziemy Polakami!...

Słowa te popierał czynem i ofiarą. Cały prawie majątek jego
był na usługi

powstania Kościuszkowskiego. Kiedy mu tę czynność jego
patriotyczną wyrzucił

gubernator lwowski, on odparł śmiało:

— Rząd słuszne ma o mnie podejrzenie... Krzywdziłbyś pan
mnie. gdybyś sadzić
mógł inaczej!

Utrzymywał przez cały przeciąg powstania osobną pocztę,
przez którą mu podawano

wieści o wojnie. Przychodziły wieści radosne ale padły
piorunem i

nieszczęśliwe... Gdy Gozdzki dowiedział się o upadku
powstania i niewoli

Kościuszki, płakał rzewnie przez dni kilka i pokarmu żadnego
nie przyjmował...

Zachorował i śmierci był bliskim... Kazał wynieść z pokoju
swego portret

Kościuszki, bo mu widok jego boleścią rozrywał serce...

Odtąd dwór w Jaryczowie, jak przedtem był zbrojownią, tak
teraz był lazaretem,

domem inwalidów, przytuliskiem dla rozbitków powstania.

Ale szlachcic został

szlachcicem i broń Boże przyjąć w dom najdzielniejszego
nawet powstańca, skoro
miał wąsy ogolone!... Więc roił się dwór od wąsaczy
marsowych, a on wszystkich
karmił
odziewał, umieszczał i przed ściganiem władz austriackich
zasłaniał.
I trzymał się jeszcze jako tako pan Gozdzki, choć trudne mu
było życie i
smutne... Ale wieść o układzie w Campo Formio zabiła go....
Odtąd życie nie
miało już dlań najmniejszego powabu. Przeniósł się do
samotnej wsi Byszek, i tu
gryzł się, sechł, marniał — a niebawem dokonał żywota...
Zamknął mu powieki Zakrucki, który pospieszył odwiedzić go
w chorobie, i
ścisnąwszy dłoń martwą rzekł z boleścią:
— Pokój ci, biedny towarzyszu i bracie! Odbiegłeś mnie
starego, abym się powlókł
jeszcze dalej w kajdanach po grudzie tego żywota... Umarłeś
Polakiem, w niewoli
wprawdzie, ale niewola ta odpadała od twej duszy, jak
skorupa gliniana od
ciosowego pomnika!
I pocieszywszy płaczącego jak dziecko Hołubowicza — z
rozzaloną duszą wrócił do
swoich, biedny starzec, zostawiony samotnie na gruzach
wspólnego ogniska i...

* * *

I chyba koniec już naszym kartkom.,

* * *

Ale Galicja! Co się stało z Galicją?

Gdyby nas kto tak na zakończenie zapytał, cożbyśmy na to odpowiedzieć mogli?...

Oto chyba, że w Galicji z każdym dniem — mniej Galicjan...

Od czasu pierwszych Galicjan sto lat niebawem upłynie... Sto lat odcięcia od

organizmu narodowego, sto lat obcych stosunków życia — trzy pokolenia wzrosłe na

gruncie poniewolnych warunków bytu, to zaiste próba dość długa dla doświadczenia

narodowej żywotności...

A przecież w Galicji mało Galicjan....

E pur si mouve!

Z Galicji, co miała być szkoła niemiecką dla Polaków, była raczej szkoła polska

dla Niemców. Gdzie są synowie i wnukowie tych, co przyszli tę część Polski

tłumaczyć na niemieckie ? Szukajcie ich w rzędzie gorliwych patrijotów, w spisie

więźniów, w listach poległych na pobojuwiskach polskich z roku ,

Ileż tam imion, znanych z urzędowej historii pierwszych lat Galicji!...

— Twój wnuk mnie zastąpi... — rzekł Zakrucki do Stahlena w owej rozmowie, którą

sobie zapewne przypomną czytelnicy.

I któż policzy wszystkich Van Royów, Reitzenheimów, Mansdorffów, Ostermannów,

Weberów, Rosenbergów, Tilsenów, Grossów itd. — co żywym kontrastem, bo walką w

szeregach polskich zadali kłam systemowi germanizacji?.....

A przecież, gdy zagłębimy do urzędowych aktów,
stanowiących historję
pierwszych lat rządów austriackich w Galicji, znajdziemy te
same imiona w wcale
innym obozie....
Galiczyjskość miała być łagodnym przejściem z polskości do
niemiecczyzny... Dla
trzech pokoleń tego kraju trzy miały być stopnie: Polacy —
Galicjanie —
Niemcy.... I galicyjskie
żywioł pozostał przejściem ale w odwrotnym znaczeniu...
Pokazało się, że z
Niemców Galicyanie, a z Galicjan Polacy...
A jeżeli ci kto powie, że jest "Galicjaninem", to bądź pewnym,
że syn jego
będzie Polakiem. Z poczwarki galicyjskiej wylatuje motyl
polski.
Galiczyjskość utrzymała się jednak jako pojęcie nie
narodowości, ale jako
charakterystyka pewnych usposobień obywatelskich,
politycznych, społecznych....
Pod tymi względami niebrak Galicjan... Ale może przyjdzie
czas, że jak
Mohikanom, tak i im potrzeba będzie Coopera...
KONIEC.